

V.C. ANDREWS

Uderzenie gromu

PROLOG

Wczesnym rankiem, gdy cienie gęstniały i kryły się w kątach obszernych pokoiów wielkiego domu, miewałam niekiedy wrażenie, że z tych mrocznych kątów dobiegają mnie ciche szepty. Z początku ich nie zauważałam, dopiero z czasem zaczęły się stawać wyraźniejsze. Głosy brzmiały, jakby mnie przed czymś ostrzegały, ale za nic nie mogłam pojąć, przed czym.

W moim życiu zaszło ostatnio wiele zmian. Najpierw okazało się, że wbrew temu, co sądziłam, nie jestem dzieckiem ludzi, których przez całe życie uważałam za swoich rodziców - Latishy i Kena Arnoldów. W rzeczywistości urodziła mnie bogata biała dziewczyna, Megan Hudson Randolph, która chodząc do college'u, zaszła w ciążę ze swym chłopakiem, Afro-Amerykaninem Lanym Wardem. Kiedy przyszłam na świat, rodzice Megan oddali mnie pod opiekę Arnoldom, przez których zostałam wychowana razem z ich własnymi dziećmi - wyrosłam w przekonaniu, że Roy jest moim starszym bratem, a Beni młodszą siostrą. Niestety, pieniądze, które Hudsonowie dali Arnoldom na moje wychowanie, Ken bardzo szybko przełupiał z kumplami.

W Waszyngtonie mieszkaliśmy w wyjątkowo nędznej dzielnicy, w murzyńskim getcie. Kiedy gangsterzy zamordowali Beni, moja przybrana mama zabrała mnie na spotkanie z rodzonną matką i ubłagała ją, żeby zabrała mnie z getta. Z początku

myślałam, że robi to po to, by ratować mnie przed otaczającym nas światem przestępczości i gwałtu, ale potem okazało się, że miała jeszcze jeden powód - była chora na raka i chciała, bym przed jej śmiercią znalazła sobie miejsce na świecie.

Moja rodzona matka wcale nie była tym wszystkim zachwycona i z początku chciała się nas po prostu pozbyć, dając nam więcej pieniędzy. Jej mąż ubiegał się o wysokie stanowisko i ujawnienie nieślubnego dziecka żony mogłoby poważnie zagrażać jego planom. Ostatecznie moja matka umieściła mnie u własnej matki, mojej babki, Frances Hudson, która od śmierci męża mieszkała samotnie w wiejskiej rezydencji w Wirginii. W oczach świata miało to uchodzić po prostu za kolejny akt dobroczynności, której obie poświęcały wiele czasu.

Przez jakiś czas wydawało mi się, że nie wytrzymam długo na wsi, uczęszczając do elitarniej Szkoły Dogwoodów dla dziewcząt. Nie dlatego, żebym tam sobie nie radziła, bo choć wyrosłam wśród biedaków, zawsze byłam dobrą uczennicą i dużo czytałam. Nie przejmowałam się również niezwykłymi spojrzeniami ani złośliwymi uwagami chodzących do Szkoły Dogwoodów snobek. Jako uczennica szkoły w murzyńskim getcie w Waszyngtonie miewałam poważniejsze kłopoty.

Z początku trudno było mi wytrzymać z moją babką. Despotyczna starsza pani nie znosiła sprzeciwu z niczyjej strony - lekarzy, pielęgniarek, prawników ani służących. Szczególnie ciężkie boje toczyła ze swoją córką Victorią, która przejęła prowadzenie rodzinnych interesów po dziadku Hudsonie. Z początku było nam bardzo ciężko. Babcia odnosiła się do mnie podejrzliwie, przekonana, że nie będę się uczyć, a za to będę piła alkohol i zażywała narkotyki. Ja z kolei nie dałam jej złego słowa powiedzieć na mamę, Roya, Beni, a nawet na Kena, choć mnie samej trudno byłoby znaleźć w nim jakieś dobre strony.

Z czasem obie zmieniłyśmy swój stosunek do siebie. Babcia

przekonała się, że nie pasuję do jej stereotypowych wyobrażeń na temat Afro-Amerykanów z getta - nie piję, nie zażywam narkotyków, nie przysparzam problemów wychowawczych i dobrze się uczę. Potem dostałam główną rolę w szkolnym przedstawieniu. Wreszcie, gdy babcia wyrzuciła z pracy służącą i kucharkę zarazem i odkryła, że mama nauczyła mnie całkiem nieźle gotować, przyjęła to z nieskrywanym uznaniem.

W rezultacie przestałyśmy się ścierać ze sobą, a z czasem pojawiła się nawet w naszych stosunkach prawdziwa serdeczność i oddanie. Kiedyś, gdy babcia czuła się gorzej niż zwykle, wezwałam bez jej wiedzy lekarza. W rezultacie zgodziła się na zabieg, na który od dawna ją namawiano, czyli na wszczęcie rozrusznika serca. Potem, któregoś dnia pod koniec roku szkolnego, wyszło nawet na jaw, że babcia Hudson umieściła mnie pośród swoich przyszłych spadkobierców. Odkryła to ciotka Victoria, która do tej pory nie miała pojęcia o moim istnieniu. Victoria była wściekła, że musi - jak to określiła - płacić za błędy mojej matki, i żądała, by babcia Hudson wykreśliła moje imię z ostatniej woli. Groziła nawet, że w przeciwnym razie ujawni prawdę, szkodząc politycznej karierze swego szwagra.

Dlatego też gdy znajomy babci Hudson, pan MacWaine, zaproponował, żebym podjęła naukę w prowadzonej przez niego szkole teatralnej w Londynie, podejrzewałam w tym wszystkim intrygę babci, która chce się mnie w ten sposób pozbyć z horyzontu, żeby ugłaskać rozgoryczoną Victorię. Moje podejrzania zirytowały babcię.

- Czy ty myślisz, że pozwolę, żeby ktokolwiek podejmował za mnie decyzje? - spytała oburzona, kiedy dotarło do niej, o co chodzi.

- Nie - przyznałam.

- Słusznie. Dopóki jeszcze oddycham, dopóty sama podejmuję wszelkie decyzje. Tak właśnie ma brzmieć napis na moim grobie: „Tu leży kobieta, która zawsze sama decydowała o własnych sprawach”. Zrozumiano?

- Tak - odpowiedziałam ze śmiechem.

Babcia zrzędziła jeszcze przez chwilę, burcząc coś pod nosem, ale znałam ją już na tyle, żeby wiedzieć, że nie jest naprawdę zła.

Rok szkolny dobiegł końca. Wkrótce miałam polecieć do Anglii. Mama umarła, Ken trafił do więzienia, Roy służył w wojsku, a biedna Beni nie żyła. Byłam na świecie sama, a matka robiła, co mogła, by zachować moje istnienie w tajemnicy. Swoje postępowanie uzasadniała zawsze tak samo - musiała dbać, by nic nie zaszkodziło opinii jej męża, Granta, który usiłował robić karierę jako polityk.

Również moje przyrodnie rodzeństwo - Alison i Brody - nie miało pojęcia, że jesteśmy rodziną. Alison była okropna i, szczerze mówiąc, wcale się nie cieszyłam, że mam taką siostrę, ale jeszcze gorzej było z Brodym. Nie wiedząc, kim jestem, mój przyrodni brat, wzorowy uczeń i członek szkolnej reprezentacji piłkarskiej, zapłonął do mnie uczuciem, które bardzo zaniepokoiło zarówno moją matkę, jak i babcie.

Podjeżdżałam, że był to kolejny powód, dla którego babcia Hudson tak chętnie odesłałaby mnie do Londynu. Początkowo nawet chciała polecieć do Anglii razem ze mną, ale jej lekarz nie chciał się na to zgodzić. Babcia była świeżo po operacji wszczepienia rozrusznika serca i wciąż jeszcze musiała pozostać pod stałą kontrolą. Oczywiście była oburzona i musiałam się niezłe namęczyć, żeby ją w końcu przekonać, że dam sobie radę.

- Nie chcę odpowiadać za to, co może ci się przytrafić - oświadczyłam stanowczo. Mówiłam już do niej „babciu” gdy byłyśmy same, nie „pani Hudson”, jak mi z początku poleciła.

- Bzdura! - Babcia przechadzała się po pokoju. - A w ogóle to jak ty mnie traktujesz?

- Jak odpowiedzialną dorosłą osobę - wyjaśniłam spokojnie.

Babcia zgromiła mnie wzrokiem, ale nie wybuchła. Przez chwilę poruszała ustami, jakby powstrzymując się od odpowiedzi.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że możesz doprowadzić człowieka do szału? - spytała wreszcie.

- Tak, zastanawiam się tylko, po kim taka jestem?

- Z pewnością nie po matce. Megan, ilekroć znajdzie się w trudnej sytuacji, szuka pociechy w robieniu zakupów.

Babcia Hudson opadła na fotel i oparła ręce na wyściełanych poręczach.

- Muszę cię ostrzec, że moja siostra Leonora, z którą będziesz mieszkać w Londynie, bardzo się ode mnie różni.

- Co za ulga.

- Nie bądź niegrzeczna - rzuciła mi babcia. Spojrzała w okno i westchnęła. - Leonora i jej mąż Richard są typowymi drętwykami Anglikami. W porównaniu z panującym u nich porządkiem nasze życie tutaj upływa w kompletnym chaosie. Na dodatek będziesz miała na głowie różne obowiązki, a Leonora z mężem będą ci dzień w dzień powtarzać, że masz mnóstwo szczęścia, że w ogóle do nich trafiłaś.

- Nie mogę pojąć, czym sobie na to szczęście zasłużyłam.

- Jesteś okropnie niegrzeczna - zirytowała się babcia Hudson. - Na szczęście nie mogą ode mnie oczekiwać, żebym w ciągu tego krótkiego czasu, jaki ze mną spędziłaś, wypłeniła z ciebie wszystkie złe nawyki. Niestety, człowiek ma ograniczone możliwości... Nawet ja - westchnęła.

- Naprawdę przyznajesz, że twoja wola ma jakieś granice?

- Czy ty chcesz, żebym dostała ataku serca? Czy to dlatego tak się zachowujesz?

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

Babcia Hudson pokręciła głową, starając się ukryć uśmiech.

- Zaczynam podejrzewać, że to się fatalnie skończy. Nie wyobrażam sobie, żebyś tam długo wytrzymała.

- Zapewniam cię, że nie będzie tak źle. Pamiętaj, że wychowałam się w slumsach Waszyngtonu. Czy przed domem ciotki Leonory często zdarzają się strzelaniny? Czy na ulicach stoją co krok dealerzy narkotyków i gangsterzy żądający haraczku od Bogu ducha winnych przechodniów?

- Nie o to chodzi. Leonora ma bzika na punkcie swojego arystokratycznego pochodzenia, a jej mąż jeszcze bardziej... - Babcia Hudson westchnęła, kiwając z ubolewaniem głową. - Sama się przekonasz. Na szczęście większość czasu i tak będziesz spędzała w szkole. Kiedy ten okropny cerber, mój lekarz, wreszcie mnie puści, przyjadę do ciebie, żeby się przekonać, że Leonora i jej mąż nie pastwią się nad tobą z nadto.

- Mam nadzieję, że dam sobie z nimi jakoś radę.

- Nie bądź arogancka, Rain. Po pierwsze, nie wypada się tak zachowywać, a po drugie, przez takie zachowanie tylko sobie narobisz nieprzyjaciół.

- Nie jestem arogancka. Po prostu staram się uwierzyć we własne siły - broniłam się, rozkładając wymownym gestem rękę. - Czy myślisz, że łatwo mi tak nagle wsiąść w samolot i lecieć za ocean, żeby zacząć życie wśród zupełnie obcych ludzi?

Babcia Hudson zaśmiała się z mojej obrony.

- Punkt dla ciebie. No dobrze, nie ma się co martwić na zapas. Podaj mi, proszę, moje tabletki - poprosiła, wskazując nocny stolik obok łóżka. - Twoja matka zapowiadała wprawdzie, że wpadnie do nas jutro, żeby się z tobą pożegnać, ale na twoim miejscu nie liczyłabym na to za bardzo. Pewnie znów się okaże, że Grant ma jakieś ważne spotkanie, a ona koniecznie musi mu towarzyszyć.

- Jeśli chodzi o moją matkę, to już się przyzwyczaiłam do rozczarowań.

Babcia Hudson smutno pokiwała głową.

- Z drugiej strony - zażartowała nagle po chwili - Victoria na pewno chętnie odwiezie cię na lotnisko i osobiście dopilnuje, żebyś zdążyła na samolot.

- Wiem. - Roześmiałam się.

- Być może masz więcej szczęścia, niż ci się wydaje. Zostanę tutaj sama i zapewne nieprędko mnie ktoś odwiedzi. Nie spodziewam się, żeby Brody miał wielką ochotę przyjeżdżać tu pod twoją nieobecność. - Popatrzyła na mnie wymownie.

- Jeśli o to ci chodzi, to mogę cię zapewnić, że ani do mnie nie dzwonił, ani nie pisał.

- To dobrze - odetchnęła z ulgą babcia i pokręciła głową. - Pewnego dnia twoja matka również będzie musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

- Dlaczego?

Popatrzyła na mnie zamyślona. Miałam nadzieję, że powie coś o miłości, o znaczeniu więzi rodzinnych czy o potrzebie prawdy. W końcu chodziło o moją matkę.

Kiedy spotkałam Megan po raz pierwszy, miałam nadzieję, że zbliżymy się do siebie, że będzie się naprawdę czuła moją matką. Tymczasem widywałyśmy się rzadko, można by powiedzieć, że ledwośmy się znały, i nic nie wskazywało na to, by sytuacja miała się kiedykolwiek zmienić.

- Muszę się zdrzemnąć - ucięła rozmowę babcia Hudson.

Okryłam jej nogi pledem. Zamknęła oczy. Bardzo się o nią martwiłam, kiedy tak leżała słaba i wyczerpana rozmową. Choć przed pół rokiem minęłybyśmy się na ulicy, nie zwracając na siebie uwagi, wskutek szczególnego splotu okoliczności stałyśmy się dla siebie w ciągu kilku miesięcy najbliższymi osobami na świecie. Przez chwilę patrzyłam na babcię, a potem wyszłam z pokoju.

Idąc przez dom, znów słyszałam dobiegające z ciemnych kątów szepty. Może to przodkowie babci Hudson nie mogli się nadziwić, skąd ktoś taki jak ja wziął się w ich domu? Jak to możliwe, zdawały się pytać głosy, by Mulatka, córka Afro-Amerykanina, stąpała tu po puszystych dywanach, pośród stylowych mebli, spoglądając na pożółkłe ze starości płótna w złoconych ramach? Miałam wrażenie, że tajemnicze głosy ostrzegają mnie przed konsekwencjami lekkomyślnego kuszenia losu.

Wyszłam przed dom i powoli zeszałam nad jezioro. Na wielkich głązach nad wodą siedziała para kruków. Były zaskakująco wielkie. Kiedy się zbliżałam, przyglądały mi się z ostrożnym zainteresowaniem. Zastanawiałam się, czy jakiegokolwiek stworzenie poza człowiekiem przywiązuje znaczenie do barw.

Czy inne ptaki patrzą na kruki z góry tylko dlatego, że mają one czarne pióra? Przecież są takie piękne. Czerń może mieć tyle odcieni. Siedzące na skałach ptaki lśniły jak heban, a ich oczy połyskiwały w blasku słońca. Przypomniałam sobie Roya. On też miał takie piękne, lśniące czarne oczy.

Ciekawa byłam, jak Roy sobie radzi w wojsku. Od czasu naszej ostatniej rozmowy pojechał już do Niemiec. Umówiliśmy się, że odwiedzi mnie w Londynie. Teraz, gdy mama zmarła, a Ken siedział w więzieniu, Roy też musiał się czuć okropnie samotny. Ja miałam przynajmniej babcię Hudson.

Rozległo się trąbienie klaksonu i kruki natychmiast, jak na komendę, poderwały się do lotu. Zatoczyły krąg nad spokojną taflą jeziora i poleciały w kierunku ciemnej ściany lasu.

- Do widzenia - szepnęłam i odwróciłam się, żeby pomachać Jake'owi.

Szofer kiwnął do mnie wysoko wyciągniętą ręką, w której trzymał bilet, jakby to był wygrany los na loterii. Szybko pomaszero wałam w stronę domu.

- Wszystko gotowe - powitał mnie Jake. - Pojutrze lecis do Anglii! Ale historia! Jak się czujesz?

- Jestem zdenerwowana - przyznałam.

Jake uśmiechnął się do mnie ze zrozumieniem i pokiwał głową. Był wysoki, miał łysinę, ale nad oczami stroszyły mu się krzaczaste brwi. Bardzo go lubiłam, bo zawsze zachowywał niezmaconą pogodę ducha. Tuż przed zakończeniem roku szkolnego pokazał mi żrebaka, którego kupił w nadziei, że wystawi go kiedyś na wyścigach. Nadał mu moje imię - Rain.

Całe szczęście, że babcia Hudson ma Jake'a, pomyślałam. Znali się od bardzo dawna i Jake był jedyną osobą, do której odnosiła się z niejakim respektem. Jej mąż nawet kupił od niego kiedyś dom, w którym mieszkaliśmy. Jak dobrze byłoby mieć takiego dziadka czy wujka jak on!

- Poradzisz sobie ze wszystkim, Rain. Przyślij mi od czasu do czasu pudełko angielskich toffi. A skoro już mowa o monar-

chii... - Jake machnął ręką w stronę domu. - Co słyhać u królowej?

- Pani Hudson wciąż straszy, że poleci ze mną do Anglii, jeśli o to ci chodzi.

- Na twoim miejscu wcale bym się nie zdziwił, gdyby to zrobiła.

- Powiedziałam jej, że jeśli to zrobi, wyskoczę po drodze z samolotu.

Jake zaśmiał się i wręczył mi bilet.

- Będę rano - powiedział i odszedł do samochodu.

Pomachałam mu, kiedy odjeżdżał. Odwróciłam się i spojrzałam na szlachetną sylwetkę domu, rysującą się na tle szybko ciemniejącego nieba. W pokoju babci Hudson paliło się światło. Tak krótko tu mieszkałam, a jednak zdażyłam się już zadomowić. Szkolne przedstawienie odniosło wielki sukces, a ja - jak twierdzili znający się na rzeczy ludzie - miałam podobno zadatki na aktorkę.

Być może istotnie tak jest, pomyślałam. Przez całe życie nieustannie coś grałam. Kiedyś udawałam, że mam dom i ojca, choć nigdy nie czułam prawdziwego przywiązania do Kena; teraz udawałam, że jestem sierotą, bo moja matka nie chciała się do mnie przyznać. Prawda i nieprawda na każdym kroku mieszały się i przeplatały w moim życiu.

A skoro muszę grać, to czy nie lepiej robić to przed publicznością, która przynajmniej nagrodzi udany występ oklaskami?

Na ciemniejącym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Rożek księżycy wisiał na niebie nad zagajnikiem. Świat wokół mnie był jedną wielką sceną.

Z widowni płynęły do mnie szeptu niewidzialnego audytorium.

- Nie bój się - dodawała mi otuchy mama.

- Przygotuj się do występu, Rain - polecił mi niewidzialny reżyser.

- Wszystko gotowe?

- Mamo... Nic na to nie mogę poradzić... boję się! - krzyknęłam.

- Za późno, moje dziecko - odpowiedziała szeptem mama. - Spójrz. Kurtyna już się unosi.

Kiwnęłam głową. To prawda. Było za późno, żeby się wycofać.

- Zaczynamy - powiedziałam do siebie, wspinając się po kamiennych schodach. Minęłam wysmukłe kolumny portyku i stanęłam przed drzwiami. Nacisnęłam klamkę i weszłam do oświetlonego holu, jakbym wchodziła na scenę.

1

WIELKA PRZYGODA

Kiedy weszłam rano do jadalni po rozmowie z matką, babcia Hudson siedziała za stołem z taką miną, jakby świetnie wiedziała, co usłyszałam przez telefon.

- No i co?

Usiadłam bez słowa i wbiłam spojrzenie w talerz. Wiedziałam, że nie chciała być złośliwa, po prostu było mi okropnie przykro i smutno.

- Nie przyjedzie - oznajmiłam krótko, nie podnosząc oczu. - Powiedziała, że zaprosił ich na obiad minister sprawiedliwości. Mam do niej zadzwonić, gdybyś uparła się jechać ze mną do Anglii.

- Można się tego było spodziewać - westchnęła babcia Hudson. - Czy wszystko już spakowałaś?

- Tak.

Babcia podsunęła mi podłużną białą kopertę.

- Co to?

- Pieniądze na wydatki w Londynie. Nie spodziewam się, żeby moja siostra chciała płacić za twoje zakupy. Daję ci czek, więc po przyjeździe poproś Leonorę, żeby podała ci adres banku. Zrealizujesz tam czek i od razu zdeponujesz pieniądze. Oczywiście wiesz, że w Anglii płaci się funtami, a nie dolarami?

- Tak.

- Żeby wiedzieć, ile co kosztuje, będziesz musiała sprawdzić

aktualny kurs dolara. Język naturalnie znasz, choć zauważyłś wiele drobnych różnic. Moja siostra bardzo dba o zachowanie brytyjskiego akcentu, choć kiedy rozmawiałam z nią przez telefon, odniosłam wrażenie, że i ona się amerykanizuje. Z pewnością niełatwo będzie ci się przyzwyczaić do nowej sytuacji, ale potraktuj to jako część przygody. Żałuję, że sama nie jestem w twoim wieku i nigdzie się już nie wybieram. Czuję się, jakbym była przykuta do wózka. To przez to zdradzieckie serce - westchnęła.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że dość się już włóczyłaś po świecie i bardzo się cieszysz, że nie musisz się stąd ruszać - przypomniałam babci Hudson jej własne słowa.

- Owszem, dopóki Everett nie zaczął chorować, sporo podróżowaliśmy. - Babcia zamyśliła się na chwilę. Potem nieoczekiwanie uśmiechnęła się do mnie. - Nikt nie mówił, że masz pamiętać każde moje słowo, żeby móc mi je potem wypominać.

Roześmiałam się, a babcia pokiwała głową. Potem znów spoważniała.

- Muszę ci powiedzieć kilka słów o mojej siostrze i jej mężu Richardzie. Jak wiesz, jest on prawnikiem. Leonora najlepiej uświadomi ci, jak ważne funkcje pełni Richard. Mieszkają w bardzo przyjemnej części miasta, w Holland Park. Prawdę mówiąc, sama byłam tam tylko dwa razy - raz z wizytą, a raz... na pogrzebie.

- Na pogrzebie?

- Leonora i Richard stracili swoje jedyne dziecko, córkę Heather. Miała wtedy siedem lat.

- To okropne. Co jej się stało?

- Heather urodziła się z wadą zastawki serca. Niestety, okazało się, że nie sposób usunąć jej operacyjnie. Któregoś dnia rano Richard i Leonora zastali Heather zmarłą we śnie. To było bardzo smutne.

- Co mówiłaś Leonorze o mnie?

- To, co wszystkim. Tak będzie lepiej. Moja siostra nie jest osobą równie liberalnych poglądów jak ja. Spodziewa się, że

będziesz u nich mieszkać, chodzić do szkoły teatralnej, a po zajęciach pomagać w domu. Ponieważ mają służącą, kucharkę, lokaja i szofera, więc pewnie nie będziesz miała wiele obowiązków. W każdym razie nie bój się, Leonora na pewno nie zwolni pokojówki, żeby obarczyć cię jej zadaniami. Posiadanie odpowiednio licznej służby jest przy jej pozycji społecznej koniecznością.

- Nie boję się pracy, babciu.

- Wiem. - Babcia Hudson uśmiechnęła się do mnie, ale zaraz spoważniała. - To nie praca będzie dla ciebie największym ciężarem. Ale uwierz mi, że nie posyłałabym cię, gdybym nie wierzyła, że dasz sobie ze wszystkim radę. Pan MacWaine na pewno się tobą zajmie, a któregoś dnia, gdy tylko uwolnię się spod kurateli tego okropnego lekarza, dołączę do ciebie.

Kiwnęłam głową. Miałam najszczerzą nadzieję, że babcia Hudson istotnie przyleci do Anglii.

Później, kiedy pisałam list do Roya, przyjechała ciotka Victoria. Poznałam natychmiast, że to ona weszła do domu, po ostrym stukaniu obcasów na kamiennej posadzce. Brzmiało to, jakby wbijała gwoździe. Victoria zawsze chodziła tak, jakby jej się bardzo śpieszyło, mocno stawiając stopy i energicznie wymachując rękami.

Obcasy Victorii zastukały na schodach, a potem zza drzwi pokoju babci Hudson dobiegały odgłosy rozmowy. Słyszałam podniesiony głos ciotki.

- Właśnie się dowiedziałam, ile będzie kosztowała ta absurdalna podróż, za którą płacisz, mamó. Po pierwsze, czy ona koniecznie musi lecieć pierwszą klasą?

- Ty zawsze podróżujesz pierwszą klasą, Victorio - przypomniała córce babcia Hudson.

- Ja to ja. Jestem twoją córką. Prowadzę nasze interesy i zarabiam pieniądze. Mam chyba prawo dbać o swoją wygodę w podróży. Ta... dziewczyna przynosi nam wszystkim wstyd, jest dla nas hańbą i należałoby raczej ukryć ją gdzieś, a nie afiszować się z nią jakbyśmy byli dumni z faktu, że moja siostra ma nieślubne dziecko i to z czarnym. Jestem pewna,

że tata przewraca się w grobie. Nawet on nigdy nie podróżował pierwszą klasą!

- Twój ojciec nie był rozrzutny. Myślę, że jeśli podróże pierwszą klasą są dla ciebie tak trudnym orzechem do zgryzienia, nie powinnaś się do nich zmuszać w imię swojej pozycji społecznej - powiedziała łagodnie babcia Hudson.

- Ale ja pytam, po co zmuszasz tę dziewczynę? Czemu jej nie wyślesz klasą turystyczną?

- Kiedy wreszcie nauczysz się, że mam pełne prawo robić ze swoimi pieniędzmi, co mi się podoba, Victorio? Rozmawialiśmy już na ten temat do obrzydzenia. • Jeżeli chcesz oszczędzać, proszę bardzo, masz swoje pieniądze, rób oszczędności, a mnie zostaw w spokoju.

- Dowiedziałam się również, ile kosztuje ta szkoła. - Ciotka Victoria najwyraźniej nie zamierzała usłuchać matki. - To groteskowe, podejmować takie poważne decyzje tylko dlatego, że dziewczyna nieźle wypadła w szkolnym przedstawieniu. Ten Conor MacWaine po prostu cię naciąga. Na pewno cieszy się, że ma okazję oskubać bogatych idiotów z Ameryki.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że uważasz mnie za idiotkę?

- Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby było mądre wydawać czterdzieści tysięcy dolarów na... na to, by kształcić tę dziewczynę na aktorkę.

- Jeżeli już skończyłaś...

- Nie, nie skończyłam. Chcę wiedzieć, kiedy wyłączysz ją ze swojej ostatniej woli?

- Powiedziałam ci już, że nie cofnę dokonanych zmian. Kiedy będziesz spisywać własny testament, Victorio, będziesz mogła wykluczyć Rain z grona spadkobierców.

- Co takiego? - Victoria usiłowała się roześmiać, ale z jej gardła dobył się tylko cienki pisk. - Nie sądzisz chyba, że w ogóle zamierzam włączyć ją do grona osób, które znajdują się kiedykolwiek w mojej ostatniej woli. A zresztą po co ja z tobą o tym rozmawiam? To tylko strata czasu.

- Wreszcie powiedziałaś coś rozsądnego.

- Chcę tylko dodać, że nie po winny ście z Megan liczyć na to, że zawsze będę trzymała usta na kłódkę. Któregoś dnia...

- Nic nie zrobisz - uciała babcia Hudson. - Nawet się nie waż o tym myśleć.

- To niesprawiedliwe... - zaprotestowała Victoria. - To niesprawiedliwe i krzywdzące w stosunku do mnie. Faworyzujesz Megan moim kosztem. Powinna się wstydzić tego, co zrobiła, a tymczasem... dostaje od ciebie kolejne prezenty.

Zapadła cisza. W chwilę później Victoria opuściła pokój babci Hudson, zeszła po schodach, stukając obcasami, i wyszła z domu. Miałam nadzieję, że więcej jej nie spotkam. Zawsze zaciskała zęby i marszczyła brwi, jakby ją nieustannie bolała głowa. Zaczerwienione oczy sprawiały dziwne wrażenie w bladej twarzy. Nie wiedziałam, czy istnieje ktoś, kto ją naprawdę lubi. Wątpiłam nawet, czy Victoria lubi siebie samą, nie wspominając już o mnie. Wyobrażałam sobie, że nie ma w domu luster, żeby nie oglądać własnego odbicia.

Gdy później tego samego dnia zobaczyłam babcię Hudson, nie wspomniałam ani słowem, że słyszałam jej rozmowę z Victorią. Byłam pewna, że wołałaby, żebym czym prędzej o niej zapomniiała, tak jak najwyraźniej udało się to jej samej. Tak niewiele radości sprawiały babci Hudson własne dzieci i wnuki. Zastanawiałam się, czy na pewno dobrze rozumiem, co znaczy być bogatym i biednym.

Zgodnie z obietnicą Jake przyjechał następnego ranka wcześniej rano. Wszedł, ledwo skończyliśmy śniadanie. Kiedy ujrzałam go w jadalni, uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, czy kiedykolwiek dotąd widziałam go w domu. Czasem wnosił zakupy lub wchodził, by odebrać zlecenia od babci Hudson, ale zwykle czekał przy samochodzie. Tego ranka Jake wydawał mi się elegantszy niż zazwyczaj. Miał świeżo odprasowany uniform, a pasek na jego czapce lśnił jak złoto.

- Dzień dobry paniom - powitał nas z lekkim ukłonem. - Jestem gotów zawieźć księżniczkę wraz z jej dobytkiem na lotnisko, skąd wyruszy w podróż do Starego Świata.

- Nie rób z siebie głupka od samego rana, Jake'u Marvini - przywołała go do porządku babcia Hudson. - Wszystko czeka w jej pokoju.

- Dziękuję paniom - odpowiedział kierowca z uśmiechem, odwrócił się na pięcie i poszedł po mój bagaż.

- Będzie mi brakowało Jake'a - powiedziałam, patrząc za nim z uśmiechem.

- Jestem pewna, że gdy znajdziesz się w Londynie, zobaczysz, jak powinien się zachowywać szofer. U mojej siostry wszystko chodzi jak w zegarku. Każdy nosi odpowiednią liberię i każdy przeszedł stosowne wykształcenie. Mój szwagier jest nieprawdopodobnym pedantem... Ach, ci Anglicy - westchnęła babcia Hudson. - Kiedy pomyślę, jaką okropną głupką była Leonora, zanim zaczęła studiować i wyjechała do Europy, zastanawiam się, ile może dokonać ludzkie ego.

- Nie lubisz swojej siostry?

- Oczywiście, że ją lubię. Kocham ją jako siostrę, ale nigdy się tak naprawdę nie rozumiałyśmy. Dziś myślę, że twoja matka musi mieć więcej z Leonory niż ze mnie. Najwyraźniej, kiedy nie patrzyłam, jakieś geny musiały zamienić się miejscami.

- Czy jesteś pewna, że twoja siostra w ogóle chce, żebym do niej przyjechała? - spytałam, wciąż niepewna motywów cudzego postępowania.

- Leonora nie robi nic, czego nie będzie chciała, i to pomimo że i tak nie zdoła spłacić wszystkich długów, jakie u mnie zaciągnęła. Ale nie sądzę, że to niemiła osoba. Jestem pewna, że ci się spodoba w Londynie, a Leonora będzie się mogła chwalić swoimi dobrymi uczynkami wobec Amerykanów.

Usłyszałam kroki Jake'a, schodził z góry z moimi walizkami. Babcia Hudson zerknęła na zegarek, a potem popatrzyła na mnie.

- Pora iść - powiedziała łagodnie.

Moje serce zaczęło łomotać jak koło z pękniętą dętką. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że za chwilę pojedę na lotnisko, a stam-

ąd polecę za ocean. Babcia Hudson obejrzała mój paszport. Wszystko było w porządku. Nie pozostało mi nic innego, jak ruszyć w drogę. Powoli wstałam z fotela.

- Nie lubię pożegnań - odezwała się babcia - ale wyjdę z tobą przed dom.

- Miałam nadzieję, że pojedziesz ze mną na lotnisko.

- Nienawidzę drogi na lotnisko. Poza tym musisz się nauczyć radzić sobie sama - dodała twardo.

Ze ściśniętym gardłem ruszyłam do drzwi. Babcia wstała z kanapy i poszła za mną.

Jake stał przed rolls royce'em, przytrzymując uchylone tylne drzwi. W porannym słońcu zęby Jake'a lśniły nienaganną bielą. Stanąwszy w progu, zawahałam się przez chwilę. Potem powoli ruszyłam schodami w dół. Babcia Hudson szła za mną. Gdy znalazłam się przed samochodem, odwróciłam do niej głowę i popatrzyłyśmy na siebie. Czułam się okropnie. Miałam uczucie, że nigdy już się nie zobaczymy. Zbyt wielu ludzi pożegnałam w ciągu tego roku, pomyślałam.

- Kiedy wreszcie zaczniesz o siebie dbać?

- Dzięki tobie mam wokół tyłu lekarzy, że nie zostało mi nic innego niż ich słuchać, choć wpychają nos w nie swoje sprawy - zrzędziła babcia Hudson. - Powiedz mi, czy się mylę?

- Nie.

- No widzisz. Przestań się o mnie martwić. Jestem już starą kobietą. Zatroszcz się o siebie. Zrób, co możesz, żeby zostać osobą, z której wszyscy moglibyśmy być dumni. Łącznie z twoją mamą - dodała.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Dziękuję.

Zerknęłam na Jake'a. Patrzył na nas w taki sposób, że po raz kolejny zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, by wiedział więcej, niż po sobie pokazuje. Pod wpływem nagłego impulsu mocno uścisnęłam babcię Hudson na pożegnanie. Zesztywniała, jakby się tego zupełnie nie spodziewała, ale

w jej oczach dojrzałam czułość i miłość, które w ciągu ostatnich paru miesięcy tak bardzo nas do siebie zbliżyły.

- Bałam się już, że w tej rodzinie nie znajdzie się nikt, kto by miał dość charakteru, żeby zachować się jak należy. Nie przynieś mi rozczarowania, Rain.

- Nie rozczaruję cię, babciu. - Nie potrafiłam ukryć łez.

- Pożegnania są takie idiotyczne - mruknęła, potem odwróciła się na pięcie i wróciła do domu.

Jake puścił do mnie oko.

Wsiadłam do samochodu i zatrzasnęłam drzwiczki. Babcia zatrzymała się przed drzwiami i obejrzała się na mnie. Jake zapalił silnik. Pomachałam i ruszyliśmy w drogę. Babcia Hudson długo odprowadzała nas wzrokiem, a potem weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Mimo samotności i choroby była bardzo dzielna. To ona powinna jechać teraz do szkoły teatralnej, nie ja. Była dużo lepszą aktorką ode mnie. Obie córki rozczarowały ją, żadne z dwojga wnuków nie przyniosło jej wiele radości. Przyjaciółki z eleganckiego towarzystwa dzwoniły do niej głównie wtedy, gdy potrzebowały pieniędzy na jakieś szlachetne cele. Dom babci pełen był głosów, wspomnień i szeptów z przeszłości, unoszonych wiatrem.

- Nie martw się o królową - powiedział Jake, który przyglądał mi się w lusterku. - Zadbam, żeby pod twoją nieobecność nie wzięła rozbratu ze zdrowym rozsądkiem.

- Ty? - Omal nie wybuchnęłam śmiechem. - Mam nadzieję, że ci się to uda, Jake.

W drodze na lotnisko Jake opowiadał mi o swoich podróżach, o ludziach, których spotkał, i o różnych dziwnych historiach, jakie mu się przydarzyły. Potem ostrzegł mnie przed ludźmi, których sama mogłam spotkać na swojej drodze.

- Pamiętaj, Rain, zawsze uważaj, z kim rozmawiasz, i nikomu nie pokazuj pieniędzy. Nigdy też nie mów, gdzie trzymasz forszę. Po prostu wyjmij parę dolców na gumę do żucia i kolorowe czasopisma, a resztę starannie chowaj, słyszysz?

- Tak, Jake.

- Nie daj się nikomu popędzać, to nie popełnisz żadnego błędu. Kiedy człowiek znajdzie się w obcym miejscu, zawsze powinien najpierw słuchać, potem myśleć, a dopiero na koniec mówić.

- Dobrze, Jake.

- Kieruj się prosto do celu i nigdy nie trać z oczu swoich rzeczy. Zawsze znajdzie się jakaś łajza, która będzie chciała skorzystać z okazji i coś zwędzić. Lotniska i dworce pełne są złodziei szukających sposobności, żeby okraść jakiegoś żółtodzioba.

- Naprawdę uważasz mnie za żółtodzioba, Jake? - Roześmiałam się, ale on zachował kamienny spokój.

- Pamiętaj, że to fachowcy, Rain. To cwaniacy, którzy na pierwszy rzut oka potrafią odróżnić doświadczonego podróżnika od niewinnej dziewczyny - powiedział surowo.

- Będę uważała, Jake.

- To dobrze.

- Powinieneś mieć z tuzin córek, Jake.

Roześmiał się, ale ja byłam całkowicie szczerą. Dlaczego ludzie zanadto pochłonięci własnymi sprawami mają dzieci, podczas gdy tacy jak Jake, zdolni kochać innych i troszczyć się o nich, są samotni?

Mama stale powtarzała, że sprawiedliwość zawsze zatriumfuje. Wierzyła, że o wszystkim, co się z nami dzieje, decyduje jakaś wyższa siła. Może nie tak łatwo dowieść jej istnienia, ale bez niej nasze życie nie miałyby sensu.

Biedna mama, pomyślałam. Zastanawiałam się, czy umierając, wciąż wierzyła, że w niebie czekają na nią anioły, czy też straciła wiarę i umarła rozczarowana, z sercem pełnym bólu.

- Ile tu ludzi! - zdumiałam się, gdy znaleźliśmy się na lotnisku.

Istotnie wokół nas roiło się od pasażerów, personelu lotniska i policji. Nigdy dotąd nie byłam na międzynarodowym lotnisku i nie wiedziałam, jak się zachować. Miałam wrażenie, że znaleźliśmy się w oku cyklonu. Wokół panował kompletny

chaos. Zadawałam sobie pytanie, skąd ci wszyscy ludzie wiedzą, dokąd mają iść.

- Pierwszy raz lecisz za granicę?

- Tak.

- Ładna historia. Masz tremę?

- Mhm.

- Niech to diabli. No nic, wszystko będzie w porządku. Oddaj bagaż, a potem idź do wejścia, pokaż swój paszport i bilet. Przykro mi, ale nie mogę tu zaparkować, Rain, więc musisz radzić sobie sama. Jeśli chcesz, mogę zjechać na parking. Za chwilę do ciebie przyjdę.

- Dam sobie radę, Jake. Na szczęście zdążyłam się już przyzwyczaić do myśli, że będę zdana na własne siły.

- Wydaje się jej, że wszyscy mają równie żelazny charakter jak ona - mruknął pod nosem Jake.

- Victoria ma. - Pomyślałam, że niezłomny charakter to najlepsze, co można było odziedziczyć po babci Hudson.

Jake zaparkował samochód przy krawężniku, wyskoczył zaskakująco lekko jak na swój wiek, otworzył przede mną drzwi, a gdy wysiadłam, otworzył bagażnik i wyjął z niego moje rzeczy. Potem rozejrzał się wokół i pomachał na bagażowego.

- Ta pani jedzie do Londynu - powiedział, pomagając załadować walizki na mały wózek. - On cię zaprowadzi dokąd trzeba, Rain. Przekonasz się, że po drodze ludzie będą ci pomagać. Zapamiętaj rady, jakich ci udzieliłem, a wszystko będzie dobrze.

- Tak, Jake.

- Królowa ma rację co do jednego - przyznał Jake. - Rozstania są denne.

Oboje się roześmialiśmy. Potem go mocno uścisnęłam.

- Nie zapomnij przysłać mi zdjęć Rain - poprosiłam, myśląc o jego żrebaku.

- Nie zapomnę - obiecał Jake. - No, lepiej już idź.

Ruszyłam za bagażowym.

- Pokaż Anglikom, co potrafisz! - zawołał za mną Jake.

- Dobrze, Jake.

Przez chwilę stał z uniesioną w geście pozdrowienia ręką, a potem wsiadł do rolls royce'a i odjechał.

- Proszę za mną - odezwał się bagażowy.

Idąc za nim, poczułam, że będzie mi brakowało Jake'a bardziej, niż sądziłam. Miał w sobie tyle spokoju. Sprawiał na mnie wrażenie człowieka, który celowo trzyma się na drugim planie, choć w razie potrzeby zawsze wiedziałby, co robić i jak komu pomóc.

Jake miał rację, gdy twierdził, że mogę się spodziewać pomocy ze strony ludzi, których spotkam po drodze. W samolocie przypadło mi miejsce obok angielskiego biznesmena, który przedstawił mi się, mamrocząc coś niewyraźnie pod nosem, po czym natychmiast wrócił do swoich dokumentów. Po obiedzie obejrzał film i zasnął. Wkrótce mnie również zmorzył sen.

Dopiero gdy samolot podchodził do lądowania, mój towarzysz podróży zapytał, co będę robiła w Londynie. Opowiedziałam mu o szkole teatralnej Richarda Burbage'a. Uniósł brwi i pokiwał głową, co, jak się już zdażyłam zorientować, było podstawową formą, w jakiej wyrażało się jego zainteresowanie. Zaraz potem na powrót zajął się swoimi papierami. Jeśli wszyscy Anglicy są równie małomówni, pomyślałam, to będę rozmawiała głównie sama ze sobą.

Gdy wyszłam do hali lotniska po odprawie paszportowej, natychmiast dostrzegłam mocno zbudowanego mężczyznę o kwadratowej szczęce i z czarnymi oczkami jak paciorki. W rękę trzymał tabliczkę, na której wielkimi drukowanymi literami wypisane było moje imię. Mężczyzna był w granatowej liberii szofera ze złotymi epoletami na szerokich ramionach. Wyglądał jak zapaśnik przebrany za kierowcę. Jego twarz z lekko wywiniętą dolną wargą miała surowy wyraz.

Stałam przed nim.

- Jestem Rain Arnold.

Obejrzał mnie od stóp do głów, jakby nie mógł się zdecydować, czy mi wierzyć, czy nie. Nie uśmiechnął się, nie zrobił

żadnej miny, ale jego oczy pociemniały. Wyciągnął rękę i wziął ode mnie torbę.

- Jestem Boggs - powiedział w końcu. - Pani Endfield czeka w samochodzie. Chodźmy, zabierzemy bagaże - dodał, po czym odwrócił się i ruszył szybko, nie oglądając się na mnie. Szedł prosto do miejsca, gdzie na taśmie transportera jechały walizki i torby podróżne.

Pośpiesznie ruszyłam za nim, rozglądając się na wszystkie strony. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, mówiących chyba wszystkimi językami świata. Widziałam Arabów i Afrykanów w narodowych strojach, Hindusów z barwnymi turbanami na głowach, Azjatów i biznesmenów wszelkich narodowości. Wszyscy poruszali się szybkim krokiem, w rękach mieli walizki i teczki.

W najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że dziewczynie takiej jak ja, wychowanej w slumsach murzyńskiego getta, mogłaby się trafić podobna okazja. Być może istotnie mam w życiu więcej szczęścia, niż mi się zdawało, pomyślałam, choć nie mogłam pojąć, jak to możliwe. Tak chciałabym, żeby mama mogła zobaczyć to wszystko, co ja oglądałam! Na pewno też patrzyłaby na ludzi wokół wielkimi oczami.

Gdy stanęliśmy przed taśmą, na której jechały walizki, Boggs postawił torbę na posadzce i nareszcie odwrócił się do mnie.

- Pokaż swoje sztuki.

- Proszę?

- Twój bagaż. Ile tego masz?

- Ach, o to chodzi. Trzy. O, jedna walizka właśnie nadjeżdża! - wskazałam palcem.

Boggs uniósł walizkę bez najmniejszego wysiłku, z taką łatwością, że przez moment zastanawiałam się, czy to możliwe, by ktoś opróżnił ją po drodze z mojego dobytku. Boggs wziął po walizce w każdą rękę, a trzecią sztukę bagażu pod pachę, po czym wskazał gestem głowy moją torbę.

- Weź to - polecił i nie oglądając się za siebie, ruszył do wyjścia.

Znów musiałam za nim dosłownie gonić. Po chwili znaleźliśmy się na parkingu, gdzie czekał na nas rolls royce z przyciemnianymi szybami. Był może starszy od samochodu babci Hudson, ale nienagannie utrzymany. Boggs uchylił przede mną drzwi, przez które mogłam dostrzec siedzącą w kącie starszą kobietę. Zajrzałam do środka, a on stanął za mną z ręką na klamce.

Ciotka Leonora była dużo szczuplejsza od babci Hudson, ale rysy twarzy, a zwłaszcza wykrój oczu i kształt nosa zdradzały rodzinne podobieństwo. Ciemne włosy miała starannie uczesane, z falą opadającą po lewej stronie czoła. Każde pasemko wyglądało, jakby było przyklejone na swoim miejscu. Ciotka miała na sobie szary tweedowy żakiet, a w uszach złote kolczyki z maleńkimi rubinami. W przeciwieństwie do babci Hudson była starannie umalowana.

- Witaj w Londynie, kochanie. Wskakuj szybko i opowiadaj, co słyhać u mojej siostry. Boggs poradzi sobie z twoim bagażem.

- Dziękuję.

Wsiadłam do rolls royce'a. Boggs zamknął za mną drzwi, otworzył bagażnik i zaczął układać moje walizki.

Gdy tylko znalazłam się w samochodzie, poczułam dławiąco słodki zapach perfum. Był tak mocny, że w pierwszej chwili wstrzymałam oddech. W panującym wewnątrz półmroku dostrzegłam małe brązowe plamki na prawym policzku ciotki Leonory.

- Pani Hudson prosiła, żebym przekazała, że bardzo żałuję, że nie może przylecieć ze mną do Anglii, ale lekarze chcą się jeszcze upewnić, czy rozrusznik serca działa prawidłowo.

- Frances musi być wściekła. Znam ją. Nic bardziej nie złości mojej siostry niż zakazy i ograniczenia. Jak ci minęła podróż?

- Dziękuję, dobrze.

- Pierwszy raz jesteś za granicą?

- Tak, proszę pani.

- Na pewno nie możesz się doczekać, kiedy zaczną się zajęcia w szkole teatralnej. Co za wspaniała okazja! Nigdy bym nie przypuściła, że moja siostra jest zdolna do takiego altruizmu. Widziałam, że Frances zajmuje się działalnością dobroczynną, ale podjąć się opieki nad dzieckiem., no, to spora odpowiedzialność.

Ciotka Leonora przekrzywiła trochę głowę, by mi się lepiej przypatrzeć.

- Zastanawiam się, jak we Frances obudziły się te macierzyńskie skłonności. Czym oczarowałaś moją siostrę? - W głosie ciotki Leonory pojawił się podejrzliwy ton.

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Pani Hudson jest bardzo dobra. Może to po prostu dlatego.

- Naprawdę? Bardzo ciekawe - wycedziła przez zęby ciotka Leonora, nie odrywając ode mnie badawczego spojrzenia. - A co słyszałaś u moich siostrzenic?

- Chyba wszystko dobrze. - Poczułam, że mój głos drży. - Rzadko je widuję - dodałam szybko. Nie spodziewałam się, że natychmiast po przyjeździe zostanę poddana drobiazgowemu przesłuchaniu.

- Victoria wciąż nie ma towarzystwa, jak się obawiam?

- Nic nie wiem na ten temat, proszę pani.

- Przed twoim wyjazdem chyba dość często was odwiedzała?

- Odwiedzała nas, ale nie tak znowu często.

- Hm. - Ciotka Leonora pokiwała głową, a potem uśmiechnęła się do mnie. - Na pewno umierasz z głodu. Jeśli chcesz, możemy wstąpić po drodze na jakiś posiłek. Znam niezłą francuską restaurację niedaleko stąd. Czy lubisz francuską kuchnię, moja droga?

- Słabo ją znam.

- Och, naprawdę?

- Poza tym nie jestem głodna. Jadłam w samolocie. Niczego mi nie trzeba.

Chciałam być uprzejma i patrzeć na ciotkę Leonorę, rozmawiając z nią, ale jednocześnie miałam wielką ochotę wyr

glądać przez okno. Gdzie są te wszystkie sławne miejsca, o których czytałam w podręcznikach historii - wieża Tower, Big Ben, budynek parlamentu, National Gallery?

- Nie dalej jak wczoraj, na herbatce u lady Bishop, mówiłam, że sprowadzam z Ameryki *au pair*. Wiesz, wszyscy tu robią odwrotnie.

- Przepraszam, co znaczy *au pair*?

- Osoba pracująca za granicą w zamian za mieszkanie i wyżywienie.

- Och. - Dziwnie było stać się nagle cudzoziemką, ale istotnie to właśnie mi się przydarzyło.

- Kiedy przyjedziemy do Endfield Place, Mary Margaret zaprowadzi cię do twojej sypialni, a potem poznasz panią Chester, naszą kucharkę. Boggs zapozna cię z twoimi obowiązkami. Boggs jest szoferem i majordomem, przełożonym całej służby. A jak ci się podoba moja nowa fryzura? To najnowsza kreacja paryskich fryzjerów. Widzisz, jak się włosy płynnie układają z tej strony? - Ciotka Leonora umilkła na sekundę. Nim zdążyłam odpowiedzieć, zadała mi kolejne pytanie. - Ile masz lat?

- Osiemnaście. - Nie umiałam powstrzymać uśmiechu, słysząc, jak przeskakuje z tematu na temat. Wyglądało to tak, jakby nie mogła się pohamować ani na chwilę. Wątpiałam, żebym mogła kiedykolwiek przeniknąć tajemnicę jej nieustannego niepokoju.

- Osiemnaście. Wydaje mi się, że to było nie dalej niż wczoraj. - Westchnęła. - Mam nadzieję, że nie palisz. - Zrobiła surową minę. - Richard nie znosi papierosów i nikomu nie pozwala palić w domu. Ma doskonały węch, więc nie próbuj tego robić po kryjomu w swoim pokoju.

- Dobrze. Czy pani mąż jest Anglikiem?

- Oczywiście.

- Ale pani sama czuje się Amerykanką, prawda?

- Ależ broń Boże. Richard nigdy by mi na to nie pozwolił. - Wyrzała przez okno. - Masz szczęście. Jeśli wierzyć telewizji, od tygodnia nie padało. Lubisz telewizję? Richard

twierdzi, że Amerykanie nie mogą przeżyć dnia bez telewizji, Mam nadzieję, że nie jesteś wielbicielką żadnej z tych te-
lenowel.

- Nie, proszę pani. Nie przepadam za telewizją.

- To dobrze. No, spójrz tylko. - Wskazała kobietę pchającą sklepowy wózek pełen puszek i butelek. - Nie wiem, co czeka ten kraj, jeśli coś się nie zmieni. Coraz więcej ludzi wygrzebuje ze śmietników butelki i aluminiowe puszki, żeby je sprzedać i kupić za to jedzenie. Straszne.

- Bezdonna - powiedziała, a ona odwróciła głowę, żeby obejrzeć się za kobietą z wózkiem. - W Stanach jest tak samo.

- Richard nie może tego po prostu znieść. Jest zdania, że rząd ma obowiązek zadbać, by zniknęli z ulic. Niedawno robił z tego powodu bardzo surowe wyrzuty premierowi.

- Premierowi rządu? - spytałam, niepewna, czy właściwie rozumiem jej słowa.

- No, a komuż by innemu? Teraz ja zamilknę, a ty powiedz coś o sobie. Opowiedz mi historię swojego życia. Zaczynaj. Gdzie się urodziłaś? - Ciotka Leonora rozparła się wygodnie na siedzeniu, jakby szykowała się do słuchania bajki.

Zaczęłam opowiadać o swoim życiu w Waszyngtonie. Słuchała mnie przez chwilę, a potem nagle się pochyliła i mocno poklepała siedzenie fotela kierowcy.

- Jedź okrężną drogą, Boggs, chcę jej pokazać ogrody.

- Z przyjemnością, pani Endfield.

- Życie kolorowych w Ameryce jest bardzo trudne. Wiem o tym. Czy Frances mówiła ci, że nasz praprapradziadek miał niewolników? - Zanim zdążyłam odpowiedzieć, krzyknęła: - Tutaj! - Tuż przed moim nosem ukazał się palec ciotki Leonory. - Kensington Gardens. Wszystko kwitnie. - W przyszłym miesiącu mam sponsorować wspólnie z lady Billings piknik dla sierot. Och, przepraszam, moja siostra mówiła, że i ty zostałeś sierotą. Musisz o tym wszystkim zapomnieć, moja droga. Traktuj nas jak rodzinę zastępczą, dopóki... dopóki sama nie wiem co. Wszyscy mówią, że powinnam była zostać

aktorką. Boggs, czy mógłbyś jechać trochę szybciej? Obiecałam lady Billings, że zadzwonię do niej dziś po południu.

- Doskonale, pani Endfield - odpowiedział cicho Boggs.

- O czym to mówiłaś? - Ciotka Leonora z uśmiechem odwróciła do mnie głowę. - Wspomniałaś coś o swojej siostrze Beni. Co za dziwaczne imię, Beni! Czy to skrót od Beneatha? Znałam pewną Beneathę. Mieszkała w East Endzie. Zjawiła się u nas z tym okropnym kominiarzem. Pamiętasz ich, Boggs?

- Tak, pani Endfield. Istotnie tak było.

- Co się z nimi stało?

- Nie wiem, pani Endfield.

- Nie spodziewałam się, że mógłbyś wiedzieć, Boggs. Okropni ludzie. W pory skóry na ich twarzach wżarła się sadza. - Ciotka Leonora westchnęła, kręcąc głowę. - Nie rozumiem, jak możesz nie być głodna, moja droga. To jedzenie, które podają w samolotach, jest po prostu okropne. Ale to nic, pani Chester na pewno coś dla ciebie będzie miała. Choćby herbatę z figowymi ciasteczkami. No, już prawie jesteśmy w domu. O... o... o... Endfield Place - oznajmiła takim tonem, jakby to była co najmniej Tara z *Przeminęło z wiatrem*.

W głowie miałam kompletny mętlik. Wiedziałam, że przed chwilą ciotka pytała mnie o coś, ale sama nie potrafiłabym już powiedzieć, o co chodziło. Coraz poważniej zastanawiałam się nad tym, jak to możliwe, by babcia Hudson i ciotka Leonora były siostrami.

- To Holland Park, jedno z najprzyjemniejszych miejsc w Londynie. W gardle mi zaschło. Sama z przyjemnością wypiję filiżankę herbaty, kiedy w końcu dojedziemy do domu. Bogu dzięki, że nie musimy częściej jeździć na lotnisko, prawda, Boggs?

- Istotnie, pani Endfield.

Przez całą drogę Boggs siedział nieruchomo jak posąg, wykonując tylko lekkie ruchy rękami. Ani na chwilę nie odwrócił do nas głowy.

- W każdym razie witaj w domu, kochanie - powiedziała

ciotka Leonora, gdy samochód skręcił na wysypaną żwirem drogę, prowadzącą do ogromnej kamiennej rezydencji.

Kiedy jechaliśmy alejką przez ogród, zobaczyłam stojący za głównym budynkiem niewielki domek. Przed domkiem rósł równiutko przycięty żywopłot z luką na ścieżkę, przy której ktoś posadził kwiaty. W przeciwieństwie do rezydencji, która wydała mi się bardzo wiekowa, domek był po prostu nowiutki. Pomalowany na niebiesko, kryty ceramiczną dachówką, z białymi okiennicami. Pomyślałam, że wygląda jak domek dla lalek.

- Jaki śliczny! - zachwyciłam się. - Kto w nim mieszka?

Ciotka Leonora szybko odwróciła do mnie głowę. Jej twarz zupełnie się zmieniła. Mimo grubej warstwy kremów i pudrów nagle stało się widoczne, że jest starą kobietą. W kącikach jej oczu i ust ostro zarysowały się zmarszczki.

- Nikt tam nie mieszka. I nikt tam nigdy nie zagłąda. Zrozumiano? - spytała surowo, niemal jakby mi groziła.

Potem się uśmiechnęła, a wreszcie roześmiała. Najwyraźniej należała do ludzi, którzy w mgnieniu oka przerzucają się z jednego nastroju w drugi.

- Witaj w Endfield Place! Witaj w nowym domu, moja droga!

Spojrzałam na starodawne domostwo i otaczający je ogród. Dom, pomyślałam, kiedy to słowo znowu zacznie dla mnie coś znaczyć?

NOCNI GOŚCIE

Służący ciotki Leonory wyraźnie utykał. Lewą nogę miał dłuższą, prawą krótszą, a na dodatek chyba nie w pełni sprawną. Kiedy stawiał lewą stopę, prawa wznosiła się i opadała niemal tak, jakby była tylko lekko przyczepiona. Wysoki, miał co najmniej sześć stóp wzrostu i kręcone szpakowate włosy. Przypominał mi jednego z dwóch komików, Flipa lub Flapa, nie pamiętałam, który z nich był chudy i miał wiecznie nieszczęśliwą minę. Podbródek służącego dzieliła od dolnej wargi taka odległość, jakby jego broda wydłużała się pod własnym ciężarem. Kąciki ust opadały smutno ku dołowi, głęboko osadzone oczy zdawały się chować w głębi czaszki. Robił wrażenie człowieka, którego coś tak straszliwie przeraziło, że na jego twarzy na zawsze odcisnął się grymas lęku. Stał obok rolls royce'a i czekał, aż Boggs wysiadzie, obejdzie samochód i otworzy drzwi przed ciotką Leonorą.

- Zabierz walizki z bagażnika - rzucił mu po drodze Boggs.

Służący pochylił głowę jak koń i posłusznie spełnił polecenie. Boggs podał rękę ciotce Leonorze, a potem stał, czekając, aż wysiadę.

- To Rain Arnold, Leo - oznajmiła ciotka. Leo wychylił głowę zza uniesionej kłapy bagażnika i skrzywił się w żalonym uśmiechu. Zerknąwszy na Boggsa, który zgromił go wzrokiem, wyraźnie zaczął się śpieszyć. Potem już nikt nie zwracał

na niego uwagi, choć Leo miał wyraźne trudności z pozbiieraniem wszystkich walizek naraz.

- Oto i ona! - zawołała ciotka Leonora, gdy w drzwiach domu pokazała się pokojówka. Pomyślałam, że służący i pokojówka musieli chyba wypatrywać nas z okien, skoro tak szybko wyszli, by nas powitać. - Mary Margaret zaprowadzi cię do twojego pokoju, kochanie.

Spojrzałam na drobną dziewczynę, która również przyglądała mi się z wyraźnym zainteresowaniem w łagodnych błękitnych oczach. Wyglądała jak dziecko, miała chyba nie więcej niż jakieś cztery i pół stopy wzrostu i miłą gładką buzię jak laleczka. Drobne piersi, ledwo dostrzegalne pod granatową bluzką uniformu, jeszcze potęgowały to wrażenie. Mary Margaret miała tak szczupłe dłonie, że nie mogłam się nadziwić, jak w ogóle radzi sobie z pracą. Przez chwilę wydawało mi się, że zaraz się uśmiechnie, ale gdy zerknęła na Boggsa, jej usta zwięziły się, a na twarzy pojawił się lęk. Zamiast się uśmiechnąć, dygnęła tylko słuźbiście i cofnęła o krok.

Za nami włókł się Leo, który ledwo mógł udźwignąć trzy walizki naraz - dwie taszczył w rękach, trzecią dźwigał pod pachą, oparłszy ciężar na biodrze. Mimo że nic w zachowaniu Boggsa nie wskazywało, by zamierzał pomóc słuźącemu, nikt nie okazywał zdziwienia tą sytuacją. Co do mnie, byłam zbyt onieśmielona, by odezwać się choćby słówkiem.

- Kiedy obejrzysz swój pokój, Mary Margaret znajdzie dla ciebie odpowiedni strój. Potem Boggs zapozna cię z twoimi obowiązkami. No, nie stój tak, jakbyś była figurą woskową, Mary Margaret. Przywitaj się z Rain. Przecież cię nie ugryzie.

Mary Margaret patrzyła to na moją ciotkę, to na mnie.

- Dzień dobry - szepnęła wreszcie ledwie słyszalnym głosem.

- Cześć. - Uśmiechnęłam się, ale ona już spuściła wzrok.

Weszliśmy do domu. Wysoki hol był zdumiewająco mroczny. Ściany pomalowano na ciemnowiśniowy kolor. Wszędzie wisiły poczerniałe obrazy w bogatych złoconych ramach. Do widocznego od wejścia biegu schodów, skręcających na pode-

ście w prawo, prowadził szary chodnik, skapo oświetlony zawieszonym wysoko pod sufitem żyrandolem. Poręcz była z mahoniu, stopnie z daleka wydawały się kamienne, ale gdy podeszłam bliżej, przekonałam się, że są pokryte cienkim srebrzystoszarym chodnikiem.

Mary Margaret szła przodem, na końcu włókł się biedny Leo, którego wszyscy zdawali się uparcie nie dostrzegać. Naprawdę ledwo dawał sobie radę, a mimo to byłam najwyraźniej jedyną osobą, która zauważała jego obecność.

- Zaczekaj! - zawołała nieoczekiwanie ciotka Leonora do Mary Margaret, nim doszliśmy do schodów. - Najpierw oprowadzę Rain po domu. Tak będzie jej łatwiej zrozumieć, o co chodzi, gdy Boggs będzie ją zapoznawał z obowiązkami. Gdy skończę, zaprowadzisz ją do pani Chester na herbatę.

- Tak, proszę pani - odpowiedziała Mary Margaret i natychmiast spuściła wzrok, jakby ciotka Leonora była jakimś bóstwem, na które można spoglądać tylko wtedy, kiedy przemawia do wiernych. I tym razem zakończyła swoją odpowiedź dygnięciem.

- Tu jest salon.

Zajrzałam, nie wchodząc do środka. Na ścianach wisały romantyczne pejzaże, portrety srogich dżentelmenów w siwych perukach i dam z kwaśnymi minami. W oknach wisały zasłony z kremowego jedwabiu, a po bokach ciężkie aksamitne kotary. Na parapecie kominka, na kilku stolikach, dosłownie wszędzie, gdzie tylko było trochę miejsca, ustawiono wazy, figurki z brązu i porcelany, miniaturowe portrety w ozdobnych ramkach. Przed fotelami stały podnóżki. Po prawej stronie wysoki zegar z kukułką. Nieruchome wskazówki zatrzymały się o północy.

- Wszystkie te obrazy zgromadzili przodkowie mojego męża. National Gallery chętnie położyłaby rękę na naszej kolekcji - powiedziała Leonora i roześmiała się piskliwie. - Tu... - ciągnęła, idąc przez hol - jest jadalnia.

I znów stałam jak w muzeum, słuchając wykładu i podziwiając bezcenne antyki, których - broń Boże! - nie należało

dotykać. Nie było bibelotu czy obrazu, o którym ciotka Leonora nie miałyby czegoś do powiedzenia.

- Jadalnię zbudowano wokół kominka wzniesionego według pierwowzoru znajdującego się w pałacu Buckingham, sprowadzonego z Brighton. Tapety są drukowane w osiemnastowieczne wzory. Wyposażenie jadalni pochodzi od Bertrama i Filsa. Ludzie zabijają się dziś, żeby je zdobyć. Żyrandol... - ciotka Leonora wskazała żyrandol z kryształu i zielonego szkła - pochodzi z Rosji. Ostatnio zrobiliśmy tu porte-fenetre'y, żeby podczas letnich posiłków móc się bez przeszkód cieszyć świeżym powietrzem. - Przeszkłone drzwi wychodziły na rozkwiecony ogród.

Potem ciotka Leonora pokazała mi salon na uroczystsze okazje i przy okazji wyjaśniła, że besarabski dywan wart jest kilkadziesiąt tysięcy funtów. Na fortepianie leżały rozłożone nuty, jakby ktoś ledwo skończył grać. W urządzeniu salonu dominowały ciemne, nasycone barwy i stateczne, klasyczne wzory.

Naprawdę zaimponowała mi dopiero biblioteka. Tak jak inne pomieszczenia, pełna była wprawdzie najróżniejszych drobiazgów i bibelotów, ale wzdłuż wszystkich ścian ustawiono sięgające sufitu regały biblioteczne. Półki były tak dokładnie zapełnione równiutkimi rzędami grzbietów w skórzanych oprawkach ze złożonymi tytułami, że nawet przy najszczerszych chęciach nie dałoby się chyba dostawić ani jednego tomu. Sięgnięcie po wyżej ustawione książki umożliwiała drabina.

- Richard jest bardzo dumny ze swojej kolekcji bibliofilskich edycji. Większość książek, które tu widzisz, to pierwodruki, wiele pochodzi z osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku. Mamy Dickensa, Thackeraya, Samuela Johnsona, George Eliot. Wymień dowolnego autora, a Richard z pewnością znajdzie jakąś jego książkę - dodała ze śmiechem.

W bibliotece również były jedwabne zasłony i aksamitne kotary. Takim samym aksamitem były obite fotele i kanapa. Z dała od drzwi stało ogromne dębowe biurko. Na świeżo wypolerowanym blacie panował wzorowy porządek.

- To męskie pomieszczenie - oświadczyła ciotka Leonora, uchylając kolejne drzwi. - Pokój bilardowy naprawdę nadaje się tylko dla mężczyzn. Kto normalny wysiedziałyby w miejscu cuchnącym jak popielniczka?

Mnie również wystarczyło kilka sekund, by mieć dosyć mocnego aromatu. Widocznie niedawno ktoś palił tutaj cygaro.

Idąc za ciotką przez dom, zastanawiałam się, w jaki sposób drobna i wątła Mary Margaret daje sobie radę ze sprzątaniami. Ileż trzeba było siły i cierpliwości, żeby odkurzyć wszystkie te porcelanowe, szklane i metalowe cacka, figurki i bibeloty!

W wędrówce towarzyszył nam Leo, który wciąż dźwigał moje walizki, i cicha jak myszka Mary Margaret. Boggs stał w wejściu, jakby czuwał na warcie. Nagle ciotka Leonora odwróciła się i klasnęła w dłonie.

- Postanowiłam pokazać ci jeszcze pokoje na górze. Wszyscy pozostali mogą zostać tutaj - zwróciła się do służby.

Spojrzałam na Mary Margaret, ale pokojówka wciąż unikała mego spojrzenia, to wbijając wzrok w podłogę, to znów błędząc oczami po rozwieszonych na ścianach obrazach.

Ruszyłam za ciotką schodami w górę. Leonora zatrzymała się przed dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi do sypialni.

- Wiem, co myślisz - oświadczyła naraz, znieruchomiawszy z ręką na klamce.

Wiedziała, co myślę? Miałam nadzieję, że jednak nie wie.

- W porównaniu z salonami Frances pomieszczenia w naszym domu wydają ci się małe. Amerykanie muszą mieć wszystko największe na świecie. - Ciotka Leonora skrzywiła się, po raz kolejny zapominając, że przecież sama także jest Amerykanką. - Kiedyś budowano inaczej. Poza tym musisz pamiętać o kosztach ogrzewania, nie wspominając już o innych problemach. Ale za to ten dom ma swoją historię. Czy masz pojęcie, że jest niemal o sto lat starszy od rezydencji Frances?

Pokręciłam głową.

- To kraj z przeszłością, kolebka prawa, literatury, sztuki. Zresztą jako dobra uczennica sama powinnaś o tym wiedzieć.

Voila - rzuciła głośno i dramatycznym gestem otworzyła przede mną drzwi.

Natychmiast wyjaśniła mi, że łóżko z czterema kolumnienkami, na których wsparty jest baldachim, to antyk z epoki Jerzego III. Potem dowiedziałam się, że mój wuj kupił wiszące nad toaletką indyjskie lustro w oprawie z hebanu i kości słoniowej, przebijając podczas licytacji o pięć tysięcy funtów jakiegoś lorda Flandersa, o którym nigdy w życiu nie słyszałam. Obok okna, w którym wisały aksamitne zasłony, stał stolik z polerowanego drewna, przy którym ciotka pisywała listy. Na nim egipska lampka, a na stolikach nocnych lampy Tiffany'ego. Ze słów ciotki wynikało, że całe wyposażenie sypialni składa się z antyków o wielkiej wartości pamiątkowej i materialnej. Na ścianie po prawej od wejścia wisiał portret, jak powiedziała ciotka, przedstawiający sir Godfreya Rogersa.

- Ścisłe rzecz biorąc, to autoportret. Sir Godfrey bawił się w malowanie. Nie zdobył sławy, ale... ale był dobrym malarzem - oświadczyła tonem znawczyni. Potem spojrzała na mnie, oczekując reakcji.

- Obawiam się, że nie wiem, kto to taki.

Ciotka znów się roześmiała.

- No oczywiście, zapomniałam. Sir Godfrey był pierwszym właścicielem Endfield Place. I muszę ci od razu powiedzieć, że w opowieściach o duchu jego kochanki, który rzekomo straszy nocą w tym domu, nie ma ani słowa prawdy. Gdyby Leo, Mary Margaret czy pani Chester chcieli ci opowiadać jakieś banialuki, nawet ich nie słuchaj.

- Duch zmarłej kochanki?

- Tak, ludzie powtarzają jakieś niedorzeczne plotki. Gdy kochanka sir Godfreya zaszła w ciążę, rzekomo miał ją ukryć w tym domu przed światem. Jego żona była zazdrosna i otruła biedaczkę. Legenda, podkreślam, legenda, głosi, że ofiara nawiedzała dom, dopóki morderczyni nie popełniła samobójstwa.

- Co za okropna historia.

- To wszystko bujdy. - Ciotka machnęła ręką. - Ale znakomicie nadają się, żeby je powtarzać znajomym przy popołudniowej herbatce. No dobrze. Teraz, gdy znasz dom, możesz wprowadzić się do siebie.

Przed wyjściem rozejrzałam się jeszcze raz po sypialni. Czułam jakiś nieokreślony niepokój. Nie umiałabym powiedzieć, o co właściwie chodzi, jednak nie dawało mi to spokoju, jak czasem, kiedy człowiek nie może sobie przypomnieć właściwego słowa, bo jest zbyt zmęczony.

Gdy zesliśmy na dół, Mary Margaret i Leo wciąż czekali na nas tam, gdzie ich zostawiliśmy. Również Boggs stał w końcu korytarza, przed drzwiami, z założonymi na plecach rękami, raz po raz wspinając się niecierpliwie na palce.

- Pokaż teraz Rain jej pokój, Mary Margaret, a potem, jak już mówiłam, zaprowadź ją do pani Chester - poleciła ciotka.

Zauważyłam, że ilekroć przemawia do służby, odchyła lekko głowę do tyłu, wysuwając brodę.

Boggs chrząknął wymownie.

- Och... - westchnęła ciotka Leonora. - Najpierw oczywiście przyprowadź Rain z powrotem tutaj, żeby Boggs mógł ją zapoznać z obowiązkami. Jeszcze raz witam w domu, kochanie, i życzę ci powodzenia w nauce.

Odwróciła się i ruszyła schodami na górę. Spojrzałam na Boggsa, który patrzył na mnie surowym wzrokiem. Nic w jego twarzy nie wskazywało, bym istotnie była mile widziana w Endfield Place. Dopiero idąc za Mary Margaret do pokoi służbowych, zdałam sobie sprawę, co mnie niepokoi.

W żadnym pokoju, nawet w sypialni ciotki, nie było ani jednego portretu jej tragicznie zmarłego dziecka.

Gdyby babcia Hudson nie wspomniała o nim, nawet przez myśl by mi nie przeszło, że kiedykolwiek żyło w tym domu jakieś dziecko. Dziwnie czułam się z tą myślą. Czyżby angielska powściągliwość wyrażała się w ukrywaniu przed światem zmarłych bliskich?

Będę musiała włożyć sporo wysiłku w to, żeby lepiej zrozumieć ten dom i jego mieszkańców. I co więcej, jakieś dziwne przeczucie mówiło mi, że nie będę na to miała zbyt wiele czasu.

Mój pokój był niewiele większy od garderoby, jaką miałam u babci Hudson. Przez niewielkie okienko z dziwnie pożółkłą szybką wpadało mało światła, a dębowa podłoga była do tego stopnia szerniała i poorana tak głębokimi bruzdami, jakby nie wymieniano tu desek od zbudowania domu. Leo z ulgą postawił moje walizki i natychmiast odszedł swoim chybliwym krokiem. Przedpotopowe żelazne łóżko skrzypiało i jęczało przy każdym ruchu, a materac był taki cienki, że czułam każdą sprężynę. Stara mahoniowa szafa, komódka, stolik i krzesło dopełniały umeblowania pokoju. W powietrzu unosił się zapach naftaliny.

- Można tu otworzyć okno?

Mary Margaret wytrzeszczyła na mnie oczy i pokręciła głową.

- Nie wiem. Nigdy nie otwierałam.

Podeszłam do okna. Przez chwilę zmagalam się ze staroświeckim zamkiem, a kiedy udało mi się z nim wreszcie uporać, usiłowałam unieść okno. Choć szarpałam je z całych sił, ani drgnęło.

- Uduśz się tutaj - jęknęłam, rozglądając się bezradnie wokół siebie.

- Przyprowadzę pana Boggsa - pisnęła Mary Margaret i zniknęła, nim zdążyłam odpowiedzieć, że wołałabym sama sobie poradzić z tym kłopotem.

Wyteżyłam wszystkie siły, ale okno ani drgnęło. Musiało być zamknięte na głucho od stu lat.

Położyłam walizki na łóżku i zaczęłam wieszac ubrania w szafie, gdy pojawił się Boggs z Mary Margaret. Nim podszedł do okna, popatrzył na mnie przez chwilę ciężkim wzrokiem. Najpierw ostukał ramę pięścią, a potem szarpnął okno, unosząc je nieco. Rozległ się przykry pisk.

- Potem je nasmaruję - mruknął zirytowany. - Pośpieszcie się - dorzucił i wyszedł.

Popatrzyłam na Mary Margaret.

- Mam nadzieję, że to nie w tym pokoju zmarła otruta kochanka sir Godfrey'a Rogersa? - spytałam pół żartem.

Mary Margaret zrobiła się bledsza od prześcieradła.

- Kto ci o tym powiedział?

- Czy to tu? - spytałam ostrzej.

- Nie wolno nam na ten temat rozmawiać.

Mary Margaret wyszła i zaraz wróciła ze złożonym uniformem. Bez słowa położyła go na łóżku. Rozwinęłam ubranie i przyłożyłam do siebie. Było niemal w sam raz.

- Toaleta jest na dole w holu.

- Dziękuję. Chętnie przemyję twarz zimną wodą. Wydaje mi się, jakbym wciąż jeszcze unosiła się nad ziemią. - Uśmiechnęłam się do Mary Margaret.

Nie odpowiedziała uśmiechem.

- Lepiej już chodźmy - odezwała się niespokojnie. - Pan Boggs na nas czeka.

- Racja. Jeszcze zaczęłyby się nudzić - mruknęłam.

Mary Margaret przekrzywiła głowę, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi, i wyszła. Wzruszyłam ramionami i zeszłam na dół. Okazało się, że w łazience nie ma prysznic, tylko sedes, wanna i umywalka, a nad nią niewielkie owalne lustro. Wyglądało na to, że podczas modernizacji domu zapomniano o pomieszczeniach dla służby.

Włożyłam uniform i ruszyłam za Mary Margaret na dół, gdzie czekał Boggs. Z surową miną zlustrował mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Ściągnij włosy w kucyk - polecił, po czym spojrzał na Mary Margaret. - Czemu jej o tym nie powiedziałaś?

Mary Margaret wyglądała na zdenerwowaną i wystraszoną.

- Nie miała kiedy - wyjaśniłam za nią. - Tak się śpieszyła z powrotem na dół, że nie zdążyła uprzedzić mnie o wszystkim.

- Czy mówię do ciebie? - warknął Boggs z wściekłością w oczach. - Mówię do niej.

Mary Margaret wbiła wzrok w ziemię i szybko opuściła głowę. Wzięłam głęboki oddech, żeby nie dać się ponieść nerwom, i czekałam.

- Będziesz pomagała podawać do śniadania i obiadu oraz sprzątać jadalnię po kolacji. W soboty rano będziesz pomagała Mary Margaret odkurzać i polerować meble. Poza tym będziesz zmywać podłogę w saloniku bilardowym. Będziesz dbała, żeby w żadnej ubikacji nie zabrakło papieru toaletowego, a także, żeby toaleta przy saloniku bilardowym pozostawała w nieskazitelnym stanie. Korzystają z niej goście pana Endfielda. Pani Chester powie ci, jakiej pomocy spodziewa się po tobie w kuchni. Do ciebie i Mary Margaret, na zmianę, będzie należało również robienie zakupów w sklepie warzywnym. Za pierwszym razem pójdziecie razem, żebyś poznała drogę.

- Coś jeszcze? - spytałam oschłym tonem. Czy ciotka Leonora nie powiedziała mu, po co przyjechałam do Londynu? Czy Boggs miał pojęcie, że czekają mnie zajęcia w szkole?

- Wystarczy, żebyś pamiętała, gdzie jest twoje miejsce. Dopóki będziesz się go trzymała, wszystko będzie dobrze. Jeśli naruszysz obowiązujące w Endfield Place zasady, będziesz miała ze mną do czynienia.

- To chyba żarty. - Zaczęła mnie ogarniać wściekłość.

- Pan Endfield jest dumny z organizacji domu. A co do żartów, to nie życzymy sobie kpin z porządku i obowiązujących tu zasad postępowania. Zaprowadź ją teraz do pani Chester - polecił Boggs, zwracając się Mary Margaret.

Pokojówka kiwnęła głową.

- Tędy proszę - powiedziała cicho.

Zawahałam się i rzuciłam Boggsowi wściekłe spojrzenie. Nienawidzę ludzi, którzy szukają satysfakcji w poniżaniu innych.

Idąc za Mary Margaret, poczułam w końcu skutki nagłej zmiany szerokości geograficznej. Miałam wrażenie, że spowija mnie gęsta mgła znużenia i senności. Dlaczego nie pozwolili mi nawet odpocząć po podróży? - zastanawiałam się. Czy okażę się niewdzięcznicą, jeśli się na to poskarżę?

Zaczynałam mieć wątpliwości, czy w ogóle mnie to wszystko cokolwiek obchodzi.

- To ty jesteś tą jankeską, która przyleciała, żeby zostać aktorką, tak? - Pani Chester stała przede mną z rękami opartymi na biodrach.

Kucharka była tęgą, niską kobietą o okrągłej, pulchnej twarzy. Siwe włosy nosiła upięte w kok. Miała rumiane policzki, ale poza tym była blada i pomarszczona. Na jej skroniach zauważyłam plamy wątrobiane, a na szyi pieprzyk.

Pani Chester wytarła ręce w fartuch i spojrzała na mnie.

- Miła z ciebie dziewczyna, Rain, ale czy dasz sobie radę ze swoimi obowiązkami?

- Potrafię pracować.

- Śniadanie podajemy o wpół do siódmej. Pan Endfield lubi wypić filiżankę herbaty z samego rana, zaraz po wstaniu z łóżka. Która z was się tym zajmie? - Pani Chester patrzyła to na Mary Margaret, to na mnie.

- Ja - zgłosiła się natychmiast Mary Margaret, jakby bała się, że mogłabym ją pozbawić tej przyjemności.

Przyjrzałam się pokojówce. Nie wyglądała na osobę nieinteligentną. Zastanawiałam się, czemu nie chciała osiągnąć w życiu czegoś więcej. Czy była to wyłącznie kwestia nieśmiałości? Zachowywała się, jakby należała do posledniejszego gatunku ludzi, którym nie wolno odzywać się bez zachęty do przełożonych, nie wspominając nawet o tym, by sprzeciwić się ich woli. Mimo wszystkiego, czego doświadczyłam w slumsach Waszyngtonu, różnice klasowe w Anglii wydały mi się zaskakująco jaskrawe.

- Dobrze. Po prostu nie chcę, żeby dochodziło między wami do nieporozumień co do zakresu waszych obowiązków, bo w końcu i tak ja oberwę od szefa po tyłku, zrozumiano?

- Kto tu jest szefem?

- Kto jest szefem? - Pani Chester popatrzyła na Mary Margaret. - Pan Boggs, ot, kto. On wszystkim kieruje i odpowiada

przed państwem Endfieldami za porządek w domu. Słyszałam, że jesteś bystra. Spróbuj otworzyć na niego usta, a sama się przekonasz, kto tu rządzi, no nie, Mary Margaret?

- Tak, proszę pani.

- Tak, proszę pani - przedrzeźniła ją pani Chester, po czym odwróciła się z powrotem do mnie. - Lepiej nie wchodź w drogę panu Boggsowi, zwłaszcza gdy jest w złym humorze, dobrze ci radzę. A teraz co do twoich obowiązków. Po pierwsze, nie życzę sobie żadnych stłuczonych talerzy, kieliszków czy filiżanek. Musisz się z nimi obchodzić bardzo ostrożnie, zwłaszcza podczas zmywania. Nie potrzebuję w kuchni niezdary. Utrzymujemy tu wzorowy porządek. Spójrz tylko, jak lśni - powiedziała, z dumą wskazując kuchenkę. - Pan Endfield jest jak kapitan statku. Nie znosi, żeby cokolwiek działo się wbrew obowiązującym w tym domu regułom. I pamiętaj, on jest MP.

- Co to znaczy MP?

- Mleko przodem. Gdyby przypadkiem zdarzyło się, że nalewałabyś mu herbatę, pamiętaj, zawsze najpierw nalewaj mleka.

- Dlaczego?

- Bo wtedy herbata jest smaczniejsza. To jasne. A mówili, że jesteś bystra - westchnęła kucharka.

- Przyjechałam tu przed kilkoma godzinami, pani Chester. Chyba trudno wymagać ode mnie, żebym znała tutejsze zwyczaje.

Kucharka spojrzała na Mary Margaret, która oczywiście natychmiast spuściła wzrok.

- Czy ona nie jest okropnie nieuprzejma?

- Pani Endfield życzy sobie, żeby dała pani Rain filiżankę herbaty i ciasteczko - szepnęła Mary Margaret do pani Chester.

- Teraz?

- Dziękuję za herbatę. Poczekam na kolację.

- Naprawdę? To miło z twojej strony. No dobrze. Pokaż Rain, jak nakrywa się stół, Mary Margaret. Dla twojej wiadomości, jemy, kiedy już obsłużymy państwa, więc będziesz

musiała chwilę poczekać - powiedziała, a potem przyglądała mi się przez chwilę.

- O co chodzi?

- Twoja rodzina w Ameryce żyje z zasiłku, co?

Odruchowo wyprostowałam się, unosząc głowę.

- Czemu tak sądzisz?

- Słyszałam, że w Ameryce czarni są na garnuszku rządu, to wszystko.

- Złe słyszałaś - odpowiedziałam. - Wygląda na to, że mogłabym pani wiele opowiedzieć o życiu w Ameryce.

Pani Chester wpatrywała się we mnie przez chwilę osłupiałym wzrokiem. Mary Margaret wstrzymała oddech. Nagle kucharka wybuchnęła głośnym rechotem, trzymając się oburącz za pękaty brzuch.

- Nigdy nie wiadomo, co ta mała wymyśli, co do tego nie ma dwóch zdań. Czuję, że dopóki z nami zostaniesz, nie będę się nudzić. - Puściła do mnie oko. - No dobra, dziewczyny, bierzcie się do roboty. Połóżcie dwa dodatkowe nakrycia, Mary Margaret. Państwo Endfield będą dziś mieli gości.

Pani Chester zaśmiała się do siebie i odwróciła do kuchni. Przyrządzała pudding według przepisu z Yorkshire, coś w rodzaju gorącego ciasta z mąki, jaj i mleka, wszystko pieczone na wołowym tłuszczu. Musiałam przyznać, że pachniało wspaniale. Na deser było ciasto z budyniem.

- Pani Chester urodziła się na East Endzie w Londynie, ale pracowała jako kucharka w najlepszych domach - poinformowała Mary Margaret, gdy nakrywałyśmy do stołu.

- Co to jest East End?

- Mniej gadania, więcej pracy tam w jadalni, słyszycie? - dobiegł nas z kuchni gromki głos pani Chester.

Mary Margaret zacisnęła usta i zaczęła się szybciej ruszać. To dom niewolników, pomyślałam, niewolników, którzy tyranizują innych niewolników.

Wcale nie było nam tak źle, mamo.

Roześmiałam się do siebie, składając lniane serwety. Kiedy skończyłyśmy, miałam chwilę, żeby pójść do siebie i rozpakować

do końca swoje rzeczy. Potem położyłam się na chwilę, żeby odpocząć, ale zmęczenie wzięło górę i usnęłam.

Ze snu wyrwał mnie przeraźliwy łoskot. Poczułam się, jakby moje ciało - od stóp wzdłuż kręgosłupa aż po czubek czaszki - przeszył piorun. Zerwałam się z łóżka. Przedemną stał Boggs, trzymając w ręku kij od szczotki, którym przed chwilą uderzył w metalową poręcz. Wyglądał, jakby następny cios chciał wymierzyć w moją głowę. Byłam tak oszołomiona, że nie wiedziałam, gdzie jestem. Przez chwilę mrugałam oczami, usiłując zebrać myśli. Dopiero kiedy przyszłam do siebie, ogarnęła mnie wściekłość.

- Co pan robi w moim pokoju? - spytałam oburzona jego zachowaniem.

- Spóźniłaś się do służby. Pora na kolację.

- Zasnęłam. Przed paroma godzinami przyleciałam ze Stanów. Może dla was to staw, ale w rzeczywistości to cholerny ocean i między oboma brzegami jest spora różnica czasu.

- To żadne usprawiedliwienie. Mówiłem ci, że masz rozpocząć wypełnianie swoich obowiązków już dziś, i to liczy się przede wszystkim. A teraz marsz do kuchni. Pani Chester czeka, nawet pani Endfield pytała, co się z tobą dzieje.

- Nie ma pan prawa wchodzić do mojego pokoju.

- To nie jest twój pokój - sprostował z zimnym uśmiechem. - Tobie jedynie wolno tu spać, co zawdzięczasz dobroci pani Endfield. - Podeszedł do drzwi, odwrócił się do mnie i pogroził mi kościstym palcem. - Jeśli jeszcze raz nie dopełnisz swoich obowiązków, będziesz za karę pracowała w niedziele.

Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Dudniąc obcasami, oddalił się korytarzem. Potarłam policzki dłońmi, a potem poszłam do łazienki i przemyłam twarz zimną wodą. Miałam okropnie zmierzwiłone włosy, ale na szczęście przypomniałam sobie, że mam je spiąć na karku, więc łatwo pozbyłam się kłopotu i poszłam do kuchni.

- No proszę, patrzcie, kto nas zaszczycił wreszcie swoją

obecnością - powitała mnie głośno pani Chester, gdy stanęłam w kuchennych drzwiach.

Mary Margaret uniosła spojrzenie znad tacy, na której układała zastawę, i popatrzyła na mnie wystraszona.

- Zasnęłam. Wielkie rzeczy. Przyleciałam dziś samolotem ze Stanów. To kawał drogi i duża różnica czasu.

- Doprawdy? Może w takim razie jutro ja również spóźnię się do pracy i powiem pani Endfield, że zasnęłam, bo latałam w nocy na Łysą Górę - zażartowała kucharka. - Pomóż Mary Margaret podać pudding jorkszyrski.

Wzięłam drugą tacę i poszłam za pokojówką do jadalni. Gdy weszłam, ciotka Leonora klasnęła w dłonie. Na lewo od niej siedziała starsza kobieta, na prawo niski, tęgi mężczyzna. Wuj Richard siedział tyłem, ale i on odwrócił głowę, gdy ciotka Leonora wykrzyknęła:

- Oto ona, Richardzie!

Popatrzył na mnie przystojny mężczyzna o dystyngowanej twarzy, włosach niemal równie ciemnych jak moje i zielonych oczach o migdałowym wykroju, których mogłaby mu pozazdrościć każda kobieta. To samo można by powiedzieć o jego gęstych, długich rzęsach. Bujne włosy w naturalnym kolorze i zdrowa cera sprawiały, że wuj Richard wyglądał młodziej od żony. Był wysoki, miał co najmniej sześć stóp wzrostu i znakomicie się prezentował w prążkowanym garniturze. Poza obrączką nosił na lewej ręce sygnet z małym brylantem. Miał szczupłe dłonie o długich palcach. Domyśliłam się, że to zapewne on grywa na fortepianie.

Najbardziej zaimponowała mi w wuju Richardzie jego majestatyczna postawa. Siedział wyprostowany, z wysoko uniesioną głową, poruszał się powoli, jakby każdy jego gest był pełen znaczenia. Nie uśmiechał się. Jego oczy zwięziły się i pociemniały w zamyśleniu, a idealnie wykrojone usta pozostały nieruchome. Cała postać wuja Richarda była równie powściągliwa, jak jego twarz - żaden grymas ani najlżejsze skrzywienie nie zdradzały uczuć i myśli.

- To Rain Arnold, *au pair*, którą przysłała nam z Ameryki

moja siostra - odezwała się ciotka Leonora. - Będzie się uczyć w szkole teatralnej Burbage'a. Rain, to mój mąż, pan Endfield.

- Dzień dobry - powiedziałam, wciąż trzymając w rękach tacę.

Wuj nie odezwał się ani słowem. Skinął tylko lekko głową, lustrując mnie wzrokiem, jak lekarz przyjmujący pacjenta.

- A to sir Isaac Dudley i lady Dudley - dodała ciotka Leonora.

Sir Dudley uśmiechnął się do mnie. Grube, miękkie wargi w przedziwny sposób zasłaniały jego zęby, tak że przez chwilę wyglądał, jakby zgubił sztuczną szczękę. Lady Dudley rzuciła mi tylko przelotne spojrzenie i wbiła wzrok w pudding, który postawiła przed nią Mary Margaret.

- Rain dziś właśnie przyleciała - oznajmiła ciotka Leonora.

Mary Margaret podniosła na mnie wzrok, dając mi do zrozumienia, że powinnam podać pudding. Sir Dudley zerkał na tacę tak pożądlivym wzrokiem, jakby zaraz miał zamiar sam się obsłużyć. Czym prędzej podeszłam do stołu.

- Z lewej - mruknął wuj Richard.

Znieruchomiałam, a potem obeszłam krzesło i stojąc na lewo od wuja, postawiłam przed nim talerz. Poczułam rzeźki zapach wody kolońskiej i aromat cygara. Pod okiem wuja Richarda, który nie odrywał wzroku od moich dłoni i tacy, drżały mi ręce. Niezręcznie postawiłam przed nim talerz. Porcelana twardo stuknęła o blat stołu.

Wuj natychmiast uniósł spojrzenie, spoglądając mi w twarz.

- Cieszy mnie, że moja szwagierka ma dość rozsądku, żeby wyżej stawiać szkołę w Anglii od wszystkiego, co mają do zaproponowania kolonie - oświadczył.

- Kolonie?

Sir Dudley stłumił śmiech. Brzmiało to, jakby się zakrztusił.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Rain - wtrąciła ciotka Leonora. - Mój mąż żyje przeszłością. Wciąż jeszcze nie pogodził się z myślą, że Ameryka od ponad dwustu lat jest niepodległym państwem.

- Świat wyglądałby dużo lepiej, gdyby do tego nie doszło. - Cokolwiek mówił, wuj Richard zawsze sprawiał wrażenie króla ogłaszającego oficjalne stanowisko w danej sprawie. Miał głęboki, dźwięczny głos i mówił tak wyraźnie i dobitnie, że nie sposób było go nie słuchać. - Twojemu ludowi z pewnością lepiej by się powodziło pod rządami jej wysokości - dodał.

- Mojemu ludowi?

- Nie traktuj jej w ten sposób, Richardzie. Tylko wystraszysz biedaczkę. Rain dopiero co przyjechała.

- Tak, tak - wymamrotał sir Dudley.

Lady Dudley wciąż świdrowała mnie wzrokiem, ale spojrzenie wuja Richarda złagodniało, a jego usta rozchyliły się nieco. Mało brakowało, a wręcz ułożyłyby się w uśmiech. Spoglądał na mnie niewidzącymi oczami, jakby zapatrzył się w jakieś sobie tylko znane wspomnienia.

Potem zamrugął powiekami. Coś zaskoczyło w mózgu wuja Richarda i jego myśli potoczyły się nowym torem. Przez chwilę wyglądał, jakby się ocknął z drzemki i spostrzegł, że wciąż przed nim stoję. Zlustrował mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Oczywiście - powiedział. - Przepraszam. Witam w Endfield House. Mam nadzieję, że pobyt w tym domu i nauka w szkole przyniosą ci wiele przyjemnych wrażeń i pożytku.

- Tak, tak - powtórzył swoje sir Dudley.

Zaciekawiło mnie, czy zdarza mu się powiedzieć coś więcej.

Lady Dudley odwróciła głowę do ciotki Leonory i spytała ją o jakąś akcję dobroczynną w Kensington Gardens. Moja osoba przestała ją już interesować. Raz jeszcze spojrzałam na wuja Richarda, który nie przestawał się we mnie wpatrywać, uśmiechnęłam się do niego i wróciłam do kuchni. Dopiero w drzwiach uświadomiłam sobie, że przez cały czas wstrzymywałam oddech. Wypuściłam powietrze i odetchnęłam głęboko.

- Proszę, proszę, z pierwszym daniem ci się udało! - zaśmiała się pani Chester.

W odpowiedniej chwili wróciliśmy z Mary Margaret do

jadalni, by posprzątać po obiedzie i podać deser. Sir Dudley poprosił o kawę, ale poza nim wszyscy pili herbatę. Na szczęście pamiętałam o tym, że wuj jest MP, i zaczęłam od mleka. Wyglądał na zaskoczonego i znów długo mi się przyglądał, co i tym razem wprawilo mnie w zakłopotanie.

Kiedy posprzątałyśmy ze stołu i pomogłam pani Chester w zmywaniu, byłam taka zmęczona, że ledwo sama zjadłam swój posiłek. Musiałam przyznać, że mimo zgryźliwego charakteru wyśmienicie gotowała. Siedziałyśmy przy stole, gdy z salonu dobiegły dźwięki pianina. Uniosłam spojrzenie na Mary Margaret.

- Kto to gra?

- Pani Endfield - powiedziała i natychmiast zerknęła niepewnie na panią Chester, jakby się chciała upewnić, że nie zrobiła nic złego, odpowiadając na moje pytanie.

Czemu w tym domu wszyscy tak się boją pisnąć choćby słówko o kimkolwiek innym? - zastanawiałam się.

Mary Margaret dostrzegła moje zmęczenie i powiedziała, że posprząta po naszej kolacji. Podziękowałam jej i poszłam do swojego pokoju.

Ledwo starczyło mi sił, żeby się przebrać w nocną koszulę. Myjąc zęby, usłyszałam kroki w korytarzu. Pomyślałam, że to Mary Margaret. Z dołu wciąż dobiegały dźwięki fortepianu. Wróciłam do pokoju i zamknęłam drzwi. Jednak gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, przypomniałam sobie Boggsa z jego kijem i ogarnęło mnie prawdziwe przerażenie. Nie miałam budzika i byłam pewna, że zaśpię. Pomyślałam, że muszę poprosić Mary Margaret, żeby mnie rano obudziła. Wstałam z łóżka, włożyłam szlafrok i wyrzałam na korytarz. Gdzie mógł być pokój Mary Margaret?

Ciotka Leonora wciąż grała na fortepianie. Mroczny korytarz usiany był gęstymi cieniami. Minęłam drzwi do łazienki, zagłębiając się w część domu przeznaczoną dla służby. Muzyka podążała za mną. Gdy dotarłam do pierwszych drzwi, z ciemności pokoju wyłonił się Boggs w bokserkach i podkoszulku.

- Dokąd to? - rzucił.

- Szukam Mary Margaret. Chciałam ją poprosić, żeby mnie zbudziła, ponieważ w moim pokoju nie ma budzika - wyjaśniłam szybko.

Oczy Boggsa świeciły w półmroku wilczym blaskiem. Jego kamienna twarz i pełen złości głos budziły we mnie lęk. Marzyłam o tym, żeby czym prędzej znaleźć się z powrotem w swoim pokoju.

- Zastukam do ciebie rano.

- Wolałabym, żeby obudziła mnie Mary Margaret - odpowiedziałam. - Gdzie jest jej pokój?

W głębi korytarza przed sobą nie widziałam żadnych dalszych drzwi.

- Mary Margaret tu nie sypia. Mieszka z matką. Nic się nie bój, już ja cię obudzę - zapowiedział złowrogim tonem. Jego twarz kryła się w mroku.

- A gdzie śpi Leo? - Każdy, tylko nie ty, potworze, pomyślałam.

- Nad garażem. Zdaje się, że byłaś zmęczona podróżą?

- Owszem, jestem zmęczona.

- Więc idź spać - zakomenderował. Potem cofnął się o krok i zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Przez chwilę stałam w wąskim korytarzu. Więc mieszkam tu tylko z Boggsem? Dzielę z nim łazienkę? Więc używamy wspólnej wanny? Na myśl o tej wymuszonej intymności zrobiło mi się niedobrze. Wróciłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Jutro kupię budzik, obiecałam sobie, a potem poproszę ciotkę Leonorę, żeby kazała wstawić do drzwi zamek.

Wsunęłam się pod kołdrę i położyłam głowę na poduszce. Była twarda i ciężka. Mimo otwartego od kilku godzin okna w pokoju wciąż panował nieprzyjemny zapach naftaliny, kojarzący mi się z odorem panującym w Projektach w Waszyngtonie. Wkrótce potem muzyka ucichła i słyszeć było tylko jęczenie i stękanie belek i dźwigarów starego domostwa.

Nie tyle usnęłam, ile straciłam świadomość. Na powrót znalazłam się w samolocie, który tym razem wylądował w Ameryce, gdzie spotkałam mamę. Nim jednak zdążyłam

zamienić z nią choćby słówko, mama uleciała, unoszona wiatrem. Potem przepłynął przede mną Roy i roześmiana Beni. Ze ściany wyłoniła się strapiona twarz babci Hudson. Patrzyła na mnie zatroskana. Potem straciłam z oczu wszystkich, których kochałam, i ogarnęło mnie potężniejące z każdą chwilą światło. Wreszcie blask stał się nie do zniesienia. Obudziłam się, słysząc, jak ktoś ostrożnie zamyka drzwi.

Usiadłam na łóżku. Serce waliło mi jak szalone. W ciemności nic nie widziałam. Z mroku wyłoniła się ciemna sylwetka. Przeraziłam się, ale natychmiast uświadomiłam sobie, że to tylko szafa. Byłam sama. Czy ktoś do mnie zaglądał? Czy ktoś wszedł do pokoju, gdy spałam? Nie miałam pojęcia.

Byłam taka zmęczona.

Zbyt zmęczona, by się czymkolwiek przejąć.

Nawet duchami.

ZNÓW NOWA

Rano Boggs zadudnił w drzwi z takim łoskotem, jakby chciał je rozwalić w drzazgi. Oto facet, który na pewno lubiłby obrywać muchom skrzydełka, pomyślałam.

- Obudziłaś się już? - dobiegło mnie warknięcie z korytarza.

- Tak, tak! - odkrzyknęłam czym prędzej.

- Za kwadrans masz być w kuchni - warknął Boggs i odszedł.

- Tak jest! - zawołałam i zsalutowałam. Potem jęknęłam.

Po nocy spędzonej na prastarym łóżku czułam się jeszcze gorzej niż przed snem. Bolały mnie wszystkie mięśnie, prześcieradło owinęło mi się wokół nóg. Przez okienko widziałam ciągnące po niebie chmury, szare jak z ołowiu. Na dodatek było zimno. To uświadomiło mi, że mój pokój jest pozbawiony jakiegokolwiek ogrzewania. Nie było ani kaloryfera, ani nawet grzejnika elektrycznego. Gdy opuściłam nogi na podłogę, poczułam, jakbym stanęła na lodowisku. Czym prędzej wsunęłam stopy w kapcie i narzuciłam na siebie szlafrok. Marzyłam o gorącym prysznicu, ale nie miałam teraz czasu na takie luksusy. Prysznic zresztą także nie miałam.

Włożyłam bieliznę, wyjrzałam na korytarz i widząc, że jest pusty, przemknęłam do łazienki z ubraniem w rękach. Nawet się nie zdziwiłam, kiedy okazało się, że z kranu płynie wyłącznie zimna woda. Pośpiesznie przemyłam twarz i drżąc z zimna,

wciągnęłam bluzkę i spódnicę. Jediną zaletą noszenia upiętych włosów było to, że nie musiałam ich szczotkować. Umyłam zęby i poszłam korytarzem do kuchni.

W domu panowała cisza. Z kuchni dobiegł mnie szcęk naczyń. Kiedy weszłam, Mary Margaret właśnie zalewała wrzątkiem herbatę w czajniczku. Zerknęła na mnie i natychmiast znów opuściła wzrok, jakby parzenie herbaty wymagało co najmniej tyle wysiłku, ile operacja serca.

- Nie zapomnij: mleko przodem - rzuciłam z uśmiechem do Mary Margaret, gdy szła z tacą do jadalni, ale ona tylko popatrzyła na mnie wielkimi oczami, jakby nie rozumiała, o czym mówię. Czy w tym domu nikt nigdy nie żartuje?

- Już wstałaś? - powitała mnie pani Chester, wychodząc ze spiżarni. - Coś takiego! Jestem pewna, że pomógł ci pan Boggs, co, kochanie?

- Owszem - przyznałam. - Spał pod moim łóżkiem. - Pani Chester zarechotała. - Co to jest? - spytałam, przyglądając się temu, co szykowała na śniadanie.

- Kiszka nadziewana mielonym mięsem i krwią.

Skrzywiłam się z obrzydzeniem.

- Pan Endfield jada we wtorki kompletne angielskie śniadanie. Podajemy jeszcze jajka sadzone, smażone pomidory, tosty i marmoladę. Pokraj pomidory. Mam nadzieję, że nie poobcinasz sobie przy tym palców, co?

- Oczywiście.

Zaczęłam kroić pomidory. Czułam, że pani Chester przygląda mi się spod oka.

- W domu często gotowałam.

Pani Chester skinęła głową. Spytałam o marmoladę.

- Śmiało, spróbuj - zachęciła mnie kucharka. Skosztowałam. Pani Chester roześmiała się z mojej miny. - To ulubiona marmolada pana Endfielda. Z gorzkich pomarańcz.

- Czy ktoś tu jada płatki kukurydziane na mleku?

- Płatki na mleku - zastanawiała się przez chwilę pani Chester. - Pan Endfield jada zawsze we czwartki owsiankę.

- Zawsze? W każdy czwartek? Czy tu wszystko jest zorganizowane zgodnie z kalendarzem? Łącznie z posiłkami?

- Ależ oczywiście.

Do kuchni wróciła Mary Margaret. Kucharka spojrzała na pokojówkę, jakby czytała w jej twarzy, a potem wskazała skinieniem głowy drzwi jadalni.

- Nakryj do stołu.

Nie przypuszczałam, że ciotka Leonora wstaje tak wcześnie, ale kiedy zaczęła mi wyliczać czekające ją obowiązki, zrozumiałam, że działalność dobroczynna pochłania jej nie mniej czasu, niż wujowi Richardowi praca w jego kancelarii adwokackiej. Ciotka nie tylko już wstała, lecz również zdążyła się uczesać i umalować. Miała na sobie białą jedwabną bluzkę i jasnoniebieski bawełniany żakiet.

Wuj siedział skryty za szeroką płachtą rozłożonego „Timesa”, uchylając jej wyłącznie po to, by skomentować jakąś wiadomość, którą właśnie przeczytał. Ciotka Leonora odpowiadała na jego uwagi uśmiechem i albo kiwała głową, albo pomrukiwała potakująco. W końcu wuj złożył gazetę i spojrzał na mnie, gdy pomagałam Mary Margaret sprzątnąć ze stołu.

- Czy wiesz, jak dojechać do szkoły?

Spojrzałam niepewnie na ciotkę Leonorę. Nie wiedziałam, czy mam powiedzieć prawdę.

- Oczywiście, że nie wie, kochanie - odpowiedziała za mnie ciotka.

- Tak podejrzywałem. Niestety, dzisiejszego ranka nie mogę ci użyczyć Boggsa, więc będziesz musiała poradzić sobie sama.

Bynajmniej nie poczułam się rozczarowana.

Wuj Richard wsunął rękę do kieszeni, wyjął mały notatnik i rozłożył go na stole.

- Uważaj - polecił, więc podeszłam bliżej do stołu.

Mary Margaret zerknęła na mnie i szybko wyszła, jakby to, co miałam usłyszeć, było zastrzeżone wyłącznie dla moich uszu.

- Choć przez ponad sto lat Londyn był największym i najludniejszym miastem świata, zawsze był również aglomeracją osad - zaczął. - Kiedyś każda z nich miała swoisty charakter, niektóre zachowały go do dziś.

Mówiąc, nie patrzył na mnie. Spoglądał na stół, jakby był nauczycielem prowadzącym lekcję.

- Na przykład gmachy ministerialne skupiają się wokół pałacu Whitehall, parlament jest w Westminsterze. Królowa na ogół podejmuje gości i występuje publicznie w okolicach St. James Park. - Wuj uniósł na mnie wzrok. Zrozumiałaś?

- Tak - odpowiedziałam, choć nie miałam pojęcia, co to wszystko ma wspólnego z dojazdem metrem do szkoły teatralnej. Czy nie da się przejechać przez Londyn bez znajomości historii Anglii?

- To dobrze. Po mieście najwygodniej jest podróżować metrem. Stacje poznasz po tym znaku. - Narysował go w notesie. - Najlepiej kup sobie bilet miesięczny.

Zaniepokoiłam się.

- Będę musiała wymienić dolary na funty.

Wuj spojrział surowo na ciotkę.

- To jeszcze nie jest załatwione, Leonoro?

- Oczywiście, że nie, kochanie. Przecież ona dopiero wczoraj przyjechała.

- Ale dlaczego nie zabrałaś jej po drodze do banku, gdzie można by wszystko załatwić od ręki?

- Wydawało mi się, że ważniejsze jest, żeby znalazła się w domu i zapoznała ze swoimi obowiązkami. Nie starczyło nam czasu na wizytę w banku.

- Wszystko zawsze na mojej głowie - westchnął wuj Richard. Sięgnął do kieszeni i wyjął banknot. - To dziesięć funtów. Wiesz, jaka jest różnica między amerykańskimi i angielskimi pieniędzmi?

- Tak.

- To dobrze. Na dzisiaj ci to wystarczy. Musisz pamiętać, że Londyn jest podzielony na strefy. Bilet musi być ważny na przejazd do określonej strefy. Cena biletu zależy od

tego, jak wiele stref komunikacyjnych obejmuje. Zrozumiałaś?

Nie rozumiałam. Wuj Richard mówił za szybko.

- Czy nie można po prostu kupić jednego biletu?

- Oczywiście, że można, ale to, jaki kupujesz bilet, zależy od tego, dokąd chcesz dojechać.

- Ale tego właśnie nie wiem.

Wuj Richard pokręcił głową.

- To nic trudnego. Nawet dzieci potrafią podróżować samodzielnie metrem.

- W Stanach mamy to zorganizowane inaczej.

- W Stanach... - zaczął wuj Richard - ...system komunikacji publicznej nie ma nawet w połowie tak dobrej tradycji, jak w Anglii. Sama się o tym niedługo przekonasz. Kiedy znajdziesz się na stacji, poproś o pomoc kasjera w okienku. Tu... - wręczył mi notes - ...nakreśliłem twoją marszrutę.

- Kiedy znajdziesz się na stacji, będziesz musiała zaczekać na metro do Notting Hill Gate, potem przesiądziesz się do Circle Line i pojedziesz na Sloane Square. Tam znajduje się twoja szkoła. To niedaleko Royal Court Theatre. Nawet Amerykanka powinna trafić bez problemów. - Wręczył mi kartkę z notesu i banknot dziesięciofuntowy.

- Dziękuję.

- Kiedy wyjdiesz przed dom, skręć w prawo, potem idź prosto. Gdy miniesz dwie przecznice, zobaczysz znak komunikacji miejskiej.

- Czy to dla ciebie nie jest podniecająca przygoda? - zapytała ciotka Leonora, klaszcząc w ręce.

- Na ten temat powiem coś po powrocie - odpowiedziałam. Kątem oka zauważyłam, że oczy wuja zabłyśły.

- W rzeczywistości wszystko okaże się dużo prostsze, niż ci się teraz wydaje. Przekonasz się, że w przeciwieństwie do Amerykanów Anglicy są sympatyczni, życzliwi i pomocni turystom. Nie znaczy to, że nie powinnaś uważać, z kim rozmawiasz. I lepiej nie urządzać na razie żadnych samodzielnych

wycieczek. - Wuj złożył gazetę i wstał z miejsca. Spojrzał z góry na ciotkę Leonorę, jakby siedziała na drugim końcu bardzo długiego tunelu. - Zadbaj, żeby kwestia finansów została jak najszybciej rozwiązana, Leonoro.

- Oczywiście, kochanie.

- A zatem dobrego dnia - pożegnał nas wuj i wyszedł z jadalni.

Powiedziałam ciotce o czeku od babci Hudson. Obiecała, że osobiście zajmie się sprawą wymiany moich pieniędzy.

- Teraz, gdy Richard narobił wokół nich tyle zamieszania, nie mam innego wyjścia.

Pomogłam Mary Margaret posprzątać ze stołu. Zjadłyśmy w kuchni śniadanie, a potem wróciłam do swojego pokoju, uczesałam się i umalowałam usta. Przed wyjściem dałam ciotce Leonorze swój czek. Popatrzyła na niego wielkimi oczami, unosząc wysoko brwi.

- To ogromna suma - zauważyła zgorzonym tonem. - Nigdy nie sądziłam, że moja siostra jest taka hojna. Jestem pewna, że Victoria nic o tym nie wie. - Potem pokręciła głową, jakby chciała się otrząsnąć z ponurych myśli, i uśmiechnęła się do mnie. - Nie mówię, że ci się te pieniądze nie przydadzą. Londyn nie jest tanim miastem. Na początek dostaniesz kilkaset funtów. Powodzenia w nowej szkole, kochanie.

Z sercem bijącym jak zegar pradiadka opuściłam dom, wyruszając w drogę do mojej nowej szkoły.

Pierwszy błąd popełniłam, gdy tylko dotarłam do najbliższej przecznicy. Starałam się nie zapomnieć o żadnej z uwag wuja Richarda i kompletnie wyleciało mi z głowy, że w Anglii obowiązuje ruch lewostronny. Doszłam do skrzyżowania, popatrzyłam w lewo i spokojnie wyszłam na jezdnię, prosto pod nadjeżdżający samochód. Usłyszałam pisk hamulców. Gwałtownie cofnęłam się na chodnik. Za szybą samochodu mignęła mi twarz rozeźlonego kierowcy.

- Uważaj na światła! - krzyknął.

Odczekałam chwilę, wzięłam głęboki oddech i w końcu

udało mi się szczęśliwie przejść przez jezdnię. Niebo wciąż było szare, jakby odlane z ołowiu. Niemal wszyscy wokół mnie otwierali pośpiesznie parasole. Co do mnie, to nie miałam parasola, nikt mi go nie zaproponował, gdy wychodziłam z domu. Pierwsze krople spadły, nim doszłam do stacji metra. Ruch uliczny sprawiał, że nie mogłam biec, więc gdy wreszcie znalazłam się w osłoniętym miejscu, i tak miałam już kompletnie przemoczoną bluzkę. Ładnie się zaczyna, westchnęłam w duchu.

Tłum pędził w pośpiechu wąskimi podziemnymi korytarzami; co chwila ktoś mnie popychał lub potraçał. Pomyślałam, że właściwie londyńskie metro wcale nie różni się tak bardzo od metra w Stanach. Ktoś nawet grał na saksofonie, ustawivszy przed sobą puszkę na datki. Na szczęście obsługa metra rzeczywiście była uprzejma i pomocna. Starszy mężczyzna w granatowym mundurze i czapce z błyszczącym daszkiem wyjaśnił mi, jak mam jechać, i chwilę później stałam już na peronie razem z innymi pasażerami, czekając na metro. Co jakiś czas przez megafon powtarzano ostrzeżenie: „Proszę zachować ostrożność przy wsiadaniu do wagonów”. Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Dopiero gdy wjechało metro, okazało się, że między peronem a wejściem do wagonu ziele nieprzyjemna szczelina.

Proszę zachować ostrożność, powtórzyłam w myślach, wsiadając do środka. Po drodze studiowałam wiszący nad wejściem plan podziemnych linii metra i porównywałam nazwy stacji z tymi, które zapisał na kartce wuj Richard. Wkrótce dojechałam na miejsce i wyszłam z powrotem na ulicę. Deszcz osłabł, ale wciąż utrzymywała się dokuczliwa mżawka. Przez jakiś czas błąkałam się po ulicach, wypatrując szkoły pana MacWainne'a, lecz bezskutecznie. Wystraszona i zniechęcona stanęłam przed witryną małego sklepiku. W szybie zobaczyłam swoje zmoknięte odbicie. Mokre ubranie było lodowato zimne i kleiło się do ciała. Wyglądałam tak okropnie, że zastanawiałam się, czy na pewno powinnam zjawić się w takim stanie w szkole. Może lepiej zrobię, wracając do Endfield Place, pomyślałam.

Ze sklepu wyszła drobna kobieta w starszym wieku.

- Czy nic ci nie dolega, kochanie?

- Nie mogę znaleźć adresu, pod którym miała być moja szkoła.

- A co to za adres, kochanie?

Starsza pani zamrużyła powiekami. Jej twarz pokryta była grubą warstwą pudru.

- To tu. - Podsunęłam jej karteczkę z adresem szkoły.

- Och, to niedaleko stąd, kochanie. Musisz iść tędy... - starsza pani wskazała mi drogę - ...aż dojdiesz do Ploverman's Pub, a potem skręcić w prawo. Prawdę mówiąc, sama idę w tamtym kierunku. Zamierzam odwiedzić przyjaciółkę, która mieszka nieopodal. Zawsze o tej porze pijemy herbatę. Potem, kiedy pub jest już otwarty, wpadamy tam na shandy.

- Shandy?

- Piwo z lemoniadą. Nigdy nie piłaś shandy?

Roześmiałam się.

- Nigdy.

- My z moim staruszką przez ostatnich pięć lat codziennie wpadaliśmy do Plovermana. Ale mąż zmarł pół roku temu.

- Współczuję pani.

- Tak, tak, kochanie, starość to żaden interes. Ty lepiej zostań młoda jak najdłużej, a teraz czym prędzej poszukaj sobie ręcznika - pożegnała mnie i zniknęła za drzwiami sąsiadującymi z wejściem do pubu.

Poszłam wskazaną drogą i wkrótce znalazłam się na miejscu. Na oko bardziej mi to wyglądało na niewielkie biuro niż na szkołę, ale napis na szklanych drzwiach potwierdzał trafność wskazówek starszej pani.

Weszłam do holu. Schodami zbiegały akurat, śmiejąc się głośno, dwie dziewczyny w czarnych trykotach. Wyglądały na siostry. Jedna była krótko ostrzyżona, druga miała długie włosy. Wyglądała, jakby się jeszcze nie czesała, ale było jej z tym całkiem do twarzy. Obie były ładne, miały kruczoczarne włosy i niemal równie ciemną karnację jak ja.

- *Bonjour!* - powitała mnie krótkowłosa. - Może ci' w czymś pomóc?
- Szukam pana profesora MacWaine'a - powiedziałam, odgarniając włosy z czoła.
- Aha, tak. Pan MacWaine jest w swoim gabinecie, nie, Leslie?
- *Mais oui.* Przyjechałaś do szkoły?
- Tak.
- Ty jesteś tą dziewczyną z Ameryki?
- Tak. - Zaśmiałam się w duchu. Dziewczyna z Ameryki!
- *Tres bien.* Jestem Catherine, a to moja siostra Leslie.

Witamy!

- Dziękuję.
- Ty też mieszkasz w internacie?
- Nie. Mieszkam u siostry mojej przyjaciółki. Ściśle mówiąc, mam tu mieszkanie za pomoc w kuchni.
- *An au pair!* - roześmiały się obie naraz.
- Tak.
- *Tres bien* - powiedziała Leslie. - Kim chcesz zostać? Piosenkarką, tancerką, aktorką?

- Miałam się uczyć aktorstwa. Jesteś tancerką?
- Dzisiaj - odpowiedziała Catherine. - Jutro będziemy piosenkarkami.

Znów się roześmiały. Ucichły, popatrzyły po sobie i znów zaczęły chichotać. Obie miały zadarte nosy, wąskie usta. Kiedy się uśmiechały, wyglądały bardzo ładnie.

- Jesteśmy z Paryża. - Catherine wyciągnęła do mnie rękę.
- Jestem Rain Arnold. Z Wirginii.
- *Enchante* - powiedziała Leslie. - Mówisz po francusku? Pokręciłam głową.

- Gdy tu pobędziesz jakiś czas, liżniesz różnych języków po trochu i być może, wracając do domu, będziesz już znała francuski. - Popatrzyła na siostrę, szukając u niej potwierdzenia, ale Catherine tylko wzruszyła ramionami.

- Może tak, a może nie. Gabinet pana MacWaine'a znajduje się tam - wskazała drzwi. - Ale on sam jest zajęty. Liczy.

- Co liczy?
- Kasę. Dolary, franki, funty, liry, jeny... - wyliczała Catherine. - To Pan Bogacz, nie?
- *Oui*. Zrobi z ciebie gwiazdę, *cherie* - przyznała siostrze rację Leslie. - Za pewną cenę.

Obie znów się roześmiały.

- Widzisz te wszystkie gwiazdy? - Catherine wskazała na wiszące na ścianie fotografie w eleganckich oprawach. - To... jak to się mówi po angielsku? To... absolwenci szkoły pana MacWaine'a. Może któregoś dnia znajdzie się tu i twoje zdjęcie?

Skinęłam głową. Ta ściana robiła wrażenie.

- Idziemy teraz na lekcję elektroterapii. Do zobaczenia - pożegnała mnie Catherine.

- Elektroterapii?

- *Oui*. Tam gdzie cię uczą mówić.

- Ach, chodzi o elokucję, wymowę, dykcję.

- O właśnie. Do zobaczenia.

- Cześć.

Nacisnęłam klamkę. Okazało się, że drzwi są otwarte. Pan MacWaine rozmawiał przez telefon. Na mój widok szybko skończył rozmowę, jednocześnie wskazując mi gestem miejsce w fotelu stojącym naprzeciw biurka, za którym siedział. Gdy stanęłam niepewnie, wstał i wyszedł mi naprzeciw. Czekając chwilę, aż pan MacWaine skończy rozmowę, rozejrzałam się po gabinecie. Tu również wisiły na ścianach zdjęcia w ramkach. Po jednej stronie portrety aktorów i fotografie wykonane podczas przedstawień, po drugiej afisze i plakaty zapowiadające różne sztuki, ale też spektakle taneczne i muzyczne.

- Jakże miło cię znów widzieć, Rain. Podróż minęła bez kłopotów? Wprowadziłaś się do siostry pani Hudson?

- Tak.

- Siadaj, proszę. Papierkową robotę na szczęście mamy już za sobą - wyjaśnił, wracając za biurko. - Oprowadzę cię po szkole, a potem pójdziesz na zajęcia z wymowy dramatycznej.

Powinny się zacząć za niecałe pół godziny. No powiedz, zdażyłaś już coś obejrzeć w Londynie?

- Nie, proszę pana. Dopiero wczoraj przyleciałam i od razu miałam coś do roboty w Endfield Place. Dziś rano przyjechałam prosto do szkoły.

- Nie przejmuj się niezbyt obiecującym początkiem - pocieszył mnie pan MacWaine. - Będziesz miała jeszcze dość czasu, żeby wszystko zobaczyć. Do twoich obowiązków szkolnych będą należały wizyty w teatrach na West Endzie. Spodoba ci się to, sama się przekonasz. Bardzo się cieszę, że cię widzę. No, nie traćmy więcej czasu. - Pan MacWaine zerwał się z fotela. - Chodź, pokażę ci szkołę.

Wstałam i wyszłam za nim z gabinetu.

- Teraz, latem, mamy tylko czterdzieścioro uczniów, podzielonych na kilka grup. Stawiamy na pracę w małych zespołach i na indywidualny rozwój uczniów. W różnych grupach odbywają się jednocześnie rozmaite zajęcia.

Gdy zśliśmy korytarzem, usłyszałam dobiegający z daleka piękny głos. Jakiś mężczyzna śpiewał po włosku. Pan Mac-Waine dostrzegł moje zainteresowanie.

- To Randall Glenn. Nasze prawdziwe odkrycie. Randall jest z Toronto w Kanadzie.

Zatrzymaliśmy się przed przeszklonymi drzwiami i zajrzeliśmy do sali. Śpiewakiem okazał się dobrze zbudowany chłopak, musiał mieć sporo ponad sześć stóp wzrostu; gęste kasztanowe włosy okalały przystojną twarz. Gdy brał najwyższe tony, jego błękitne oczy rozjaśniał wyraz głębokiej satysfakcji.

Niski, tęgi mężczyzna akompaniował Randallowi na fortepianie. Palce pianisty były tak pulchne, że zdawały się zrosnięte, jak połączone błoną pławną paluchy jakiegoś wodnego stworzenia. Kiedy odwrócił głowę, zobaczyłam pełną twarz o obwisłych policzkach i grubych wargach.

- Nie, nie, nie! - krzyknął nagle, dramatycznym gestem podrywając ręce. - Zanadto pracujesz gardłem. Musisz wydobyć głos stąd, z piersi! - Pianista poklepał się po obfitym ciele.

Randall opuścił głowę i zamknął oczy, jakby nauczyciel smagnął go batem.

- To profesor Wilhelm z Wiednia. Jest surowy, ale potrafi wykrzesać z uczniów prawdziwe iskry talentu. Jeśli on uwierzy w ciebie, szybko nauczysz się sama wierzyć we własne siły.

Po chwili Randall Glenn otworzył oczy i zaczął śpiewać na nowo. Miał tak głęboki, dźwięczny głos, że nie mogłam pojąć, jak profesor Wilhelm może być z ucznia niezadowolony. Z początku Randall wbijał spojrzenie w sufit, po czym i popatrzył na mnie. Najwyraźniej musiał poczuć na sobie mój wzrok. Widać cudza obecność rozpraszała go i znów coś zrobił nie tak, jak powinien, bo profesor Wilhelm przestał grać i opuścił ręce w wymownym geście. Potem spojrzął na swego podopiecznego i podążył za jego wzrokiem. Pan MacWaine uniósł uspokajającym gestem dłoni i odwrócił się do mnie.

- Chodźmy, Rain. Profesor Wilhelm nie cierpi, kiedy zakłóca się jego zajęcia.

Zaprowadził mnie do niewielkiej jadalni, obok której znajdowała się mała kuchenka ze zlewem i wielką lodówką. Na ścianie wisiała korkowa tablica, pełna najróżniejszych ogłoszeń. Zobaczyłam, że są wśród nich również informacje o sprzedaży rozmaitych rzeczy, w tym także biletów do teatru.

- Uczniowie sami przygotowują sobie posiłki. W lodówce w kuchni znajdziesz wędliny, sery, jogurty i inne produkty spożywcze. Jeśli będziesz miała ochotę na coś gorącego, mamy mikrofalówkę i kuchenkę elektryczną. Kiedy spędzisz z nami trochę czasu, zobaczysz, że żyjemy tu jak jedna wielka rodzina.

W kolejnej sali grupa uczniów czytała *Poskromienie złośnicy*. Wysoka, szczupła kobieta koło trzydziestki przechadzała się po klasie, przysłuchując się czytającym tekst uczniom. Co jakiś czas zatrzymywała się przy kimś i prosiła, by zinterpretował dany fragment i opowiedział, jak wyobraża sobie jego inscenizację na scenie i zachowanie różnych postaci.

- Każdy uczeń uczy się zarówno reżyserii, jak i aktorstwa. W naszym przekonaniu te dwie rzeczy są ściśle powiązane. Pani Winecoup prowadzi również lekcje wymowy dramatycznej. Najbliższa zacznie się za kwadrans.

Miałam wrażenie, że pan MacWaine odlicza czas do startu rakiety. Z każdą chwilą byłam coraz bardziej zdenerwowana.

Weszliśmy schodami na drugie piętro, gdzie znajdowało się studio tańca. Pan MacWaine powiedział mi, że musiał wyburzyć ściany, by uzyskać dostatecznie duże pomieszczenie. W sali ćwiczył taniec klasyczny wysoki muskularny Murzyn. Przyglądaliśmy mu się chwilę.

- To Philip Roder - mruknął półgłosem pan MacWaine. - Występował już na scenie, w inscenizacji *Studenta żebraka* w Amsterdamie. Philip pochodzi z Londynu. Przy okazji, pani Hudson zadbała, żeby czekało tu na ciebie wszystko, czego ci będzie trzeba w szkole. Kiedy wrócimy do mojego gabinetu, przypomnij mi, żebym ci dał trykot, baletki, książki i inne rzeczy.

- Dziękuję.

- Pani Hudson okazuje ci wielką życzliwość.

- Tak, wiem.

Po drodze minęliśmy salę, w której odbywały się zajęcia z wymowy. Prócz Catherine i Leslie uczestniczyły w nich jeszcze dwie dziewczyny, jedna bardzo wysoka, jasnowłosa, druga mniej więcej mojego wzrostu, szczupła, o płowych włosach. Wszystkie powtarzały słowa nauczyciela, ciemnowłosego mężczyzny koło pięćdziesiątki. W klasie byli też dwaj młodszy chłopcy.

- W czasie suszy szosa sucha - zażartował pan MacWaine. - Tu uczymy się posługiwać słowami, podstawowym narzędziem aktora.

Po powrocie do gabinetu pan MacWaine dał mi moje rzeczy i wręczył rozkład zajęć. Po lekcji wymowy dramatycznej miałam zgłosić się do profesora Wilheima, by ocenił mój głos, a po lunchu pani Yandermark miała sprawdzić, jak tańczę.

- W ten sposób będziemy wiedzieli, od czego zacząć. - Pan MacWaine spojrział na zegarek i oznajmił, że przysłała już pora na moją pierwszą lekcję. - Powodzenia. - Uśmiechnął się do mnie.

Po tym, co zdażyłam zobaczyć w szkole, naprawdę nie wiedziałam, co ja tu jeszcze robię. Czułam się jak oszustka. Byłam pewna, że w ciągu kilku godzin prawda wyjdzie na jaw, a ja otrzymam z powrotem swoje dokumenty wraz z życzliwą radą, bym wracała do Ameryki. Niemal chciałam, żeby tak się stało. Do tego stopnia się bałam. W szkołach artystycznych jest się nieustannie obserwowanym, ocenianym i porównywanym z innymi. W takiej małej klasie nie sposób było się schować za cudzymi plecami, co tak wielu kolegów robiło w mojej szkole w Waszyngtonie. Znałam tam uczniów, których nauczyciele nie umieliby nazwać po imieniu, mimo że nauka trwała od miesięcy. Jak różne bywają szkoły, pomyślałam.

Kiedy przyszłam do klasy, Leslie, Catherine i obie pozostałe dziewczyny już tam były. Na mój widok wszystkie odwróciły głowy.

- Ach, *cherie!* - zawołała Leslie. - Nie mogliśmy się ciebie doczekać. Poznaj Fionę i Sarah.

Fiona uśmiechnęła się do mnie, ale płowowłosa Sarah przyglądała mi się podejrzliwie, bez cienia sympatii.

- Cześć, jestem Fiona Thomas - powiedziała pierwsza i podała mi szczupłą dłoń.

- Rain Arnold. - Popatrzyłam na Sarah.

- Cześć - powiedziała dziewczyna, ledwo ruszając ustami. - Jak się zapewne domyślasz, jestem Sarah, Sarah Broadhurst.

Francuzki wciąż jeszcze były w trykotach, ale Sarah i Fiona miały na sobie długie spódnice i luźne bluzki z żabotami i falbaniastymi kołnierzami.

- Cześć - odpowiedziałam, na co Sarah skrzywiła nieznacznie usta.

- To ty jesteś tą dziewczyną, którą pan MacWaine odkrył na szkolnej scenie gdzieś w Ameryce?

- Chyba tak - odpowiedziałam. - A gdzie odkrył ciebie?
- Na progu własnej szkoły - rozległ się za moimi plecami donośny męski głos.

Odwróciłam się i zobaczyłam Randalla Glenna. Chłopak roześmiał się z własnego żartu, Catherine i Leslie mu zawtórowały, ale Fiona wyglądała na zirytowaną jego zachowaniem.

- Cześć! - Chłopak wyciągnął do mnie rękę. - Jestem Randall Glenn. Domyślam się, że jesteś nową uczennicą. Widziałem cię, kiedy zaglądałaś do klasy śpiewu. Mieszkasz w internacie?

- Nie, mieszkam u siostry moich przyjaciół.
- Gdzie? - spytała Fiona.
- W Holland Park.

Fiona popatrzyła na Sarah, która uśmiechnęła się złośliwie.

- To niedaleko od nas. Ja mieszkam przy Notting Hill Gate, a Sarah w South Kensington.

- To była jedyna sztuka, w jakiej wystąpiłaś? - Sarah koniecznie chciała się upewnić, że nie mam większej praktyki scenicznej od niej.

- Tak.

- Odkryto cię przy okazji twojego debiutu? To imponujące - zażartował Randall. - Nie wydaje ci się, Sarah?

- Nie mnie o to pytaj. Spytaj pana MacWaine'a.

- Sarah się boi, że będzie miała rywalkę do roli Ofelii w epizodzie z *Hamleta*, który inscenizujemy w tym miesiącu. Co dwa miesiące szkoła daje publiczne przedstawienie - wyjaśnił mi Randall.

- Nieprawda - zaprotestowała Sarah, ale nim się odwróciła, przyglądała mi się przez chwilę zwężonymi ze złości oczami.

Usiadłam. Randall zajął miejsce w sąsiednim rzędzie. Do klasy weszła pani Winecoup.

- Dzień dobry - powiedziała i uśmiechnęła się do mnie. - Czy wszyscy już znacie naszą nową uczennicę, Rain Arnold?

- Tak, pani Winecoup - odpowiedział Randall. - Dobrym obyczajom stało się zadość.

Zabawny był, kiedy tak szczyrzył zęby. Puścił do mnie oko, a potem odwrócił się do nauczycielki.

- To znakomicie. Witam, Rain. Widzę, że masz już książkę. Właśnie rozpoczęliśmy analizę *Hamleta*. Za dwa tygodnie czeka nas wieczór teatru, tańca i pieśni. Czytałaś może *Hamleta*?

- Tak. Ale tylko pobieżnie.

Twarz Sarah wreszcie rozjaśnił uśmiech.

- Dobrze - powiedziała ku memu zaskoczeniu pani Wine-coup. - Może poznamy jakąś świeżą interpretację tragedii.

Uśmiech zniknął z twarzy Sarah. Randall miał minę chłopca, który właśnie dobrał się do słoja z cukierkami, Francuzki przypatrywały mi się z zaciekawione, Fiona spoglądała na mnie z taką miną, jakbym już powiedziała coś odkrywczego, a ja miałam wrażenie, że język przysechł mi z nerwów do podniebienia.

Nie trzeba im było wiele czasu, żeby mi się przyjrzeć.

Ale ostatecznie po to właśnie tu przyjechałam.

Jak sądzę.

Po lekcji miałam się zgłosić do profesora Wilheima, by poddać się ocenie moich możliwości wokalnych. Powiedziałam o tym Randallowi, który zaproponował, że pójdzie ze mną.

- Nie mogę tam z tobą wejść, ale do zajęć z reżyserii jestem wolny i mogę ci towarzyszyć, jeśli to cię podtrzyma na duchu. Potem moglibyśmy razem zjeść lunch. Sam jestem tu wprawdzie od niedawna, ale postaram się wypaść jak najlepiej. - Stropiony moim milczeniem, rozejrzał się wokół niepewnie. - Nie miałem dotąd okazji zawrzeć wielu nowych znajomości. Jeżeli nie masz ochoty...

- Ależ mam - odpowiedziałam. - Bardzo chętnie.

Randall promieniał. Zastanawiałam się, czy zdaje sobie sprawę z tego, jaki jest przystojny. Dość już miałam chłopaków, którym powodzenie przewróciło w głowie. Randall wy-

glądał jednak na przejętego, w każdym razie mówił bez przerwy przez całą drogę do sali muzycznej. Powiedział mi, że jego ojciec jest maklerem, a on sam najstarszym z trojga rodzeństwa.

Znalazłszy się sam na sam z profesorem Wilheimem, byłam tak zdenerwowana, że ledwo wyciągałam gamy. Gdy skończyliśmy, profesor spytał, czy umiem czytać nuty. Odpowiedziałam, że nie, co wywołało na jego twarzy wyraz niesmaku. Westchnął, jakby czekał go długi marsz, po czym zapytał, jakie znam pieśni. Żadna z tych, które zaproponowałam, nie przypadła mu do gustu. W końcu polecił, bym zaśpiewała *Amazing Grace*. Kiedy śpiewałam, akompaniował mi na fortepianie.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - powiedział, gdy skończyłam. - Będziesz przychodzić we wtorki i czwartki na dziedzią rano, z grupą średnio zaawansowanych. Czy masz w tym czasie jakieś zajęcia?

Zajrzałam do rozkładu i pokręciłam głową.

- Nie.

- To dobrze.

Kiedy powiedziałam Randallowi, że jestem w grupie średnio zaawansowanej, zareagował tak, jakbym została wybrana do obsady musicalu.

- To znaczy, że potrafisz uchwycić melodię, w przeciwnym razie profesor Wilheim skazałby cię na do-re-mi-na-za-wsze - zanucił swym czystym, dźwięcznym głosem. - Może któregoś dnia wystąpimy w duecie.

- Proszę, nie praw mi komplementów, bo i tak ci nie uwierzę.

Randall skrzywił się, jakbym mu wymierzyła policzek.

- Nie zapominaj, że słyszałam, jak śpiewasz, i wiem, jaka przepaść nas dzieli.

Uśmiechnął się do mnie w podzięcie, ale zaraz spoważniał. Weszliśmy do jadalni.

- Staram się po prostu nie zawieść niczyich oczekiwań - mruknął.

Rozumiałam jego uczucia. Gorzej jest zostać wybranym i nie dać sobie rady, niż w ogóle nie zostać dostrzeżonym. Wystarczyło pomyśleć o rodzinie i znajomych, którzy dowiedzą się o twoim niepowodzeniu, żeby człowiek się zaczął denerwować. Co czeka mnie sama? Kto będzie rozczarowany moimi niepowodzeniami? Być może babcia Hudson, bo z pewnością nie moja matka ani Roy. Roy chciałby, żebym porzuciła wszelkie myśli o karierze i wyszła za niego za mąż.

Zawsze zostajesz jeszcze ty sama, Rain, powiedziałam sobie. Nie rozczaruj samej siebie.

Sarah i Fiona siedziały już przy stole i zjadały kanapki, popijając je herbatą. Philip Roder, którego podziwiałam podczas ćwiczeń w studiu tańca, czytał biografię Isadory Duncan, jedząc jogurt. Gdy Sarah spytała, jak mi poszło u profesora Wilheima, uniósł głowę.

- Profesor Wilhelm dołączył Rain do grupy średnio zaawansowanej - oznajmił Randall, zanim zdażyłam odpowiedzieć. Najwyraźniej wcale mu się nie spodobał uśmiezek Sarah.

- Naprawdę? - W głosie dziewczyny zabrzmiało bolesne rozczarowanie.

- No, nieźle - ocenił Philip Roder. - Mnie praktycznie zabronił wchodzić do swojej pracowni. A tak w ogóle, to cześć. Jestem Philip Roder.

Wyciągnął rękę.

- Cześć, jestem Rain Arnold. - Uścisnęłam mu dłoń. - Widziałam cię, kiedy tańczyłeś. Jesteś znakomity.

- Dziękuję.

- Och, widzę, że znasz się także na balecie? - spytała Sarah.

- Tyle co wszyscy. Ale lubię tańczyć i myślę, że nie trzeba być wielkim znawcą, żeby poznać, że ktoś jest w tym dobry.

- No pewnie. - Twarz Philipa rozjaśnił szeroki uśmiech. - Można poznać, czy ktoś ma jaja.

Sarah z wściekłą miną wbiła zęby w kanapkę.

- Na co masz ochotę?

Zajrzeliśmy do lodówki. Wybraliśmy sery. Randall zaparzył herbatę, a ja robiłam kanapki. Zanim usiedliśmy do stołu, Sarah i Fiona wyszły z jadalni.

- O co jej chodzi? - Wskazałam gestem drzwi, za którymi zniknęły dziewczyny.

- Nie zwracaj na nią uwagi. Sarah taka już jest. To obrażalska - wyjaśnił Philip Roder. - Zawsze jest wredna dla nowych.

Skinęłam głową, a potem wzruszyłam ramionami.

- Tam, skąd przyjechałam, byłaby nie więcej, niż tylko dokuczliwą muchą. Jedno pacnięcie i po niej.

Roześmiał się głośno.

- Jasna sprawa. - Popatrzył na Randalla. - Jeśli zamierzasz odstawić jakieś sztuki z Rain, chłopie, to lepiej uważaj. - Philip wstał z miejsca. - No, muszę już lecieć. Na razie, Rain Arnold.

Spojrzałam na Randalla. Był czerwony jak piwonia.

- Nie słuchaj go. Jak tylko się z kimś tutaj trochę zaprzyjaźnisz, zaraz jest gadanie. Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona.

Naprawdę wyglądał na zdenerwowanego; gdy unosił filiżankę do ust, ręka mu drżała.

- Nie przejmuj się. Romans to ostatnie, na co mam teraz ochotę.

- Ja także - powiedział szybko, jakby spodziewał się, że tego po nim oczekuję.

Uniosłam brwi.

- Naprawdę?

- No jasne... to znaczy... nie chciałem przez to powiedzieć... nie chciałem cię prosić o żadną randkę czy... ale... muszę poważnie traktować swoją pracę i...

- I tak wątpię, żeby coś z tego było - oświadczyłam, zaglądając do kubka.

- Go? Czemu?

- Nie spytałeś, założyłeś z góry, że jestem HP. A ja jestem MP.

- Co takiego?

- Najpierw wlałeś mi do kubka herbatę.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem się roześmiał.

- Jasne. Przepraszam. Powinienem był spytać.

- Żartuję. Jeśli o mnie chodzi, to nie widzę żadnej różnicy.

Dopiero co przyjechałam i jeszcze nawet nie widziałam miasta.

- Naprawdę? Może w takim razie spotkalibyśmy się któregoś dnia i pospacerowali razem po mieście? Byłem już parę razy w Londynie, ale właściwie to niczego tu dokładnie nie oglądałem. Zawsze chodziłem z rodzicami albo z grupą. Co ty na to?

- Bardzo chętnie.

- Cieszę się.

Randall wyglądał na naprawdę uradowanego. Zachowywał się ujmująco szczerze.

W tej chwili do jadalni wpadły Leslie i Catherine. Momentalnie rozległo się zbiorowe:

- Och, och, och!

Randall znów się zarumienił. Catherine usiadła, ocierając się o niego ramieniem.

- To ja go podrywam od tygodnia, a ty bierzesz go od pierwszego uśmiechu, *cheriel* - zagadnęła mnie.

- No dobra, Catherine, opanuj się - poprosił Randall.

Leslie stanęła mu za plecami i oparła się o jego drugie ramię.

- Może się nim podzielimy? Co ty na to, Rain?

- Dajcie mi spokój! - krzyknął chłopak. Popatrzył na mnie, a potem zerwał się z miejsca. - Mam zaraz zajęcia z reżyserii, muszę się przygotować. Do zobaczenia później. - Popatrzył na mnie jeszcze raz i wyszedł.

Francuzki zachichotały.

Ich śmiech okazał się zaraźliwy. Nic na to nie mogłam poradzić.

Przystojny chłopiec, ale bardzo nieśmiały, pomyślałam.

Może mi się tu spodoba. Jedno już mi się spodobało - wśród tylu ludzi różnych barw i odcieni nie czuło się żadnego napięcia, wywołanego kolorem skóry. Może było tak dlatego,

że pochodzili z różnych stron świata i reprezentowali różne kultury, przyszło mi do głowy.

W teatrze można być, kim się chce, i jeśli jest się w tym dobrym, widownia zapomina o wszystkim innym, co człowieka dotyczy. Wszystkich jednoczy wspólna iluzja.

Babcia Hudson wydała mi się nagle dużo mądrzejsza, niż kiedykolwiek dotąd. Zapewne już dawno to wszystko wiedziała. Mogła łatwo przewidzieć, że lepiej będę się czuła w świecie własnej wyobraźni, niż w tym, w jaki rzuciło mnie przeznaczenie.

Być może wiedziała, że w ten sposób mam szansę oszukać los i znaleźć szczęście.

W końcu.

Wkrótce się o tym przekonam.

ZAKAZANY DOMEK

Po kilku dniach nabrałam więcej zaufania do własnych sil i nawet polubiłam londyńskie metro. W końcu starczyło mi odwagi, by odstąpić od codziennej marszruty i wyprawić się na poszukiwanie budzika. Każdy, choćby i najokropniejszy budzik, byłby lepszy od walenia pięścią w drzwi, jakim budził mnie Boggs. Wuj Richard raz tylko zainteresował się moimi sprawami, chciał mianowicie wiedzieć, czy - zgodnie z jego instrukcją - kupiłam sobie bilet miesięczny. Z reguły był bardzo zajęty, w ciągu pierwszego tygodnia dwukrotnie opuścił kolację, ale nawet gdy był w domu, odzywał się do mnie tylko sporadycznie. Na kolacji wujostwo na ogół miewali gości; rano, gdy byli sami, wuj Richard siedział schowany za gazetą lub milczał, pogrążony w myślach. Ciotka Leonora twierdziła, że przedmiotem medytacji wuja są bardzo poważne kwestie, związane z jego pracą.

We wtorek zebrałam się na odwagę i powiedziałam ciotce, że w łazience dla służby nie ma ciepłej wody. Po zakończeniu zajęć poszłam w szkole pod prysznic, ale nie mogłam się pogodzić z niemożnością wzięcia kąpieli przed snem czy umycia włosów.

- Och, tak mi przykro, kochanie - odpowiedziała ciotka Leonora. - Czemu nie powiedziałaś o tym od razu? Nie miałam pojęcia, że coś nie działa. Tak rzadko bywam w tej części domu.

Wezwała Boggsa i poleciła mu naprawić termę. Boggs twierdził, że ciepłej wody jest dosyć, ale nie można jej przelewać w nadmiarze. Po raz pierwszy starliśmy się na serio w obliczu ciotki Leonory.

- Nie sędzę, żeby można było nazwać gorącą kąpiel przelewaniem wody - zaprotestowałam.

- No oczywiście - zgodziła się ze mną ciotka.

- Jeśli o mnie chodzi, to taka temperatura wody, jaką mamy teraz, w zupełności mi wystarcza.

- Może nie myje się pan równie często jak ja - mruknęłam.

- Kobiety mają większe potrzeby pod tym względem - poparła mnie ciotka Leonora,

Boggs nie zarumienił się, przeciwnie, najeżył, zacisnął usta i zrobił się jasnoszary jak popiół.

- Mamy czterdzieści galonów gorącej wody. To powinno całkowicie wystarczyć.

- Co do mnie, nie zużywam ani kropli z tych czterdziestu galonów - odparowałam.

- Och, mój Boże -jęknęła ciotka Leonora. - Wielki Boże! Richardowi się to absolutnie nie spodoba. Ani trochę.

- Zajmę się tą termą, pani Endfield. - Boggs przestał wreszcie obstawać przy swoim.

Odszedł sztywny, jakby połknął kij od szczotki. Czułam, że jest na mnie wściekły.

- Dziękuję, Naprawdę nie chciałam sprawić nikomu kłopotu.

- Och, to przecież żaden kłopot. Oczywiście nie twierdzę, że znam się na hydraulice. Zostawiam te sprawy Boggsowi i panu Endfieldowi. Ty także się tym nie przejmuj zanadto - poradziła mi na koniec.

Wróciłam do kuchni. Pani Chester i Mary Margaret słyszały, że skarżę się na brak ciepłej wody. Kiedy weszłam do kuchni, zorientowałam się, że przerażała je sama myśl o sprzeciwie wobec Boggsa. Obie unikały mojego wzroku i milczały jak zakłęte, udając, że są całkowicie pochłonięte pracą. Wyglądały, jakby chciały podkreślić, że nie mają nic wspólnego z moim buntem.

- Czemu wszyscy tak się boją tego faceta?! - krzyknęłam, tracąc panowanie nad sobą. - Przecież to nie on jest tu panem domu, czy może się myłę?

- Bądź tak dobra i obierz ziemniaki - poleciła pani Chester, nie odpowiadając na moje pytania. Potem znów odwróciła się do mnie tyłem.

Mary Margaret zerknęła na mnie i szybko opuściła wzrok.

- Gdybyście o tym jeszcze nie wiedziały, to niewolnictwo już dawno zostało zniesione - mruknęłam pod nosem, ale gdy nie odpowiedziały, nie kontynuowałam tematu. Ostatecznie to ich sprawa, jak chcą żyć. Ja w każdym razie nie miałam zamiaru traktować Boggsa, jakby był pierwszym po Bogu.

W piątek wieczorem właśnie podawałyśmy z Mary Margaret do stołu, gdy zadzwonił telefon. Zaraz potem w drzwiach jadalni stanął Leo.

- Dzwoni pani Hudson z Ameryki, proszę pani - oznajmił. Wiadomość, że dzwoni babcia zelektryzowała mnie.

- Proszę, proszę, moja siostra wreszcie raczyła zadzwonić. Można by pomyśleć, że pamięta, o której jadamy kolację.

Telefon stał w salonie.

- Zabierzcie jedzenie do kuchni i wstawcie do piecyka, żeby nie wystygło - poleciła ciotka Leonora.

Poczułam się okropnie rozczarowana, bo straciłam nadzieję, że będę miała okazję rozmawiać z babcią Hudson, ale w chwili po nas do kuchni wszedł Leo i poprosił mnie do telefonu. Pośpiesznie ruszyłam do salonu.

- Moja siostra koniecznie chce z tobą rozmawiać, kochanie - oznajmiła zaskoczonym tonem ciotka Leonora. - Chce chyba usłyszeć bezpośrednio od ciebie, że nie dzieje ci się żadna krzywda.

Podawała mi słuchawkę.

- Dziękuję - powiedziałam. - Halo?

- Czy moja siostra stoi tam nad tobą? - zaczęła babcia Hudson.

Roześmiałam się w duchu.

- Tak.

- Czy bardzo jest ci z nimi źle?

Wiedziałam, że gdybym powiedziała prawdę, babcia Hudson przyleciałaby pierwszym samolotem do Anglii albo zabrałaby mnie do domu. Tymczasem sytuacja była o tyle skomplikowana, że mimo niewygód, jakie znosiłam na co dzień, coraz lepiej czułam się w szkole. Polubiłam wszystkich nauczycieli, nawet profesora Wilheima, który wydzielał pochwały tak oszczędnie, jakby to były klejnoty.

- Nie.

- Masz dość pieniędzy?

- Tak.

- A jak ci idzie w szkole? Czy istotnie jest tak dobra, jak się chwalił Conor MacWaine?

- Myślę, że tak. Lubię swoją grupę. Jest dużo bardzo zdolnych ludzi. Uczniów i nauczycieli.

- Tylko nie zapominaj, że i ty należysz do tych zdolnych młodych ludzi. - Babcia Hudson zawahała się na chwilę, a potem dodała. - Ten kretyński lekarz kazał mi się znowu położyć na kilka dni do szpitala. W przeciwnym razie już dawno bym do ciebie zadzwoniła.

- Do szpitala? Dlaczego?

- Ten cały rozrusznik nie działa, jak powinien. Niewykluczone, że będą go wymieniać. Myślę o tym, żeby pozwać kogoś do sądu, tylko nie zdecydowałam jeszcze, kto to będzie. Może pozwę wszystkich naraz.

- A jak sprawa wygląda teraz? Dobrze?

- Jak to mówi doktor Lewis, jestem pod obserwacją. Nie przejmuj się. Jeszcze mi za to zapłacą.

Roześmiałam się.

Zerknęłam na ciotkę Leonorę. Przekrzywiła głowę i przyglądała mi się ze zdziwioną i pełną niepokoju miną.

- Twoja matka dzwoniła, żeby spytać, jak ci się powodzi. Powiedziałam jej, żeby do ciebie zatelefonowała, ale zwróciła mi uwagę, że mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Każda wymówka jest dobra - mruknęła babcia Hudson. - Pozdrowienia od Jake'a - dodała.

- Dziękuję. Proszę mu powiedzieć, że za nim tęsknię.
- Wygląda to na uczucie z wzajemnością. Ostatnio tak często o tobie słyszę, że czasem mi się wydaje, że zaraz wyjdiesz ze swojego pokoju.

Znów się roześmiałam. Ciotka Leonora popatrzyła na mnie wielkimi oczami.

- Jak cię traktuje mój szwagier? Jakbyś należała do niższej kasty?

- Nie jest tak źle - zapewniłam ją i obiecałam: - Napiszę o wszystkim. O szkole i o tym, co widziałam w Londynie.

- Bardzo dobrze - pochwaliła ten pomysł babcia Hudson. - Daj mi teraz Leonorę. Jestem pewna, że stoi nad tobą i dyszy ci w kark.

- Dziękuję za telefon - powiedziałam i uśmiechnęłam się do ciotki. - Pani Hudson chce z panią rozmawiać.

- Właśnie się zastanawiałam, czy moja siostra w ogóle zechce ze mną zamienić choćby słówko - mruknęła ciotka Leonora. Wzięła do ręki słuchawkę, ale nim zaczęła rozmowę, poczekała, aż wyjdę z pokoju.

Kiedy skończyła, wróciła do jadalni i bez słowa usiadła przy stole. Mary Margaret natychmiast wyjęła kolację z piekarnika. Podałyśmy do stołu.

- Jak długo mieszkałaś z moją siostrą? - Ciotka Leonora wpatrywała się we mnie uważnie.

- Około pół roku.

- Moja siostra ma do ciebie wyraźną słabość. Powinnaś być tym zaszczycona. Frances bardzo rzadko wyraża się o kimkolwiek z sympatią. Zawsze surowo osądzała innych. Ma to po ojcu. Zresztą mniejsza z tym. W każdym razie możesz się czuć wyróżniona - zakończyła, uśmiechając się do mnie blade.

Miałam dziwne wrażenie, że moja ciotka jest zazdrosna o uczucia, jakimi darzy mnie babcia Hudson.

- Doceniam wszystko, co pani Hudson dla mnie zrobiła.

- Jestem tego pewna. Miała mi więcej do powiedzenia o tobie, niż o własnych wnukach. Domyślam się, że poznałaś dzieci Megan?

- Tak.

- Tyle razy je zapraszałam do Anglii - Ciotka posmutniała. - Megan z mężem byli nawet kiedyś w Londynie, ale do nas nie zajrzeli. Podobno bardzo się śpieszyli w dalszą podróż po Europie. Nie rozumiem, dlaczego nie wpadli choćby na filiżankę herbaty. Victoria z kolei jest zanadto zajęta pracą, żeby móc jeździć po świecie. A co z twoją rodziną, kochanie?

- Mam brata. Jest w wojsku. Stacjonuje w Niemczech i mam nadzieję, że któregoś dnia mnie odwiedzi.

- Ja również się spodziewam, że to zrobi. Miło jest mieć koło siebie bliskich - dodała ciotka Leonora melancholijnym tonem.

Zaczęła jeść, zapatrzona w stojące obok po prawej puste krzesło. Zrozumiałam, że kompletnie zapomniała o mojej obecności. Wróciłam do kuchni. Kiedy ciotka skończyła, posprzątałyśmy z Mary Margaret jadalnię, pozmywałyśmy naczynia i zjadłyśmy własną kolację, jak zwykle, w kuchni. Potem Mary Margaret i pani Chester poszły do siebie.

W domu panowała głucha cisza. W sobotę po południu zamierzałam się wybrać z Randallem Glennem na zwiedzanie Londynu. Umówiliśmy się, że Randall przyjdzie po mnie rano, gdy uporam się z obowiązkami domowymi. Byłam bardzo przejęta, bo po raz pierwszy miałam zobaczyć sławne budowle - wieżę Tower, opactwo westminsterskie, pałac Buckingham i inne miejsca. Mieliśmy tak dużo do oglądania i do zwiedzania, że w ciągu kilku godzin można było co najwyżej rzucić na to wszystko okiem.

Na razie postanowiłam poczytać zadaną w szkole lekturę i wcześniej położyć się spać. Mój ciasny pokoik, oświetlony zawieszoną pod sufitem słabą żarówką, był jednak tak nieprzyjemnym miejscem, że z książkami pod pachą przenieśliśmy się do salonu. Tak mnie wciągnęła lektura *Nory* Henrika Ibsena, że nie usłyszałam, kiedy wrócił do domu wuj Richard. Nie usłyszałam też, jak szedł korytarzem. Po prostu naraz poczułam na sobie czyjś wzrok, uniosłam oczy i zobaczyłam

wuja. Stał w drzwiach salonu i wpatrywał się we mnie. Nie mam pojęcia, jak długo mi się tak przyglądał.

- Och! - Omal nie podskoczyłam na kanapie. - Nie słyszałam, kiedy pan wszedł. Mam nadzieję, że nie ma nic złego w tym, że tu siedzę?

- Ależ skąd. Czemu miałyby być w tym coś niestosownego?

Chciałam powiedzieć, że pod surowym spojrzeniem Boggsa można odnieść wrażenie, że wszystko jest zakazane. Mieszkałam tu dopiero od tygodnia, a już mogłabym przedstawić długą na dobrych kilka stron listę dziwacznych ograniczeń, których przyczyn i sensu nikt mi nie wyjaśnił.

- Co czytasz?

- *Norę, czyli Dom lalki*. To dramat Ibsena.

- Tak, wiem. Znam to. Podoba ci się w nowej szkole?

- Tak.

Wuj Richard skinął głową. Miałam wrażenie, że czuje się niezręcznie, stojąc tak w drzwiach i rozmawiając tylko ze mną jedną.

- Jak sobie radzisz z podróżowaniem po Londynie?

- Jeżdżę w zasadzie tylko do szkoły i z powrotem. Nie sprawia mi to żadnych trudności.

Wuj uśmiechnął się lekko i znów kiwnął głową.

- Żałuję, że jestem teraz taki zajęty. Chętnie poświęciłbym więcej czasu i pomógł ci poznać lepiej Anglię, ale, niestety, nie mogę. Zresztą jestem pewien, że i tak sobie radzisz. Pani Endfield wydaje się zadowolona z ciebie. Mam nadzieję, że w dalszym ciągu tak będzie, a inwestycja mojej szwagierki okaże się korzystna dla wszystkich. Czytaj dalej. - Wuj wykonał nieokreślony gest ręką, jakbym ćwiczyła na fortepianie.

Potem odwrócił się na pięcie i zniknął. Później, gdy wracając do siebie, mijałam drzwi salonu bilardowego, zobaczyłam, że siedzi samotnie w fotelu i pali cygaro, wpatrując się w czarny prostokąt okna. Ponieważ był zwrócony tyłem do drzwi, nie zauważył mnie, kiedy przechodziłam korytarzem.

Wszyscy mieszkańcy tego domu wydawali się dziwnie samotni. Pomyślałam, że ciotka Leonora siedzi, a może śpi, na górze w swoim pokoju i zapewne nawet nie wie, że jej mąż jest w domu. A jak mogło wyglądać życie Boggsa? Nikt nie wspominał o jego rodzinie, zresztą, prawdę mówiąc, nie wyobrażałam sobie, żeby jakakolwiek kobieta zechciała zostać jego żoną. Jeśli miał dziecko lub dzieci, szczerze im współczułam. Leo był już starszym człowiekiem i wydawał się całkiem zadowolony ze swojej klitki nad garażem. Mary Margaret zachowywała się jak ślimak czy żółw, gotów w każdej chwili schować się do swej skorupy. Nie zdobyłam się na odwagę, by zadać jej jakiegokolwiek bardziej osobiste pytanie. Nie wiedziałam, czy w ogóle ma coś takiego, jak prywatne życie.

Zastanawiałam się, czy wszyscy mieszkańcy domu wpatrują się pustymi oczami w ciemne okna, podobnie jak wuj Richard. Radość i śmiech częściej gościły w naszym nędznym mieszkaniu w Waszyngtonie, niż w tej luksusowej rezydencji.

Szłam korytarzem szybko, ale ostrożnie, jakbym stapała po kruchym lodzie. W całym domu i w życiu wszystkich jego mieszkańców panowała tak przeraźliwa cisza, że bałam się ją zakłócić choćby najlżejszym skrzypnięciem podłogi.

Po rozmowie z ciotką Leonorą Boggs musiał jednak coś zrobić z termą w łazience. Choć mimo reperacji urządzenie wciąż zachowywało się złośliwie i chimerycznie, czasami z kranu leciała gorąca woda, i to mi całkowicie wystarczało. Odkręciłam kurek. Woda była dostatecznie ciepła, żeby można się było wykapać. Wanna wydawała mi się jednak tak odrażająca i brudna, że nim napuściłam wody, przez dłuższy czas ją szorowałam. Bez rezultatu. Pomyślałam, że rdzawe plamy musiały się weźreć w jej ścianki chyba jeszcze w czasach sir Godfreya Rogersa.

Mimo obrzydzenia napełniłam wannę i zrzuciłam ubranie. Ciepła woda była cudownie kojąca. Chciałam ładnie wyglądać, gdy spotkam się z Randallem, więc wylałam na dłoń szampon i zaczęłam myć włosy. Potem odchyliłam głowę i zanurzyłam

je w wodzie. Przez chwilę płukałam włosy, a potem znów usiadłam w wannie.

W pewnej chwili poczułam lodowaty powiew. Odwróciłam głowę i zobaczyłam, że drzwi do łazienki są na oścież otwarte. Serce we mnie zamarło. Przez chwilę po prostu siedziałam i wpatrywałam się w otwarte drzwi, czekając, co się dalej wydarzy. Było cicho. Nikt się nie pokazał. Z bijącym sercem wyszłam z wanny, szybko owinęłam się ręcznikiem i podeszłam na palcach do drzwi. Wyrzałam ostrożnie na korytarz.

Nikogo nie było. Czy drzwi mogły się po prostu otworzyć same?

Może otworzył je duch kochanki sir Godfrey'a Rogersa, pomyślałam i zaśmiałam się do siebie.

W domu wciąż panowała przytłaczająca cisza. Nie słyszałam ani skrzypienia podłogi, ani żadnych odgłosów życia. Wpatrywałam się w mroczny korytarz, dopóki lodowaty przeciąg nie przyprowadził mnie o dreszcz. Zamknęłam starannie drzwi, wytarłam się, wyjęłam zatyczkę z wanny, włożyłam koszulę nocną i wróciłam do pokoju.

Nie mogłam zasnąć, może dlatego, że wciąż się trochę bałam. Po chwili spędzonej w ciemności zapaliłam światło i na nowo zaczęłam czytać *Norę*. Nagle usłyszałam czyjś kroki przed domem. Zamknęłam książkę i zgasiłam światło. Potem wyrzałam ostrożnie przez okno.

Był pochmurny wieczór, księżyc to chował się za chmurami, to znów rozjaśniał swym blaskiem ciemny ogród. Przez chwilę zdawało mi się, że widzę jakąś postać, powoli idącą alejką. Gdy księżyc zniknął za chmurą, i ona znikła. Potem znów zrobiło się jaśniej i zobaczyłam sylwetkę mężczyzny wchodzącego do domku. Chwilę później ktoś zapalił w domku światło. Czekałam i patrzyłam. Czy to Boggs? Leo?

Nagle usłyszałam kroki w korytarzu, tuż za drzwiami mojego pokoju. Odwróciłam się na pięcie. Zastygłam w bezruchu i nasłuchiwałam, dopóki kroki nie ucichły. Gdzieś w domu trzasnęły drzwi, a potem znowu zapadła cisza.

Wyrżałam przez okno. Przez jakiś czas było ciemno, aż nagle księżyc wyłonił się zza chmur. Ku swojemu zdumieniu, zauważyłam kolejną osobę zbliżającą się alejką do domku - małą i szczupłą jak dziecko. Wyteżyłam wzrok. Zanim zdołałam się jej lepiej przyjrzeć, gruba warstwa chmur zasłoniła księżyc i zapadły egipskie ciemności.

Po chwili obie sylwetki pojawiły się w oknie domku - dwie ciemne postaci, jedna duża, druga mała. Zbliżyły się do siebie, a potem zniknęły gdzieś w głębi. Jeszcze przez jakiś czas czekałam przy oknie, aż znów się pojawia, ale w końcu poczułam się znużona i powieki zaczęły mi ciążyć.

A więc ktoś wchodzi do domku, który - zgodnie z tym, co słyszałam - miał być zawsze zamknięty i niedostępny dla nikogo, pomyślałam. No to co? I bez tego miałam o czym myśleć, wcale mi nie było potrzeba dodatkowych problemów i tajemnic. Wróciłam do łóżka. Wreszcie poczułam się śpiąca. Przed domem znów rozległy się kroki, ale nie chciało mi się już odrywać głowy od poduszki. Zamknęłam oczy i, sama nie wiem kiedy, zapadłam w sen.

Boggs wstał, zanim jeszcze zadzwonił mój budzik. Usłyszałam jego ciężkie kroki w korytarzu. Zadawałam sobie pytanie, czy ten facet w ogóle sypia? Jak to możliwe, żeby ktoś traktował swoją pracę z taką powagą, jakby od tego zależało życie? Boggs zachowywał się tak, jakby Endfield Place było pałacem Buckingham, a moi wujostwo królem i królową Anglii. Codziennie, czasem nawet dwa razy w ciągu dnia, obchodził cały dom, dokonując szczegółowej inspekcji. Odnosiłam wrażenie, że każdy przedmiot, każdy drobiazg ma swoje ściśle określone miejsce. Jeśli popielniczka nie stała dokładnie tam, gdzie powinna, Boggs przesuwał ją na właściwe miejsce. Gdy wspomniałam o tym pani Chester i Mary Margaret podczas sobotniego śniadania, kucharka skinęła głową, a potem się zaśmiała i dodała:

- Poczekaj, aż zobaczysz białą rękawiczkę.

Białą rękawiczkę? Nie rozumiałam, o co jej może chodzić, ale nie musiałam długo czekać, by się to wyjaśniło.

Zaraz po śniadaniu zaczęłyśmy z Mary Margaret odkurzać salon i polerować meble. Kiedy skończyłyśmy, natknęłyśmy się w drzwiach na Boggsa. Chciałam zacząć sprzątanie toalety przy pokoju bilardowym, ale mnie zatrzymał.

- Zaczekaj chwilę - polecił lodowatym tonem.

Patrzyłam na niego, czekając, co będzie dalej. Boggs sięgnął do kieszeni i wyjął białą bawełnianą rękawiczkę. Wsunął w nią dłoń i wszedł do salonu.

- Co on robi?

Mary Margaret tylko pokręciła głową, jakby w obecności Boggsa nie było nam wolno pisnąć choćby słówkiem.

Boggs szedł od krzesła do krzesła, od stolika do stolika, i przesuwał dłoń w rękawiczkę to po blacie, to po nogach mebla. Za każdym razem oglądał uważnie wnętrze dłoni. W pewnej chwili sięgnął pod mały okrągły stolik, po czym odwrócił się i wyciągnął do nas otwartą dłoń w rękawiczkę. Na białym materiale widać było ślad kurzu.

- I co?

Mary Margaret szybko podeszła do stolika, schyliła się i wytarła dokładnie stolik.

- Czy oczekuje pan od nas, że odkurzymy każdy kąt?

- Oczekują tego pan i pani Endfield. Ja po prostu pilnuję, żeby ich wymagania zostały spełnione. - Boggs rozejrzał się po salonie, skinął głową i wyszedł, by oczekiwać nas przed wejściem do pokoju bilardowego.

- Mojemu bratu w wojsku żyje się chyba lżej niż nam - zwróciłam się do Mary Margaret.

Jak zwykle, nie odpowiedziała mi ani słowem. Nieraz sprzątałam w domu, więc wzięłam się do toalety w przekonaniu, że wiem, jak to zrobić. Jednak kiedy skończyłam, Boggs wyszukał miejsca, które pominęłam, pewna, że nikt nie będzie ich sprawdzał. Był nieustrudzony i zdawał się mieć przy sobie niewyczerpany zapas czystych białych rękawiczek. Za każdym razem, gdy znalazł choćby ślad kurzu czy brudu, z surową miną

podtykał nam rękawiczkę pod nos, po czym wkładał nową, by po raz kolejny przeprowadzić swój test.

Z Boggsa, który pilnował nas jak nadzorca niewolników, sprzątanie domu zajęło mi dużo więcej czasu, niż się spodziewałam. Kiedy wreszcie skończyłam, ledwie zdążyłam się przebrać, nie mówiąc nawet o tym, żeby się umyć czy porządnie uczesać przed spotkaniem z Randallem.

Idąc do wyjścia, znów natknęłam się na Boggsa.

- Czeka na ciebie jakiś młody człowiek - oznajmił swoim zwykłym nieprzyjemnym tonem. - Zapamiętaj na przyszłość, że goście przychodzący w odwiedziny do służby czekają przed domem. Następnym razem spodziewaj się swoich gości przy wejściu.

- Dziś także chętnie bym to zrobiła, gdybym nie musiała sprzątnąć każdej drobiny kurzu, jaka jest w domu.

- Przestań narzekać i wypełniaj właściwie swoje obowiązki - odpowiedział zimno.

Nie mogłam się doczekać, kiedy wyjdę z domu. W towarzystwie Boggsa robiło mi się duszno, jakby w powietrzu brakło tlenu.

Randall czekał na mnie przed domem z niezbyt pewną miną. Diabli wiedzą, co Boggs mu powiedział, pomyślałam ze złością.

- Przepraszam, nie chciałam cię tu trzymać, ale właśnie poznałam kolejną regułę obowiązującą w tym domu. Goście przychodzący w odwiedziny do służby czekają przed domem. - Rzuciłam gniewne spojrzenie na frontowe drzwi. - I tak mam szczęście, że udało mi się w końcu wyrwać.

- Nic nie szkodzi. Jest taka ładna pogoda, że na pewno będzie przyjemnie.

Pod spojrzeniem Randalla poczułam się nagle bardzo świadoma swojego wyglądu.

Miał na sobie dżinsy, białą koszulę i turkusowy sweter. Potargane wiatrem kasztanowe włosy opadały mu na czoło.

- Muszę okropnie wyglądać. - Przesunęłam dłonią po włosach. - Z tym tyranem nad głową sprzątanie domu zajęło mi

więcej czasu, niż się spodziewałam. Zaczekaj jeszcze chwilę - poprosiłam - tylko się trochę ogarnę.

Pobiegłam do siebie i wciągnęłam dżinsy i bluzkę z krótkimi rękawami. Wychodząc z pokoju, chwyciłam jeszcze jasnoniebieską skórzaną kurtkę. Kiedy znalazłam się z powrotem przed domem, pomyślałam, że będzie mi w niej za ciepło, ale nie miałam najmniejszej ochoty wracać. Bałam się, że w holu czeka Boggs, żeby zapoznać mnie z kolejną idiotyczną zasadą, stanowiącą na przykład, że służbie wolno opuszczać dom najwyżej raz dziennie czy coś w tym rodzaju.

- Świetnie wyglądasz. - Randall uśmiechnął się do mnie i kiwnął głową, jakby chciał w ten sposób nadać swoim słowom większą wagę.

Wierzyłam mu. Randall miał w sobie coś świeżego, szczerego i niewinnego, co wcale nie tak często zdarzało mi się spotykać u chłopaków. Nie bał się mówić tego, co myśli, ani nie starał się maskować swoich spojrzeń. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że pierwszy raz w życiu wybiera się z dziewczyną na spacer.

Randall sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów i wyjął cienką książeczkę.

- To wykaz największych atrakcji w Londynie. Jesteśmy tu... - Wskazał palcem punkt na planie miasta. - Powinniśmy zacząć od pałacu Buckingham, potem możemy pójść do Trafalgar Square i National Gallery. O której musisz wrócić do domu?

Jego pytanie obudziło we mnie niepokój.

Nie wiedziałam, czy powinnam wrócić na kolację, czy mam wolny wieczór. Ciotka Leonora nic na ten temat nie wspominała, a rozmawiać z Boggsem nie miałam najmniejszej ochoty.

- Nie wiem - przyznałam.

Uśmiech zniknął z twarzy Randalla.

- Jak to?

- Nie mówiłam pani Endfield, dokąd się wybieram. Nie wiem, czy spodziewa się, że będę na kolacji, czy mam wolny

wieczór. Przepraszam cię, ale muszę jeszcze raz wrócić i spytać ją o to.

- Jasne. Poczekam tu.

- Zaraz wracam - obiecałam i pobiegłam do domu.

Spodziewałam się, że lada chwila z jakiegoś pokoju wyłoni się Boggs, ale nigdzie go nie było widać. Pani Chester i Mary Margaret poszły po zakupy. W domu panowała głucha cisza. W pierwszej chwili chciałam zostawić ciotce wiadomość, ale to nie rozwiązywało problemu, więc ruszyłam schodami na piętro, by sprawdzić, czy Leonora jest u siebie.

Gdy stanęłam przed drzwiami jej sypialni, usłyszałam głos, który nucił dziecienną piosenkę. Dobiegł mnie nawet cichy śmiech, przypominający śmiech dziecka. Zapukałam do drzwi.

- Pani Endfield? Pani Endfield, to ja, Rain. Chciałabym panią o coś spytać, czy mogę wejść?

Piosenka umilkła. Odczekałam chwilę i zastukałam ponownie, tym razem mocniej. Ku mojemu zaskoczeniu, drzwi uchyliły się nieco.

- Pani Endfield?

I znów nikt nie odpowiedział. Zajrzałam do pokoju. Ciotka Leonora siedziała w bujanym fotelu, tyłem do drzwi, z opuszczoną głową, trzymając coś w ramionach. Właśnie miałam odezwać się do niej po raz kolejny, gdy jakaś żelazna dłoń chwyciła mnie za ramię i odwróciła w miejscu.

To był Boggs. Zanim się odezwał, sięgnął do klamki i zamknął drzwi.

- Jak śmiesz szpiegować panią Endfield? - rzucił szeptem.

- Nikogo nie szpieguję. Pukałam do pani Endfield, ale nie odpowiadała. Drzwi same się uchyliły, widać nie były domknięte - odpowiedziałam normalnym tonem. Miałam nadzieję, że moja ciotka usłyszy odgłosy rozmowy i wyjrzy z pokoju, bo szczerze mówiąc, czułam się nieswojo sam na sam z Boggsem, który stał nade mną wielki jak góra i najwyraźniej wściekły, że naruszam kolejne niepisane zasady postępowania, obowiązujące w tym upiornym domostwie.

- Czego chcesz od pani Efield? Podobno miałaś dokąd wyjść? - dorzucił pełnym złości głosem.

- Jeśli musi pan wiedzieć, to po pierwsze, chciałam powiedzieć pani Endfield, że wychodzę, a po drugie, chciałam spytać, czy muszę wrócić na kolację.

- Z takimi pytaniami masz się zwracać do mnie, a nie do pani Endfield. Czy ty w ogóle nie słuchasz, co się do ciebie mówi? Przecież wyraźnie powiedziałem, że masz dziś wolne. A co do dzisiejszego wieczoru, to gdybyś miała wrócić na kolację, powiedziałbym ci o tym. Na przyszłość słuchaj, co się do ciebie mówi, i nie martw się o to, co ciebie nie dotyczy. A przede wszystkim - dodał groźnym tonem - nie myślkuj po domu.

- Dobrze. Wobec tego idę.

Ominięłam Boggsa szerokim łukiem i ruszyłam w stronę schodów. Nie odezwał się ani słowem, ale schodząc na dół, czułam na sobie jego wzrok. Serce mi waliło, byłam spocona jak mysz. Dosłownie wybiegłam z domu.

Randall czekał oparty o ogrodzenie. Na mój widok natychmiast się wyprostował.

- Wszystko w porządku?

- Nie. Chodźmy stąd. Natychmiast.

Ruszyliśmy szybkim krokiem. Przez chwilę Randall szedł obok mnie bez słowa. Kiedy oddaliliśmy się już o dobrych kilkaset metrów, stracił wreszcie cierpliwość i chwycił mnie za rękę.

- Zaczekaj, Rain. Pędzisz tak, że ledwo mogę za tobą nadążyć, a co gorsza, idziemy w przeciwną stronę, niż powinniśmy.

- Co? Jak? Co to znaczy w przeciwną stronę? - spytałam gorączkowo.

Kiwnięciem głowy wskazał mi właściwy kierunek.

- Czy ktoś cię skrzyczał? Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotu.

- Nie przejmuj się, to nie ma nic wspólnego z tobą. Wzruszył ramionami.

- Możemy pójść przez park, a potem wziąć taksówkę do pałacu Buckingham, chyba że chcesz najpierw zajrzeć do Harrodsa. To najszlachetniejszy dom towarowy na świecie.

- Nie wiem. Zaraz się zastanowię. Na razie chodźmy do Kensington Gardens. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Jasne. I tak zdążymy wszystko obejrzeć. W końcu będziemy w Londynie jeszcze przez dłuższy czas.

- Aha - mruknęłam w odpowiedzi. - Ty może będziesz, ale ja raczej nie.

- Co?

- Nic. Tak tylko gadam. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Spojrzałam za siebie, w stronę Endfield Place. Czemu ciotka Leonora w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi? Przecież musiała usłyszeć, że pukam. Waliłam w drzwi dostatecznie głośno, by zbudzić z wiekuistego snu ducha tragicznie zmarłej kochanki sir Rogersa.

I skąd tak nagle znalazł się przy mnie Boggs? Co robił przez cały dzień, czaił się gdzieś po najciemniejszych kątach, czy co? Czemu nie pozwolił mi rozmawiać z ciotką? I najważniejsze - co ciotka Leonora trzymała w ramionach?

Przeszedł mnie lodowaty dreszcz. Czuję, że Endfield Place skrywa jakąś tajemnicę, o której nawet babcia Hudson nie ma pojęcia, bo w przeciwnym razie nie wysłałaby mnie do tego dziwnego i niesamowitego miejsca.

ODMIENICY W LONDYNIE

Gdy szliśmy przez park, Randall wystąpił w roli przewodnika. Mówił przez nos z charakterystycznym brytyjskim akcentem. Odchylił przy tym głowę i spoglądał na wszystko z wyniosłą miną arystokraty.

- Przyległe do Hyde Parku Kensington Gardens stanowiły kiedyś dziedziniec pałacu Kensington, zwanego pierwotnie Nottingham House. W 1689 roku pałac został zakupiony przez Wilhelma III Orańskiego i jego żonę, królową Marię II, córkę Karola I. Do przenosin z niezdrowej okolicy, w jakiej położony był pałac Whitehall, do Kensington Pałace zmusiła króla astma, tak? Odetchnij głębiej. Rozkoszuj się tym wspaiałym powietrzem. Śmiało - zachęcał mnie Randall. - Wiesz? Jeden głęboki oddech i człowiek od razu lepiej się czuje.

Potem znów zajrzał do przewodnika.

- Po śmierci Wilhelma III w 1702 roku... - czytał - ...pałac Kensington został rezydencją królowej Anny. Christopher Wren zaprojektował dla niej oranżerię, a Henry Wise liczący trzydzieści akrów park. Ostatnim władcą mieszkającym w Kensington Pałace był Jerzy II, którego żona, Karolina, wywarła wpływ na późniejsze ukształtowanie Hyde Parku i Kensington Gardens. Żona?

Randall umilkł i zamyślił się. Potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Pomyśl tylko, gdyby nie miłość króla Jerzego do małżonki, być może w ogóle nie byłoby tego cudownego parku. Chwała Bogu za to, że stworzył słodkie dziewczyny, nie?

Ludzie przystawali obok nas, by posłuchać Randalla, a na ich twarzach pojawiały się uśmiechy. Miałam wrażenie, że słyhać go w całym mieście. Sama byłam zaskoczona tym, jak szybko poprawił mi się w jego towarzystwie nastrój. Kiedy doszliśmy nad słynny Round Pond, po którym dwaj chłopcy puszczali łódki, oboje zaśmiewaliśmy się na cały głos. Randall zaproponował, żebyśmy siedli na trawie i popatrzyli chwilę na staw. Usiadłam i objęłam kolana ramionami. Wokół słyhać było tylko krzyki i śmiech dzieci. Jakże daleko byliśmy w tej chwili od ponurego domu, w którym przyszło mi mieszkać!

Randall spoglądał na bawiących się chłopców. Na jego ustach błąkał się uśmieszek, ale zdawało mi się, że patrzy na nich z żalem czy zazdrością, jak starzy ludzie, którzy marzą, by na nowo stać się dziećmi.

- Jak tam jest w twoim rodzinnym mieście?

- W Toronto? Mieszkamy w modnej dzielnicy. Zawsze uczyłem się w prywatnych szkołach. Teraz chodzą do nich moja siostra i brat. Mój ojciec jest maklerem. Znakomicie prosperuje, ma klientów nie tylko w Ameryce, ale nawet w Hongkongu.

- A twoja matka?

Matki zawsze bardziej mnie ciekawiły, pewnie dlatego, że moja własna sprawiła mi takie rozczarowanie.

- Moja matka jest artystką - odpowiedział, bawiąc się żdźbłem trawy, jakby to był pędzel.

- Naprawdę?

- No, w każdym razie chciałyby nią być. Sprzedała trochę obrazów i małych rzeźb, ale rozeszły się głównie wśród krewnych i znajomych. Rok temu miała wystawę w niewielkiej galerii w Toronto. - Uśmiechnął się. - Osobiście podejrzewam, że maczał w tym palce mój ojciec, ale mama niczego się nawet nie domyśla. W przeciwnym razie zabrałyby stamtąd swoje prace w nowojorską minutę.

- Nowojorska minuta? Co to takiego?
- Nie znasz tego wyrażenia? Tata zawsze tak mówi. Znaczy to: „szybciej niż gdziekolwiek indziej”. Chyba dlatego, że w Nowym Jorku ludzie wciąż się śpieszą. - Randall przekrzywił głowę. - Nie uderzyło cię nigdy, że kiedy idziesz ulicą w Nowym Jorku, co chwila ktoś na ciebie wpada?
- Nigdy nie byłam w Nowym Jorku.
- Nie byłeś w Nowym Jorku? Przyjechałeś do Londynu, do Anglii, a nigdy nie widziałeś Nowego Jorku? - zapytał zdumiony.
- Nie zawsze miałam takie możliwości jak teraz. Wyjazd do Nowego Jorku był dla mnie kiedyś większym problemem, niż dziś podróż do Londynu.
- Nie rozumiem.

Słuchał cierpliwie, kiedy opowiadałam, z trudem dobierając słowa, o swojej sytuacji. Wiedziałam, co myśli. Skoro chodzę do ekskluzywnej szkoły w Anglii, to czemu nie mogłam sobie pozwolić na wyjazd do Nowego Jorku?

- Mój przyjazd tutaj jest częścią dobroczynnego programu edukacyjnego dla młodzieży z najbiedniejszych dzielnic Waszyngtonu. Można by powiedzieć, że wygrałam los na loterii.

- Czy to znaczy, że uczestniczyłaś w konkursie na wyjazd do szkoły pana MacWaine'a?

- Coś w tym rodzaju.

- Dostałaś stypendium? Jak? Wystąpiłaś na scenie? Śpiewałaś? Tańczyłaś?

- Grałam - odpowiedziałam, czując, jak na wspomnienie wydarzeń ostatnich miesięcy wzbiera we mnie gorycz. - Wciąż gram.

Randall spojrział na mnie wielkimi oczami.

- Czegoś tu nie rozumiem - oświadczył wreszcie, kręcąc głową.

- Wychowałam się w bardzo biednej rodzinie w Waszyngtonie. Mieszkaliśmy w komunalnych blokach w murzyńskim getcie.

- A twoi rodzice?

- Mój ojciec był pijakiem. Nigdy nie utrzymał się długo w żadnej pracy, zawsze przepuszczał wszystkie pieniądze. Matka harowała całymi dniami w supermarkecie.

Randall skinął głową, ale czułam, że to, co opowiadam, brzmi dla niego równie egzotycznie, jak fabuła filmu fantastyczno-naukowego.

- Masz rodzeństwo?

- Miałam młodszą siostrę, Beni. Zabili ją gangsterzy.

- Naprawdę? - Randall najwyraźniej musiał przeżyć niezły szok, kiedy to usłyszał.

- Uwierz mi, że nie zmyślałabym takich historii. Mam także starszego brata. Jest teraz w wojsku, w Niemczech.

Randall patrzył na mnie zaszokowany, jakby z mojej twarzy opadła maska i jakby teraz dopiero zobaczył, jaka jestem naprawdę.

- Czy twoi rodzice wciąż tam mieszkają? - spytał w końcu.

- Mój ojciec siedzi w więzieniu, a matka niedawno zmarła. Dość już chyba masz tych okropności? - Wstałam i ruszyłam przed siebie.

- Hej! - Randall zerwał się z miejsca i pobiegł za mną. - Przepraszam, nie chciałem ci popsuć nastroju.

- I nie zepsułeś. Ja się już urodziłam w złym humorze.

- Wcale na to nie wyglądasz. Mówię szczerze - zapewnił, gdy spojrzałam na niego z niedowierzaniem. - Kiedy pierwszy raz zaczęliśmy rozmawiać w szkole, pomyślałem, że jesteś inna niż wszyscy.

- Inni niż wszyscy. Może niż wszyscy, których znasz. - Roześmiałam się. - Jasne. Nie trzeba wiele czasu, żeby to zauważyć.

- Nie mówię, że twoja odmienność to coś złego. Jesteś... sam nie wiem... nie jesteś podobna do żadnej dziewczyny, jaką dotąd znałem.

- Wcale się temu nie dziwię.

Naraz ten jego świat, w którym wszystko szło gładko jak

po maśle, zaczął mnie drażnić. Zawsze doskonale mu się powodziło, miał dom, rodziców, pieniądze, a na dodatek niewątpliwie talent. Kto decydował o tym wszystkim? Czy gdzieś zasiada jakiś sędzia, który przygląda ci się, nim się urodzisz, i skinieniem ręki posyła cię do tej lub innej rodziny, do tego czy innego świata? Czym też mogliśmy sobie zasłużyć - ja, Beni czy Roy - na swój los? Czemu nasze życie potoczyło się tak bardzo odmiennym torem niż życie Randalla?

- Ty jesteś w czepku urodzony. Sam to właśnie powiedziałeś. Prywatne szkoły, bogata rodzina, piękny dom... galerie sztuki i teatry. Pewnie spędzaliście wakacje w różnych ciekawych i egzotycznych miejscach. Byłeś taki zdumiony, kiedy usłyszałeś, że nigdy w życiu nie byłem w Nowym Jorku!

- Ja tylko...

- Wiesz, czemu jestem inna? Bo przybyłam tu z innej planety, takiej, którą znasz wyłącznie z telewizji. I jeszcze z jednego powodu. Nie jestem ani czarna, ani biała. I kompletnie... zagubiona -jęknęłam i przyśpieszyłam kroku.

Nie oglądałam się za siebie. W głębi serca wiedziałam, że to niesprawiedliwe wylewać swoją gorycz na Randalla i czeptać się każdego jego słowa, ale w tej chwili wcale nie chciałam być sprawiedliwa. Maszerowałam zawzięcie, mijając szczęśliwe pary, trzymające się za ręce, rodziny, młodych ludzi z całego świata. Wokół siebie słyszałam najrozmaitsze języki - włoski, francuski, japoński, rosyjski... Naprawdę czułam się, jakbym przybyła z kosmosu. Wreszcie zmęczona opadłam na ławkę.

Siedziałam tak, patrząc na ruch uliczny - piętrowe autobusy, staromodne londyńskie taksówki, samochody europejskie i amerykańskie, ludzi czekających, aż zielony człowieczek zachęci ich do przejścia przez jezdnię. W powietrzu czuło się atmosferę karnawału, jakby cały świat wybrał się na wakacje.

- No, teraz to już naprawdę musiałem biec, żeby cię dogonić - usłyszałam głos Randalla. - Czy mogę usiąść?

- To publiczna ławka.

Jesteś naprawdę w fatalnym nastroju, Rain, powiedział mi jakiś wewnętrzny głos.

- Przepraszam, jeśli cię czymś uraziłem - zaczął Randall. - Proszę, uwierz mi.

- Dość mam już myślenia o sobie jak o jakimś odmieńcu. - Westchnęłam głęboko. - Chociaż przez chwilę chciałabym być kimś nudnym i zwyczajnym.

- Mówiąc, że jesteś inna, w żadnym wypadku nie chciałam powiedzieć, że gorsza. Mnóstwo ludzi chciałoby być „innymi” - ciągnął ostrożnie, jakby stapał po cienkim lodzie. Moja matka wciąż podkreśla swoją odmienność. Nienawidzi, kiedy ludzie traktują ją jak typową przedstawicielkę klasy średniej. Wiem, że tak jest, bo często o tym mówi. Myślę, że właśnie dlatego tak bardzo chce być artystką. Podczas gdy żony przyjaciół mego ojca uczęszczają na imprezy dobroczynne, popołudniowe koktajle i tak dalej, ona siedzi w swoim studiu i się maluje.

- Siebie?

- Zawsze wychodzi stamtąd wymazana farbą. Ojciec twierdzi, że kosztuje farb, zanim ich użyje.

Odwróciłam głowę, żeby ukryć przed Randallem łzy. Jakie to musi być cudowne, mieć rodziców, którzy kochają się nawzajem i tworzą dla swoich dzieci taki wspaniały, ciepły świat.

- To prawda - przyznał, spuszczać wzrok, że nie mam prawie żadnych czarnych znajomych. Ale też - dodał i odwrócił się do mnie - szczerze mówiąc, równie niewiele mam białych. To chyba dlatego, że chodziłem do szkoły muzycznej, wciąż miałem te szkolenia głosu, a kiedy już wróciłem do domu, dalej ćwiczyłem głos, bo moich rodziców opętała myśl, żeby zrobić ze mnie śpiewaka - wyznał z nutką gorczy w głosie.

- A ty nie chciałeś zostać śpiewakiem?

- Nie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. - Randall odchylił głowę i spojrzał w niebo. - Wiesz, kiedy patrzyliśmy

na tych chłopców nad Round Pond, myślałem o tym, jak mało się w życiu tak naprawdę bawiłem. Zamiast zabawkami, rodzice uszczęśliwiali mnie lekcjami gry na fortepianie. Na dodatek zachowywali się tak, jakby się bali, że jeśli będę uprawiał sport, to się przeziębę i stracę głos. Pozwolili mi jeździć na desce, ale do drużyny hokejowej już nie mogłem wstąpić, bo treningi kolidowały z rozkładem zajęć muzycznych.

- Wiesz co, Rain - podjął po krótkiej przerwie, jakby dopiero teraz go to uderzyło. - Ja też w oczach większości ludzi jestem odmieńcem, często czułem, że patrzą na mnie, jakbym się dziwnie zachowywał.

- Aha - rzekłam niepewnie. Takim chłopakom jak on dziewczyny potrafią gorsze rzeczy wybaczyć.

- Mówię ci o tym, co czuję.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że nie miałeś żadnych dziewczyn?

Roześmiał się.

- Miałem dziewczynę. Nazywała się Nicolette Sabon. Uczyliśmy się muzyki u tego samego nauczyciela, pana Wegmana. Żeby nie wypadł z rytmu, stukał mnie linijką po głowie. Śpiewaliśmy z Nicolette w duecie, występowaliśmy w przedstawieniach szkolnych, na posiedzeniach towarzystw dobroczynnych i organizacji kobiecych. W rezultacie spędzaliśmy razem wiele czasu. Któregoś dnia powiedziała mi, że jestem jej chłopakiem, a ona moją dziewczyną, i to takim tonem, jakbym nie miał wyboru. Jakby zdecydowała o tym jakaś siła wyższa.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Dwanaście. A Nicolette jedenaście.

- Dwanaście? Jedenaście? I to był twój jedyny romans?

Randall wzruszył bezradnie ramionami.

- Kiedy miałem piętnaście lat, spodobała mi się pewna dziewczyna, ale ponieważ nie zabierałem jej do pubów i dyskotek, tylko zapraszałem ją na koncerty albo na wystawy, uznała mnie za wariata. Bardzo wyraźnie to wtedy poczułem.

Powiedziała, że owszem, jestem przystojny, ale szkoda tylko mojego dobrego wyglądu. Kiedy rozniosło się o tym w szkole, miałem ochotę schować się do mysiej dziury.

- To była jakaś idiotka. To doskonale, że jesteś przystojny. Ludzie będą mieli równie wiele przyjemności z oglądania cię, jak ze słuchania. Masz piękny głos i znakomity wygląd. Czego można chcieć więcej?

Randall zrobił wielkie oczy.

- Sam nie wiem, czy mnie lubisz, czy nienawidzisz.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Oczywiście, że nie czuję do ciebie nienawiści. Już raczej nienawidzę samą siebie. - Znowu spowaźniałam. - W tych sprawach nie ma miejsca na „może”. Nienawidzę siebie.

- Nie powinnaś. Oczywiście, nie mam prawa ci niczego sugerować. Wiem, że nie potrafię zrozumieć świata, w jakim żyłaś, ani tego, co przeszłaś, nim tu trafiłaś. Powiem ci tylko, że widziałem dużo tak zwanych utalentowanych dziewczyn i mogę stwierdzić, że mało która mogłaby się z tobą równać.

- Mówisz poważnie?

Popatrzyłam w błękitne oczy, jasne i niewinne jak letnie niebo.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie chciałam być taka napastliwa. Miałam dziś dziwaczne i nieprzyjemne przedpołudnie, a na dodatek zaczynam trochę tęsknić za domem.

- Zabawne. - Randall pokiwał głową. - Jakkolwiek ciężkie i trudne byłoby nasze życie, kiedy za długo jesteśmy poza domem, zaczynamy za nim tęsknić.

- To pewnie dlatego, że znaleźliśmy się pośród obcych ludzi, w nieznanym mieście.

Znów skinął głową, a potem twarz mu się rozjaśniła.

- W takim razie chodźmy, poznajmy to miasto lepiej. Przecież po to się dziś właśnie spotkaliśmy, czy nie?

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej przewodnik.

- Pałac Buckingham... - Randall czytał przez chwilę, po

czym spojrział na zegarek, chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą tak gwałtownie, że omal nie spadłam z ławki. - Chodź szybko!

- Dokąd? Po co?

Randall ciągnął mnie przez trawnik w kierunku Knightsbridge Road.

- Musimy złapać taksówkę.

- Po co?

- Jeśli się pośpieszymy, zdążymy na zmianę warty!

Tak się szczęśliwie złożyło, że gdy dobiegliśmy do jezdni, właśnie nadjechała taksówka.

- Pałac Buckingham, proszę. Najszybciej, jak pan może! - rzucił Randall, gdy tylko zatrzasnęliśmy za sobą drzwi.

- Już się robi - odpowiedział z uśmiechem kierowca.

Podczas gdy ja starałam się złapać oddech, Randall siedział z nosem w przewodniku.

- Pałac Buckingham jest stołeczną siedzibą królów. Swą nazwę zawdzięcza księciu Buckingham i Chandos, który wznosił go w XVIII wieku. Król Jerzy III odkupił pałac od właściciela w 1761 roku.

- Pomyśl tylko, Rain, zbudowali go i sprzedali, zanim w ogóle powstały Stany Zjednoczone.

Nie wiem, czy zawdzięczałam to po prostu towarzystwu Randalla, czy podnieceniu wywołanemu nowym otoczeniem i słoneczną pogodą, ale przygnębienie nagle mnie opuściło i na nowo poczułam pragnienie, żeby wznieść się ponad swoją przeszłość i poznać swą prawdziwą tożsamość. Choćby nawet tutaj, tak daleko od wszystkiego i wszystkich, których znałam.

Obejrzeliśmy zmianę warty przed pałacem Buckingham, zwiedziliśmy stajnie królewskie i galerię królowej, ale wszystko to zajęło nam dużo więcej czasu, niż spodziewał się Randall. Mimo to pojechaliśmy kolejną taksówką na Trafalgar Square. Ogromny plac był pełen ludzi. Nie wiedziałam, dokąd iść.

Randall poprowadził mnie do fontanny, a potem zrobiliśmy krótki spacer i obejrzelśmy pałac Whitehall, Big Bena i gmach parlamentu. Potem Randall zaproponował, żebyśmy wrócili na Trafalgar Square i zwiedzili National Gallery.

- Byłem tam dwa razy z rodzicami, ale to i tak za mało, żeby wszystko zobaczyć. Chodź, Rain, sama się przekonasz.

Miałam wrażenie, że się ścigam z czasem, starając się zobaczyć jak najwięcej, zanim niewidzialny zegar wybije dwunastą, a ja zmienię się na powrót w zapracowanego Kopciuszka. Randall zachowywał się tak, jakby się bał, że nagle stanę w miejscu i powiem: „Nie chcę oglądać z tobą nic więcej”. Starał się utrzymać mnie w nieustannym ruchu, wciąż mi coś pokazywał i nieustannie o czymś opowiadał.

- National Gallery posiada jedną z najwspanialszych kolekcji dawnych mistrzów, jakie w ogóle istnieją na świecie, ma również doskonały zbiór impresjonistów. Znasz się na malarstwie?

- Nie.

- Wobec tego powinnaś odwiedzać co jakiś czas National Gallery. To cudowne miejsce do poznania historii sztuki. Są tu obrazy od trzynastego do końca dziewiętnastego wieku.

Randall zasypywał mnie nazwiskami sławnych malarzy i pokazywał ich obrazy. W końcu poczułam się nie tylko zmęczona fizycznie, ale także wyczerpana umysłowo.

- Nie mogę łyknąć Londynu w jednym kawałku, Randall. Nie dają już rady, ale obiecuję, że jeszcze tu wrócimy.

Roześmiał się.

- Dobrze, dobrze. Chodź, przejdziemy się do Big Bena, jest takie piękne popołudnie. Obiecuję, że nie będę cię więcej popędzał. Będiesz poznawała Londyn takimi porcjami, jakie uznasz za odpowiednie.

Wyszliśmy z National Gallery.

- Gdy spaceruję po okolicach, które znam - powiedziałam, kiedy przechodziliśmy przez Trafalgar Square - czuję się czasem, jakbym spała z otwartymi oczami, ale w takich miejscach

jak to, gdzie wszystko jest nowe, nie mogę się napatrzeć na świat. To męczące.

- No oczywiście. Trochę zanadto ponosi mnie entuzjazm. Przepraszam.

- Nie mam do ciebie pretensji. Podejrzewam, że gdyby było odwrotnie i gdybym to ja znała Londyn, pewnie ciągałabym cię po tym mieście z nie mniejszym entuzjazmem, żeby ci wszystko pokazać.

Kiedy przechodziliśmy przez jezdnię, Randall wziął mnie za rękę. Szliśmy tak, trzymając się za ręce, dopóki nie znaleźliśmy się nieopodal Big Bena. Wędrując krętymi, wąskimi uliczkami, natknęliśmy się na pub „Pod Rumianym Marynarzem”.

Randall zerknął na zegarek.

- No proszę, pora na podwieczorek. Czy ma pani, milady, ochotę na wołowinę w cieście i szklankę ciemnego piwa? Kłopot tylko z tym... że trzeba mieć osiemnaście lat, żeby móc kupić piwo, a ja skończę osiemnaście lat dopiero za trzy miesiące.

- Ja już mam osiemnaście lat.

- Naprawdę? To wspaniale. Wobec tego chodźmy.

Nad drzwiami wisił szyld, z którego uśmiechał się do nas marynarz o rumianych policzkach i ze szklanicą piwa w dłoni. Randall zauważył, że mu się przyglądam.

- Nad wejściem do każdego tradycyjnego brytyjskiego pubu wisi malowany szyld. Do początku XX wieku stosunkowo niewielu ludzi umiało czytać, więc kiedy mieli się spotkać „Pod Rumianym Marynarzem”, łatwiej im było znaleźć umówione miejsce po szyldzie.

- Skąd tyle wiesz o tym mieście?

- Odkąd wiedziałem, że będę się tu uczył, sporo czytałem o Londynie.

- Jeśli chodzi o mnie, wszystko potoczyło się tak szybko, że nie miałam czasu, żeby się czegokolwiek dowiedzieć o mieście. Prawdę mówiąc, kiedy tu leciałam, wiedziałam niewiele ponadto, że muszę wymienić dolary na funty.

- Na szczęście nic strasznego się nie stało. Jeśli tylko ze-

chcesz, zawsze znajdziesz we mnie oddanego i niedrogiego przewodnika.

Roześmiałam się na widok zadowolonej miny Randalla. Wewnątrz pubu było trochę ciemniej, niż się spodziewałam, ale może właśnie dzięki temu panowała w nim miła i przytulna atmosfera. Kiedy weszliśmy, większość siedzących przy stołach ludzi obrzuciła nas wzrokiem, ale w ich spojrzeniach nie czuło się niechęci czy agresji, co tak często zdarza się w Ameryce. W amerykańskich barach, opanowanych przez młodocianych gangsterów, człowiek równie wyraźnie czuje, że wkroczył na cudze terytorium, jak gdyby wędrował przez zupełnie dzikie lądy.

- No, wreszcie trafili ci się jacyś obiecujący klienci, Charlie! - rzucił ktoś i wszyscy łącznie z barmanem wybuchnęli śmiechem.

Krótkowłosa kobieta z buzią cherubinka i wielkimi piwnymi oczami postawiła piwo przed starszym mężczyzną w białej koszuli z krawatem i garniturze.

- Czym mogę służyć?

Randall uniósł wzrok na wiszące nad barem, wypisane goetyckimi literami menu.

- To jak, masz ochotę na wołowinę w cieście? - zapytał.

- Jasne.

- Dwa piwa i dwie szklanki shandy... - Randall wyjął z portfela dwa banknoty dziesięciofuntowe.

Usłyszałam ciche śmiechy wokół.

- A macie już po osiemnaście lat?

Pokazałam barmanowi legitymację nowej szkoły. Skinął głową i popatrzył na Randalla.

- Nie mam dokumentów.

- Daj spokój, Charlie, chłopak wygląda na osiemnastkę - wtrącił się wysoki mężczyzna z tak wystającym jabłkiem Adama, jakby miało mu zaraz wyskoczyć z szyi.

- Ty to byś każdemu nalał, Mush - powiedział z wyrzutem barman i znów wszyscy się roześmiali.

- Mogę podać tylko jedno piwo.

Randall skinął głową.

- I lemoniadę.

Barman wydał Randallowi resztę. Usiedliśmy przy pustym stoliku. Na ścianach wisały stare plakaty, narzędzia rolnicze, miecze i hełmy - wszystko razem wyglądało jak ekspozycja w jakimś muzeum. Barman postawił na kontuarze dwie szklanki - lemoniadę i shandy. Randall przyniósł napoje do stolika.

Wszyscy wrócili do rozmowy, jakby nic się nie wydarzyło.

- Zabawne, nie? - zagadnął mnie Randall.

- Tak. Wszyscy wydają się tacy... przyjaźni.

- Większość pubów należy do browarów. Nieliczne puby prywatne, takie jak ten, oferują więcej gatunków piwa. Szkoda, że mnie nie chcą go podać - mruknął. - Śmiało. Pij swoje. Tu są zupełnie inne piwa niż w Ameryce. Przede wszystkim podają tu piwo nie zimne, tylko w temperaturze pokojowej.

- Naprawdę? Czemu?

- Podobno tak lepiej smakuje.

Wyprostowałam się i przyglądałam mu się przez chwilę z uśmiechem.

- Czemu się tak uśmiechasz?

- Jak na faceta, który niewiele widział świata poza swoimi szkołami, robisz wrażenie całkiem... oblatanego.

- Mówiłem ci już. To wszystko z książek. Zawsze dużo czytałem. Dokądkolwiek idę, nawet na zajęcia, zabieram ze sobą książkę i kiedy zdarzy się, że nauczyciel się spóźnia, czytam coś. - Wzruszył ramionami, jakby powiedział rzecz oczywistą. - A co z tobą? Dużo czasu spędzasz nad książkami? Czy raczej bawisz się z chłopakami?

- Nie mam chłopaka.

- A wielu miałas dotychczas chłopaków? Ty pytałaś mnie o dziewczyny, więc ja chyba też mogę cię o to spytać... - ciągnął niepewnie.

Roześmiałam się.

- Nie, tak naprawdę to nie. Za dużo miałam roboty w domu.

Musiłam pomagać mamie. Miała mnóstwo pracy i była okropnie zmęczona.

- Oboje mamy sporo do nadrobienia

- Naprawdę? Nie wiem, Randallu Glenn. Niekiedy wydajesz się bardziej doświadczony, niż, jak twierdzisz, jesteś.

- Co? - Wyglądał na szczerze zdziwionego. Zrobił się czerwony jak burak. Może nie zależało mu na mnie tak bardzo, jak mi się wydawało. Poza tym trudno uwierzyć, że tak przystöjny chłopak nie miał dotąd żadnego romansu.

Pociągnęłam łyk piwa i wzruszyłam ramionami.

Po chwili krótko ostrzyżona kelnerka przyniosła nam wólowinę w cieście i spytała, czy życzymy sobie czegoś więcej. Dania były tak gorące, że musieliśmy czekać, aż ostygną, ale kiedy już zabraliśmy się do jedzenia, okazały się pyszne.

Nieoczekiwanie dwóch mężczyzn około czterdziestki, siedzących na drugim końcu sali, zaczęło śpiewać:

Uwarzył Willie w kotle sól,
Skosztować Allan z Robem wpadł;
W tę nockę trzech weselszych serc
Nie znajdziesz, choćbyś przetrząsł świat*.

- Znam to! To Burns! - ucieszył się Randall i jakby jego głos kierował się własną wolą, dołączył do śpiewaków.

W mgnieniu oka w pubie się uciszyło i wszyscy wbili w nas wzrok. Miałam ochotę schować się pod stołem.

Ku mojemu zaskoczeniu, najwyraźniej nikt nie miał Randallowi za złe jego inicjatywy, przeciwnie, po chwili coraz więcej ludzi śpiewało wraz z nim. Kiedy pieśń się skończyła i Randall umilkł, bywalcy nagrodzili go oklaskami.

- O taki głos warto dbać, Charlie. Postaraj się, żeby chłopak częściej wpadał - odezwała się siedząca przy barze pulchna blondynka. Wiele osób poparło jej wniosek.

- Daj chłopakowi szklanę piwa, Charlie! - zawołał ktoś.
- Tak, nie bądź twardzielem, Charlie. Odżałuj trochę tego swojego bezcennego nektaru.

Znów rozległy się śmiechy.

- Ja zapłacę. - Mężczyzna z wystającym jabłkiem Adama sypnął drobnymi na ladę baru. - Chłopak musi mieć osiemnastkę. Wystarczy go posłuchać, to wielki talent.

- Jasne - dorzuciła siedząca obok kobieta.

- Chłopak z takim głosem nie może nie zwilżyć gardła, bo mu się rozeschnie i będzie szkoda.

- No dobra, dość już tego gadania - mruknął barman i w chwilę później postawił przed Randallem szklanę piwa. - To prezent od twoich wielbicieli, chłopcze. Randall popatrzył na mnie rozradowany. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Dzięki - rzekł wreszcie i pociągnął łyk piwa.

Ja również skosztowałam swojego, ale angielskie piwo wcale mi nie smakowało. Randall wypił obie szklanki, nim uporaliliśmy się z posiłkiem.

Kiedy wychodziliśmy, bywalcy pubu zgotowali nam serdeczne pożegnanie. Gdy już znaleźliśmy się na ulicy, wybuchaliśmy śmiechem.

- Zostałem zawodowcem - oznajmił Randall całemu światu. - Zapłacono mi za występ. Piwo, nie piwo, ale dostałem zapłatę!

- Mogliśmy trafić za to do aresztu.

- To lepiej stąd zmykajmy - roześmiał się Randall i pociągnął mnie za rękę. - Niezłe to piwo. Nie mogę się doczekać, kiedy skończę osiemnaście lat.

- Niewiele ci zostało - przypomniałam mu.

- To prawda.

Zabawnie wyglądał z błogim uśmiechem na ustach. Podczas drogi powrotnej opowiedział mi więcej o sobie i swojej rodzinie. Wyglądało na to, że piwo zerwało jakąś tamę, która zwykle powstrzymywała i tak żwawy potok jego wymowy. Z tego, co mówił, wynikało, że rodzice mimo powagi, z jaką traktują jego talent, większą wagę przywiązują do osiągnięć

jego młodszego brata, sportowca i ucznia wyróżniającego się w szkole wszechstronnymi osiągnięciami. Poczułam, że to rodzice pierwsi wzbudzili w Randallu poczucie, że jest dziwakiem, którego odmienność usprawiedliwić mogą wyłącznie osiągnięcia na estradzie.

- Ojciec zawsze tak mnie przedstawia: „To Randall. Oryginał”. A przecież nie ma we mnie nic nadzwyczajnego. Nie lubię, kiedy się mnie traktuje, jakbym był kosmitą, a ty?

Trudno mi się było nie roześmiać.

- Och, przepraszam. Zapomniałem, że już o tym rozmawialiśmy. I naprawdę nie widzę w odmienności nic złego. W każdym razie nie w takiej odmienności, jak twoja... Och, dajmy temu spokój. Nie umiem wyjaśnić, o co mi chodzi. Co gorsza - rozejrzał się dokoła - nie wiem, dokąd idziemy.

- Lepiej wracajmy już do Endfield Place.

- Dobrze.

Skierowaliśmy się do stacji metra, z której można było dojechać do Holland Park. W wagonie Randall siedział z opuszczonymi powiekami i omal nie zasnął. Widać było, że nie ma wiele doświadczenia w picciu alkoholu. Jednak kiedy dojechaliliśmy na miejsce, ocknął się i odprowadził mnie do domu.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś.

- Znakomicie.

- Jasne.

- Naprawdę, Randall. Dziękuję za wszystko, co mi pokazałeś.

Wyprostował się i uśmiechnął promiennie.

- To miłe z twojej strony. Ale tak niewiele widzieliśmy. Co byś powiedziała na to, gdybyśmy jutro także wybrali się na spacer?

- Mam jutro wolny dzień, ale będę musiała wrócić do domu wcześniej niż dzisiaj, bo muszę pomóc przy kolacji.

- Może popłynęlibyśmy Tamizą do Tower? Żeby uniknąć problemów, zamiast umawiać się u ciebie w domu, lepiej umówmy się w szkole. Na przykład o wpół do dziesiątej. Co ty na to? A może wpadłabyś do internatu?

- Dobrze. Przyjadę, jak tylko będę miała z głowy śniadanie. A państwo Endfield jedzą śniadanie tak wcześnie, że nie powinno być problemu.

- Doskonale, doskonale. - Randall odwrócił się, chcąc odejść, a potem jakby sobie o czymś nagle przypomniał, obrócił się na pięcie, zrobił wielki krok do przodu i pocałował mnie szybko w usta. - Cześć - rzucił i odmaszerował tak szybko, jakby się bał tego, co mogę zrobić.

Przez chwilę stałam osłupiała, a potem się po prostu roześmiałam. Sama nie wiedziałam, czy powinnam się czuć cudownie, czy śmiać się z całej sytuacji.

Usłyszałam odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Odwróciłam głowę i zobaczyłam wychodzącą z domu Mary Margaret. Na mój widok zatrzymała się na chwilę, a potem ruszyła przed siebie szybkim krokiem, ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby chciała uniknąć jakiegokolwiek kontaktu ze mną.

- Co tu robisz tak późno? Myślałam, że ty także miałaś dziś wolne popołudnie.

Zatrzymała się niechętnie. Odwróciła głowę i popatrzyła za siebie, na ciemną bryłę domu.

- Miałam jeszcze coś do posprzątania. Wrócę rano, żeby podać śniadanie.

- Gdzie mieszkasz? - Zbliżyłam się do niej o krok.

- Pół godziny jazdy metrem stąd. Muszę już iść - dodała, cofając się przede mną, jakby bliższy kontakt ze mną był zabroniony.

- Czy pani Endfield czuje się dobrze?

- Tak. - Mary Margaret zerknęła na mnie niespokojnie spod opuszczonych rzęs. - Czemu pytasz?

- Chciałam z nią dziś porozmawiać, ale nie odpowiadała na pukanie. Słyszałam, że coś nuci, ale wyglądało, jakby nie docierały do niej żadne odgłosy z zewnątrz. Pomyślałam, że może jest na coś chora.

- Ja o niczym nie wiem. - Mary Margaret pokręciła głową. - O niczym nie wiem - powtórzyła.

Cofnęła się jeszcze o krok, a potem odwróciła się bez słowa i szybko odeszła podjazdem, nawet nie odwracając głowy, żeby na mnie spojrzeć. Odprowadziłam dziewczynę wzrokiem, a kiedy zniknęła, spjrzałam na dom. Natychmiast uderżyło mnie, że zasłony w oknie na piętrze są rozsunięte.

Myślałam, że to okno sypialni moich wujostwa, ale stojąca w oknie kobieta miała włosy dłuższe i jaśniejsze od włosów mojej ciotki. Widziałam nieznajomą tylko przez krótką chwilę, bo natychmiast zaciągnęła zasłony.

Kto to jest? - zastanawiałam się. Kochanka sir Godfreya Rogersa? Przebiegł mnie dreszcz. Gdy weszłam do domu, nasłuchiwałam przez chwilę, nim ruszyłam mrocznym korytarem do swego pokoju. Miałam wielką ochotę odpocząć i napisać listy do babci Hudson i do Roya.

Dom był dziwnie cichy. Światła zostały już wszędzie pogaszone, tylko gdzieś tam paliły się małe lampki. Nigdzie nie było widać Boggasa, czego zresztą wcale nie żałowałam. Może domowy tyran ma dziś wolne, pomyślałam z nadzieją. Szczerze mu tego życzyłam.

Kiedy już znalazłam się w swoim pokoju, wciąż dźwięczał mi w uszach odgłos moich własnych kroków. Kiedyś żyłam w świecie pełnym niebezpieczeństw, gdzie za każdym rogiem mógł się czaić narkoman, gotów zabić człowieka, żeby zdobyć pieniądze na heroinę czy kokainę, gdzie niewinni ludzie ginęli jako przypadkowe ofiary strzelaniny, gdzie co noc słysząc było wycie syren wozów policyjnych i karettek pogotowia. Dopóki tam żyłam, miałam wszelkie powody, żeby bać się o swoje życie.

Jakie jednak powody do lęku miałam tutaj, pośród bogatych Anglików, których otaczała służba i którzy jadali na talerzach ze srebra lub cienkiej jak skorupka jajka porcelany? Nocą nie słyszałam wycia syren, a jednak ta cisza wydawała mi się niekiedy jeszcze bardziej od nich złowieszcza.

Szybko zamknęłam za sobą drzwi.

Drzwi, w których nie było żadnego zamka, skobla czy choćby haczyka.

JOIEDEVIVRE

Gdy tylko sygnał budzika wyrwał mnie ze snu, usłyszałam na korytarzu kroki Boggsa. Stary drewniany parkiet skrzypiał przeraźliwie pod twardymi obcasami ciężkich butów. Pomyślałam, że gdy Boggs wstaje z łóżka, cały dom musi się kurczyć. Jeśli istotnie w korytarzu mieszkał jakiś duch, to zapewne i on schował się teraz wystraszony w jakiejś kryjówce i czekał, aż służący go minie. Kupując budzik, pozbawiłam przynajmniej Boggsa przyjemności wrywania mnie ze snu waleniem pięścią w drzwi.

Budzik nabyłam w samą porę, bo z trudem się obudziłam. Poprzedniego wieczoru pisałam list do babci Hudson. Nie miałam zamiaru wdawać się w szczegóły, ale kiedy już zaczęłam, nie mogłam się powstrzymać przed opisaniem wszystkiego, co działo się w szkole, i miejsc, jakie poznałam w Londynie. Zapełniałam stronę po stronie, pomijając jedynie to, co mogłoby babcię zmartwić czy zaniepokoić. Potem napisałam do Roya. Miałam mu wiele do opowiedzenia o sobie i nie mniej pytań o to, co słychać u niego. Wreszcie, gdy zaczęły mi ciążyć powieki, zakleiłam listy i położyłam się spać.

Jednak mimo zmęczenia długo jeszcze nie mogłam zasnąć. Tak wiele wydarzyło się tego dnia, że w moim sercu splatały się smutek i gniew, radość i miłość, podniecenie i przygnębienie, nadzieja i rozpacz. W ciemności pojawiały się przede mną piękne oczy Randalla, a niekiedy twarze - czasem smutne,

kiedy indziej radosne - kobiet, które widziałam w National Gallery. Niektóre z nich przypominały mi w jakiś niepojęty sposób mnie samą.

Wiele rzeczy kazało mi myśleć również o mamie i Beni: czarna kobieta z maleńką córeczką w parku, jakieś czarne dziewczyny, które śmiejąc się, szły chodnikiem, dźwięki hip-hopu dobiegające z przenośnego radia, czarny manekin na wystawie sklepu, ubrany w żakiet podobny do tego, jaki nosiła mama - wszystko to napawało mnie głębokim smutkiem.

Ale nie tylko wspomnienie mamy nasuwało mi myśli o przeszłości. Gdy spacerowałam z Randallem ulicami Londynu, przypominało mi się, jak chodziłam kiedyś z Royem po Waszyngtonie. Zawsze trzymał mnie za rękę, jakby się bał, że jeśli ją puści, wiatr porwie mnie i uniesie niczym balon. Nigdy nie czułam się równie bezpiecznie jak w jego towarzystwie. Dopóki miałam przy sobie Roya, nikt i nic nie było mi straszne.

Ale dla dziewczyny w moim wieku samo poczucie bezpieczeństwa to za mało. Potrzebowałam nie tylko siły, lecz również miłości. Tak wiele było uczuć, które chciałam poznać, tak wiele emocji, których pragnęło moje serce! Tęskniłam za śmiechem brzmiącym jak muzyka, za uśmiechami, które rozjaśniałyby jeszcze bardziej słoneczny dzień, za słowami, które zakorzeniałyby się w moim sercu w postaci wspomnień do chwili, gdy będę dość stara, żeby o wszystkim zapomnieć, czy też by przestać się o cokolwiek troszczyć.

Czy Randall Glen może mi to wszystko dać? A jeszcze ważniejsze - czy ja naprawdę pragnę tego właśnie od niego? Czy w ogóle chcę tego wszystkiego, czy też zanadto się boję bólu rozczarowania? Głowa wprost pękała mi od pytań, póki wreszcie mój mózg się nie poddał i nie wygasił myśli jarzących się w głowie jak neony.

Rano czułam się, jakbym miała ze czterdzieści lat. Długo przeciągałam się i ziewałam niewyspana, po czym wsunęłam stopy w tenisówki i jak lunaticzka powlokłam się do szafy i do komódki, żeby przygotować ubranie. Kiedy już przestałam się objąć po swojej klitce, poszłam do łazienki. Obmyłam

twarz zimną wodą i, już trochę bardziej rześka, szybko dokończyłam porannej toalety. Oczywiście nie zapomniałam zebrać włosów i upiąć ich z tyłu w węzeł, żeby nie budzić od rana oburzenia Boggsa.

W niedzielę państwo Endfield jadali - jak określała to pani Chester - kompletne angielskie śniadanie. Na stół wędrowały po kolei parówki, jaja, bekon, wątróbka, herbatniki, ciasteczka, ciasto i herbata. Pani Chester i Mary Margaret uwijały się po kuchni, jakby na śniadaniu miało być co najmniej ze dwadzieścia osób. Kiedy weszłam, nikt nie powitał mnie ani słowem, za to natychmiast posypały się polecenia: „Podaj no ten rondelek, pozmywaj te talerze, pokrój to ciasto, zanieś herbatę, tylko uważaj na filiżanki”.

Wuj Richard jak zwykle rozpostarł przed sobą poranną gazetę. Był w garniturze i krawacie i miał nienagannie uczesane włosy, jakby wstał dobrych kilka godzin temu. Zastanawiałam się, kiedy on w ogóle odpoczywa? Była niedziela. Czy zawsze chodzi w garniturach?

Ciotka również była elegancko ubrana, uczesana i umalowana. W pierwszej chwili sądziłam, że wujostwo wybierają się do kościoła, ale z urywków rozmowy, jakie usłyszałam, podając do stołu, wynikało, że zaraz po śniadaniu zamierzają wyruszyć do przyjaciół na wieś. Co to znaczy, zrozumiałam dopiero, gdy Boggs zajrzał do kuchni i powiedział, że państwo wrócą po kolacji, a my mamy wolny dzień.

W zachowaniu ciotki Leonory nic nie przypominało wczorajszego ranka, gdy siedziała samotnie w pokoju, przytulając coś dziwnego do piersi. Teraz, ożywiona, rozmowna, co chwila zagadywała męża, tak jakby nie dostrzegała dzielącej ich płachty gazety. Jak zrozumiałam, była bardzo przejęta, bo wybierali się z wujem w odwiedziny do kogoś, komu niedawno królowa nadała tytuł szlachecki. Miała nawet cichą nadzieję, że pojawi się tam prawdziwy książę. W każdym razie u znajomych, których wujostwo zamierzali odwiedzić, miało się zebrać, jak mówiła ciotka, „najlepsze towarzystwo”. Kiedy słuchałam jej opowieści o lordach, damach i książętach krwi, czułam się,

jakby mówiła o greckich bogach i boginiach, z rzadka odwiedzających ziemię i stwarzających wtedy śmiertelnikom niezwykłą okazję całowania ich po rękach i skapania się w ich cieniu.

- Uważam to za wielką niesprawiedliwość, że nie otrzymałeś jeszcze tytułu szlacheckiego, Richardzie - perorowała ciotka.

- Cierpliwości, moja droga - powstrzymał ją wuj, składając gazetę. Popatrzył na żonę gniewnie. - Najważniejsza jest cierpliwość i dyskrecja. Nie można pozwolić, żeby ktokolwiek się domyślił, jak bardzo ci na tym zależy.

Potem odwrócił się do mnie. Akurat stałam przy stole i chcąc nie chcąc, słuchałam ich słów. Fascynował mnie sposób, w jaki wujostwo przemawiali nie tylko do mnie czy do kogokolwiek ze służby, lecz również to, jak odnosili się nawzajem do siebie. Miałam wrażenie, że zachowują się tak, jakby oboje nieustannie występowali na scenie przed audytorium bacznie obserwującym każdy ich gest.

Choć moja obecność w jadalni była jak najbardziej uzasadniona, poczułam się, jakbym ich podsłuchiwała. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do kuchni.

- Chwileczkę, panno Arnold - powstrzymał mnie wuj.

Powoli odwróciłam się do stołu, oczekując reprimendy.

- Tak?

Wuj sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął niewielką kopertę.

- Biorąc pod uwagę, po co przyjechałaś do Londynu, uznałem, że może ci się to przydać.

- Co to jest? - spytałam zaskoczona. Podeszłam do stołu, wzięłam od wuja kopertę i otworzyłam ją. - Bilety do teatru?

- Dwa bilety na dzisiaj do Royal National Theater na *Makbeta*. Pomyślałam, że może będziesz chciała zaprosić kogoś z przyjaciół, na przykład ze szkoły.

- Czy to nie wielkoduszne? - zachwyciła się ciotka Leonora. - To bardzo miłe z twojej strony, Richardzie.

- Tak. Dziękuję - wymamrotałam, zbita z tropu nieoczekiwanym prezentem. Wcześniej wydawało mi się, że wuj w ogóle

mnie nie zauważa. Czasem patrzył na mnie z taką miną, jakby kompletnie nie pamiętał o mojej obecności w Endfield Place.

- Nie musisz się ubierać bardzo elegancko, ale powinnaś wyglądać przyzwoicie - pouczył mnie wuj. - Royal Theater, potocznie zwany Old Vic, znajduje się na południowym brzegu Tamizy. Jestem pewien, że teraz, kiedy już nabrałaś doświadczenia w poruszaniu się po Londynie, trafisz tam bez trudu.

Uśmiechnęłam się i podziękowałam mu jeszcze raz za bilety.

- Nie ma za co. Na szczęście cieszę się pewnymi względami wśród ludzi teatru. To bardzo dobre miejsca. Powiesz mi, jak ci się spodobało przedstawienie. *Makbet* należy do moich ulubionych dramatów. Kto wie, może pewnego dnia obejrzymy cię z panią Endfield, występującą na scenie w roli lady Makbet - powiedział z uśmiechem. Potem, jakby nagle uświadomił sobie, że zachowuje się ciepło i przyjaźnie, szybko sięgnął po gazetę, rozłożył ją i na powrót się za nią schował.

Zerknęłam na ciotkę Leonorę, która patrzyła na mnie z tak nieprzytomną miną, jakby w ogóle mnie nie widziała. Czasem wydawało mi się, że oboje, ciotka i wuj, żyją we własnych, odrębnych światach, z których tylko niekiedy wychylają czubek nosa, by zaraz schować się z powrotem, zapominając o sobie nawzajem i o wszystkich wokół.

Kiedy wróciłam do kuchni, natychmiast poznałam ze spojrzenia pani Chester, że musiała słyszeć naszą rozmowę.

- Całkiem nieźle sobie radzisz, jak na jankeskę - rzuciła i nim odwróciła się do mnie tyłem, popatrzyła na Mary Margaret. - Nie jesteś leniem, to ci trzeba przyznać. Robisz, co trzeba, i nawet za bardzo nie jęczysz ani nie narzekasz.

- Dziękuję, ale muszę pani powiedzieć, że jankesi wcale nie są nieporadnymi leniami. Gdyby tak było, nie byłibyśmy najpotężniejszym państwem na świecie.

- Posłuchaj no jej tylko, Mary Margaret. Dziewczyna ma ledwie parę szylingów przy duszy, a taka jest pewna siebie, jakby do niej świat należał.

- Wcale nie trzeba być bogatym, żeby mieć poczucie własnej godności.

- Słyszysz, Mary Margaret? - odezwała się pani Chester do pokojówki, po czym znów zwróciła się do mnie: - Wciąż jej powtarzam, że nie powinna chodzić z nosem na kwintę i ze spuszczoną głową, bo nigdy nie znajdzie sobie chłopca, ale ona nie chce mnie nawet słuchać. Może powinna się czegoś nauczyć od takich jak ty.

- Uważam, że Mary Margaret jest bardzo ładną dziewczyną. I na pewno ma dość rozumu w głowie, żeby się obejść bez moich rad.

Zerknęłam na Mary Margaret. Nie ulegało wątpliwości, że uwagi pani Chester budzą w niej lęk i zakłopotanie. Podchwyciła moje spojrzenie i natychmiast wyszła z kuchni, żeby sprzątnąć po śniadaniu.

- To, co uważasz, nikomu nie pomoże - powiedziała pani Chester. - Lepiej byś zrobiła, gdybyś zabrała ją gdzieś ze sobą. Ta dziewczyna siedzi tylko na zmianę to tu, to w domu, przy chorej matce. Wciąż jej się wydaje, że jest małą dziewczynką, aż żal patrzeć na tę jej smutną buzię, ale założę się, że gdyby ją jakiś facet porządnie wytarosił w łóżku, z dnia na dzień stałaby się dorosła.

Pomyślałam, że to najdziwniejsza recepta na dojrzałość, jaką w życiu słyszałam. Do kuchni wróciła Mary Margaret z tacą pełną naczyń. Rzuciła mi wystraszone spojrzenie i skierowała się prosto do zlewu.

Rzeczywiście zachowywała się, jakby była nastolatką, ale prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia, jak mogłabym jej pomóc. Sama z trudem odnajdowałam w życiu własną drogę. Mimo mego przyjaznego nastawienia Mary Margaret najwyraźniej nie miała ochoty rozmawiać ze mną na tematy osobiste i patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby się mnie bała. Współczułam jej, ale nie wiedziałam, co mogłabym dla niej zrobić.

- Może wybrałabyś się ze mną do teatru? - zagadnęłam.

Mary Margaret nie odpowiedziała ani nie uniosła głowy znad naczyń.

- Nie każ dziewczynie czekać - obruszyła się pani Chester.

Mary Margaret popatrzyła na nią, a potem na mnie. Uświa-

domiłam sobie, że w ogóle nie usłyszała, cośmy do niej mówiły. Chowała się we własnych myślach jak ślimak w skorupie.

- Mam dwa bilety do teatru na dziś wieczór. Może poszłabyś ze mną?

Energicznie pokręciła głową.

- Nie mogę. Muszę wracać do mamy.

- To głupie, co mówisz, i dobrze o tym wiesz - wtrąciła się pani Chester.

- Nie mogę - powtórzyła szybko, jakby się bała, że jej nie dosłyszaliśmy. Musiała się chyba zdenerwować, bo talerz wypadł jej z rąk i rozbił się w zlewie.

Nim którakolwiek z nas zdążyła powiedzieć choćby słowo, Mary Margaret wybuchnęła płaczem i wybiegła z kuchni.

- No, widzisz? Patrząc na tę dziewczynę, nie sposób zgadnąć, że jest po dwudziestce.

Właśnie zbierałam skorupy, gdy w drzwiach kuchni stanął Boggs.

- Co tu się dzieje? - rzucił.

- A co widać? - odpaliłam.

- Za wszystko, co zniszczysz, będziesz musiała zapłacić - oznajmił surowo, podchodząc i zaglądając do zlewu.

- To nie ona - wtrąciła pani Chester.

- Kto wobec tego zapłaci za stłuczony talerz?

- Niech się pan nie martwi - powiedziałam. - Ja zapłacę. Przechodząc rano korytarzem, proszę wsunąć rachunek pod drzwi. Jeśli pan chce, może pan doliczyć VAT.

Boggs rzucił mi pełne złości spojrzenie i wyszedł z kuchni.

- Na twoim miejscu nie drażniłabym pana Boggsa - przestrzegła mnie pani Chester.

- Czemu?

- Jest w nim coś takiego... - Pani Chester urwała i tylko pokręciła głową. - Ja tam za nic nie chciałabym go rozzłościć.

- Jeśli jest taki okropny, to czemu pan Endfield go nie zwolni?

- Nie wiem. - Pani Chester szybko odwróciła się ode mnie. - To nie moja sprawa.

Pokręciłam głową i poszłam po resztę naczyń. Państwa Endfield już nie było w jadalni. Po chwili weszła tam Mary Margaret. Miała zaczerwienione oczy i starannie unikała mojego spojrzenia.

- Nic się nie stało - powiedziałam. - Może wybierzemy się dokądś innym razem.

Popatrzyła na mnie z taką ulgą, jakbym wybawiła ją z jakiejś straszliwie trudnej sytuacji.

Nie potrafiłam tego pojąć. W końcu poprosiłam ją przecież tylko, żeby poszła ze mną do teatru.

Żałowałam, że Mary Margaret nie chce się ze mną wybrać, bo pomyślałam, że gdybyśmy się zaprzyjaźniły, być może obu nam byłoby łatwiej. Skoro jednak nie chciała ze mną pójść, nie pozostało mi nic innego, jak zaprosić do teatru Randalla. Wykręciłam numer internatu. Randall bardzo się ucieszył z mojego telefonu.

- Weź ze sobą ubranie na zmianę - poradził. - Wybierzemy się nad Tamizę i pooglądamy Londyn, a potem będziesz mogła się tu odświeżyć i pojedziemy do teatru. Już tam kiedyś byłem. Jestem pewien, że będziesz się świetnie bawić.

Uznałam, że Randall ma rację, i spakowałam do torby ubranie na wieczór. Potem pojechałam metrem do internatu. Okazało się, że mieści się w niewielkim, zaledwie dwupiętrowym budynku, oddalonym o trzy przecznice od szkoły.

Niebo się przejaśniło. Nigdy jeszcze, odkąd przyjechałam do Londynu, nie było równie ciepło i słonecznie. Wszędzie wokół widziałam pełno kwiatów. Może rozkwitły tak za sprawą spadającego codziennie na miasto deszczu, pomyślałam. Nawet w Wirginii, w okolicy, gdzie mieszkała babcia Hudson, nie widziałam równie wspaniałych ogrodów. Również ludzie wydawali mi się bardziej radosni i uśmiechnięci niż zwykle. Zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby rozkwitali w słońcu jak kwiaty. Gdyby tak było, Mary Margaret z pewnością dobrze by zrobiło, gdyby więcej przebywała poza domem.

Internat w niczym nie przypominał podobnych instytucji w Ameryce. Znajdowało się w nim wprawdzie pomieszczenie dla dozorczy, ale poza tym każdy miał własny pokój. W budynku nie było stołówki, tylko przy jadalni znajdowała się mała salka, w której stała elektryczna kuchenka.

Tam właśnie czekał na mnie Randall w towarzystwie obu Francuzek, Leslie i Catherine. Kiedy weszłam, wszyscy podnieśli na mnie oczy.

- O, jest nasza amerykańska księżniczka - powitała mnie Leslie.

Obie siostry były w dzinsach i jasnoniebieskich swetrach z firmowymi naszywkami. Catherine miała na ciemnych włosach perłową opaskę.

- Po zmywaniu, ścieraniu stołów i szorowaniu zlewu trudno się czuć księżniczką - odpowiedziałam.

- Powiedziałem im, dokąd idziemy, i teraz chcą iść z nami - przyznał się Randall. - Mam nadzieję, że nie jesteś zła.

- Czemu miałabym być zła?

- Nie możesz mieć go wyłącznie dla siebie, *cherie* - oświadczyła Catherine, ujmując Randalla pod ramię.

Chłopak oblał się rumieńcem i przewrócił oczami.

- To wszystko na wieczór? - Randall wskazał ruchem głowy moją torbę.

- Tak.

- Wobec tego, jeśli pozwolisz, zaniosę twoje rzeczy do pokoju i pójdziemy.

Wziął torbę i wyszedł. Ledwo zniknął za drzwiami, Leslie pociągnęła mnie za rękę, zmuszając, żebym usiadła między nią i Catherine.

- No to przyznaj się, jak zdobyłaś serce tego przystojniaka, co? Obie bezskutecznie starałyśmy się go usidlić, odkąd pierwszy raz zajrzałyśmy w te jego piękne oczęta.

- Ty to właściwie rzuciłaś mu się w ramiona - dodała Catherine, wykrzywiając się do siostry. - Wystraszyłaś go. Mówiłam ci, żebyś nie była taka agresywna. Kanadyjczycy to jak Amerykanie, no nie, *cheriel* Wcale nie przepadają za

dziewczynami, które... jak to się mówi po angielsku... z miejsca chcą ich mieć. Tak, *cheriel*

Zastanawiałam się, czemu wszyscy traktują mnie, jakbym była jakąś znawczynią mężczyzn i specjalistką od romansów. Czy to sprawa stroju? Sposobu bycia, poruszania się, jakichś nieświadomych gestów? Czasem, gdy mama była w dobrym humorze, wznosiła oczy i mówiła: „Zobaczysz, jeszcze niejednemu mężczyźnie złamiesz serce, kochanie”.

- Niewiele wiem o Kanadyjczykach. Szczerze mówiąc, Randall jest pierwszym Kanadyjczykiem, jakiego w ogóle poznałam. A co do Amerykanów, to na ogół chcieliby się przespać z dziewczyną najszybciej, jak to tylko możliwe. Bez trudu mogłabyś mieć z miejsca większość z nich, jak to mówisz.

- No to co? - Leslie wzruszyła ramionami. - Co w tym złego?

Siostry popatrzyły po sobie i zaczęły chichotać.

- Co w tym złego? Faceci nie szanują takich kobiet. To w tym złego.

Obie spoważniały, jakby moja odpowiedź wymagała przemyślenia.

- Chcesz powiedzieć, że mężczyźni szanują wyłącznie zimne kobiety?

- Nie, nie zimne. Nie mówię, że masz się zachowywać jak Królowa Śniegu czy coś w tym rodzaju, ale nie powinnaś rozkładać się przed nimi, niczym kawałek mięsa na talerzu.

Obie Francuzki znów zachichotały. Zaczynało mnie to irytować.

- Co w **tym** widzicie śmiesznego?

- Nie śmiesz mi myśleć, że jestem kawałkiem mięsa, ale sądzę, że z powodzeniem można to powiedzieć o niektórych chłopakach, jakich miałyśmy, prawda, Catherine?

- *Oui*. Wielka kiełbasa, nie?

Obie siostry uśmiechnęły się lubieżnie i pokiwały głowami.

- Może z wami sprawy mają się inaczej - odpowiedziałam

oschłym tonem. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wróci Randall i wybawi mnie od dalszej rozmowy.

- Jesteś stanowczo zbyt poważna, *cherie*. - Leslie położyła dłoń na mojej dłoni. - Kochać się, mieć kochanka to przecież musi być zabawne, nieprawdaż?

- Zabawne?

- Może to nie jest najlepsze słowo. Catherine?

- Miłe, przyjemne - poprawiła siostrę Catherine. - Jeśli jęczysz i marudzisz, wzdychasz i wylewasz potoki łez z powodu byle całusa czy głośnięcia, tracisz *raison d'être*, rację bytu, powód do życia. Życie to radość. *Joie de vivre*, nieprawdaż?

Przypomniał mi się ponury nastrój panujący w Endfield Place - wiecznie wściekły Boggs, zapracowana pani Chester, wystraszona Mary Margaret z czerwonymi od płaczu oczami, wreszcie wuj Richard i ciotka Leonora, drętwi, sztywni, przerażeni każdym objawem emocji, wszystko jedno, własnych czy cudzych.

- Może masz rację - powiedziałam.

W tej samej chwili w drzwiach stanął Randall.

- Co do czego?

- Co do uprawiania miłości - pośpieszyła z wyjaśnieniem Leslie.

- Co takiego?

- To jak, zaczynamy? - spytałam szybko.

- Kochać się - dorzuciła natychmiast Leslie.

- Z zabytkami Londynu - odparowałam i dziewczyny znów się roześmiały.

- *Touche, cherie*. Chodź, pokaż nam coś ciekawego w Londynie, *monsieur* Glenn - powiedziała Catherine, zrywając się z ławki. Chwyciła pod ramię i energicznie pociągnęła do wyjścia oglądającego się na mnie bezradnie Randalla.

Leslie i ja ruszyłyśmy w ich ślady i wkrótce wszyscy jechaliśmy metrem, by spędzić dzień nad Tamizą.

Zgodnie z planem Randalla, wynajęliśmy łódkę, która dowiozła nas do Tower. Teraz, gdy było nas czworo, Randall

tym bardziej starał się wypaść dobrze w roli przewodnika, choć nie wygłupiał się tak jak wtedy, gdy byliśmy we dwójkę. Był poważny niczym nauczyciel.

- Tower zbudował w jedenastym wieku Wilhelm Zdobywca. Normański zamek służył jako rezydencja królewska, cytadela obronna, więzienie dla przeciwników politycznych, menażeria i skarbiec, w którym przechowywano najcenniejsze dokumenty i klejnoty koronne. Strażnicy w efektownych czerwono-czarno-złoty mundurach to tak zwani Yeoman Warders.

- Jeden jest nawet całkiem przystojny - wtrąciła szeptem Leslie.

Randall nie zareagował na jej słowa.

- Najważniejszą część zamku stanowi White Tower. Wprawdzie na najwyższym piętrze mieszkali w średniowieczu władcy z kilku kolejnych dynastii, ale największe zainteresowanie turystów budzi tak zwana Krwawa Wieża.

- Czemu? - zainteresowała się Catherine.

- Bo jest miejscem straszliwej zbrodni. W 1483 roku zamordowano w niej dwoje dzieci królewskiej krwi - Edwarda V i jego brata Ryszarda, księcia Yorku.

- Kto by tam oglądał jakieś wstrętne stare więzienie! - krzyknęła Leslie. - Ja chcę zobaczyć klejnoty!

- Obejrzymy wszystko po kolei - odpowiedział twardo Randall.

Jego stanowczy ton wywołał porozumiewawcze uśmiechy na twarzach obu siostr. Ja również się uśmiechnęłam. Może Leslie i Catherine istotnie mają rację, pomyślałam. Zbyt serio traktuję życie. Być beztroskim jest dużo przyjemniej.

Kiedy skończyliśmy zwiedzać Tower, Francuzki zażądały drugiego śniadania. Kupiliśmy bagietkę, sery i - ku mojemu zdumieniu - również dwie butelki wina. Kiedy zakwestionowałam ten ostatni zakup, Leslie i Catherine popatrzyły na mnie, jakbym wyskoczyła z lochu, w którym dokonali życia biedni książęta.

- Jak można jeść, nie popijając winem? - Leslie popatrzyła na mnie wielkimi oczami.

Wyjaśniłam jej, że w Ameryce nie uważa się wina za napój odpowiedni dla młodzieży.

- Za często spotyka się na ulicach pijaczków pociągających tanie wino z butelki ukrytej w papierowej torbie.

Kiedy zaczęłam im opowiadać o scenach, jakie widywałam na ulicach Waszyngtonu, spoważniały. Ze zdumionymi minami słuchały o bezdomnych nędzarzach, śpiących w kartonowych pudłach lub wprost w śmietnikach, żebrzących o parę centów, by mieć się za co upić.

Leslie i Catherine, podobnie jak Randall, pochodziły z zamożnej rodziny. Mieszkały nieopodal Paryża, w pałacyku nad Sekwaną, chodziły wyłącznie do prywatnych szkół i nie miały pojęcia, jak wygląda życie biedaków. To, co mówiłam, było dla nich niezwykle i fascynujące, jak opowieści z zupełnie innego świata.

- Słyszałam, że w Ameryce takie rzeczy się zdarzają, ale jesteś pierwszą osobą, która widziała coś takiego na własne oczy - powiedziała w końcu Catherine.

Potem, jakby o rzeczach nieprzyjemnych najlepiej było w ogóle nie myśleć, obie klasnęły w dłonie i oświadczyły, że nie chcą już dłużej rozmawiać o takich smutnych sprawach.

- Zostaniesz wielką aktorką i nigdy więcej nie będziesz musiała oglądać całej tej nędzy - pocieszyła mnie Leslie.

Nawet Randall się roześmiał.

- Właśnie po to wszyscy tu przyjechaliśmy, żeby zostać gwiazdami - powiedział.

Wspólny piknik sprawił mi większą przyjemność, niż się spodziewałam. Wino rzeczywiście świetnie pasowało do sera, a Leslie i Catherine opowiedziały mi mnóstwo nowych rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Dowiedziałam się, jak wielkie znaczenie ma różnicowanie odmian winorośli i to, w jakim regionie są uprawiane. Dziewczyny nauczyły mnie trzymać przez chwilę wino w ustach, nim je przełknę, i wciągać powietrze, tak by lepiej poczuć aromat i smak trunku. Wycieczka nad Tamizę była przyjemna, lecz Randall chciał wrócić wystarczająco wcześnie, żebym zdążyła się przebrać do teatru.

Leslie i Catherine chciały wiedzieć, skąd mam bilety, więc opowiedziałam im o panu Endfieldzie, nie wspominając oczywiście, że jest mężem mojej ciotki. Siostry wymieniły wieloznaczne uśmiechy.

- O co wam chodzi? - spytałam, gdy Randall oddalił się na chwilę, by wyrzucić papierowe torby i butelki po winie.

- Gustujesz w starszych panach, *cherial*

- Co takiego? Nie sądzisz chyba...

- A czemu nie? Niewiele brakowało, żeby Leslie miała w zeszłym roku romans z żonatym facetem. - Catherine powiedziała to takim tonem, jakby była z siostry dumna.

- Naprawdę?

- No pewnie. Facet był zresztą krótko po ślubie, ale mimo to zupełnie zwariował na moim punkcie - dodała Leslie. - Groził nawet, że jeśli nie zostanę jego kochanką, to się zabije.

- I co zrobiłaś?

- Oczywiście odmówiłam. Wyobrażasz sobie, jaki to musi być odjazd, kiedy facet popełni przez ciebie samobójstwo, *cherial*

- Naprawdę by ci się to podobało? - Popatrzyłam na siostry i uśmiechnęłam się. - Żartujecie sobie, żeby zobaczyć, jaka jestem łatwowna.

- Ależ nie! - Catherine energicznie pokręciła głową. - To prawda.

Siostry znów popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

- O co wam teraz chodzi?

- Nasz papa ma kochankę - wyjaśniła Leslie.

- Naprawdę? I wy o tym wiecie?

- *Mais oui*. Ależ oczywiście - odpowiedziały jednocześnie.

- A wasza matka? Też o tym wie?

- *Oui*.

- Lubię ją - dodała Leslie.

- Kogo? Kochankę swego ojca?

Leslie skinęła głową.

- Ale przecież twój ojciec ma żonę, prawda? Jak możesz lubić kobietę, która ma z nim romans?

Leslie wzruszyła ramionami.

- Jest miła. Robi nam prezenty. Dostałam od niej te kolczyki - Leslie wskazała na srebrne kolczyki z maleńkimi perełkami.

- Przyjęłaś prezent od kobiety, która rozbija twoją rodzinę?

- Nie podobają ci się?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Musiałam zrobić dziwną minę, bo Randall, który właśnie wrócił, popatrzył na mnie zaskoczony i spytał, czy wszystko jest w porządku.

- Tak - odpowiedziałam. - Chyba tak.

W drodze powrotnej Leslie i Catherine opowiedziały mi więcej o swoich romansach. Były dumne z tego, że są - jak to określały - *femmes fatales*, kobietami z premedytacją dręczącymi swoich kochanków. Używały pretensjonalnych wyrażen, takich jak „męki pożądania”, które wyczytały w angielskich romansach. Byłam zbyt nieśmiała, żeby spytać, ile razy i z iloma mężczyznami się kochały, ale nie miałam wątpliwości, że odpowiedziałyby szczerze, nie krępując się obecnością Randalla.

Mimo wszystko musiałam się przyznać sama przed sobą, że jest w nich coś, co nie pozwala mi traktować ich po prostu jak nieszczęśliwe ofiary losu, jakimi były w moich oczach dziewczyny, z którymi - wbrew ostrzeżeniom moim i Roya - próbowała się zaprzyjaźnić Beni. Leslie i Catherine mimo swych wszystkich przygód zachowały o sobie dobre mniemanie. Nie mogłam tego pojąć; choć nie podobało mi się to, o czym opowiadały, czułam, że nie umiałabym ich potępić. To było trochę tak, jakby rozpusta im służyła, więc nie należało wtrącać się w ich sprawy. Wracałam w myślach do tego, co nazywały *joie de vivre*, i zastanawiałam się, czy nie powinnam wprowadzić tego we własne życie.

Bóg świadkiem, ostatni jego rok obfitował w tyle nieszczęść i przysporzył mi tak wiele bólu, że smutek i przygnębienie spowijały mnie jak trujące pnącza. Może istotnie romans byłby najlepszym sposobem, żeby wydobyć się z depresji.

- Pamiętaj - poradziła mi przed wyjazdem do Anglii babcia Hudson - gdy jesteś w Rzymie, postępuj jak Rzymianki.

Ściśle rzecz biorąc, nie byłam w Rzymie, lecz także nie u siebie.

Rozstaliśmy się w holu, bo Francuzki mieszkały razem na parterze. Na pożegnanie Leslie uśmiechnęła się słodko do Randalla, po czym nachyliła się do mnie.

- Doprowadź go do tego, żeby się skręcał z pożądania jak robak, *cherie* - szepnęła mi na ucho.

Roześmiałam się. Randall natychmiast uciekł wzrokiem przed moim spojrzeniem, a potem poszliśmy na piętro, gdzie mieścił się jego pokój.

Pokój Randalla wydał mi się bardzo miły i wygodnie urządzone, choć podejrzewam, że w porównaniu z moją kłitką w Endfield Place każde normalne pomieszczenie wzbudziłoby we mnie zachwyt. Panował tu zadziwiający porządek. Dwa wychodzące na ulicę okna zasłonięte były przed popołudniowym słońcem jasnymi lnianymi zasłonami. Owalny jasnobrązowy dywanik przed łóżkiem oszczędzał Randallowi konieczności stawiania stóp na zimnej podłodze. Samo łóżko było z drewna ciemnowiśniowej barwy, a na wezgłowie miało interesję przedstawiającą lwi łeb, okolony płową grzywą. Wielka szafa z wprawionym w drzwi lustrem i szeroka komoda były dostatecznie obszerne, by pomieścić garderobę bogatszą od mojej. Przy biurku stało wygodne krzesło, obok fotel i lampa. Po obu stronach łóżka - nocne stoliki z małymi lampkami.

- Mam wspólną łazienkę z dwoma chłopakami, ale obaj wyjechali na weekend.

Wprost nie potrafię opisać radości, jaką poczułam na widok wanny z prysznicem.

- Śmiało, idź pierwsza. Mam siostrę i wiem, ile czasu zajmuje dziewczynom toaleta. - Randall sięgnął do szafy po puszysty szlafrok, a potem wysunął szufladę i wyjął z komody frotowe ręczniki i świeże mydło. - To dla ciebie.

- Dziękuję.

Zaczęłam od gorącego prysznica. Po mieszkaniu w luksusowo urządzonego domu babci Hudson trudno mi było przywyknąć do staroświeckiej łazienki dla służby w Endfield Place, więc tym bardziej cieszyłam się teraz spływającymi po całym ciele strugami wody.

W końcu zakręciłam kurki, wyszłam z wanny, stanęłam przed lustrem i starannie wyszczotkowałam włosy. Kiedy wróciłam do pokoju, Randall leżał na łóżku, wpatrując się w sufit. Miał na sobie szlafrok podobny do tego, jaki mi dał, ale innego koloru. Musiał się strasznie wynudzić, bo gdy tylko przed nim stanęłam, natychmiast usiadł.

- Zaraz wrócę.

Nim wszedł do łazienki, przyglądał mi się przez chwilę, jakby nie mógł oderwać ode mnie oczu.

- Przepraszam, że tak długo siedziałam, ale strasznie mi tu w Anglii brakuje prysznica.

- Nie ma sprawy.

Randall uśmiechnął się do mnie promiennie. Był taki piękny, kiedy się uśmiechał. Wygody i troskliwa opieka, jaką go otaczano, pozwoliły mu zachować naturalną niewinność i urok dziecka. Patrząc mu w oczy, czułam, jak budzi się we mnie na nowo nadzieja i pragnienie życia.

Kiedy mnie mijał, otarliśmy się o siebie, a usta Randalla przesunęły się o kilka cali od moich ust. W jego oczach widziałam pragnienie, by mnie pocałować, i zarazem niepewność, czy mnie tym nie urazi. W tej chwili nie pragnęłam niczego innego i zapewne sama skusiłam go do pocałunku, przysuwając twarz bliżej.

- Rain - szepnął Randall, a potem nasze usta się spotkały.

W chwili, gdy poczułam dotknięcie jego warg, przez moje ciało przebiegł dreszcz i jednocześnie zrobiło mi się dziwnie gorąco. Podobnie jak Randall, nie miałam na sobie nic poza szlafrokiem, który mi pożyczył.

Kiedy się całowaliśmy, Randall rozwiązał pasek od mego szlafroka, a ja ujęłam jego głowę w dłonie i wplotłam palce

w jego miękkie włosy. Usta Randalla błądziły po moim czole, powiekach, policzkach, nosie i szyi. Gdy przywarliśmy do siebie, poczułam pewność, że nawet jeśli on sam czuje się zakłopotany, to jego ciało ponad wszelką wątpliwość pragnie się ze mną kochać.

Randall uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Nie mogę się uwolnić od twoich oczu, Rain - powiedział tonem małego chłopca, który przyznaje się do jakiegoś okropnego występku. - Odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem, myślę tylko o tobie. Nic na to nie mogę poradzić.

- To nic złego - odparłam i znów się zaczęliśmy całować. Dłonie Randalla wsunęły się pod mój szlafrok i rozpoczęły wędrówkę po moim ciele.

Kiedy delikatne palce dotarły do moich piersi, ugięły się pode mną nogi. Czekałam na chwilę, gdy Randall porwie mnie w ramiona i zanieśie do łóżka, ale on nagle odsunął się ode mnie z taką miną, jakby coś go okropnie bolało.

- Lepiej przestańmy - powiedział.

Zanim zdążyłam przyciągnąć go z powrotem lub choćby pokręcić głową, odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju. Tak się trzęsłam, że musiałam usiąść na łóżku i poczekać, aż moje serce się trochę uspokoi, a ciało ostygnie. Z łazienki dobiegał szum wody. Wolałabym, żebyśmy w ogóle nie zaczęli się całować, niż tak siedzieć, drżąc z podniecenia, pomyślałam. Ogarnął mnie gniew, a potem wyciągnęłam się na łóżku, mówiąc sobie, że Randall zrobił to, co uważał za słuszne.

Czy rzeczywiście słusznie postąpił? Pomyślałam, że gdyby na moim miejscu była Leslie czy Catherine, nie pozwoliłaby mu tak po prostu odejść, lecz rzuciłaby się na niego i wciągnęłaby go do łóżka. Na tę myśl roześmiałam się do siebie cicho. Usiadłam i spojrzałam w lustro wprawione w drzwi szafy. Miałam zaczerwienioną twarz i gorączkę w oczach. Uspokój się, Rain Arnold, powiedziałam sobie. Opanuj się, dziewczyno.

Odetchnęłam głęboko, a potem zaczęłam się ubierać. Kiedy Randall wszedł do pokoju, miałam na sobie tylko stanik i majtki.

- Och, przepraszam... - Randall odwrócił się, by wyjść.
- Myślę, że po tym, co przed chwilą robiliśmy, spokojnie możesz tu zostać.

Z uśmiechem skinął głową i podszedł prosto do szafy.

- Nie chciałem, żeby to tak wyszło - powiedział, odwrócony do mnie plecami. - To znaczy, nie zamierzałem... W ogóle nie po to cię zapraszałem. Nie chciałem, żebyś tak o mnie myślała.

Wciągnęłam sukienkę przez głowę.

- Przestań się już tym martwić, Randall. Nic złego się nie stało.

Randall wciągnął majtki i zdjął szlafrok.

- Naprawdę nie jesteś na mnie zła?
- Nie widzę powodu, żeby się złościć ani na ciebie, ani na siebie. W końcu oboje jesteśmy dorośli, prawda? Gdybym nie chciała, toby mnie tu nie było.

Randall uśmiechnął się do mnie.

- Masz rację. - Zamyślił się.

Byłam pewna, że teraz żałuje, że tak ode mnie uciekł. Na myśl o tym nie umiałam powstrzymać uśmiechu. Randall spojrzął na stojący na biurku zegar.

- Lepiej zrobimy, jeśli już pojedziemy. Jeśli przyjdziemy do teatru po rozpoczęciu przedstawienia, to mogą nas nie wpuścić na widownię.

Ubraliśmy się w milczeniu, starannie unikając wzajemnego dotknięcia. To było trochę tak, jakbyśmy się oboje bali, że jeżeli nasze ciała znów się spotkają, zapomnimy o wszystkim i wylądujemy w łóżku.

W granatowej marynarce, z węzłem krawata pod szyją, Randall wyglądał naprawdę elegancko. Kiedy już znaleźliśmy się na korytarzu, przyglądałam mu włosy, a potem szybko zbiegliśmy po schodach. Gdy mijaliśmy małą salkę nieopodal wyjścia, wyrzała z niej Leslie. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko, po czym się roześmiała i znikła, zamykając za sobą drzwi.

Gdyby wiedziała, co się stało, zapewne nie mogłaby się nadziwić, że chce się nam iść do teatru.

Nawet na Szekspira.

Śmiejąc się do siebie w duchu, chwyciłam Randalla za rękę i pociągnęłam go za sobą w świat. Na zewnątrz powitało nas piękne, ciepłe popołudnie. Jeszcze nigdy nie byłam równie ciekawa, co czeka mnie za kolejnym zakrętem drogi, którą wędrowałam przez życie.

RĘKA LOSU

W przeciwieństwie do Randalla nigdy wcześniej nie widziałam prawdziwego przedstawienia teatralnego. Oczywiście czytałam *Makbeta* w szkole, ale czym innym jest czytać dramat, a czym innym oglądać na scenie aktorów, słuchać poezji i patrzeć, jak lady Makbet ogarnia szaleństwo. Siedziałam z oczami wlepionymi w scenę, bojąc się choćby na moment oderwać wzrok od aktorów. Przez cały czas miałam świadomość, że Randall chwilami mnie obserwuje, ale ilekroć próbował się do mnie odezwać, natychmiast go uciszałam. Nie chciałam stracić ani słowa ze sztuki.

- To było cudowne - oznajmiłam, kiedy aktorzy po raz ostatni skłonili się publiczności i bezpowrotnie zniknęli za sceną. Wszyscy wokół nas stali. Ja sama miałam dłonie zaczerwienione od klaskania. - Nie mogę się doczekać, kiedy znów znajdę się w teatrze!

Randall śmiał się z mego entuzjazmu.

- Może ci się to wydać dziwne, ale nigdy dotąd nie widziałam czegoś podobnego.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie byłaś w teatrze?

- Nie. Raz tylko grałam w szkolnym przedstawieniu.

- Żartujesz?

- Nie, nie żartuję. Chyba nic nie zrozumiałeś z tego, co ci opowiadałam. Ja naprawdę wychowałam się w murzyńskim getcie w Waszyngtonie. Nie było nas stać na porządne jedzenie,

nie mówiąc już o takich luksusach, jak kino czy teatr. Ze szkołą też nigdy nie chodziliśmy do teatru. Pewnie się bali, że skończy się to jakąś awanturą, i mieli rację, bo większości moich kolegów nie interesowało nic poza bójkami, alkoholem i narkotykami.

- Zupełnie o tym zapomniałem - przyznał Randall, gdy wychodziliśmy z teatru.

- No więc sam rozumiesz, że teraz, kiedy zobaczyłam, jak wygląda prawdziwy teatr, naprawdę nie mam pojęcia, co ja tu jeszcze robię. Udaję aktorkę czy co? Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym znaleźć się na scenie, pośród prawdziwych aktorów.

- Och, jestem pewien, że świetnie byś sobie dała radę.

Spojrzałam na niego spod oka i uśmiechnęłam się, muszę przyznać, trochę złośliwie.

- Nie wierzę w dobre wróżki. Ostatnią właśnie niedawno załatwili kolesie z mojej dzielnicy.

- Co takiego?

- Nic takiego. Tak sobie tylko gadam. Powiedzmy, że nie chcę się rozczarować, więc nie robię żadnych planów na przyszłość, zgoda?

Randall skinął głową.

- Nie chce ci się jeść? Od dobrych paru godzin nie mieliśmy nic w ustach - powiedział.

- Jestem jeszcze wciąż za bardzo przejęta, żeby jeść, ale jeśli jesteś głodny, chętnie dotrzymam ci towarzystwa.

Randall zaprowadził mnie do niewielkiego pubu o nazwie „Kapitański Stół” i zamówił frytki i rybę. Kiedy poprosił o dwa małe piwa, spojrzeliśmy na siebie, ciekawi, czy kelnerka zrealizuje zamówienie, nie prosząc o dowód, że skończył osiemnaście lat. Biedna kobieta miała na głowie tyle roboty i tak była zmęczona tłumem hałaśliwych klientów, że tylko zapisała nasze zamówienie i zniknęła bez słowa.

- No, to było rzeczywiście udane przedstawienie - zauważył Randall. - Nasze wspólne. Gdyby nie ty, na pewno nie dostałbym piwa. To dlatego, że wyglądasz naprawdę poważnie.

- Och, to że nabraliśmy wykończoną całodzienną harówką kelnerkę, nie znaczy jeszcze, że potrafilibyśmy dokazać czegoś na scenie przed dwoma tysiącami widzów, Randallu Glenn.

Popijałam piwo i rozglądałam się wokół. Pub wyglądał na miejsce odwiedzane wyłącznie przez lokalną społeczność. Słuchałam, jak składają zamówienie dwaj młodzi mężczyźni przy stoliku obok nas, i nic nie rozumiałam.

- Dla mnie Kate i Sydney - powiedział wyższy do kelnerki.

- Dla mnie Lilian Gish ze szczyptą łososia i pstrąga. Masz szluga? - spytał niższy, a kiedy przyjaciel wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, wziął jednego i wstał od stolika.

- Dokąd się wybierasz?

- Do telefonu. Chcę wiedzieć, czy żona jest w domu.

- Twój ból i zgaga - rzucił kolega i obaj wybuchnęli głośnym śmiechem.

- O czym oni mówią? - spytałam Randalla.

- To się nazywa *mockney*. Dziś to modne, używać dziwnych zwrotów, które brzmią trochę jak dawny *cockney*. To znaczy dialekt wschodniolondyński - wyjaśnił Randall, widząc, że nadal nic nie rozumiem. - Pierwszy facet zamówił stek i nerkę, drugi rybę.

- I to wszystko? - spytałam rozczarowana, bo już miałam nadzieję, że nasi sąsiedzi okażą się aktorami z Old Vic. - Skąd to właściwie wiesz? - dodałam, zadziwiona jego znajomością angielskich zwrotów i zwyczajów.

- Jak ci już mówiłem, czytam. Mam książkę o współczesnych dialektach angielskich. Jeśli chcesz, chętnie ci ją pożyczę. To w pewnym sensie słownik *cockney a* - wyjaśnił niestrudzony Randall.

- Dość mam kłopotów z angielszczyzną Anglików - przyznałam. - Na razie wolę sobie dać z tym spokój.

Randall pociągnął łyk piwa i zaczęliśmy rozmawiać o przedstawieniu. On uważał, że los Makbeta był z góry przesądzony, więc w gruncie rzeczy nie pozostawało mu nic innego, jak zaakceptować tragiczny koniec. Nie zgodziłam się z nim i zwróciłam uwagę na to, że więdźmy wprowadzie kusiły

Makbeta, ale winnym zła był on sam, bo uległ podszeptom żony, którą zaślepiła żądza władzy, i zabił króla.

- No dobrze, a czy nie wydaje ci się czasem, że twoje własne życie biegnie z góry wyznaczonym torem?

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedziałam. - Moje życie nie zaczęło się najlepiej i wierzę, że potoczy się inną niż dotąd koleją. Nie chciałabym skończyć jak lady Makbet.

Randall popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- Czasem mam wrażenie, że robię coś, czego nie powinienem robić... wyzywam los, czy jak to nazwać, i czuję, że w końcu kiedyś drogo za to zapłacę.

- Jeśli nie chcesz robić tego, co robisz, powinieneś porozmawiać z rodzicami. Nie możesz pozwolić, żeby ktokolwiek decydował o twoim życiu za ciebie.

- Wiem - westchnął. - To nie jest tak, że ja nie chcę występować na scenie. Uwielbiam śpiewać. Chodzi mi o to, że czasem... Czasem wydaje mi się, że tak wiele tracę z życia, że w gruncie rzeczy nie mam o czym śpiewać. Rozumiesz mnie?

- Tak.

- Leslie i Catherine też tak uważają.

- Pomyśl o radości życia - poradziłam Randallowi, na co uśmiechnął się do mnie.

Kelnerka przyniosła nam rybę i frytki. Wydawało mi się, że nie jestem głodna, ale zapach potraw pobudził mój apetyt i po prostu zakochałam się w angielskich frytkach. Nie ulegało żadnym wątpliwości, że zjadłam ich stanowczo za dużo. Już w drodze do domu poczułam, że mój żołądek się buntuje, ale prawdziwa męka dopiero mnie czekała. Najpierw bałam się, że hałas, jakiego narobiłam, wyciągnie Boggsa z jego pokoju, potem do rana skręcałam się i wierciłam w łóżku, nękana nieznośnymi bólami żołądka.

Rano wciąż jeszcze czułam się niedobrze, a na dodatek byłam okropnie niewyspana. Zwlokłam się z łóżka, umyłam i poszłam do kuchni. Kiedy pani Chester spytała, czemu jestem taka „wypluta”, opowiedziałam jej, co zjadłam. Roześmiała

się i powiedziała, że widać musieliśmy marnie trafić. Potem przyrządziła mi jakiś napój, po którym poczułam się lepiej. Kiedy weszłam do jadalni ze śniadaniem, przynajmniej nie wyglądałam już jak śmierć na chorągwi. Za stołem siedział tylko wuj.

- I co? - spytał, gdy weszłam. - Jak ci się podobała sztuka?

- Och, była cudowna. Bardzo dziękuję za bilety.

- Wiele dobrego słyszałem o aktorce grającej rolę lady Makbet - odpowiedział, kiwając głową. - Czy zabrałaś ze sobą kogoś ze szkoły?

- Tak.

- Czy twojej koleżance przedstawienie także się podobało?

- Byłam z kolegą.

- Ach tak?

Wuj Richard zrobił wielkie oczy i napił się herbaty.

- Nazywa się Randall Glenn, uczy się śpiewu. Ma piękny głos i kiedyś pewnie zostanie gwiazdą opery. Jest bardzo sympatyczny. Przyjechał z Kanady, ale był już w Londynie z rodzicami, więc jest wspaniałym przewodnikiem.

Oczy wuja spochmurniały, stały się niemal gniewne.

- Musisz bardzo uważać, z kim się zadajesz. Jedna pomyłka może zrujnować całe twoje życie - oznajmił takim tonem, że zabrzmiało to jak prawdziwa groźba. - Ulice Londynu pełne są dziewczyn w twoim wieku, które uległy zakusom ze strony chłopców. Pomyśl o tym w ten sposób... - Wuj Richard złożył gazetę, patrząc na mnie surowo. Naraz urwał. Mary Margaret, która wciąż krążyła między kuchnią i jadalnią, zatrzymała się w drzwiach i słuchała kazania, jakie mi prawił. Wuj zgromił ją wzrokiem i pokojówka natychmiast zniknęła w kuchni. - Pomyśl o tym w ten sposób - podjął wuj z taką miną, jakby Mary Margaret dopuściła się jakiegoś niewybaczalnego wybryku. - Twoje hormony są jak silnik, który wprawia w ruch pojazd, jakim jest ciało. W twoim wieku ten silnik jest wyjątkowo potężny i łatwo możesz nad nim stracić panowanie. A kiedy kierowca traci panowanie nad samochodem, znajduje się

na prostej drodze do katastrofy, która może go zniszczyć. Zrozumiałaś?

Tłumaczył mi to wszystko, jakbym była małą dziewczynką, której opowiada się o kwiatkach i pszczołkach. Wiedziałam, że wuj Richard chce jak najlepiej, ale jego mentorski ton wywołał na moich ustach mimowolny uśmiezek.

- To nic śmiesznego - rzucił surowo.

- Och, wiem. Dzięki za radę. Naprawdę doceniam pańską troskę o moje dobro.

- Mam nadzieję - odpowiedział i szybko sięgnął po gazetę.

- Czy pani Endfield dobrze się czuje?

- Dobrze. Jest tylko zmęczona wczorajszym wyjazdem. Pani Chester już wie, że należy jej podać śniadanie do pokoju.

Wuj zagłębił się w gazecie, jakbym nagle przestała istnieć. Wzruszyłam w duchu ramionami i wróciłam do kuchni. Taca ze śniadaniem dla ciotki była już przygotowana.

- Zanieś to pani Endfield - usłyszałam, gdy tylko przekroczyłam próg kuchni.

- Ja?

- A dlaczego by nie?

Popatrzyłam na Mary Margaret, która szybko się odwróciła, żeby nałożyć do miseczki dżem.

- Po prostu nigdy dotąd tego nie robiłam. To wszystko.

- Mam nadzieję, że to nie jest dla ciebie zbyt wielki wysiłek, co? - spytała ironicznym tonem pani Chester. - Tylko nie wywal całego śniadania na panią Endfield.

Wzięłam tacę i weszłam schodami na piętro. Zapukałam do drzwi i poczekałam na odpowiedź.

- Proszę.

Ciotka Leonora siedziała na łóżku. Nieupudrowana, nieuczesana, w nocnej koszuli, wyglądała dużo starzej niż zwykle. Na jej twarzy rysowały się głębokie zmarszczki, a cera przypominała pergamin.

- Dzień dobry, pani Endfield - powitałam ją.

- Dzień dobry. Proszę, przysuń mi najpierw stolik. - Ciotka Leonora wskazała gestem mały stolik w kształcie tacy, na

jednej nodze z boku, wyrastającej z wydłużonej podstawy na kółkach.

Odstawiłam tacę na toaletkę, przysunęłam stolik, po czym umieściłam na nim tacę.

- Czy źle się pani czuje, pani Endfield?

- Jestem taka zmęczona... Wczorajsza podróż i te wszystkie przeżycia bardzo mnie wyczerpały. Trochę za dużo tego było, jak na jeden dzień. Zaczekaj - poleciła, kiedy ruszyłam do drzwi. - Zostań ze mną przez chwilę i opowiedz mi, czy miło spędziłeś dzień, a przede wszystkim, jak ci się podobało przedstawienie.

Opowiedziałam jej o wycieczce do Tower, o pikniku, jaki sobie urządziliśmy nad rzeką, wreszcie o przedstawieniu i o tym, co robiliśmy potem. Kiedy doszłam do nocnych boleści po frytkach, ciotka Leonora uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Heather była taka sama, jeśli chodzi o różne potrawy - zauważyła i natychmiast przygryzła dolną wargę tak silnie, aż skóra wokół zbieleła. Wyglądało to tak, jakby powiedziała coś, o czym w żadnym wypadku nie wolno jej było wspomnieć.

- Heather? - Wiedziałam wprawdzie, że mówi o swojej zmarłej córce, ale nie chciałam dać po sobie poznać, co powiedziała mi babcia Hudson.

Ciotka Leonora pokręciła głową, patrząc na mnie wielkimi oczami.

- Nie powinnam wymieniać jej imienia - szepnęła wystraszona. - Obiecuj, że nikomu o tym nie wspomnisz.

- Kim jest Heather?

- Była naszą córką. - Oczy ciotki zaszkliły się, a potem szybko zamrugała powiekami. - Endfieldowie przeżyli potworną tragedię - zaczęła, jakby opowiadała o kimś innym. - Heather miała zaledwie siedem lat, kiedy pewnej nocy maleńkie serduszko pękło niczym stary witraż w katedrze jej piersi. To była taka słodka, cudowna, maleńka dziewczyneczka. Zawsze uśmiechnięta, nigdy nie przysporzyła najmniejszego zmartwienia swojemu tatusiowi. Jej oczka rozjaśniały się na jego

widok... niczym dwie iskierki, jakby co dzień było radosne święto. Każda chwila była dla niej bezcenna, bo los obdarzył ją takim krótkim życiem...

Richard o nic nie dbał bardziej niż o szczęście córki. Nigdy nie wracał do domu bez jakiegoś prezentu. Kupował jej mnóstwo lalek, niemal co dzień nową, ubranka dla tych lalek, mebelki, talerzyki, filizaneczki, biżuterię. Jeśli tylko zobaczył coś ładnego, zawsze kupował to Heather. Nie było dla niego nic ważniejszego...

Ciotka Leonora zamyśliła się i westchnęła.

- Tamtego ranka... - urwała, jakby wciąż nie potrafiła spokojnie myśleć o tym, co się stało przed laty. - Tamtego ranka, gdy Heather się nie zbudziła, siedział przy niej do zmierzchu. Przez cały dzień nie jadł i nie pił. Wyrzucił lekarza, przeklinając świat medyczny za to, że dopuścił, by to się stało. Tyle wysiłków, lekarstw, operacji... Nic nie pomogło. Dopiero wieczorem przyjechali współpracownicy Richarda z kancelarii i nakłonili go, by zadzwonił do przedsiębiorstwa pogrzebowego. Choć ustąpił, nie chciał mieć nic wspólnego z tym, co się dzieje. Podczas pogrzebu zachowywał się jak lunatyk. Patrzył po ludziach tak, jakby miał nadzieję, że to wszystko okaże się tylko snem... I nigdy więcej nie pojechał na grób. Pokój Heather jest zawsze zamknięty na klucz. Jediną osobą, która tam wchodzi raz na tydzień, żeby wszystko odkurzyć, jest Mary Margaret. Nie wiem, po co. Przecież skoro pokój i tak jest zamknięty, chyba nie ma sensu go sprzątać.

W każdym razie nie wolno ci się zdradzić przed Richardem choćby słowem z tym, co ode mnie usłyszałaś - dodała szybko po chwili. - W żadnym razie. Richard nie znosi nawet, gdy ktoś tylko wspomni jej imię.

- Czemu w domu nie ma żadnych fotografii Heather?

- Richard się nie zgadza. Już przed laty usunął wszystko, co mogłoby przypominać nam o jej istnieniu i pogłębiać nasz ból.

- Ale czy nie chcecie o niej pamiętać?

- Richard uważa, że lepiej jest udawać, że nigdy jej nie

było. Ma rację - dodała z nieprzytomnym uśmiechem. - Tak jest nam źlej. Kiedy myślę teraz o Heather, mam uczucie, jakbym tylko śniła przed laty o córce, której tak pragnęliśmy, a która nigdy naprawdę nie istniała.

- Nie chcieliście mieć więcej dzieci?

Przez długą chwilę ciotka Leonora patrzyła na mnie bez słowa. Już myślałam, że moje pytanie tak ją dotknęło, że w ogóle mi nie odpowie. Chciałam odwrócić się i wyjść, ale w końcu się do mnie odezwała.

- Baliśmy się, że znów mógłby się nam wydarzyć podobny koszmar. Problemy z sercem są w rodzinie Endfieldów dziedziczne. Matka Richarda zmarła, mając zaledwie trzydzieści lat, rozumiesz... - Ciotka Leonora smutno pokiwała głową. - To prawda, że życie bez dzieci czyni nas egoistami, ale nic na to nie mogłam poradzić. Richard nawet nie chciał słyszeć o adopcji. Powiedział mi, że nie potrafiłby kochać dziecka, w którego żyłach nie krążyłaby krew Endfieldów. Nie spierałam się z nim. Boję się, że i ja zachowałam się samolubnie. Nie jestem taka jak Frances, rozumiesz. Zachowuję się wobec niej krytycznie, ale to taka nasza gra, którą uprawialiśmy od dziecka. Tak naprawdę szczerze podziwiam siłę mojej siostry. Czasem myślę, że nie mrugnęłaby powieką, gdyby sama królowa zapukała do jej drzwi. Po śmierci matki przez lata mi ją zastępowała. Czasem matkowała nawet własnemu mężowi. - Ciotka Leonora zaśmiała się cicho. - Och, ale ja cię zanudzam takimi bzdurami, a czas ucieka - dodała, spoglądając na stojący na komodzie zegar w marmurowej oprawie. - Spóźnisz się przeze mnie do szkoły.

- To nie żadne bzdury - odpowiedziałam poważnie, ale ciotka chyba mnie już nie usłyszała. Popijała herbatę, kiwając się lekko. Pomyślałam, że wygląda jak dziecko cierpiące na chorobę sierocą.

Odwróciłam się i wyszłam z pokoju. Idąc do drzwi, zerknęłam na bujany fotel, w którym siedziała sobotniego ranka, gdy chciałam powiedzieć jej, że wychodzę. Na fotelu leżał koc, a spod koca wystawała maleńka rączka lalki.

Przeszedł mnie dreszcz. Czym prędzej wyszłam z pokoju, szybko zesłam na dół, a gdy tylko uporałam się ze swoimi obowiązkami, pojechałam do szkoły.

Przez cały tydzień uskrzydlał mnie entuzjazm wywołany przedstawieniem, które obejrzelśmy w Old Via Randall powiedział, że żyję w natchnieniu, a ja nie zaprzeczałam. W marzeniach oglądałam siebie samą na scenie. Na koniec tych wyimaginowanych spektakli publiczność zawsze wybuchała entuzjastycznymi brawami i ktoś pojawiał się przede mną z wielkim bukietem róż. Widziałam swoje imię, wypisane jarzącymi się literami neonów, i swoje fotografie na stronicach czasopism. Ludzie, którzy znali mnie jako biedną dziewczynę z waszyngtońskiego getta, ze zdumieniem wpatrywali się w moją twarz, kiedy napotykali ją w gazetach na kolumnach poświęconych kulturze. Jestem pewna, że cała klasa zastanawiała się, czemu siedzę na zajęciach z takim błogim i nieobecnym uśmiechem, ale nikt nie miał pojęcia, co dzieje się w mojej głowie.

Pewnego dnia, w drugiej połowie tygodnia, nauczycielka wymowy dramatycznej odwołała mnie na bok i pochwaliła za postępy, jakie uczyniłam, odkąd przybyłam do szkoły. W czwartek czytaliśmy na zajęciach urywki *Hamleta*. Wypadłam tak dobrze, że w piątek znalazłam swoje imię na liście osób, które miały wystąpić w inscenizacji fragmentu przedstawienia, i to w roli Ofelii. Sarah Broadhurst, która bardzo liczyła na tę rolę, wprost zzieleniała z zazdrości. Randall z kolei robił tyle hałasu wokół mego sukcesu, że w końcu go poprosiłam, żeby przestał, bo wprawia mnie w zakłopotanie.

- Nie zwracaj uwagi na Sarah - powiedział mi. - Jeśli się nie nauczy akceptować porażek, nie ma czego szukać w tym zawodzie. Aktor nie ma innego wyjścia, niż chodzić dzień po dniu na castingi, przesłuchania i próby, dopóki się nie przebije. Dopiero kiedy zostanie gwiazdą, może zacząć przebierać w propozycjach.

We fragmencie, który mieliśmy wystawić, Ofelia dowiaduje się, że Hamlet zabił jej ojca, i to doprowadza ją do obłądu.

- Chętnie z tobą poprobuję, jeśli chcesz - zaproponował Randall. - Widziałem kilka inscenizacji *Hamleta*.

Fakt, że wybrano mnie do roli Ofelii tak szybko, zrobił na wszystkich duże wrażenie. Pan MacWaine pogratulował mi i powiedział:

- Wspomnę o tym w raporcie, który przygotowuję dla pani Hudson. Jestem pewien, że będzie z ciebie dumna, Rain.

Nie mogłam się doczekać, kiedy podając wieczorem do stołu, podzielę się wiadomością o swoim sukcesie z wujostwem. Natychmiast po powrocie do domu poszłam do swego pokoju, żeby się przebrać, i ze zdumieniem odkryłam, że ktoś grzebał w moich rzeczach. Ubrania w szufladach komody były w nieładzie, drzwi szafy pozostawiono uchylone, tajemniczy intruz zaglądał nawet do pudełek na buty i nie pofatygował się, by je tam z powrotem zamknąć. Ktokolwiek to był, nie zadał sobie nawet trudu, żeby zatrzeć ślady wtargnięcia do mojego pokoju. Nawet kieszenie żakietów i kurtek były powywracane na lewą stronę. Nie miałam w swoim dobytku nic wartościowego, niemniej nieoczekiwana sytuacja okropnie mnie rozjątrzyła. Kto to mógł zrobić? I po co?

Wściekła pomaszerowałam korytarzem, żeby poskarżyć się wujowi Richardowi. Po drodze natknęłam się na Boggsa.

- Pan Endfield właśnie mnie po ciebie posłał - powiedział, zanim zdążyłam odezwać się choćby słowem. - Czeką w gabinecie.

- Co tu się dzieje? - spytałam zaskoczona. - Kto grzebał w moich rzeczach?

- Pan Endfield na ciebie czeka - powtórzył Boggs, patrząc na mnie pozbawionym wszelkiego wyrazu wzrokiem.

Z równym powodzeniem mogłabym przemawiać do obrazu, pomyślałam. Miałam ochotę kopnąć go w najczulsze miejsce. Rzuciłam Boggsowi wściekłe spojrzenie, ominęłam go szero-

kim łukiem i weszłam do gabinetu. Wuj Richard siedział przy biurku, odwrócony plecami do wejścia. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, kazał mi zamknąć drzwi. Dopiero potem odwrócił się do mnie i sięgnął po list leżący na biurku obok otwartej koperty.

- Ten list przyszedł dziś z Ameryki - zaczął. - Przysłała go siostrzenica mojej żony, Victoria. Czy domyślasz się, o czym pisze? - zapytał, nachylając się ku mnie nad biurkiem z surową miną.

- Nie mam pojęcia. Czy to coś na mój temat? - spytałam szybko, bo przyszło mi do głowy, że być może zdecydowała się postąpić wbrew woli matki i wyjawić prawdę.

Zamiast odpowiedzieć, wuj Richard opadł na oparcie fotela i wsparłszy łokcie na poręczach, splótł palce. Odetchnął głęboko i wyprostował się, jakby miał przemawiać na forum Izby Lordów.

- O ile wiem, stworzono ci wspaniałą okazję osiągnięcia czegoś, nie tylko tutaj, lecz również w Ameryce. Uczęszczałaś do cieszącej się znakomitą opinią, bardzo drogiej, prestiżowej szkoły, otrzymałaś nowe ubrania, miałaś własny luksusowy pokój. W zamian nie oczekiwano po tobie niczego poza tym, że będziesz pracować, by stać się kimś.

- Tak, wiem. Jestem za to wdzięczna pani Hudson. Ale nie rozumiem, co to może mieć wspólnego z listem Victorii.

- Nie rozumiesz?

- Czy zrobiłam coś nie tak, jak powinienam? Dotychczas nikt nie zwracał mi uwagi na żadne niedociągnięcia. Pan sam powiedział kiedyś, że jest ze mnie zadowolony.

- To prawda.

- W takim razie czemu traktuje mnie pan, jakbym popełniła jakąś zbrodnię? Mój pokój wygląda niczym po przetrząśnięciu przez FBI. Kto to zrobił?

Wuj Richard siedział nieporuszony, nawet powieka mu nie drgnęła.

- Victoria poinformowała mnie, że z domu mojej szwagierki zginęła bardzo cenna rzecz - powiedział cicho. - Brylantowa

broiszka, która należała do najcenniejszych pamiątek rodzinnych. - Sięgnął po list. - Victoria twierdzi, że widziała ją bezpośrednio przed twoim pojawieniem się w domu pani Hudson.

- Czy oskarża mnie pan, że ukradłam coś z domu pani Hudson? - spytałam, kompletnie osłupiała ze zdumienia.

- Nikt cię o nic nie oskarża. Moja siostrzenica uważa po prostu, że istnieją powody do podejrzeń.

- I dlatego Boggs przetrząsnął mój pokój?

- To dla ciebie dużo lepsze, niż gdybyśmy wezwali policję. Postąpiliśmy tak dla twojego dobra.

- Dla mojego dobra traktuje się mnie jak złodziejkę? Dla mojego dobra ten człowiek grzebie w moich rzeczach?

- Mam pełne zaufanie do dyskrecji Boggsa. Nikt nie musi o niczym wiedzieć. Oczywiście decyzja należy do ciebie - oświadczył takim tonem, jakby się spodziewał, że się przyznam do kradzieży.

- Niczego nie ukradłam. Nigdy nawet nie widziałam broszki, o której pan mówi, panie Endfield - oświadczyłam stanowczo. - Jeśli chce pan wiedzieć, to powiem panu, co o tym wszystkim myślę - dodałam, czując wzbierające pod powiekami łzy. - Sądzę, że Victoria sama schowała tę broszkę, żeby móc mnie oskarżyć o kradzież i napisać ten ohydny list.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - Pan Endfield wyglądał raczej na zaintrygowanego niż zaskoczonego moimi słowami.

- Victoria nigdy mnie nie lubiła. Od początku usiłowała się mnie pozbyć.

- Przyznasz jednak, że to dość niezwykłe - ukraść rodzinną pamiątkę, żeby pozbyć się ciebie z domu? - Pan Endfield zastanawiał się przez chwilę. - Czemu Victoria nie miałyby otwarcie postawić sprawy?

- O to proszę spytać panią Hudson. Czy pani Hudson wie o liście Victorii?

Czułam, że jeśli usłyszę „tak”, pięknie mi serce.

Pan Endfield przebiegł list wzrokiem.

- Wygląda na to, że nie. Victoria wyraźnie prosi, żeby nie niepokoić tą sprawą Frances.

- Nie dziwi mnie to. Pani Hudson byłaby jeszcze bardziej oburzona ode mnie. Przepraszam bardzo, panie Endfield, ale to jest po prostu sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. - Zebrałam się na odwagę. - Co ja bym zrobiła z brylantową broszką? Czy naprawdę wierzy pan, że jestem doświadczoną złodziejką, która wiedziałaby, jak sprzedać rzecz o takiej wartości? Przecież taka broszka musi być warta mnóstwo pieniędzy. Czy może sądzi pan, że muszę być złodziejką, bo urodziłam się w getcie i jestem czarna?

Wujek Richard popatrzył na mnie, a potem znów zajrzał do listu.

- Sam nie wiem, co o tym myśleć - przyznał w końcu. - Po prostu staram się postąpić właściwie.

- Co uważa pan za właściwe? Traktowanie mnie, jakbym była złodziejką? Słuchając pana, myślałam, że Anglia to naprawdę cywilizowany kraj, a ludzie mają tu jakieś prawa. Teraz widzę, że jest tu nie lepiej niż w Ameryce.

Wuj Richard miał zakłopotaną minę.

- Przepraszam. Może istotnie nie postąpiłem słusznie, ale czułem się w obowiązku zrobić coś w tej sprawie. Ostatecznie mieszkasz w moim domu.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Czy boi się pan, że pana okradnę? - Nim zdążył coś odpowiedzieć, wyprostowałam się i złożyłam ręce na piersi. - Czy mam się stąd zabierać? Proszę tylko powiedzieć słowo, a spakuję się i wyniosę z pańskiego domu w ciągu godziny.

- Ależ nie. To nie jest konieczne, chociaż uprzedzam cię, jeśli się okaże, że jesteś złodziejką...

- Wiem. Każe pan Boggsowi mnie wychłostać.

Wuj Richard prawie się uśmiechnął.

- Jeszcze raz cię przepraszam, Rain. Poinformuję Victorię, że jej zarzuty nie znalazły potwierdzenia, i poproszę, by poszukała winnego gdzie indziej.

- Bardzo się cieszę, tyle że teraz wszyscy będą mnie uważali za złodziejkę - jęknęłam.

- Już ci mówiłem. Jestem pewien, że pan Boggs ani słowem nikomu nie wspomni o podejrzeniach Victorii.

- Jasne - odpowiedziałam sarkastycznie. - Mam do pana prośbę. Chciałabym mieć w drzwiach mego pokoju zamek. Sądzę, że mam prawo przynajmniej do minimum prywatności.

- Dopilnuję, żeby Boggs go założył - zapewnił mnie wuj Richard. - Teraz możesz się przygotować do swoich obowiązków. Nie będziemy wracać do sprawy listu, chyba że pojawią się jakieś istotne powody - dodał i odwrócił się wraz z fotelem do okna.

Okręciłam się na pięcie i wyszłam z gabinetu. Boggsa nie było nigdzie widać, ale byłam pewna, że jest gdzieś niedaleko. Dokądkolwiek szłam w tym domu, zawsze czułam na sobie jego wzrok. Niekiedy wydawało mi się nawet, że czuję na karku jego oddech.

Po powrocie do swego pokoju usiadłam ze wzrokiem wbitym w ścianę. Czemu ciotka Victoria tak mnie nienawidzi? Czy jest po prostu zazdrosna? Zazdrosna o moją matkę, o uczucia, jakimi obdarzyła mnie babcia Hudson? Czy może złośliwość jest stałą cechą jej charakteru? Nie umiałam uporać się z tym problemem. Westchnęłam bezradnie. Najchętniej zażądałabym od Victorii, żeby powtórzyła swoje oskarżenia, stojąc ze mną twarzą w twarz.

Tak mnie to wszystko przygnębiło, że niewiele brakowało, a zapomniałabym powiedzieć podczas kolacji, że dostałam rolę Ofelii. Na szczęście w porę sobie o tym przypomniałam.

- Może zaciekawi państwa, że dostałam rolę w przedstawieniu. Raz w miesiącu w szkole odbywa się wieczór teatru, tańca, śpiewu i muzyki kameralnej. Najbliższy wypada w przyszłą sobotę. Będę recytowała monolog Ofelii - powiedziałam, podając babeczki z budyniem migdałowym, które upiekła pani Chester.

- Och, to brzmi naprawdę imponująco, kochanie. Moje gratulacje. - Ciotka Leonora aż klasnęła w dłonie. - Czy nie

uważasz, że to wspaniale, Richardzie? Być może będziemy się mogli wybrać na twój występ.

- Tak. Doskonale się spisałaś - powiedział wuj, nie podnosząc oczu znad talerza.

- Mam nadzieję, że będą państwo mogli przyjść. W każdym razie postaram się o bilety na najlepsze miejsca.

Wuj Richard nie odpowiedział, ale ciotka Leonora skinęła głową i obdarzyła mnie szerokim uśmiechem. Zaraz potem zaczęła narzekać na szpecące jej cerę plamy wątrobiane. Spojrzała na swoje odbicie w srebrnej tacy i westchnęła.

- Starość jest taka okropna.

- Owszem, ale alternatywa wydaje się jeszcze gorsza. - Głos wuja zdradzał irytację.

Ciotka zmieniła temat i zaczęła opowiadać o nowej restauracji odkrytej przez lorda i lady Batten. Wystarczyło jednak, by wuj Richard wyraził dezaprobatę dla tematu, żeby natychmiast umilkła. Zastanawiałam się, czy tych dwoje naprawdę się kochało, czy cała ich miłość umarła przed wielu laty wraz z ich dzieckiem. Nie wiedziałam, czy powinnam im współczuć, czy raczej w ogóle o nich nie myśleć.

W sobotę wieczorem pojechałam do internatu, żeby powtórzyć z Randallem moją partię tekstu. Umiałam ją już na pamięć i przećwiczyłam w swoim pokoju w Endfield Place. Zamierzaliśmy popracować kilka godzin, a potem pojechać na Piccadilly Circus.

- To niezwykle miejsce. Zobaczysz najwspanialsze sklepy, kluby i teatry, a także najczęściej odwiedzane muzeum, Świat Rekordów Guinnessa. Pokażę ci Her Majesty's Theatre i Royal Haymarket Theatre. Jeśli chcesz, możemy w przyszłym tygodniu wybrać się do któregoś z nich.

Randall mówił dużo i szybko, szukając w czasopiśmie i programach zdjęć, które chciał mi pokazać. W pewnej chwili przerwał i popatrzył na mnie, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że ja również jestem w pokoju.

- Wyglądasz dziś na przygnębioną, Rain. Czy coś się stało?

Beni zawsze twierdziła, że marna ze mnie kłamczucha, bo emocje zbyt wyraźnie odbijają się na mojej twarzy. „Wystarczy na ciebie spojrzeć i już wszystko wiadomo” - mówiła.

- Gorsza ze mnie aktorka, niż przypuszczałam - mruknęłam i wtuliłam twarz w poduszkę.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - spytał Randall.

Oparłam czoło na splecionych ramionach i zamknęłam oczy. Czy gdybym zamknęła je dostatecznie mocno, zdołałabym odciąć się od świata? Czy mogłabym cofnąć się w przeszłość? Tak strasznie tęskniłam za mamą, za Royem, za Beni.

Randall usiadł obok i położył mi rękę na ramieniu.

Tak okropnie zmęczyły mnie wieczne kłamstwa. Brzemie nieustannego udawania, że jestem kimś innym, ciążyło mi ponad siły. Jakie to musi być wspaniałe, kiedy człowiek nie musi się zastanawiać dwa razy nad każdym słowem, kiedy nie musi się bać, że się wygada, że przypadkiem powie prawdę.

- Ludzie, u których mieszkam, a ściśle biorąc, pan Endfield, kazał wczoraj przeszukać służącemu mój pokój - wyznałam Randallowi z goryczą. - Boggs przetrząsnął moje walizki, ubrania, nawet moją bieliznę!

- Dlaczego?

- Pan Endfield dostał od siostrzenicy swojej żony list, w którym ona oskarża mnie o to, że przed wyjazdem do Anglii ukradłam jej matce brylantową broszkę.

Randall nic nie odpowiedział.

Odwróciłam głowę i spojrzałam na niego.

- Nie jestem złodziejką, Randall.

- Wiem. Zastanawiałem się właśnie, jakie to musi być dla ciebie okropne, mieszkać z ludźmi, którzy mogą cię o coś takiego podejrzewać. - Jego mina nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że mówi prawdę. - Może chciałabyś przenieść się do internatu? Są tu wolne pokoje.

- Nie stać mnie na to. Nieważne, Randall. Nic się nie stało. Dałam panu Endfieldowi odczuć, że bardzo mnie to zabolowało, i sądzę, że żałuje tego, co zrobił.

- Powinien - rzekł gniewnie Randall. Kiedy był zły, jego oczy stawały się jeszcze piękniejsze niż zwykle.

Uśmiechnęłam się do niego. W pierwszej chwili się stropił, ale potem również się uśmiechnął. Pochylił się nade mną powoli, aż nasze wargi się spotkały. Pocałował mnie delikatnie w usta, a potem uniósł głowę i popatrzył mi w oczy.

- Jesteś piękna, Rain. Kiedy na ciebie patrzę, przychodzi mi na myśl filiżanka gorącej, słodkiej czekolady.

Roześmiałam się, a on znów mnie pocałował. Tym razem jego pocałunek był śmielszy i trwał dłużej niż poprzednio. Dłoń Randalla przesunęła się powoli po moim ciele i sięgnęła piersi. Wyciągnął się na łóżku obok mnie i całował w policzek i szyję. Kiedy poczułam, że usiłuje rozpinąć guziki bluzki, delikatnie odepchnęłam jego dłoń.

- To tak mi pomagasz przygotować się do recytacji tekstu? - powiedziałam z łagodnym uśmiechem.

- Jak twierdzą Leslie i Catherine, żeby móc wszystko zagrać, aktor musi najpierw wszystko poznać.

- Brzmi to raczej jak typowo męski argument, przemawiający za uprawianiem seksu - odpowiedziałam, ale cmoknęłam go przy tym w czubek nosa, a Randall znowu zaczął mnie całować.

Może miałam już dość tego wiecznego smutku i złości, a może bardziej pragnęłam Randalla, niż mi się wydawało, w każdym razie poczułam nagle, że wcale nie chcę mu się opierać. Chciałam, żeby mnie całował, chciałam wzdychać i jęczeć pod dotknięciem jego gorących warg, a on rozbierał mnie i całował każdy nowo odkryty kawałek mego ciała, dopóki nie byłam naga. Wtedy wstał z łóżka i szybko zrzucił z siebie ubranie.

Delikatne pieszczoty Randalla, dotknięcie jego warg, smak języka, wszystko to było tak cudowne i oszałamiające, że aż zakręciło mi się w głowie. Chociaż na chwilę ból, mrok i kłamstwo zniknęły z mego świata. Znalazłam się na innej planecie, gdzie liczyły się tylko prawdziwe uczucia, gdzie słowa płynęły z serca, a nie z głowy.

- Musimy być ostrożni - szepnęłam mu do ucha, czując, że wpasowuje się w moje ciało, by zbliżyć się do mnie tak bardzo, jak tylko jest to możliwe między ludźmi. - Masz prezerwatywę?

- Nie, ale niczym się nie martw. Obiecuję, że nic się nie zdarzy, Rain. Obiecuję - powiedział błagalnym tonem.

Chciałam go odepchnąć, wszystko mówiło mi, że nie powinnam się zgodzić, ale ogarnęło mnie podniecenie, któremu nie potrafiłam się oprzeć.

Randall wszedł we mnie. Jęknęłam.

- Randall! - niemal krzyknęłam. - Wpakujemy się w kłopoty, a ja naprawdę mam już dość zmartwień na głowie.

Poruszał się szybko, a potem się cofnął i wytrysnął na prześcieradło, jęcząc i wzdychając. Poczekiałam, aż serce przestanie mi walić jak szalone. Potem położyłam mu dłoń na głowie i czekałam, aż jego oddech się uspokoi.

- Przepraszam - wymamrotał. - Jestem kompletnym idiotą. Leslie i Catherine proponowały mi gumowego Jasia, ale byłem zbyt zakłopotany, żeby go przyjąć. Powinienem sam o to zadbać. Straszny ze mnie kretyn.

- Gumowego Jasia?

- Tak tu nazywają prezerwatywy - powiedział, a ja zaczęłam się śmiać. Nic na to nie mogłam poradzić, śmiałam się i śmiałam, aż z moich oczu popłynęły łzy.

Randall uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

- Z czego się śmiejesz?

- Z niczego. - Usiadłam na łóżku i sięgnęłam po ubranie. Potem znów zaczęłam się śmiać.

Randall również się roześmiał, choć sam nie wiedział, z czego. Myślał, że rozbawiło mnie angielskie określenie prezerwatywy, a ja tymczasem wcale się nie śmiałam, tylko płakałam z uśmiechem na ustach. Czułam się kompletnie zagubiona. Nawet wtedy, gdy się kochaliśmy, czułam się zagubiona.

Dopóki nie dowiem się, kim jestem, dopóki nie będę mogła stanąć z podniesioną głową i powiedzieć, jak się nazywam, dopóki nie będę mogła spojrzeć w lustro i przyjrzeć się swojej

prawdziwej twarzy, którą na razie wciąż musiałam ukrywać za maską, niczego nie będę czuła naprawdę, tak jak czuć się powinno.

Kiedy przestałam się śmiać i otarłam łzy z policzków, Randall popatrzył na mnie zaskoczony.

- Wszystko w porządku? - spytał niepewnie.

- Nie.

- Przepraszam. Zachowałem się jak idiota. Naprawdę strasznie mi głupio, że sprawiłem ci przykrość.

- To nie ty.

- W takim razie co?

- To wszystko jest jedno wielkie kłamstwo.

- Jakie kłamstwo?

- O mnie. Być albo nie być, pamiętasz?

Pokręcił głową.

- Nic nie rozumiem.

Wahałam się przez chwilę, a potem nakryłam się kołdrą i zaczęłam opowiadać mu prawdziwą historię mojego życia. Wyrzucając z siebie wreszcie całą prawdę, czułam się tak, jakbym wreszcie się uwalniała od ciężkiego brzemienia, które nie pozwalało mi swobodnie oddychać.

NIEPOKOJĄCE ODKRYCIA

Randall leżał na plecach z dłońmi splecionymi pod głową i słuchał mnie uważnie. Nie przerywał mi, nie zadawał pytań. Zaczął mówić, dopiero gdy umilkłam, odetchnęłam głęboko i zamknęłam oczy. W gruncie rzeczy nie wyczerpało mnie to, że bardzo długo trwało, nim skończyłam opowieść, ani to, że opowiadając, wracałam do wydarzeń, które wstrząsnęły moim życiem. Nie. Tym, co wymagało ode mnie największego wysiłku i co najbardziej mnie bolało, było wyznanie, że moja matka, moja biologiczna matka urodziła mnie i oddała natychmiast obcym ludziom z taką beztróską, jakbym była dla niej warta nie więcej niż para starych butów. Gdyby mama Arnold nie skontaktowała się z nią na kilka miesięcy przed śmiercią, pewnie w ogóle nigdy byśmy się nie spotkały. Jej życie w niczym by się nie zmieniło, zresztą w gruncie rzeczy spotkanie ze mną również nie zmieniło go ani o jotę. Moja matka twierdziła wprawdzie, że często o mnie myślała, ale szczerze mówiąc, wcale w to nie wierzyłam. Fakt, że robiła, co mogła, aby utrzymać moje istnienie w ścisłej tajemnicy, utwierdzał mnie w przekonaniu, że jestem dla niej wyłącznie niewygodnym ciężarem.

Pomyślałam, że doświadczenia szczególnie sprzyjały ukształtowaniu się we mnie niskiej samooceny i braku wiary we własne siły, czyli takim cechom, które szczególnie utrudniają podjęcie kariery scenicznej. W końcu żeby występować

przed setkami widzów, w tym recenzentów i krytyków, którzy obserwują człowieka jak przez mikroskop, trzeba być w prawdę dobrej kondycji psychicznej.

- A więc ludzie, u których mieszkasz, są twoimi krewnymi, tyle że nic o tym nie wiedzą? - powiedział w końcu Randall.

- Tak. Pani Endfield jest moją ciotką, czy raczej, ściśle biorąc, cioteczną babką, o ile ktokolwiek jeszcze w ogóle używa takiego staroświeckiego określenia, ale babcia Hudson uznała, że będzie lepiej, żeby Endfieldowie o tym nie wiedzieli. Oboje chlubią się swoją wielkodusznością i ciotka Leonora jest na swój sposób dumna, że może mi pomóc. Przechwala się przed wszystkimi znajomymi, że ma *au pair* z Ameryki.

- Ale czy nie byłoby lepiej, gdyby jednak twoi wujostwo wiedzieli, kim jesteś? Chodzi mi o to, że nie musiałybyś wówczas być służącą i mogłabyś poświęcić cały swój czas i energię nauce.

- Prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy rzeczywiście wyszłoby mi to na dobre. Babcia Hudson, która w końcu zna ich dużo lepiej niż ja, uważa, jak mi się wydaje, że nie pozwoliliby mi dłużej u siebie mieszkać.

Randall zrobił zdziwioną minę.

- Wstydziliby się mnie, bo jestem kolorowa, i pewnie zażądałoby, żebym się od nich wyprowadziła - wyjaśniłam. - I tak się dziwię, że ciotka Victoria nie napisała po prostu prawdy, bo w ten sposób najłatwiej dopięłaby celu. Myślę, że nie zdecydowała się na to, bo jest rozdarta między zazdrością o miłość i troskę, jakie okazuje mi babcia Hudson, a zadowoleniem, że nie musi mnie oglądać.

- Jeśli nigdy wcześniej cię nie widziała ani nawet nie wiedziała o twoim istnieniu, to dlaczego cię nienawidzi? Czy myślisz, że to po prostu kwestia uprzedzeń, czy...

- Nie mam pojęcia, czy Victorii chodzi o mnie, czy nienawidzi swojej siostry, czyli mojej matki, a tym samym i wszystkiego, co z nią związane, a więc również i mnie... - rozważałam głośno. - Wydaje mi się, że jedyna osoba, którą akceptuje, to mąż mojej matki. To wszystko jest strasznie

pokręcone - dodałam, sięgając po ubranie. - Od myślenia o tym boli mnie głowa.

Randall słuchał tego z zamyśloną miną. Naraz twarz mu się rozjaśniła, jakby coś go olśniło.

- Matka ci powiedziała, że twój ojciec wyjechał do Londynu, tak?

- Tak. - Zapięłam stanik i wciągnęłam majtki.

Randall wciąż leżał z rękami pod głową, ze wzrokiem wbitym w sufit.

- I powiedziała ci, że chciał zostać wykładowcą i zamierzał się specjalizować w twórczości Szekspira? Tak?

- Tak powiedziała, ale wcale nie wiem, czy mogę jej wierzyć - odpowiedziałam, kończąc się ubierać.

Randall oderwał wreszcie spojrzenie od sufitu i popatrzył na mnie. Był ożywiony, wręcz rozgorączkowany.

- Czemu nie mielibyśmy spróbować go odnaleźć?

- Co takiego? Kogo chcesz odnaleźć?

- Twojego ojca. Powiedziałaś, że nazywa się Larry Ward. To niemożliwe, żeby nie dało się go odszukać. Możemy zacząć od tego, że przejrzymy książkę telefoniczną i zadzwonimy do wszystkich Lanych Wardów, jakich tam znajdziemy.

Pokręciłam głową. Na samą myśl, że moglibyśmy uczynić coś takiego, zrobiło mi się zimno.

- I co? Będziemy pytać każdego Warda po kolei, czy nie miał kiedyś w college'u romansu z Megan Hudson?

- Może mu się udało i rzeczywiście został wykładowcą, specjalistą od Szekspira, jak tego chciał. To ułatwiłoby identyfikację, nie? Ilu może być w Londynie czarnych historyków literatury, badaczy Szekspira pochodzących z Ameryki, Rain? Jeśli jeszcze tu jest, znajdziemy go bez trudu. Co ty na to?

Energicznie pokręciłam głową.

- Nie, nie chcę.

- Czemu nie? Nie masz ochoty się z nim spotkać? Nie chcesz poznać swego ojca? Gdybym był na twoim miejscu, bardzo bym chciał.

- No i co mu powiem, jeśli go nawet odnajdziemy? Cześć,

jestem twoją córką, tą, która cię nigdy nie obchodziła? Nie. Nie mam ochoty na kolejne rozczarowanie. Już raz zostałam odtrącona, zaraz po przyjsciu na świat. Nie zamierzam przeżyć tego jeszcze raz, zwłaszcza stanąwszy z ojcem twarzą w twarz.

- A może wszystko potoczy się inaczej, niż ci się wydaje? Daj spokój, Rain, nie powiesz mi, że nie jesteś ciekawa swego ojca.

- Nie mówię, że nie jestem ciekawa, ale...

- Wobec tego co ci szkodzi go poszukać? Kiedy go odnajdziemy, będziesz mogła zdecydować, czy chcesz się z nim spotkać i powiedzieć mu, kim jesteś, czy nie. Tak czy owak, nic nie tracisz. Chętnie ci pomogę w poszukiwaniach.

- Dlaczego? - Uśmiechnęłam się do niego. - Czemu tak ci na tym zależy?

- Bo ja wiem? Chciałbym to zrobić dla ciebie. Chciałbym zrobić coś... wartościowego.

- Już robisz coś wartościowego, Randall. Rozwijasz swój talent. Przecież ty wspaniale śpiewasz.

- Och, tak. Ale śpiew to nie wszystko.

- Nie chodzi ci po prostu o to, żeby się zabawić w śpiewającego detektywa?

- Nie. Chcę zrobić coś dla ciebie, Rain. Naprawdę.

Wzięłam głęboki oddech i usiadłam na łóżku. Randall patrzył na mnie w napięciu, czekając na odpowiedź.

- Czy ty w ogóle nie zamierzasz się ubrać?

- Co? Och, jasne. Prawdę mówiąc, zupełnie zapomniałem, że jestem goły - odpowiedział ze śmiechem. - To jak, zgodzisz się, żebym pomógł ci poszukać ojca?

- Nie wiem. Nic na to nie poradzę, że się boję, Randall. A jeśli wynikną z tego tylko nowe kłopoty?

- Jakim cudem? - Randall zastanawiał się przez chwilę, a potem usiadł na łóżku i popatrzył mi w oczy. - Sama mówiłaś, że chcesz zdobyć kontrolę nad własnym życiem, Rain. Dotychczas o twoim losie decydowali inni. Teraz wreszcie masz szansę zadecydować o czymś sama.

Z podziwem pokręciłam głową.

- Może prócz śpiewu powinieneś jeszcze studiować prawo? Jesteś bardzo przekonujący. Mógłbyś wyśpiewywać swoje racje przed sądem.

- Sprzeciw, wysoki sędzie - zaintonował ochoczo Randall swym pięknym głębokim głosem, jakby znajdował się na scenie opery.

Roześmiałam się.

- Więc jak?

- Dobrze - zdecydowałam się w końcu. - Spróbujemy odzyskać mego ojca, ale decyzję o tym, czy chcę... czy powinnam z nim porozmawiać, podejmę dopiero, gdy będziemy coś o nim wiedzieli.

- Jasne. - Randall wstał i zaczął się ubierać. - Zobaczysz, nie będziesz tego żałować.

- Mam nadzieję, że tak będzie, jak mówisz, ale wcale nie jestem tego pewna.

- No to możemy wracać do pracy. Zacznij recytować, a ja się przygotuję do wyjścia.

- Recytować?

- Fragmenty z *Hamleta*. Wielka scena Ofelii, pamiętasz? Przecież po to tu przyszłaś, nie?

- Och, rzeczywiście. Sama nie wiem, co się stało, że o tym zapomniałam - usiłowałam się z nim droczyć, ale Randall tylko się uśmiechnął w odpowiedzi.

Myśl, że moglibyśmy urzeczywistnić pomysł Randalla, budziła we mnie taki niepokój, że w ogóle nie mogłam się skupić na swojej roli. Zapominałam słów i musiałam zaczynać od początku. Za trzecim razem poszło lepiej, ale nim doszłam do połowy, przerwało mi pukanie do drzwi. Randall otworzył drzwi. Był bosi i nie miał na sobie nic prócz dżinsów. W progu stanęła Leslie w sukni z kremowego jedwabiu. Pod cienkim materiałem wyraźnie rysowały się piersi bez stanika.

- Och - westchnęła z uśmiechem, widząc, że przed chwilą wstaliśmy z łóżka. - *Pardon moi*. Nie chciałam przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz - powiedział szybko Randall. - Rain właśnie próbuje.

- Mhm - mruknęła Leslie. - Nie wiedziałam, że to wymaga prób.

- Miałem na myśli to, że próbuje tekst, który będzie recytowała w przyszłą sobotę.

- Aha.

- O co chodzi? - rzucił Randall.

- Chciałam zobaczyć, czy jesteście, i spytać, czy może wybieracie się w jakieś ciekawe miejsce. Catherine właśnie się ubiera. Późno wstałyśmy. Szkoda, że nie poszedłeś z nami wczoraj. Świetnie się bawiłyśmy. To co dziś robicie? Idziecie dokądś czy zostajecie, żeby dalej próbować? - spytała, spoglądając na mnie z wymownym uśmiechem.

- Wybieramy się na Piccadilly Circus - powiedziałam. - Chcemy się przejść i zjeść lunch. Będzie nam bardzo miło, jeśli wyberzecie się z nami.

- Naprawdę? - Leslie spojrzała pytająco na Randalla.

- Słyszałaś - odpowiedział krótko.

Leslie się roześmiała.

- To kiedy wychodzicie?

- Za kwadrans - odpowiedział Randall.

- Wobec tego idziemy z wami - oznajmiła Leslie.

Gdy tylko wyszła, Randall zamknął za nią drzwi i odwrócił się do mnie.

- Przepraszam, Rain. Jeśli nie chcesz, nie musimy ich zabierać.

- Ależ ja nie mam nic przeciwko temu, żeby z nami poszły. Lubię je. Są zawsze takie wesołe. Myślę, że będziemy się razem świetnie bawić.

- Czyżby?

- Nie mówię, że bez nich byłoby nudno - dodałam z uśmiechem.

- To miło - powiedział Randall i podczas gdy po raz kolejny recytowałam swoją kwestię, włożył koszulę i buty.

Tym razem poszło mi lepiej. Randall pokiwał głową.

- Dobrze. Już widzę, że sobie poradzisz. Kto wie? - dodał, uśmiechając się szeroko. - Może do przyszłej soboty uda

się nam odnaleźć twojego ojca, i jeśli istotnie został znawcą Szekspira, być może on również udzieli ci jakichś wskazówek.

Omam nie cisnęłam w niego książką. Randall się roześmiał. Chciałabym móc śmiać się razem z nim, ale za dużo niepokoiła mnie myśl, że być może już wkrótce zobaczę swego ojca, nie mówiąc nawet o tym, że miałabym się z nim spotkać.

Pojechaliśmy metrem na stację Piccadilly. Choć rano wszystko wskazywało na to, że będzie padać, wiatr rozproszył chmury i niebo się przejaśniło. Na placu, który nazywa się niekiedy londyńskim Times Square, pełno było ludzi. Gdziekolwiek się odwróciłam, wszędzie widziałam zadziwiające rzeczy - punków w skórzanych kurtkach i z irokezami na głowie, dziewczyny z włosami ufarbowanymi na wszelkie możliwe barwy i chłopaków z fantastycznymi fryzurami lub ogolonych do gołej skóry. Catherine i Leslie co chwila wdawały się z kimś w rozmowę.

Obejrzelśmy pchli targ, chodziliśmy po ulicach, podziwiając wystawy luksusowych magazynów, zaglądaliśmy do sklepików, w których można było kupić wszystko, od używanych butów i ubrań po stare płyty i książki. Wstąpiliśmy na pizzę, a potem znów chodziliśmy i chodzili, aż zaszliśmy nad Tamizę. Ruszyliśmy bulwarem wzdłuż rzeki, zatrzymując się od czasu do czasu, by przyrzeć się występom ulicznych artystów i posłuchać grajków.

Po drodze nie rozmawialiśmy więcej o sprawie odszukania mego ojca. Choć lubiłam Leslie i Catherine, nie chciałam ich wtajemniczać w swoje prywatne sprawy. Rozstaliśmy się późnym popołudniem, gdy spotkały znajomych ze szkoły, którzy wybierali się na koncert rockowy.

Wróciliśmy z Randallem do internatu i spisaliśmy z książki telefonicznej numery telefonów i adresy wszystkich Lanych Wardów. Okazało się, że jest ich ponad dwudziestu, niektórzy

występowali pod imieniem Lawrence, większość używała jednak po prostu zdrobnienia Lany. Potem poszliśmy do pokoju Randalla i zasiedliśmy przy telefonie. Drżącymi palcami ujęłam słuchawkę i wystukałam pierwszy numer z listy.

Zadzwoniliśmy do pięciu Wardów. W trzech wypadkach nikt nie odebrał telefonu, w dwóch innych nie było żadnych wątpliwości co do tego, że trafiliśmy pod zły adres. Kolejny rozmówca okazał się niedosłyszającym staruszkiem, więc żeby się z nim dogadać, musiałam krzyczeć do słuchawki. Kiedy skończyłam tę okropną rozmowę, odetchnęłam z ulgą, ale chwilowo miałam dosyć.

- Zróbmy sobie przerwę na kolację - zaproponował Randall na widok mojej przygnębionej miny.

- To nie ma sensu - mruknęłam zniechęcona. - Okropnie się czuję, kiedy tak dzwonię nie wiadomo dokąd.

- Nie ma problemu - uspokajał mnie Randall. - Nie musimy dzwonić od razu pod wszystkie numery. Chodźmy. Jestem głodny.

Włożyłam kurtkę i wyszliśmy. Randall zaprowadził mnie do swojej ulubionej restauracji, prowadzonej przez dwoje starszych Irlandczyków. Oczywiście specjalnością kuchni była baranina duszona z ziemniakami i cebulą na sposób irlandzki. Musiałam przyznać, że nigdy w życiu nie jadłam lepszego gulaszu. Smaczne jedzenie i przytulny nastrój poprawiły mi humor. Randall opowiadał o życiu, jakie prowadził w Kanadzie, wspominał szczęśliwe chwile i zabawne zdarzenia. Był ożywiony i pogodny. W pewnej chwili wziął mnie za rękę i opowiedział mi o tym, jak pierwszy raz w życiu całował się z dziewczyną.

- Byłem okropnie rozczarowany - przyznał ku memu zakoczeniu.

- Całowałaś się z tą jedenastolatką Nicolette Sabon?

Spojrzał na mnie, zdziwiony, że pamiętam jej imię.

- Nie, z Nicolette nigdy się nie całowaliśmy. To była inna dziewczyna. Jeszcze ci o niej nie mówiłem.

- Czemu?

- To była moja kuzynka. Oboje mieliśmy po czternaście lat. To był eksperyment. Jej eksperyment - podkreślił.

- Nie rozumiem.

- Powiedziała mi, że prowadzi naukowe badania nad całowaniem. Miałem być jej królikiem doświadczalnym.

- Uwierzyłeś w to?

- Nie umiałem sobie wyobrazić żadnego innego powodu, dla którego mogłaby chcieć to ze mną zrobić.

Zrobiłam sceptyczną minę.

- Naprawdę!

- No dobrze. I co było dalej?

- Pocałowaliśmy się i miałem uczucie, jakbym przyciskał wargi do kawałka drewna. Niczego nie poczułem. Moja kuzynka zapisała coś w notesie i powiedziała, że musimy powtórzyć eksperyment, ale tym razem mamy się dotknąć czubkami języków.

Roześmiałam się.

- I co?

- Na samą myśl, że miałbym polizać jej język, zrobiło mi się niedobrze i uciekłem z pokoju - przyznał się Randall i oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Tak dobrze się czułam w jego towarzystwie. Był taki nieskomplikowany, szczery i świeży, tak łatwo można się było przy nim odprężyć, zapomnieć o dręczącym lęku, przestać się chować za murem, który wokół siebie wzniosłam. Kiedyś żyłam w świecie, w którym na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo, gdzie nikomu nie można było zaufać, a jeśli już ktoś zachowywał się przyjaźnie, to najczęściej tylko po to, żeby uspić czujność swej ofiary.

- Ale kiedy dotknąłeś językiem mojego języka, nie uciekłeś.

Randall zarumienił się lekko i rozejrzał się wkoło, żeby sprawdzić, czy nikt się nie przysłuchuje naszej rozmowie. Kiedy uznał, że może mówić bez obaw, nachylił się do mnie nad stołem.

- Kiedy grzebałyście z Leslie i Catherine w starych książkach, kupiłem coś.

- Co takiego?

Rozłożył dłoń, w której trzymał prezerwatywy.

Teraz z kolei ja zrobiłam zakłopotaną minę.

- Schowaj to - mruknęłam na widok zbliżającej się do naszego stolika kelnerki.

Zaśmiał się i szybko schował prezerwatywy do kieszeni. Kelnerka sprzątnęła ze stołu i zapytała, czy życzymy sobie czegoś jeszcze. Zapłaciliśmy i wyszliśmy z restauracji. Randall przyglądał mi się z szelmowskim uśmieszkiem.

- Widzę, że jesteś bardzo pewny siebie. Skąd wiesz, że znów to zrobimy?

W pierwszej chwili Randall wyglądał na zaskoczonego, ale potem wzruszył ramionami.

- Lepiej być przygotowanym na każdą okoliczność - odpowiedział rzeczowo. - Nie chciałbym po raz kolejny wyjść na idiotę. - Nagle popatrzył na mnie zaniepokojony. - Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona.

- Powinnam być... - odpowiedziałam ze srogą miną.

- Och, przepraszam cię bardzo, Rain. Ja...

- Ale nie jestem - dodałam.

Randall uśmiechnął się z ulgą.

- Co nie znaczy... - podjęłam - ...że zgadzam się na cokolwiek z góry.

- Jasne. Jak już mówiłem...

Spojrzałam na zegarek.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli pojedę do domu. Zrobiło się późno.

- Dobrze.

Powiedziałam mu, że nie musi mnie odprowadzać, ale on nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Wiesz co? - odezwał się, kiedy już zbliżaliśmy się do domu.

- Co?

- Mam pomysł. Sam zadzwonię do reszty Wardów. W ten sposób nie będziesz się denerwowała, a jeśli się czegoś dowiem, dam ci znać. Zgoda?

Przez chwilę rozważałam jego propozycję. Telefonowanie do nieznanomych ludzi, z których każdy mógł się okazać moim ojcem, kosztowało mnie istotnie wiele nerwów

- Oczywiście ani słowem nie wspomnę o tobie. Po prostu spróbuję ustalić, który z nich może być tym, którego szukamy.

- Zgoda.

Pocałowaliśmy się.

- I co? - spytałam.

- Nie rozumiem?

- Czy smakuję, jakbym była z drewna?

- Powiedziałbym raczej, że smakujesz jak ptasie mleczko - powiedział ze śmiechem. - Zadzwoń do ciebie jutro po południu - dodał na odchodnym.

Pomachałam mu, odwróciłam się i ruszyłam do domu.

W pewnej chwili odniosłam wrażenie, że w cieniu, na prawo ode mnie, coś się poruszyło. Stałam jak wryta i wbiłam wzrok w ciemność. Kiedy niewyraźna sylwetka przecięła smugę światła padającego z okna na piętrze, serce zaczęło mi walić jak szalone.

- Kto tam? - zawołałam.

Odpowiedział mi tylko szelest liści targanych wiatrem. Po zachodzie słońca niebo na powrót zasnuły chmury, spoza których z rzadka wyzierał księżyc. Zbierało się na burzę. W ogrodzie panowały egipskie ciemności.

Rozsądek kazał mi czym prędzej wejść do domu i zapomnieć o tym, co widziałam, czymkolwiek to było, ale nie bardzo mi się podobało, że ktoś mnie szpieguje, więc nie poszłam za głosem rozsądku. Wystarczało mi, że będąc w domu, nieustannie czuję na sobie wzrok Boggsa. Krew się we mnie burzyła • na myśl, że nawet poza domem nie mogę być swobodna. Jeśli to Boggs kryje się w ciemności, żeby jutro donieść wujowi Richardowi o tym, że całowałam się z jakimś chłopakiem, policzę się z nim tak, że mnie popamięta, pomyślałam.

Podeszłam do narożnika domu, a potem skradałam się dalej, nasłuchując, czy nie usłyszę w ciemności kroków tajemniczego szpiega, i wyteżając wzrok, by go dojrzeć, ale nikogo nie

usłyszałam ani nie wypatrzyłam. Już się ucieszyłam, że wszystko to było tylko grą mojej wyobraźni, ale nim zawróciłam do wejścia, dostrzegłam odbłask światła padającego z okna domku.

Zrobiłam kilka kroków i przez długą chwilę stałam bez ruchu, wpatrując się w okna niewielkiego budynku. Odkąd mieszkałam w Endfield Place, nigdy nie byłam równie blisko zakazanego domku. Czemu wszyscy wokół traktowali to miejsce tak, jakby sama myśl, żeby się doń zbliżyć, była zbrodnią? Obejrzałam się na mroczną bryłę domu. Wszystkie okna od strony ogrodu były ciemne. Nie słyszałam nic prócz szumu wiatru. Światło w oknie domku przygasło i zamigotało. **Kto** był wewnątrz i czemu zapalił świecę?

Ciekawość kazała mi podejść bliżej. Powoli przestawiając stopy, miękko i cicho jak kot, podkładałam się do domku. Weszłam w plamę blasku i ostrożnie zbliżyłam się do okna. Co chwila zatrzymywałam się i nasłuchiwałam, ale nie słyszałam nic prócz świstu wiatru i szumu liści ani nikogo nie widziałam. Światło znów zamigotało. Cienie skakały i tańczyły wokół mnie jak duchy. Poczułam nieprzyjemny chłód.

Zatrzymałam się jakieś trzy metry od okna. Wewnątrz domku nikogo nie było widać. Rozejrzałam się wokół, zrobiłam szybko kilka kroków i zajrzałam do środka.

Wnętrze wyglądało jak domek dla lalek. Na maleńkich kanapach i fotelach siedziały lalki, pośrodku okrągłego stolika stał serwis do herbaty. W oczach dużej lalki, wpatrującej się szklistymi oczami w okno, migotał odbłask płomienia. Przeżona zamarłam w bezruchu, bo lalka była tak duża, że w pierwszej chwili można ją było wziąć za kilkuletnią dziewczynkę. Na prawo od okna na małym stoliku stała świeca osadzona w srebrzystym lichtarzu. Przez moment wydawało mi się, że ktoś siedzi na podłodze, ale to tylko leżały ubrania - spódnica, bluzka i para butów.

Wszystko, co zobaczyłam, tylko podsyciło moją ciekawość. Podeszłam jeszcze bliżej i już miałam przytknąć czoło do szyby, gdy poczułam na ramieniu żelazny uścisk. Krzyknęłam

cicho z bólu i przerażenia. Ktoś objął mnie w talii, po czym uniósł i obrócił w powietrzu, jakbym ważyła nie więcej od lalki.

W migotliwym blasku świecy zamajaczyła przede mną wykrzywiona gniewem twarz Boggsa. Złość groteskowo zniekształcała jego rysy, z oczu wзираła furia.

- Co tu robisz? - warknął wściekle.

- Nic. Zobaczyłam światło i chciałam sprawdzić, co się dzieje.

- Słyszałaś, że nie wolno ci się zbliżać do tego domu, prawda? Pani Endfield wyraźnie ci tego zabroniła.

- Dlaczego? Co w tym miejscu jest takiego nadzwyczajnego?

- Nie twój interes. Masz robić, co ci się każe, zrozumiano? Twarde paluchy zacisnęły się na moim ramieniu jak imadło.

- Dobrze - ustąpiłam. - To i tak jakaś głupota. Puść mnie - zażądałam twardo, choć w głębi duszy czułam śmiertelne przerażenie. Miałam ściśnięty żołądek, nogi się pode mną ugiwały, ręce mi drżały.

Boggs nie rozluźnił uścisku, natomiast nachylił się nade mną, wbijając we mnie lodowate spojrzenie.

- Po prostu pamiętaj na przyszłość, co się do ciebie mówi - warknął. - A teraz wracaj, gdzie twoje miejsce.

W końcu puścił moje ramię i popchnął mnie lekko w stronę domu.

Z jednej strony byłam wprawdzie oburzona na takie traktowanie, ale z drugiej - szczęśliwa, że na tym się skończyło, bo Boggs wydał mi się naprawdę przerażający. Kiedy doszłam do narożnika domu, odwróciłam głowę i obejrzałam się za siebie. Boggs zniknął, okno było ciemne, w mroku ogrodu rysował się tylko niewyraźny kształt domku, jakby sama noc chciała ukryć przed światem jego sekrety.

Tej nocy znów źle spałam. Leżąc w łóżku, usłyszałam ciężkie kroki wracającego korytarzem do swojego pokoju Boggsa. Gdy zwolnił, przechodząc koło moich drzwi, zamarło we

mnie serce. Pomimo obietnicy wuja Richarda w moich drzwiach wciąż nie było zamka. Pomyślałam, że będę musiała mu o tym przypomnieć rano.

Sama nie wiem, czy to był sen, czy gra wyobraźni, ale w pewnej chwili poczułam na policzku lekkie muśnięcie. Z jękiem przewróciłam się na drugi bok i dopiero po jakimś czasie uświadomiłam sobie, co się stało. Otworzyłam oczy. Serce waliło mi jak szalone. Obróciłam się na wznak, spodziewając się, że ktoś stoi obok łóżka. W pokoju było kompletnie ciemno, więc cała zamieniłam się w słuch. Nie słyszałam nic poza biciem własnego serca.

- Jest tu ktoś? - szepnęłam głośno.

Jedyną odpowiedzią był szum wiatru za oknem. Po długiej chwili przymknęłam powieki i na powrót zasnęłam. Gdy już zapadałam w sen, wydawało mi się, że słyszę skrzywienie podłogi, a potem odgłos otwierania i zamykania drzwi. Wspomnienie nocnej wizyty było pierwszą rzeczą, która przyszła mi na myśl rano.

- Obiecał pan, że będę miała zamek w drzwiach - przypomniałam wujowi Richardowi, stawiając na stole tacę.

Wuj zerknął na ciotkę, a potem wyprostował się sztywno na krześle.

- Przed wystąpieniem z roszczeniami należy się przywitać.

- Przepraszam, ale świadomość, że w każdej chwili ktoś może wejść do mojego pokoju, nie pozwala mi spać. Bardzo źle się czuję.

Ciotka Leonora znieruchomiała z filiżanką w dłoni, czekając na odpowiedź wuja Richarda. On odchrząknął i położył dłonie na stole.

- Dopilnuję, żeby to zostało dziś załatwione - zapewnił oficjalnym tonem.

- Dziękuję.

Wróciłam do kuchni. Pani Chester i Mary Margaret pracowały w milczeniu. Wszedł Boggs i nalał sobie filiżankę herbaty. Stał tak, popijając herbatę i obserwując nas, a przede wszystkim mnie, bez słowa. Udawałam, że nie czuję na plecach

jego wzroku, ale w pewnej chwili nie wytrzymałam i spojrzałam mu prosto w oczy, żeby wiedział, że nie dam się zastraszyć. Oczywiście tak naprawdę bałam się jak wszyscy diabli, ale nie zamierzałam tego po sobie pokazać.

W końcu po długiej chwili Boggs wyszedł. Sprzątnęliśmy po śniadaniu i zasiadliśmy w kuchni do własnego.

- Kto sprząta w domku? - zagadnęłam.

Pani Chester popatrzyła na Mary Margaret, a potem spojrzała na mnie.

- Chodzi ci o ten mały domek od ogrodu?

- Tak. Pan Boggs wyjaśnił mi bardzo dobitnie, że nie wchodzi to w zakres moich obowiązków, ale ktoś przecież musi go doglądać. Ty tam sprzątasz, Mary Margaret?

Pokręciła głową, ale oczy miała jak zwykle spuszczone. Przyglądałam się jej przez chwilę. Gdy tak chrupała tosta z dżemem pomarańczowym, wyglądała jak mysz. Drżały jej lekko ręce.

- Wydaje mi się, że ktoś tam mieszka - ciągnęłam.

- Dobre sobie - zaśmiała się pani Chester. - Tam nikt nie mieszka.

- Była pani kiedykolwiek w tym domku?

- Nie.

- To skąd może pani wiedzieć, że nikt tam nie mieszka?

Nieoczekiwanie Mary Margaret wstała od stołu, odstawiła talerz i filiżankę do zlewu, po czym wyszła z kuchni.

- Pani Chester?

- Co? - burknęła kucharka.

- Skąd pani wie, że nikt tam nie mieszka?

- Nie wiem, ale nigdy tam nikogo nie widziałam, więc co to za różnica? Nie każą mi gotować dla jednej gęby więcej, to znaczy, że nikogo tam nie ma.

Po tym wywodzie pani Chester wstała od stołu i spojrzała na mnie z góry.

- Najlepiej powodzi się tym, którzy nie wtykają nosa, gdzie nie trzeba. Nigdy o tym nie słyszałaś? Sama też nie wtykaj nosa w cudze sprawy.

Wracając do pokoju, zobaczyłam przez okno Boggsa, który przemawiał do Mary Margaret. Wyglądał, jakby dawał jej za coś burę. Dziewczyna pokręciła głową, a potem szybko odeszła. Boggs stał, spoglądając za nią. Nagle, jakby poczuł na sobie moje spojrzenie, odwrócił głowę i popatrzył na mnie wściekłym wzrokiem. Wmurowało mnie na chwilę w podłogę. Potem czym prędzej wróciłam do swego pokoju.

Resztę przedpołudnia spędziłam u siebie. Trochę czytałam, potem przygotowywałam się do występu. Tuż przed dwunastą ktoś zastukał do drzwi. Otworzyłam i zobaczyłam drobnego mężczyznę z napisem *Leczenie zamków* na trykotowej koszulce. Oznajmił, że wezwano go, by wstawił zamek.

- Zwykle nie pracuję w niedzielę, ale komuś tak zależy na tym zamku, że zaproponował mi podwójną stawkę - powiedział z uśmiechem. - Nie jestem znowu taki, żeby pogardzić funciakiem czy dwoma.

Zamiast stać nad nim jak kat nad grzeszną duszą, poszłam ze swoimi książkami do bawialni. Niecałe pół godziny później usłyszałam, jak pan doktor od zamków opuszcza dom. Wróciłam do pokoju i ujrzałam w drzwiach elegancki zamek. Nigdzie natomiast nie widziałam kluczy. Jakby czytając w moich myślach, niespodziewanie zjawił się Boggs z parą kluczy w ręku.

- To dla ciebie.

- Czy to wszystkie?

Spojrzał na mnie pogardliwie i uśmiechnął się lodowato.

- A któż by tam chciał w ogóle wchodzić do tego pokoju. - Uśmiechnął się szerzej. - Nic nie wiesz? Z tego pokoju ktoś bardzo chciał kiedyś wyjść - rzucił złowrogo, odwrócił się i odszedł.

Jeśli chciał mnie nastraszyć, to diabelnie dobrze mu się udało. Jak moja ciotka i wuj w ogóle mogli powierzyć takiemu okropnemu facetowi nadzór nad domem? Zamek działał jak należy. Przynajmniej będę czuła, że jestem u siebie, pomyślałam, ale nie mogłam zapomnieć o rzuconej na odchodnym uwadze Boggsa.

Czy rzeczywiście w tym pokoju zmarła jakaś kobieta? Czy naprawdę została otruta? I czy to możliwe, żeby jej duch pokutował w tych murach za jakieś grzechy, czekając, aż ktoś go wreszcie wyzwoli? Czasami miałam wrażenie, że czuję w pokoju czyjąś obecność. Może to naprawdę duch spodziewający się, że go uwolnię?

Później, gdy siadłam w kuchni nad lunchem, w drzwiach stanął Leo.

- Panienko Rain, przed domem czeka jakiś młody dzen-telmen.

- Dziękuję, Leo - powiedziałam i szybko wyszłam na dwór. Po chodniku spacerował niecierpliwym krokiem Randall. Podbiegł, gdy tylko mnie zobaczył.

- Myślę, że go znalazłem - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Jestem pewny, że to on.

Przebiegł mnie dreszcz.

- Skąd wiesz?

- Zaczniemy od tego, że jest bardzo sympatyczny. Spytałem, czy jest specjalistą od Szekspira Lanym Wardem. Roześmiał się i powiedział, że nie wie, czy kogokolwiek można nazwać specjalistą od Szekspira, ale przyznał, że się nazywa Lany Ward i że uczy literatury w college'u. Wydawało mi się, że słyszałem w tle dziecięce głosy... chyba dziewczynki i chłopca. Nie mam pojęcia, ile mogą mieć lat, ale to muszą być jego dzieci.

- I co dalej?

- Nie bardzo wiedziałem, co dalej, więc powiedziałam, że napisałem artykuł na temat pierwszej części *Henryka V* i zapytałem, czy zgodziłby się go przeczytać. Oczywiście chciał się dowiedzieć, jak się nazywam i skąd mam jego numer. Zaczął mi się palić grunt pod nogami, więc oznajmiłem, że muszę teraz kończyć, ale jeszcze do niego zadzwonię. Zanim zdążył coś powiedzieć, odłożyłem słuchawkę.

- Wspaniale. Pewnie myśli, że to jakiś kawał.

- W każdym razie mam adres. To niedaleko. W Hammer-smith. Dojedziemy tam w niecałą godzinę.

- Jak to dojedziemy? Spodziewasz się, że tam teraz pojedę?

- Czemu nie? Jeśli chcesz, moglibyśmy... poczekać na ulicy przed domem, aż wyjdzie. Jestem pewien, że chciałabyś go zobaczyć. Tylko to sobie wyobraź... - namawiał mnie. - Pomyśl, że po raz pierwszy w życiu zobaczysz ojca.

- Jeśli naprawdę jest moim ojcem. Jeśli nie, będę się czuła jak idiotka.

- Może okaże się na tyle podobny do ciebie, że nie będziemy mieć wątpliwości.

- To co proponujesz? Żebyśmy stali na ulicy przed domem z nadzieją, że w końcu wyjdzie, żebym mogła mu się przyjrzeć?

- Chyba że wolisz nacisnąć dzwonek i porozmawiać z nim.

- I co mam mu powiedzieć? To szaleństwo, Randall. Mówiłam ci już, że nie chcę tego robić. Przepraszam, że pozwoliłam ci na te telefony - jęknęłam.

- To on, Rain. Jestem pewny. - Randall był taki podniecony, że nie mógł ustać spokojnie w miejscu.

Nie mogłam się zdecydować.

- Chodź, tylko pójdziemy mu się przyjrzeć. Co to komu zaszkodzi? Przecież chciałaś to zrobić, nie?

- Sama nie wiem, czego chciałam - przyznałam. Byłam taka zdenerwowana, że cała się trzęsłam. Objęłam się ramionami i wbiłam wzrok w ziemię. - To wszystko za szybko się toczy. Nie wiem, co robić.

- To naprawdę niedaleko - upierał się Randall. - Co ci szkodzi poczekać, aż się pokaże. Przecież możesz pójść. Jesteś teraz wolna, prawda?

Obejrzałam się na dom.

- Tak.

- A więc?... Chodź. - Randall popatrzył w niebo. - Miało dziś padać. Chodź, może zdążymy przed deszczem.

- Dobrze - zgodziłam się w końcu. - Wezmę tylko kurtkę i możemy jechać.

- Wspaniale - ucieszył się.

Roześmiałam się.

- Zachowujesz się, jakbyś występował w jakimś dramacie, w jakiejś operze czy co...

- „Świat jest teatrem, aktorami ludzie...” - zacytował Randall. - Kiedy będziesz z nim rozmawiać, nie zapominaj o Szekspirze. To na pewno zrobi na nim wrażenie - zażartował.

Pokręciłam głową i wróciłam do domu. Wbiegając schodami, napotkałam schodzącą z góry ciotkę.

- Dokąd się dziś wybierasz, Rain?

Zatrzymałam się, nie wiedząc w pierwszej chwili, co powiedzieć.

- Na spacer z przyjacielem. Będziemy zwiedzać Londyn.

- Jakie to miłe, że tak szybko znalazłaś sobie przyjaciół - oświadczyła. - Moja siostra bardzo się ucieszy, kiedy o tym usłyszy. Może chcesz, żeby Boggs cię dokądś podrzucił?

Obejrzałam się za siebie. Nie mogłam pojąć, jak on to robi, że gdy chce, zjawia się w tych swoich ciężkich buciorach cicho jak duch. Może to on jest upiorem straszącym w tym domu, pomyślałam.

- Nie, dziękuję - wymamrotałam. - Wolę się przejść.

Boggs uśmiechnął się zimno.

Pożegnałam się i wyszłam z domu, jakbym uciekała z jednego koszmaru tylko po to, żeby wplątać się w drugi.

TRUDNA DECYZJA

Po drodze z Endfield Place do Hammersmith, gdzie, wedle Randalla, mieszkał mój ojciec, miałam przyśpieszony puls, płytki oddech i wszystkie mięśnie twarde jak z drewna. Randall czuł, że mam nerwy napięte jak postronki, więc nieustannie do mnie mówił, jakby wiedział, że jego słowa koją jakoś czy rozpraszają mój niepokój. Opowiadał o Londynie i o angielskiej kuchni, komentował mijane miejsca i wygląd ludzi w metrze i na ulicach.

- Skąd wiesz, że w ogóle jest teraz w domu? - spytałam, gdy wreszcie udało mi się uporać z chaosem myśli i emocji.

- Nie wiem. Ale możemy zadzwonić z budki telefonicznej i sprawdzić. Zorientujemy się, czy jest w domu, a potem odłożę słuchawkę.

- Aha. Będziemy dręczyć jakiegoś biedaka, który przypadkiem nosi to samo nazwisko.

- I przypadkiem zajmuje się akurat twórczością Szekspira? Czy nie za dużo zbiegów okoliczności naraz?

- Nawet nie wiesz, czy jest czarny.

- Nie - przyznał.

Stanęłam na chodniku.

- Czy miał brytyjski akcent? Może to w ogóle nie jest Amerykanin!

- Hm, cóż, miał akcent całkiem... tutejszy. To znaczy mówił bardzo poprawnie. Ale każdy, kto spędzi w Anglii tyle lat, musi mieć jakieś tutejsze cechy wymowy, nie sądzisz?

- Nie wiem. Skąd mam to wiedzieć? Wolę wrócić do domu.
- Wrócić? Teraz? Jesteśmy tak blisko, Rain. To byłaby kompletna głupota rezygnować, kiedy stoimy u celu. Chodź, to już naprawdę niedaleko. - Randall wziął mnie pod rękę i pociągnął za sobą. - To tu. Jesteśmy na miejscu - oznajmił po chwili.

Po drugiej stronie ulicy stał niski dom z szarego kamienia, otoczony parkanem z metalowych prętów. Ramy okien i drzwi wejściowych pomalowano na biało. Dom był stary, ale nie miał w sobie nic szczególnie ciekawego. Ulica, na której staliśmy, była cicha, spokojna i bezлюдna. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli postoiemy tu chwilę, zaczniemy zwracać na siebie uwagę.

- Teraz, kiedy jesteśmy przed tym domem, czuję się naprawdę głupio. Nie mam pojęcia, co robić.

- Czemu nie mielibyśmy po prostu podejść do drzwi, zapukać i udać, że szukamy kogoś innego? - zaproponował Randall.

- Nie - odpowiedziałam, cofając się o krok. Najchętniej odwróciłabym się na pięcie i uciekła.

- Czemu nie? Jeśli podejdziesz do drzwi, będziesz miała okazję mu się przyjrzeć. Nic ci się nie stanie. Przepraszę go i będzie po wszystkim.

- Nie sądzę - odpowiedziałam, ale najwyraźniej nie dość stanowczo.

- Jak chcesz, ja pukam - powiedział Randall i zanim zdążyłam go zatrzymać, ruszył przez ulicę.

- Randall!... - zawołałam słabym głosem.

Nie odwrócił się, dopóki nie minął furtki i nie stanął przed drzwiami. Obejrzał się i przywołał mnie gestem, ale nie ruszyłam się z miejsca. Pokręciłam głową, jednak Randall mimo to podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Potem przesłał mi uśmiech i czekał. Kiedy drzwi się otworzyły, mimo lęku nie umiałam zapanować nad ciekawością.

W progu stała ciemnowłosa kobieta w dżinsach i szarym swetrze. Wyglądała na jakieś trzydzieści, najwyżej trzydzieści

pięć lat. Proste włosy opadały jej na ramiona. Miała ładną twarz o regularnych rysach. Kiedy rozmawiała z Randallem, u jej boku pojawiła się dziewczynka w granatowej spódnicy i białej bluzeczce, ze śliczną buzią i krótko ostrzyżonymi kręconymi włosami. Nie mogła mieć więcej niż ze dwanaście czy trzynaście lat. Z poważną miną przysłuchiwała się rozmowie Randała z matką. Nie miałam pojęcia, o czym rozmawiają, ale nie mogłam się nadziwić, że trwa to tak długo.

W końcu Randall ukłonił się, odwrócił i przeszedł do mnie na drugą stronę ulicy. Miał minę jak kocur, zadowolony, że wreszcie dopadł kanarka. Obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Zaraz będzie - szepnął, jakby kobieta wciąż jeszcze mogła go słyszeć.

- Skąd wiesz?

- Słyszałam, jak mówił do jakiegoś Williama, żeby włożył kurtkę, bo muszą wychodzić.

- Co powiedziałaś tej kobiecie? Co ona ci powiedziała? Co to za dziewczynka? - zasypałam Randała pytaniami.

Roześmiał się.

- Powiedziałem, że szukam krewnych. Udawałem, że pomyliłem adres. Powiedziała mi, że to dwie przecznice stąd. Była bardzo miła. Ta mała musi być ich córka. Jestem pewien, że znaleźliśmy twojego ojca.

Dostrzegłam, że drzwi w domu po drugiej stronie ulicy się otwierają. Natychmiast się odwróciłam, chwyciłam Randała pod ramię i pośpiesznie ruszyłam chodnikiem, ciągnąc go za sobą.

- Ktoś wychodzi z domu - rzuciłam przez zaciśnięte zęby.

Randall obejrzał się za siebie, ale mnie nie starczyło odwagi, żeby pójść za jego przykładem. Czułam, że jeśli to zrobię, zmienię się w słup soli jak biblijna żona Lota. Szłam przed siebie ze spuszczoną głową.

- Jest czarny - oznajmił Randall. - Wiedziałem, że tak będzie. Trzyma za rękę małego chłopca.

Kiedy doszliśmy do rogu ulicy, chciałam przejść na drugą stronę.

- Zaczekaj chwileczkę! - zawołał Randall, chwytając mnie za rękę. - Nie chcesz nawet na niego spojrzeć?

- W tej chwili w ogóle nie wiem, czego chcę. Okropnie się boję, że to naprawdę on.

- Chodź tutaj. - Randall wciągnął mnie do sklepu z gazetami i czasopismami.

Wybrał jakąś gazetę i poszedł z nią do kasy, a ja wyglądałam przez okno. Zaraz potem przed sklepem pojawił się mężczyzna, który zapewne był moim ojcem. W dżinsach i tweedowej sportowej marynarce. Miał co najmniej sześć stóp wzrostu, był postawny i szeroki w barach. Ze swoją wyrazistą, inteligentną twarzą wydał mi się bardzo przystojny. Spojrzał na witrynę sklepu. Przez krótką chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy, ale on w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Przebiegł wzrokiem nagłówki gazet i poszedł dalej.

Idący u boku mężczyzny chłopiec trzymał go mocno za rękę. Spodobał mi się. Podobała mi się jego prosta postawa i to, że trzymał głowę wysoko uniesioną. Od czasu do czasu zerkał na ojca, jakby chciał się upewnić, że dobrze go naśladuje. Przeszli przez ulicę i ruszyli dalej w kierunku rzeki. Dziwnie się poczułam na myśl, że chłopiec jest zapewne moim przyrodnim bratem, a dziewczynka, która została z mamą w domu, siostrą. Przejechałam taki kawał drogi, żeby wreszcie zobaczyć człowieka, który mógł się okazać moim ojcem. To było niesamowite uczucie.

- I co? Jak myślisz? - spytał niecierpliwie Randall i nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął: - Jeśli o mnie chodzi, to dostrzegam wyraźne podobieństwo.

- Och, tego nie sposób dojrzeć tak na pierwszy rzut oka.

- Chodź, zobaczymy, dokąd idą. Przyjrzymy im się lepiej.

- Nie chcę tego robić, Randall.

- Będziemy się trzymać z daleka, żeby niczego nie zaczął...

- Nie. - Tym razem zaprotestowałam bardziej stanowczo. -

Nie chcę za nimi iść. Nie czuję się z tym dobrze. Wcale nie podoba mi się myśl, żeby ich śledzić. To nie w porządku.

- Nie w porządku? Uważasz, że nie masz prawa przyjrzeć się mężczyźnie, który być może jest twoim ojcem?

- Och, sama już nie wiem.

Wysłałam ze sklepiku i ruszyłam w kierunku przeciwnym niż mężczyzna z chłopcem.

- Zaczekaj, Rain. Dokąd tak pędzisz? - Randall dogonił mnie na ulicy.

- Nie wiem. Chyba z powrotem...

- Rain...

- Daj mi spokój! - krzyknęłam i przyśpieszyłam kroku.

Randall szedł za mną, miał na szczęście dość rozumu, by dać mi czas, żebym mogła ochłonać. W moim sercu kłębiły się sprzeczne emocje. Owszem, chciałam go poznać, chciałam się przekonać, czy naprawdę jest moim ojcem, chciałam z nim porozmawiać, spytać, czy w ogóle wie o moim istnieniu, ale w tej chwili zanadto się bałam, że kiedy usłyszy, kim jestem, odwróci się ode mnie i zabroni zbliżać do swojej rodziny. Czemu w ogóle pozwoliłam Randallowi skłonić się do tych poszukiwań? Jak mogłam się spodziewać, że ojciec, który nigdy nie widział mnie na oczy, mógłby się zainteresować moim losem?!

Czułam się okropnie, tak jakbym podglądała kogoś przez dziurkę od klucza. A jednak wciąż miałam przed oczami jego inteligentną twarz, wrażliwe oczy, łagodny uśmiech, z jakim patrzył na chłopca. Jaki może mieć głos? Jak bym się poczuła, gdyby spojrzał na mnie z taką dumą i miłością, z jaką patrzył na syna?

Tak bardzo potrzebowałam jego miłości, ale wcale nie byłam pewna, co by zrobił, gdybym stanęła przed nim i powiedziała otwarcie: „Spójrz na mnie! Jestem twoją córką! Ja też mam prawo do twojej miłości!”.

Bądź co bądź, miłość nie jest czymś, co można otrzymać na żądanie. Miłość bierze się skądś w głębi serca i właściwie

pielęgnowana rozkwita jak kwiat. Prawdziwej miłości potrzeba czasu.

- Przed nami jest Chiswick Bridge - usłyszałam głos Randalla, który w końcu zdecydował się zbliżyć do mnie. - Jesteśmy na jednej z najbardziej popularnych tras turystycznych w Londynie. Idąc dalej brzegiem Tamizy, dojdziemy do Kew Gardens.

Odwrociłam się do niego i pokręciłam głową.

- Zawsze czujesz się przewodnikiem, co?

- Po prostu nie chciałem, żebyś uznała całą tę wycieczkę za stratę czasu. - Randall stanął przede mną i rozłożył szeroko ramiona. - To element naszej umowy, *madame*. Staramy się, żeby nasi klienci byli zadowoleni, zwłaszcza jankesi z portfelami pełnymi funciaków.

Nie umiałam powstrzymać śmiechu.

- No, teraz już lepiej - ucieszył się Randall. - Naprawdę zmartwiła mnie twoja pierwsza reakcja.

- Przepraszam, że tak cię zostawiłam, ale za dużo tego było jak dla mnie.

- Jasne. Wrócimy tu, kiedy zechcesz. Dowiedziałem się jeszcze czegoś, co może cię zainteresować. - Randall wyjął z kieszeni złożoną karteczkę i podał mi.

- Co to jest?

- Adres szkoły, w której uczy Larry Ward. Nie chciałem ci tego pokazywać, dopóki nie będziemy mieć pewności, że to jego szukaliśmy. Teraz myślę, że tak właśnie jest.

- Skąd wzięłeś ten adres?

Wzruszył ramionami.

- Pan MacWaine dał mi informator o szkołach działających w Londynie. Przejrzałem wykazy nauczycieli w poszczególnych szkołach i odszukałem szkołę, w której uczy Larry Ward.

- Boswell Community College?

- Wykłada tam literaturę. - Randall jeszcze raz wzruszył ramionami z bezradnym uśmiechem. - Starłem się tylko pomóc, to wszystko.

- Pan MacWaine nie pytał, po co ci informator?
- Nawet nie wiedział, że z niego korzystam. O nic się nie musisz martwić.

- Trudno mi w to uwierzyć.
- Nie było to łatwe - przyznał Randall.

Schowałam karteczkę do kieszeni i spojrzałam na most. Choć niebo wciąż było zachmurzone, jakby lada chwila miało zacząć padać, przechodnie nie wyglądali na zaniepokojonych.

- Chcesz zobaczyć Kew Gardens? Jest jeszcze wczesnie.
- Nie. Jestem zmęczona. Czuję się, jakbym przebiegła dobrych kilka mil. Chcę już wracać do domu.
- Nie ma sprawy - odpowiedział Randall i poszliśmy do najbliższej stacji metra.

Kiedy dotarliśmy do Endfield Place, pożegnałam się z Randallem i poszłam prosto do swego pokoju. Pod drzwiami znalazłam list z Niemiec. W końcu odezwał się Roy.

Przyjrzałam się uważnie kopercie. Wyglądała, jakby ją otworzono, a potem zaklejono na powrót. Na myśl, że ktoś czyta moją korespondencję, ogarnęła mnie złość. Na razie jednak bardziej mnie interesowała treść listu, więc usiadłam na łóżku i rozcięłam kopertę.

Droga Rain,

Kiedy dostałem Twój list, schowałem go do kieszeni i wyjąłem dopiero wieczorem, gdy kładłem się spać. Czytałem go na okrągło. Kumple myśleli chyba, że uczę się go na pamięć. Cieszę się, że jesteś zadowolona ze szkoły, do której chodzisz, bo pamiętam, że zawsze lubiłaś się uczyć. Założę się, że masz kupę znajomych i odnosisz w szkole same sukcesy.

Już niedługo dostanę urlop i teraz, kiedy wiem, gdzie mieszkasz w Londynie, wpadnę, żeby się z Tobą zobaczyć. Mam nadzieję, że chcesz się ze mną spotkać chociaż w połowie tak mocno, jak ja tego pragnę. Powiesiłem Twoje zdjęcie nad łóżkiem. Kiedy ktoś mnie o Ciebie pyta, mówię, że jesteś moją dziewczyną. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Jesteś moją dziewczyną. Zawsze byłaś i wiesz tym. Czasem leżę przed

snem i przypominam sobie różne rzeczy, a najczęściej myślę o tym, jak na mnie patrzyłaś.

Świetnie pamiętam to popołudnie, gdy powiedziałem Ci, ile naprawdę dla mnie znaczysz. Wiesz, które popołudnie mam na myśli. Jezu, nie mogę uwierzyć, że aż tyle napisałem - jest tego chyba więcej, niż wszystkiego razem, co napisałem w szkole. Wiem, że się teraz uśmiechasz, kiedy to czytasz.

Nie chcę się powtarzać, więc kończę, z miłością i nadzieją, że mnie rozumiesz. Mam też nadzieję, że zachowałaś jeszcze w sercu trochę miejsca dla mnie.

Już się miałem podpisać i włożyć list do koperty, ale przypomniała mi się mama, Beni i całe nasze życie w Waszyngtonie. Tęsknię za tamtymi czasami i wierzę, że Ty także niekiedy o mnie myślisz. Bez Ciebie czułbym się chyba najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Nie wiem, co jeszcze napisać.

Całuję Cię.

Kocham.

Do zobaczenia

Roy

Starannie złożyłam list i wsunęłam z powrotem do koperty. Potem położyłam się na łóżku i zaczęłam myśleć o Royu, mamie i Beni. Z oczu popłynęły mi łzy. Bardzo chciałam zobaczyć się z Royem, ale wiedziałam, że on wciąż ma nadzieję, że pokocham go tak, jak on kocha mnie. To taka trudna sytuacja. Przez całe życie był dla mnie starszym bratem. Niełatwo nagle zacząć traktować go inaczej. Już kiedyś próbowałam mu to wytłumaczyć, ale nie przyjął moich słów do wiadomości. Za nic nie chciałam go zranić, czułam jednak, że w końcu będę musiała postawić sprawę szczerze. Miałam nadzieję, że Roy znajdzie sobie kogoś i problem sam się rozwiąże, ale tak się nie stało.

Jakie to dziwne, pomyślałam, że z jednej strony istnieją ludzie, których miłości potrzebuję, ale nie mogę jej zdobyć,

a z drugiej tacy, którzy kochają mnie, choć lepiej byłoby, gdyby mnie nie kochali. Los igrał sobie ze mną, jak chciał, a ja na nic nie miałam wpływu. Kiedy się to skończy? Kiedy wreszcie znajdę swoje miejsce i przestanę się błąkać po świecie?

Sama nie wiem, jak to się stało, ale musiałam zasnąć. Otworzyłam oczy. Było już ciemno. Przez chwilę w ogóle nie wiedziałam, która jest godzina. Potem zerwałam się z łóżka. Było już dawno po kolacji. Jak to możliwe? Czemu Boggs mnie nie zbudził? Nie mógłby już, co prawda, wejść do mojej klatki, ale z pewnością nie odmówiłby sobie przyjemności wyrwania mnie ze snu. Miałam nieraz okazję się przekonać, że Boggs bardzo lubi musztrować innych. A może tak mnie znienawidził, że chciał, by państwo Endfield sami przekonali się o mojej niesumienności i wyrzucili z domu?

Zapaliłam światło, szybko przyczesalam włosy i poprawiłam ubranie. Poszłam do łazienki, przemyłam twarz zimną wodą i zesłam na dół. W kuchni zorientowałam się, że pani Chester i Mary Margaret już wszystko sprzątnęły. Jadalnia również była pusta i uprzątnięta po kolacji. A może po prostu nikt dziś w ogóle jej nie jadł?

Zmieszana cofnęłam się na korytarz. Cała zamieniłam się w słuch. Poza zwykłym skrzypieniem i stękaniem belek starego domostwa nie słyszałam żadnych odgłosów życia - kroków, szeptów czy głosów. Powoli wróciłam korytarzem, zaglądając po drodze do bawialni, salonu i biblioteki. Nikogo. Tylko w salonie świeciła się niska lampa z zielonym kloszem. We wszystkich pozostałych pomieszczeniach panowała ciemność. Wróciłam do kuchni.

Poczułam głód. Zjadłam grzanekę z dżemem. Spodziewałam się, że lada chwila do kuchni wpadnie Boggs, by mnie złąjąc za moje zachowanie, ale on akurat przepadł bez śladu. Sprzątnęłam po sobie i znów nasłuchiwałam przez chwilę. Znikąd nie dobiegały żadne dźwięki.

Zza zamkniętych drzwi pokoju Boggsa również nie docierały najmniejsze oznaki życia. Widać taki dziś wieczór, że wszyscy poszli spać z kurami, pomyślałam. Wzruszyłam ramionami i napełniłam wannę wodą. Po kąpieli wróciłam do swojego pokoju. Chciałam jeszcze poczytać chwilę przed snem o dramacie elżbietańskim, kiedy moją uwagę przyciągnęła widoczna przez okno poświata nad ogrodem.

Podeszłam do okna. Mały domek był oświetlony jaśniej niż poprzedniego wieczoru. W pewnym momencie na zasłonie pojawił się przez chwilę cień dwojga ludzi, stojących wewnątrz domku, i zaraz zniknął. Otworzyłam okno szerzej i wbiłam wzrok w okna. Z ogrodu dobiegały dźwięki jar-marcznej muzyki.

I nikt tam nie mieszka? I wszyscy udają zaskoczonych moim pytaniem? - pomyślałam z gniewem. Kto zatem zapalił światło w domku?

Dość już miałam tajemnic kryjących się w mroku, spojrzeń spod oka i szeptów. Nie wiedziałam dokładnie, ile ryzykuję, ale czułam, że jeśli nie dowiem się, o co chodzi, nie będę mogła usnąć. Poza muzyką dobiegającą z ogrodu w domu panowała cisza. Wydawało mi się, że przestały mnie dobiegać nawet zwykłe dźwięki - jęki starych belek i skrzypienie podłóg. Sięgnęłam po szlafrok i wsunęłam stopy w kaptcie. Potem bezszelestnie niczym duch kochanki sir Godfreya Rogersa zeszałam schodami w dół i wymknęłam się z domu drzwiami do ogrodu.

Na zewnątrz było zimniej, niż się spodziewałam. Otuliłam się ramionami. Czułam, że stojąc w cieniu domu, mogę obserwować ogród bez obawy, że ktoś mnie spostrzeże. Czekałam i czekałam, ale nikt się nie pokazał. W końcu uznałam, że mogę zaryzykować i zakraść się do domku. Poruszałam się powoli, rozglądając co chwila wokoło. Nie miałam już żadnych wątpliwości co do tego, skąd dobiega muzyka. W połowie drogi zatrzymałam się na chwilę, bo wydawało mi się, że coś się poruszyło w mroku, ale to musiało być tylko złudzenie. Jeszcze chwila i znalazłam się przed żywopłotem

okalającym domek. Ktoś znów przesunął się za zasłoną i zniknął. Serce waliło mi jak młotem.

Rozejrzałam się wokół, a potem podkradłam się bliżej, aż pod okno. Powoli, jakby we mnie samej coś opierało się przed chęcią poznania prawdy, uniosłam głowę i zajrzałam do środka przez szparę pomiędzy zasłonami.

Oczywiście mebelki już widziałam, ale tym razem było więcej lalek, a te, które widziałam poprzedniego wieczoru, teraz zajmowały inne miejsca. Jedna, niemal tak duża jak kilkuletnie dziecko, siedziała na sofie naprzeciw okna, wpatrując się we mnie wielkimi szklanymi oczami. Wyglądała, jakby się ze mnie śmiała.

Uświadomiłam sobie, że muzyka dobiega z innego pomieszczenia. Żeby do niego dotrzeć, musiałam obejść domek dokoła. Trzymając się cały czas w cieniu, skradałam się powoli, dopóki nie upewniłam się, że nikt nie czai się w mrocznym ogrodzie.

Ponieważ z tej strony żywopłot rósł dużo bliżej domku, poruszałam się bardzo powoli, żeby nie zaczepić o kolczaste gałęzie. Wreszcie dotarłam do okna i zajrzałam do środka. Zanim dotarłam do szczeliny pomiędzy lekkimi zasłonami, zdażyłam dostrzec dwie postacie - jedną leżącą w łóżku, drugą, większą, siedzącą na jego krawędzi.

Mówi się czasem, kiedy coś człowieka przerazi, że mu krew krzepnie w żyłach. Rzeczywiście, to jest tak, jakby gdzieś głęboko w brzuchu zaczęła naraz działać zamrażarka; i nagle raptem skądś poniżej żołądka zaczynają rozchodzić się fale lodowatego zimna, dopóki to zimno nie ogarnie serca. Potem czas zwalnia i wreszcie staje w miejscu, a ty czujesz, że nie możesz nawet drgnąć. Tak przynajmniej wyglądało to w moim wypadku.

Więszą postacią, siedzącą na krawędzi łóżka, okazał się wuj Richard w piżamie i aksamitnym szlafroku. W rękach trzymał książeczkę dla dzieci. W łóżku leżała Mary Margaret w nocnej koszuli drukowanej w prosiaczki, wiewiórki i króliczki. W ręku trzymała wielkiego, okrągłego, czerwonego lizaka. Robiła wielkie oczy, jakby miała pięć lat i była głęboko

zasłuchana w opowieść czytaną przez wuja Richarda. Na stole obok łóżka stała pozytywka.

Cóż za cudowny pokój dla małej dziewczynki! Zwłaszcza dla takiej, którą ktoś chce wychować w poczuciu, że jest królewną, pomyślałam. Ściany pokrywały różowe tapety z podobiznami bohaterów kreskówek dla dzieci. Pod ścianami stały półki, na których leżały kolejne lalki, małe biurczko z krzesłkiem w łososiowym kolorze i łóżko. Na środku pokoju leżał ciemnoróżowy dywan. Na toalecie - szczotka do włosów, grzebień i kilka flakoników perfum.

Okno było uchylone, więc kiedy przyłożyłam ucho do szczeliny, słyszałam dobiegające z wewnątrz głosy.

Głos wuja Richarda wznosił się i opadał z przesadnym dramatyзмом. Wuj czytał Mary Margaret dziecinną opowieść o kaczuszcze, która zgubiła się w lesie.

- „Jej ciche: «Kwa! kwa!» powracało odbite echem z otaczających ją ciemności - czytał wuj. - Nastroszyła piórka i podreptała szybciej. Niestety, nie miała pojęcia, że zmierza w złym kierunku. Nagle usłyszała głos sowy. Stała w miejscu i uniosła głowę. «Kto tam?» - spytała sowa. - «Jestem Dolly. Zgubiłam się w lesie» - odpowiedziała Dolly. Nie zwróciła uwagi na to, że sowa spytała tylko: «Kto tam?»...”. Czyż to nie zabawne, Heather?

Spojrzałam na dziecinną twarzyczkę Mary Margaret.

Pokiwała głową, a dla zaakcentowania, że słucha z przejęciem, wyjęła nawet z buzi lizaka.

- Tak, tato. - Parsknęła wymuszonym śmiechem i z powrotem wsadziła lizaka do ust.

- Chcesz, żeby ci jeszcze poczytać, czy już jesteś zmęczona?

Mary Margaret wyjęła lizaka z ust.

- Chcę, żebyś mi jeszcze poczytał, tato.

Wuj Richard uśmiechnął się zadowolony.

- „«Kto tam?» - spytała sowa. - «Jestem Dolly, zgubiłam się w lesie». - Czekala. Sowa powtarzała: - «Kto tam? Kto tam? Kto tam?»”. - «Czemu mnie nie słuchasz - rozgniewała

się Dolly. - Powiedziałam ci, jak się nazywam». - Ale sowa wciąż tylko powtarzała: «Kto tam, kto tam?», więc Dolly podreptała przez las i wędrowała tak, dopóki nie usłyszała syknięcia. Wtedy zatrzymała się i spojrzała w ciemność. - «Kto tam?» - spytała. Rozległ się kolejny syk. Dolly ruszyła powoli przed siebie". - Wuj Richard położył palce na ramieniu Mary Margaret i zaczął nimi przebierać, jakby to były stopy kaczuszki. Dziewczyna zachichotała. - „Naraz...- podjął lekturę wuj Richard- ...spod kamienia wypełził wąż. Wysunął język - «To niegrzeczne* - powiedziała do węża Dolly. Wąż zasyczał w odpowiedzi i podpełzał bliżej".

Dłoń wuja Richarda wślizgnęła się pod kołdrę. Mary Margaret pisnęła i podskoczyła. Potem zrobiła taką minę, jakby miała się rozpłakać. Wuj Richard szybko wysunął dłoń spod kołdry i opiekuńczo objął ją ramieniem.

- No, no, nie bój się, Heather. To tylko na niby. Mama będzie miała mi za złe, że straszę cię przed snem.

Wuj Richard pogłaskał pokojówkę po głowie i cofnął rękę. Głowa Mary Margaret opadła na poduszkę. Wuj wyjął jej lizaka z ust i odłożył na stolik nocny.

- Wygląda na to, że jesteś zmęczona - powiedział, a Mary Margaret zatrzepotała powiekami i zamknęła oczy.

Wuj nachylił się nad nią i pocałował lekko w czoło.

- Dokończymy jutro. Dolly będzie miała jeszcze niejedną przygodę, ale wszystko się dobrze skończy. Wróci do domu, do mamy i rodzeństwa, prawda?

Mary Margaret kiwnęła głową, nie otwierając oczu.

Wuj Richard wstał, okrył ją kołdrą i pocałował, tym razem w policzek. Zamknął pozytywkę i zgasił światło. Przez długą chwilę spoglądał na Mary Margaret, a potem wyszedł z pokoju.

Od rana zbierało się na deszcz, ale dotknięcie pierwszych zimnych kropeł na karku były dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Nie mogłam się ruszyć z miejsca, jakby nogi mi wrosły w ziemię. Kiedy wreszcie zebrałam siły, Mary Margaret

zapaliła lampkę i wstała z łóżka. Koszula nocna sięgała jej ledwie do pasa. Wpatrywałam się w nią jak zahipnotyzowana. Choć deszcz padał coraz większymi, lodowatymi kroplami, ani drgnęłam.

Mary Margaret podeszła do szafy. Zdjęła koszulę nocną i ubrała się w swoje zwykłe rzeczy. Schowała koszulę do komódki, zgasiła światło i wyszła z pokoju. Zaraz potem zatrzasnęła za sobą drzwi domku i szybko ruszyła przez trawnik, kryjąc się pod parasolką przed coraz gęstszym deszczem. W chwilę później alejką przejechał rolls royce państwa Endfieldów z Boggsem za kierownicą.

Odczekałam skulona w ciemności jeszcze z pół minuty, a potem ruszyłam niepewnym krokiem w kierunku domu. Wślizgnęłam się przez tylne drzwi i ruszyłam ciemnym korytarzem. Było mi przeraźliwie zimno w środku, jakbym nosiła w brzuchu bryłę lodu. Miałam ściśnięte gardło. Zmusiłam się do kilku głębokich oddechów i po chwili poczułam się lepiej.

Miałam kompletnie przemoczony szlafrok, z włosów spływały strużki wody. Wróciłam do pokoju, wytarłam się ręcznikiem i włożyłam nową, suchą koszulę nocną. Wyjrzałam przez okno. Domek stał ciemny i cichy. Słyszać było tylko dzikie, niespokojne bębnienie deszczu. Zasłoniłam okno i czym prędzej wróciłam do łóżka. Nie było mi już zimno, a jednak przebiegł mnie dreszcz.

Jakie to wszystko dziwne, smutne i straszne. Nie miałam pojęcia, od jak dawna mogło trwać. Czy po tym, co widziałam, będę jeszcze umiała spojrzeć na wuja Richarda tak, jak patrzyłam na niego dotychczas? A może wystarczy mu jeden rzut oka, żeby poznać, że widziałam go z Mary Margaret? A ona? Czy Mary Margaret pozna, że się zmieniłam? Czy ją do tego zmuszano, czy brała w tym udział dobrowolnie? Może wuj Richard dodatkowo jej za to płacił?

Fale ulewnego deszczu tłukły o dach domu, niby jakiś szaleńczy werbel, zwołujący upiorne widziadła. Miałam uczucie, że otaczające mnie nocne koszmary tylko czekają na

chwilę, gdy usnę, by wtargnąć do moich snów. Bałam się zamknąć powieki.

Co to za straszne miejsce? Mój Boże, ci ludzie cieszyli się bogactwem i szacunkiem. Utrzymywali kontakty z najwyższymi sferami władzy, pieniądza i prestiżu, panowali nad swoimi gestami, ubierali się nienagannie, mieli doskonałą wymowę, a jednak ich życie upływało w mroku tajemnic skrywanych w starym domostwie przed całym światem. Do dawnych duchów dodali nowe widma. Uświadomiłam sobie, że przez otaczające mnie elegancko wytapetowane ściany przepływa istna rzeka cierpienia.

Mimo wszystkich zalet swej pozycji wuj Richard i ciotka Leonora najwyraźniej nie umieli pogodzić się z tragiczną stratą. Teraz, kiedy już leżałam bezpieczna w ciepłym łóżku, cała sytuacja wydawała mi się coraz mniej straszna. Miejsce przerażenia, jakie czułam, zaglądając przez okno do domku i jednocześnie kryjąc się w mroku ogrodu przed czujnym okiem Boggsa, zajęło współczucie dla wuja i ciotki. Całe ich nienaganne życie, cały ten mur, jaki wznosili wokół siebie na każdym kroku, wszystko to miało ukryć przed światem rozpaczliwą i beznadziejną walkę, jaką toczyli z cierpieniem.

Równocześnie przyszła mi do głowy ironiczna refleksja - ileż wysiłku wkładają niektórzy rodzice w to, by zachować pamięć o dzieciach, podczas gdy inni, na przykład moi, porzucają dzieci i starają się o nich w ogóle nie myśleć. Gdyby przed wujem Richardem stanęła córeczka, nie posiadałby się z radości. Jakaż robi minę mój ojciec, kiedy przed nim stanę? Czy jego serce uraduje się na mój widok, czy zaciśnie się niby pięść?

Zabawne, pomyślałam, że nawet taka dziwaczna i straszna scena jak ta, którą przed chwilą widziałam, budzi we mnie zazdrość. Nic na to nie mogłam poradzić, ale bolała mnie myśl, że mój ojciec nigdy nie usiadł na skraju mego łóżka, żeby mi poczytać. Nigdy nie okrył mnie kołdrą, nie pocałował w policzek, nie życzył przyjemnych snów. Nigdy nie miałam

ojca, który dałby mi poczucie bezpieczeństwa i miłości, chroniłby mnie przed tańczącymi za oknem demonami. Przez chwilę niemal zazdrościłam Mary Margaret. Wprawdzie to wszystko było tylko oszustwo, ale jednak otrzymywała gesty miłości, których tak bardzo mi zawsze brakowało.

Co powiem memu ojcu, kiedy przed nim stanę? Czy mam go zapytać, jak zamierza mi to wynagrodzić? Puste dni, samotne noce, całe lata, w których nie zaznałam uczuć, jakie wiążą się tylko z osobą ojca? Czy powinnam czuć do niego miłość, czy nienawiść?

Może właśnie powinnam go poprosić, żeby usiadł przy mnie w tym domku dla lalek i poczytał bajki. Gdzieś w głębi serca czułam, że wuj Richard zrozumiałby mnie lepiej niż ktokolwiek inny, i wiedziałam, że ani nie śmiałyby się ze mnie, ani nie miałyby tego za złe. Być może nawet, gdybym powiedziała wujowi o wszystkim, posłałby Boggsa z limuzyną po mego ojca?

„Masz córkę, której nie widziałeś przez wszystkie lata jej życia? Ukrywałeś przed samym sobą, że ją masz? - spytałby wuj zdumiony. - Czemu? Dlaczego ty mogłeś mieć córkę i zaprzeczać jej istnieniu, a ja, który tak chciałem zawsze mieć córkę, zostałem jej pozbawiony? Czemu tak się stało?”.

Gdzie szukać odpowiedzi na te wszystkie pytania? Czy w ogóle jej szukać, czy raczej -jak większość ludzi - udawać, że nie ma żadnych pytań? A przede wszystkim, czy mam jakikolwiek wybór?

Jakiś czas temu młoda dziewczyna impulsywnie, bez namysłu rzuciła się w ramiona przystojnego czarnego intelektualisty, który zdobył jej miłość. Byli zbyt rozgorączkowani, żeby myśleć o czymkolwiek poza własnym pragnieniem pełni życia. On zasiał w niej swoje nasienie, a ona urodziła mnie właściwie po to, by zrobić na złość własnym rodzicom. Miłość tej pary nie należała do trwałych. Oboje nie byli gotowi do poświęceń, a kiedy się rozstali, czym prędzej o mnie zapomnieli.

Teraz stoję przed nimi jak upiór z przeszłości, usiłując zrozumieć, co powołało mnie do życia.

Los?

Miłość, która zakiełkowała i wyrosła mimo obojętności, z jaką odnieśli się do jej losu moi biologiczni rodzice?

Beztroska, wędrująca iskierka życia, która wcieliła się we mnie?

Dziś widziałam mężczyznę, który powołał mnie do życia, a który wciąż jest mi obcy.

Jutro znów na niego popatrzę.

W uszach wciąż słyszałam melodyjkę pozytywki. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że ojciec całuje mnie w policzek.

„Nie pozwolę, żebyś się więcej bała” - usłyszałam jego głos.

Poczułam, że wreszcie mogę spokojnie usnąć.

PONOWNIE ODRZUCONA

Zaraz miałam wyjść na scenę, a jednak serce nie biło mi tak mocno, jak się spodziewałam. Zdenerwowanie przemieniło się w nagi strach, który zmroził mnie do szpiku kości, pozbawiając wszelkich uczuć. Philip Roder właśnie kończył tańczyć fragment *Dziadka do orzechów*. Philip był wspaniały. Że też muszę występować akurat po nim, westchnęłam w duchu. Kontrast między profesjonalizmem jego występu a moim żalosnym amatorstwem będzie zbyt wyraźny.

W ostatniej chwili podeszła do mnie Sarah Broadhurst, żeby uprzedzić, że stanę przed bardzo wymagającą publicznością.

- Ci ludzie chodzą na co dzień do londyńskich teatrów, to krytycy, przedstawiciele agencji aktorskich, jest nawet kilku reżyserów, wypatrujących młodych talentów. To co innego niż występ w jakiejś tam szkole dla dziewcząt w Ameryce - powiedziała, krzywiąc się wzgardliwie. - To nie jest widownia złożona ze współczujących krewnych, którzy nie chcą dostrzec błędów i przeciętności. Ci ludzie widzieli *Hamleta* dziesiątki razy i od pierwszego spojrzenia będą wiedzieli, ile jesteś warta.

- Dzięki - odpowiedziałam, nie okazując, jak podsyciła we mnie niepokój. - To miło, że starasz się mi pomóc.

- Pomóc?

- Mam nadzieję, że będę miała okazję odwzajemnić ci tę przysługę. - Philip zszedł ze sceny, kłaniając się rozgrzmie-

wającej oklaskami widowni. - Czy może w ogóle nie zamierzasz nigdy występować publicznie? - rzuciłam do Sarah i weszłam na scenę.

Szkolny teatr był niewielki. Widzowie mieli scenę tuż przed sobą, jak na dłoni. Wiedziałam, że mój głos będzie rozbrzmiewał donośnie, co sprawiało, że byłam tym bardziej świadoma każdej sylaby, na której mogłam się potknąć.

Na razie kurtyna była opuszczona, żeby podkreślić fakt zmiany scenerii. Na lekcjach dramatu uczono nas, że reżyser musi od pierwszej chwili wywołać u widzów świadomość miejsca. Żeby mi w tym pomóc, jeden z moich kolegów, Clarence Stoner, miał odczytać słowa Laertesza, brata Ofelii. Scena rozgrywa się po tym, jak Hamlet zabił Poloniusza, ojca dziewczyny, co przyprawiło ją o szaleństwo.

W pewnym sensie potrafiłam zrozumieć Ofelię. Straciła ojca, była samotna, przerażona, rzucona na pastwę okrutnego, niepojętego świata. Musiało ją dręczyć okropne poczucie zdrady.

Czekałam za kulisami. Clarence również stał na swoim miejscu. Sarah miała rację co do jednego: na twarzach widzów widziało się czujne wyczekiwanie na to, co mieli zobaczyć.

Kurtyna się uniosła,

- Co to jest? Skąd ten hałas? - zaczął Clarence.

Weszłam powoli na scenę i spjrzałam w górę, jakbym coś usłyszała. Na widowni było tak cicho, że przez chwilę myślałam, że wszyscy, łącznie z ciotką Leonorą i wujem Richardem, wyszli z sali.

Clarence dokończył monolog, w którym Laertes wyraża rozpacz i wściekłość, jaką wzbudził w nim obłęd siostry.

Uśmiechnęłam się szalonym, nieprzytomnym uśmiechem. Nie myślałam już o publiczności. Dobrze mi to zrobiło. Zaczęłam od słów:

- „Pochłonęła go zimna mogiła. Pieszczoty moje, nie ma was już! I na grób jego ściekło łez siła. Bądź zdrow, mój gołąbku!”.

Wszystko razem trwało nie więcej niż jakieś pięć minut.

Wygłaszając swoją kwestię, przeszłam przez scenę, a potem zesłam za kulisy po przeciwnej stronie. Czułam się, jakbym stapała bosą po rozżarzonych węglach.

Brawa, jakie się rozległy, kiedy zesłam ze sceny, były niemal równie głośne jak te, którymi nagrodzono Philipa Roderę. Pan MacWaine oczekiwał mnie z wyciągniętymi ramiarami.

- Znakomicie wystartowałaś - oznajmił głosem wyroczeni. - Słyszysz owacje? - spytał, jakby można było ich nie słyszeć. - Dobrze sobie zapamiętaj. Jeszcze nieraz je usłyszysz, moja droga.

Szykując się do swego występu Randall promieniał.

- Naprawdę wszystko poszło dobrze?

- Wyglądałaś tak, jakbyś od dziecka grała na scenie. - Randall cmoknął mnie w policzek i wyszedł na scenę, wyraźnie zadowolony z tego, jak wypadłam.

On sam śpiewał jak zwykle wspaniale. Po każdym kolejnym dowodach aplauzu pan MacWaine patrzył na nas uszczęśliwionym wzrokiem i uśmiechał się od ucha do ucha.

- To jeden z najlepszych pokazów w dziejach szkoły - oznajmił zadowolony.

Sarah Broadhurst miała taką minę, jakby dostała boleści.

Podczas herbatki po przedstawieniu przekonałam się, że ocena pana MacWaine'a wcale nie była przesadna. Mnóstwo ludzi ścisnęło nam ręce i prawilo komplementy. Miałam wyrzuty sumienia, że przepełnia mnie grzeszna pycha. Ciotka Leonora była bardzo zadowolona z mojego występu i co najmniej sześć razy powtórzyła, że jestem jej *au pair* z Ameryki. Wuj Richard był powściągliwy jak zawsze, lecz i on patrzył na mnie inaczej niż zwykle. Dwukrotnie w ciągu tego wieczoru odkryłam, że wuj wpatruje się we mnie, jakbym się na jego oczach zmieniała w księżniczkę.

Później, gdy wracaliśmy samochodem do domu, wuj Richard podsumował swoje wrażenia:

- Widzę, że w szkole uczą cię panowania nad sobą, gestu. To dobrze - zawyrokował. - Masz zaskakująco dobry głos

sceniczny i dykcję. Znakomicie sobie radzisz... jak na Amerykankę występującą w angielskim repertuarze klasycznym - zakończył.

- Jaka szkoda, że twoi rodzice tego nie dożyli - westchnęła ciotka Leonora. - Jestem pewna, że byliby z ciebie dumni.

- Ona już jest za poważna na takie rozmowy, Leonoro - zganił ją wuj. - Teraz Rain musi się martwić raczej o to, jak przyciągnąć uwagę obcych ludzi. Na tym polega sztuka sceniczna.

- Mimo to miło jest mieć przy sobie w takiej chwili rodzinę - oponowała słabo ciotka.

Wuj Richard wydawał się niezadowolony z jej słów, odwrócił głowę i umilkł, ale jeszcze kilkakrotnie zerkał na mnie ukradkiem. Czułam na sobie jego spojrzenie i kiedy spoglądałam na niego, mrugał oczami i zaczynał wyglądać przez okno. Gdy wróciliśmy do domu, pożegnał się szybko i zniknął w swoim gabinecie.

- Domyślam się, że jesteś zmęczona, kochanie - powiedziała ciotka Leonora. - To takie wyczerpujące. Nigdy w życiu nie zrozumieję, czemu ludzie tak pragną robić karierę na scenie. Dla mnie już samo życie ma w sobie dostatecznie wiele z teatru.

- Tak właśnie uważał Szekspir - zauważyłam.

- Oczywiście - odparła bez namysłu ciotka, choć byłam pewna, że nie ma pojęcia, o co mi chodzi. - Jak myślisz, dlaczego to powiedziałam? Będę musiała napisać o twoim sukcesie do siostry - dodała, śmiejąc się nerwowo, i udała się do swojego pokoju.

Randall chciał, żebyśmy poszli dokądś razem po występie i herbatce, ale ponieważ zaprosiłam Endfieldów, poczuwałam się do obowiązku, żeby towarzyszyć im w drodze powrotnej. Wróciłam do swojej klitki, położyłam się na łóżku i wspominałam wydarzenia wieczoru - brawa, entuzjazm publiczności, zadowolenie na twarzy pana MacWaine'a, promienne spojrzenie Randalla, pochwały, których nasłuchiwałam się od gości.

Może naprawdę dam sobie radę? Może babcia Hudson

istotnie miała rację, nalegając, żebym jechała do Londynu? Nie mogłam się powstrzymać przed rozważaniem, jak oceniłby mój występ Larry Ward, mój ojciec. W końcu to znawca Szekspira, czyż nie?

Wyobraziłam sobie, że był na naszym przedstawieniu. Siedział w ostatnim rzędzie. Mój występ tak mu się spodobał, że przyszedł do mnie z gratulacjami, nie wiedząc, że jestem jego córką.

Mógłby mnie zabrać na kawę czy na herbatę, żeby porozmawiać o moich planach i o teatrze. A potem, w czasie rozmowy, ja bym powiedziała mu, kim jestem, a on byłby tak zachwycony, że zerwałby się od stołu, by oznajmić wszystkim szczęśliwą nowinę. Moje usta ułożyły się w błogi uśmiech.

Z marzeń wyrwały mnie twarde kroki Boggsa. Kiedy mijiał mój pokój, drzwi aż zadrżały w zawiasach. Będę musiała zobaczyć rano, czy nie robi dziur w podłodze, pomyślałam, ale dobry nastrój już mnie opuścił.

Wszystko to tylko dziecinne fantazje. Może mniej, niż się wydaje, dzieli mnie od pogrążonego w urojeniach wuja Richarda. Przypomniała mi się Mary Margaret.

Od jak dawna odgrywają we dwoje swój dziwaczny, perwersyjny teatrzyk? Czy Mary Margaret uczestniczy w nim z własnej woli, czy została do tego zmuszona pod groźbą wyrzucenia z pracy? Czy jeszcze ktoś prócz Boggsa wie o wszystkim? Czy ciotka Leonora nie zna prawdy, czy tylko udaje, że o niczym nie wie? Czy właśnie dlatego pani Chester tak gorliwie radziła mi pilnować własnego nosa, kiedy zagadnęłam ją o domek?

To naprawdę dom pełen duchów i upiórów, pomyślałam. Lepiej zrobię, jeśli nie będę się nimi interesowała. Zacznę się zachowywać tak jak wszyscy, będę udawała, że niczego nie widzę. Wyglądało na to, że rada, by pilnować własnego nosa, jest w tym świecie warunkiem przetrwania. Pod pewnymi względami był on podobny do świata, w jakim wyrosłam w Waszyngtonie. Nic nie widzisz, nic nie słyszysz - tak

brzmiała pierwsza lekcja, jakiej nam udzielano, gdy tylko zaczęliśmy się samodzielnie oddalać od domu.

Być może scena istotnie była dla mnie najbezpieczniejszym miejscem. Wchodząc na nią, trafiałam do świata, w którym ludzie mogli płakać i śmiać się, dotykać się i patrzeć na siebie, nie myśląc o niczym poza chwilą radości, jaką wzbudzi aplauz widowni.

Zrób wszystko, co w twojej mocy, powiedziałam sobie w duchu, żeby utrzymać tę, jak to nazwano na lekcji dramatu, „niewidzialną ścianę” pomiędzy tobą a prawdziwym światem. Wtedy zawsze będziesz bezpieczna. Wtedy wreszcie będziesz bezpieczna.

Dziwnie się czułam, patrząc na mego ojca i jego dzieci. Nie chciałam o tym myśleć, a jednak nie mogłam się uwolnić od wspomnienia tej sceny. Nie chciałam, żeby Randall wiedział, jak wiele znaczyło dla mnie to spotkanie, bo bałam się, że mógłby zrobić jakiś jeszcze bardziej dramatyczny krok. Kiedy przechodził przez jezdnię, żeby zastukać do drzwi Wardów, wstrzymałam oddech. Randall był gotów skonfrontować mnie z ojcem, ale to nie było ani jego życie, ani jego uczucia.

Przez cały następny tydzień, gdy tylko mogłam, jechałam do Hammersmith i szłam na spokojną uliczkę, przy której mieszkał mój ojciec. Dwukrotnie widziałam jego żonę, raz samą, za drugim razem z synem. Była ładna, a jej włosy lśniły jak świeże kasztany. Podczas naszego pierwszego spotkania rozpuszczone włosy opadały kobiecie na ramiona, za drugim razem miała je splecione w warkocze.

Właśnie za tym drugim razem przyjrzałam jej się z bliska, kiedy była nie więcej niż metr czy dwa ode mnie. Nie podniosłam głowy, ale zerknęłam na nią krótko, zanim mnie minęła. Szczupłe policzki upstrzone były piegami, pięknie wykrojone usta uśmiechnęły się, kiedy uniosła piwne oczy migdałowego kształtu i napotkała moje spojrzenie. To trwało kilka sekund,

ale wystarczyło, żebym się poczuła, jakby przebiegł mnie prąd. Zostałam przyłapaną na podglądaniu!

Żona mego ojca miała wtedy na sobie ciemnoszary sweter i długą, sutą spódnicę. Wyglądała bardzo młodo. Synek siedł obok matki; trzymał ją mocno za rękę, ale głowę miał opuszczoną, jakby liczył spoiny między płytkami chodnika. Wszystko to trwało tylko moment, serce jednak natychmiast zaczęło mi bić jak szalone.

Przez cały ten tydzień nigdy nie widziałam mego ojca. Albo nie wychodził z domu, albo może akurat go nie było? Nie wiedziałam. Mówiłam sobie, że to idiotyzm jeździć tam i wypatrywać mężczyzny, który wprawdzie mnie spółdził, ale nigdy nie interesował się moim losem. Czułam się jak nędzarka wystająca przed witrynami luksusowych sklepów, zapatrzona w drogie cacka, na które nigdy nie będzie jej stać. Czy nie lepiej udawać przed sobą, że luksusowy sklep nie istnieje, i mijać go z odwróconą głową, nie zaglądając do środka?

To dlatego Roy tak nie lubił wycieczek do zamożniejszych dzielnic Waszyngtonu. Wolał nadłożyć drogi, niż znaleźć się na przyzwoitszej ulicy.

- Ale czy to nie przyjemne patrzeć na piękne rzeczy? - pytałam.

- Nie lubię oglądać tego, czego i tak nigdy nie będę miał. Czuję się wtedy skrzywdzony przez los i rozgoryczony. Dość mam powodów do złości i goryczy, nie chcę mieć ich więcej.

Ale kiedy naprawdę uparłam się, żeby odwiedzić eleganckie dzielnice, Roy gotów był mi towarzyszyć. Myślę, że niewiele było takich, choćby najprzykrzej szych doświadczeń, których by nie zakosztował, jeśli dzięki temu mógł mnie uszczęśliwić. Co powiedziałyby na to wszystko? Nie wiedziałam nawet, czy mu o tym wspomnę.

Randalla nie przestawała zaprzętać sprawa mego ojca.

- Wielka szkoda, że nie zaprosiliśmy go na przedstawienie. Powinniśmy byli posłać mu zaproszenie. Może by przyszedł - powiedział, gdy tylko spotkaliśmy się.

- Na pewno dostaje mnóstwo zaproszeń i ma powyżej uszu amatorskich recytacji fragmentów z Szekspira.

- Na pewno przyszedłby, gdyby wiedział... - Randall urwał i zaśmiał się na widok mojej miny.

- Niech nic takiego ci więcej nie przyjdzie do głowy - ostrzegłam go.

- Może wcale nie byłby to taki głupi sposób na przełamanie pierwszych lodów - zaproponował Randall, nie biorąc sobie zbytnio moich słów do serca.

- Nie zamierzam niczego przełamywać. Już ci to powiedziałam. A teraz przestań o tym gadać, bo nie będę z tobą więcej na ten temat rozmawiała - zagroziłam. - Nie żartuję.

- Dobrze, dobrze. - Randall uśmiechnął się i spuścił wzrok. - Ciekaw jestem, jak wykłada.

- Żegnaj - rzuciłam, odwróciłam się na pięcie i odeszłam.

Ruszył za mną ze śmiechem, zaklinając się, że to był już ostatni raz. Oczywiście nie uwierzyłam mu.

Zaczęłam dostrzegać w Randallu niedojrzałość, dziecinny egocentryzm, który nie pozwalał mu dostrzec, czego trzeba innym. Poszukiwanie mego ojca było dla niego wyłącznie podniecającą zabawą. Równie dobrze wszystko mogłoby się rozgrywać na ekranie komputera. Ale w pełni dotarło to do mnie dopiero, gdy się okazało, że opowiedział o wszystkim Leslie i Catherine.

Siedziałam sama w kafeterii, popijając kawę, kiedy weszły siostry. Natychmiast usiadły obok mnie.

- Och, *cherie* - zaczęła Leslie - słyszałyśmy o twoim zaskakującym odkryciu, ale to nic strasznego. Musisz tylko iść prosto do niego, stuk, puk, i porozmawiać.

- O jakim odkryciu mówisz? - Serce we mnie zamarło.

- No, przecież o twoim ojcu - wyjaśniła Catherine. Randall wszystko nam opowiedział.

- Randall?

- Ależ tak! Martwi się o ciebie i pomyślał, że może dobrze by ci zrobiła rozmowa z nami na ten temat.

- Nasz ojciec też ma dziecko z pewną kobietą, ale nie

ukrywa przed nami jej istnienia - przyznała bez skrępowania Catherine.

- Mama zawsze pilnuje, żeby tata pamiętał o małej.

- To bardzo miłe. Cieszę się, że jesteście jedną wielką, szczęśliwą rodziną, ale w tym wypadku sytuacja wygląda inaczej i Randall nie miał prawa opowiadać nikomu o moich najbardziej osobistych sprawach - warknęłam wściekła.

- Och, on miał naprawdę jak najlepsze intencje. I mówił to *entre nom...* rozumiesz? W zaufaniu.

- Chętnie ci pomożemy - zaoferowała się Leslie.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy. Najlepiej zapomnijcie o wszystkim. Moje życie to nie tasiemcowy serial ze szczęśliwym zakończeniem.

Zerwałam się z krzesła i wyszłam z oczami pełnymi łez. Przepęłniała mnie wściekłość i gorycz rozczarowania. Bez chwili zastanowienia weszłam do pracowni profesora Wilheima. Obaj - profesor Wilhelm i Randall - jednocześnie unieśli głowy. Nie wiem, który z nich bardziej osłupiał na mój widok.

- Nie miałeś prawa opowiadać o moich sprawach Leslie i Catherine! - krzyknęłam. - Nie miałeś prawa!

Wyszłam, trzaskając drzwiami. Potem wybiegłam ze szkoły. Nie miałam ochoty, nie miałam sił, by iść teraz na lekcję dramatu. Przez jakiś czas po prostu wędrowałam po ulicach, nie zastanawiając się, dokąd idę. Szłam tak i szłam, dopóki złość nie osłabła we mnie na tyle, że usiadłam na ławce w jakimś niewielkim parku. Po chwili w alejce pojawiło się dwoje młodych ludzi. Szli, trzymając się za ręce i nachylając do siebie głowy, tak że niemal się stykały. Usiedli na sąsiedniej ławce. On ją objął i po prostu trwali bez słowa, patrząc na podskakujące i podfruwające wokół wróble. Dla nich to była tylko jedna z wielu wspólnych chwil, ja kolejny raz poczułam się, jakbym stała przed wystawą luksusowego sklepu.

Skąd niektórzy ludzie mają w sobie miłość i zaufanie? Gdzie się uczą powierzać swoje sprawy innym i skąd czerpią wiarę we wspólną przyszłość? Kim będzie mężczyzna, z którym się w końcu związę? Kto pokocha mnie bardziej niż

siebie samego i będzie zaczynał dzień od myśli: co mogę zrobić, żeby była szczęśliwsza i żeby nasze życie było jeszcze pełniejsze?

Para na ławce obok była tak błogo zadowolona... Na pewno oboje zapamiętają ten moment, pomyślałam. Byłam pewna, że któregoś dnia w przyszłości każde z nich wspomni łagodny spokój wspólnej chwili, kiedy uśmiechali się do siebie z poczuciem, że podjęli słuszną decyzję, szepcząc sobie nawzajem słowa miłości i obiecując, że będą jednym. Nie zostawią na swojej drodze rozbitków od dnia narodzenia. A może tylko się łudzę?

Wstałam i znów ruszyłam przed siebie. Może to był czysty przypadek, a może podświadomie wiedziałam, dokąd idę. Może wreszcie sam los postanowił w końcu pokierować moimi sprawami, nie wiem. W każdym razie uświadomiłam sobie, że tylko kilka minut marszu dzieli mnie od szkoły, w której wykłada mój ojciec. Myśl, żeby tam wstąpić, była kusząca, choć jednocześnie budziła we mnie niepokój.

A jednak bardzo chciałam go zobaczyć, usłyszeć jego głos. W gruncie rzeczy musiałam przyznać Randallowi rację.

Odepchnęłam od siebie obawy i ruszyłam w stronę szkoły. Po chwili znalazłam się przed niskim budynkiem. Czy mogę to zrobić? Czy powinnam?...

Zatrzymałam się przed wejściem, a potem, jakby popychana przez jakąś niewidzialną dłoń, przekroczyłam próg. Ostatecznie był moim ojcem. Być może on potrafił zaprzeczać prawdzie, ale je tego nie potrafiłam. Nienawidziłam kłamstw, a jeszcze bardziej nienawidziłam życia w kłamstwie. Czułam się, jakbym była brudna, splamiona, zbrukana nie swoimi winami. Chciałam się uwolnić od tego wszystkiego, nie zważając na konsekwencje. Dopiero wtedy będę mogła, pomyślałam, spoglądać ludziom w oczy, może nawet ośmielę się wówczas uwierzyć, że mogłabym być naprawdę kochana i kochać kogoś.

W holu, przed drzwiami do sekretariatu, siedziała przy stole dziewczyna wyglądająca na uczennicę pierwszej klasy liceum. Najwyraźniej chciała skorzystać z okazji, by odrobić lekcje.

Kiedy stanęłam przed nią, uniosła głowę.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak. Proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę profesora Warda.

- Teraz? W tej chwili?

- Tak.

- Ale profesor Ward właśnie prowadzi zajęcia. Wiesz o tym?

- Nie.

Zakłopotana zamrugała oczami.

- Jesteś w jego grupie?

- Nie. Miałam przyjść na jego zajęcia jako wolna słuchaczka.

- Aha. Zobaczymy. - Dziewczyna otworzyła informator. Przesuwając palec wzdłuż spisu wykładowców, zerknęła na zegarek. - Temat: tragedie Szekspira. Już się zaczęło. Dwa-dzieścia pięć minut temu w sali dwieście jednaście. Musisz pójść korytarzem do końca, schodami na drugie piętro, a potem zaraz na prawo.

- Dziękuję.

Słuchacze profesora Warda wypełnili audytorium w około trzech czwartych. Wykładowca przechadzał się przed uczniami, a oni słuchali go z pochylonymi głowami, zapisując słowa w zeszytach. Otworzyłam drzwi najciszej, jak się dało, wślizgnęłam do sali i zajęłam miejsce w ostatnim rzędzie. Wydawało mi się, że nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Profesor Ward wydawał się zatopiony w myślach, zresztą jak mógłby dostrzec jedną twarz więcej pośród tylu uczniów?

Przez jakiś czas snuł rozważania na temat *Otella*. W pewnej chwili spojrzął na mnie, raz, potem drugi.

- Pytanie, które chciałbym dziś wspólnie z wami rozważyć, brzmi: co takiego w charakterze Otella sprawiło, że okazał się podatny na szatańskie podszepty Jagona?

Szekspir dostarcza nam co do tego pewnych wskazówek - ciągnął, wchodząc pomiędzy dwa rzędy ławek. - Jednak żeby

go zrozumieć, trzeba uważnie przestudiować tekst. Należy, że tak powiem, czytać między wierszami.

Umilkł. Cisza trwała tak długo, że uczniowie przestali pisać i zaczęli unosić głowy. Kiedy napotykali wzrok profesora Warda, szli za jego spojrzeniem i spoglądali na mnie.

To niemożliwe, myślałam. Czemu miałyby na mnie patrzeć? Serce biło mi mocno, w gardle tak zaschło, że nie mogłam przełknąć śliny. Profesor Ward... mój ojciec uśmiechnął się do mnie.

- Widzę, że na moich wykładach pojawiają się nowi słuchacze. Zastanawiam się, czy powinienem to uznać za wyróżnienie, czy może przeciwnie, za powód do wstydu. Czy przychodzą tu słuchać mnie dla wiedzy, czy dla zabawy? Co pani o tym sądzi, panno Austin? - spytał siedzącą najbliżej dziewczynę. - Czym są dla was moje wysiłki - źródłem wiedzy czy zabawy?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- No trudno. Może w takim razie spytamy o to naszego gościa... - Podszedł do mnie. - Słucham, Panno Tajemnicza?

Oczy całej sali skupiły się na mnie.

- Czemu nie jednym i drugim? - odparłam i wszyscy ryknęli śmiechem.

On także się uśmiechnął.

- Istotnie, czemu nie? A zatem... - Odwrócił się i wrócił przed tablicę. Odetchnęłam z niewymowną ulgą. - Wróćmy do aktu pierwszego, scena pierwsza.

Przez długą chwilę nogi miałam jak z waty. Kiedy tylko poczułam, że mogę im zaufać, wstałam z miejsca i chyłkiem wymknęłam się z sali. Jak mogłam zrobić coś takiego? Co za idiotyzm! Teraz już nigdy nie będę mogła dopuścić do tego, żeby mnie zauważył, bo natychmiast przypomni sobie nasze dzisiejsze spotkanie. Może to i dobrze, pomyślałam. Będę musiała wreszcie raz na zawsze położyć temu kres. Niech sobie żyje swoim życiem, a ja postaram się zrobić coś dobrego ze swoim.

Nim doszłam do schodów, zadzwonił dzwonek na przerwę. Uczniowie wyskakiwali z sal z wrzaskiem, jakby się w nich dusili. Uśmiechnęłam się do siebie. To już bardziej przypominało amerykańską szkołę średnią. W mgnieniu oka znalazłam się pośrodku ruchliwego tłumu. Ktoś klepnął mnie w ramię. Odwróciłam głowę i zobaczyłam wysokiego, ciemnowłosego chłopaka. Przypatrywał mi się z krzywym uśmiechem. Za nim stało dwóch jego kolegów z podobnymi uśmieškami.

- Przepraszam, czy nie spotkałem cię kiedyś we śnie?

- Wątpię. Nie bywam w takich miejscach.

Słyszac śmiech kolegów, chłopak stracił pewność siebie. Odwróciłam się i ruszyłam schodami w dół.

- Przepraszam, że cię zaczepiłem! - zawołał za mną, ale się nie obejrzałam.

Wyszłam na ulicę i zatrzymałam się na chwilę, żeby się zastanowić, co robić dalej. Po krótkim namyśle uznałam, że najlepiej będzie, jeśli pójde do metra. Za trzy godziny powinienam podawać do stołu w Endfield Place, nie chciałam się spóźnić.

Zapytałam sympatycznie wyglądającą starszą panią o stację metra, po czym ruszyłam w drogę. Teraz było mi trochę głupio, że nie poszłam na własne zajęcia, a zamiast tego narobiłam zamieszania na wykładzie prowadzonym przez mego ojca. Zatrzymałam się przy kasie, żeby kupić bilet, zesłam na peron i omal nie padłam trupem.

Przede mną stał z uśmiechem na ustach mój ojciec.

- I kto tu kogo śledzi?- spytał.-Czy mam podstawy, żeby podejrzewać, że mnie śledzisz?

Oczywiście, musiał mnie zauważyć przed swoim domem w ciągu ubiegłego tygodnia, pomyślałam.

Pokręciłam głową. Na nic więcej nie mogłam się zdobyć., Mój ojciec uśmiechnął się szerzej, a w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

- Nie chodzisz do tego college'u, prawda?

- Nie.

- No dobrze. Punkt dla pani, panno...
- Arnold. Rain Arnold.
- Rain? Ciekawe imię. Kto ci je nadał?
- Moja przybrana matka - odpowiedziałam szybko.
- Nie była rdzenną Amerykanką?
- Cóż, po prostu Amerykanką - odpowiedziałam.

Roześmiał się.

- Amerykanka w Londynie. To brzmi jak tytuł filmu. - W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. Miał takie piękne, głębokie ciemne oczy. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądał, kiedy pierwszy raz spojrzął na moją matkę, a ona zachwyciła się ich siłą i pięknem. - Co sprowadziło cię na mój wykład?

- Jestem uczennicą w szkole sztuki dramatycznej Richarda Burbage'a. Pracujemy nad tragediami Szekspira i pomyślałam, że dobrze będzie dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

- Czy w szkole nie omawiacie dramatów, zanim dostaniecie do ręki tekst, którego macie wyuczyć się na pamięć?

- Omawiamy, ale nie tak dokładnie, jak pan to robi.

Przekrzywił głowę i spojrzął na mnie sceptycznie.

- I wiesz to po kwadransie słuchania mojego wykładu?

- Słyszałam już wcześniej o pańskich wykładach.

- Ach tak? - Na jego ustach pojawił się uśmieszek. - Pochlebiasz mi. Jednak może dlatego, że akurat pracujemy nad *Oleitem*, mam skłonność do sceptycyzmu wobec pozornych oczywistości. Zwłaszcza w sprawach oceny ludzkich motywacji. - Spojrzął na zegarek. - Napijemy się herbaty? Tu obok jest bardzo miła kawiarnia.

Zawahałam się.

- Będziemy mogli porozmawiać o Szekspirze- zachęcił mnie z uśmiechem, ale teraz to był już inny uśmiech, ciepły i radosny. Bawił się moim kosztem, czułam jednak, że jest mnie ciekaw.

- Mam niewiele czasu. Muszę pomóc przy kolacji.

- Coś takiego? Amerykanka w Londynie zarabiająca na

swoje utrzymanie. To wygląda coraz ciekawiej, panno Arnold. Proszę mi poświęcić kilka minut. W końcu chyba należy mi się choć tyle w zamian za wiedzę, jakiej zaczerpnęła pani, słuchając dziś mego wykładu.

Nie umiałam powstrzymać uśmiechu.

- Dobrze - zgodziłam się. - Ale tylko na chwilę.

- Tędy. - Ojciec poprowadził mnie prosto do kawiarni.

Usiedliśmy przy stoliku obok okna, skąd mogliśmy wyglądać na ulicę.

- Domyślam się, że pewnie wolisz kawę od herbaty.

- Nie. Lubię angielską herbatę. - Ojciec przywołał kelnerkę i zamówił herbatę. - Jestem MP - dodałam, kiedy kelnerka odeszła od stolika.

- Co takiego?

- Mleko przodem.

- Ach tak. - Roześmiał się. - To prawda. Mam przyjaciół, którzy traktują te sprawy bardzo poważnie. - Odchylił się na oparcie i przekrzywił głowę. - Wygląda na to, że sporo się już zdążyłaś dowiedzieć o Anglii. Od jak dawna tu mieszkasz?

- Niedługo, ale mam dobrych nauczycieli. Najbardziej pouczające są dla mnie nauki pani Chester, kucharki w tym domu, gdzie mieszkam.

- Jak tam trafiłaś?

- Dzięki mojej babci. To ona zdecydowała o tym, że przyjechałam do Londynu, żeby uczyć się w szkole teatralnej.

- Rozumiem. Babcia musi wierzyć w ciebie.

- Szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego - wyznałam. - Właściwie to znamy się od niedawna.

- Co takiego?

Kelnerka przyniosła nam czajniczki i filiżanki. Nalałam sobie mleka, a potem herbaty. Ojciec patrzył na mnie. Dopiero gdy skończyłam te czynności, napełnił własną filiżankę.

- Jak to się stało, że dopiero niedawno poznałaś swoją babcię? - spytał, popijając herbatę. Spojrzał na mnie znad krawędzi filiżanki. Patrzył z uwagą, ale jego spojrzenie sugerowało...

rowało, że chodzi o coś więcej niż tylko o zwykłą ciekawość. Poczułam lekki niepokój.

- To długa historia.

- A ty masz mało czasu. Wiem. No cóż... - Odstawił filiżankę i zajrzał do jej wnętrza. - Muszę ci się do czegoś przyznać. - Podniósł na mnie wzrok. - Widziałem cię już ostatnio. Ściśle biorąc, widziałem cię dwa razy, więc kiedy przyszłaś dziś na mój wykład, natychmiast cię poznałem.

Zesztywniałam.

- Nie przypuszczam, żebyś żywiła złe zamiary, ale ciekaw jestem, o co chodzi. No, nie będę cię oszukiwał, w mojej żonie wzbudziłaś pewne obawy. To ona pokazała mi ciebie kiedyś przez okno i powiedziała, że już od kilku dni widuje cię w okolicach domu. Czy to prawda?

Byłam zdumiona, kiedy usłyszałam, że widział mnie po drugiej stronie ulicy, a mimo to nie wyszedł, żeby się przekonać, kim jestem.

- To spokojna okolica, rzadko widuje się nowych ludzi, więc też się ich lepiej pamięta - dodał z uśmiechem.

To nie było tak, że po prostu siedziałam cicho. Walczyłam ze łzami. Chciałam zerwać się i uciec, ale nie wydawał się zły. Jego usta układały się w leciutki uśmieszek, jakby wciąż był trochę rozbawiony.

- Och, nie zwariowałam z miłości do pana czy coś w tym rodzaju - powiedziałam wreszcie.

- Cieszę się, że to słyszę... ze względu na twoje dobro oczywiście - dodał, gdy tylko podniosłam na niego wzrok. - Takie sytuacje nikomu nie wychodzą na zdrowie, zwłaszcza gdy obiektem uczuć jest starszy, dzieciaty facet.

- Nie jest pan taki stary.

- Skąd wiesz, ile mam lat?

Nie odpowiedziałam.

- Wiesz o mnie coś jeszcze? Wiesz więcej, niż mi się zdaje, tak?

- Tak.

- To jakaś melodramatyczna historia, panno Arnold. Czy

mogłaby pani powiedzieć coś więcej?... Udzielić mi jakichś dalszych wskazówek?

Wskazówek, pomyślałam. Proszę bardzo, oto wskazówki... tato.

- Moja babcia nazywa się Frances Hudson. Jej mąż nazywał się Everett.

- Hudsonowie z Wirginii?

- Tak.

- Jesteś wnuczką Frances Hudson? I... córką Megan Hudson?

- Tak właśnie.

Umilkł. Najpierw otworzył oczy szeroko, potem zmrużył je, żeby dokładnie mi się przyjrzeć, wreszcie skinął głową.

- Dostrzegam w tobie podobieństwo do Megan - powiedział miękko. - Ile masz lat?

- Osiemnaście.

Sięgnął po filiżankę, ale zaraz odstawił ją z powrotem na stolik. Pokręcił głową i spojrzał w bok.

- Wszystko się zgadza - mruknął. - Zwrócił twarz ku mnie. - Czy to Megan cię tu przysłała?

- Ależ skąd! Ona nie ma pojęcia, że pana odszukałam. Powiedziała mi kiedyś, jak pan się nazywa i że wyjechał pan do Anglii, żeby poświęcić się badaniom nad Szekspirem... że chciał pan zostać wykładowcą. To mój kolega ze szkoły tak się zaangażował w te poszukiwania... jakby chciał się wczuć w rolę Sherlocka Holmesa. Wcale mi się to nie podobało, ale go nie powstrzymałam i... Przepraszam. Nie będę panu więcej zawracać głowy... - Wstałam od stolika.

- Nie odchodź. Poczekaj chwilę - poprosił.

Usiadłam.

- Kiedy Megan zaszła w ciążę... wyjechała. Wiem tylko tyle, że oddała dziecko do adopcji. Czy ty jesteś tym dzieckiem?

- Mój dziadek zapłacił Latishy i Kenowi Arnoldom za to, żeby się mną zaopiekowali i wychowali mnie, jak własną córkę. Do niedawna to Latisha była moją mamą. Jedyną, jaką

znałam. Mieszkaliśmy w Waszyngtonie. Ken był równie złym ojczymem, jak ojcem. Roy żył z nim w nieustannym konflikcie. Jest teraz w wojsku. Latisha zmarła kilka miesięcy temu na raka...

Opowiedziałam mu krótko o swoim życiu. Chociaż starał się tego nie okazywać, widziałam, że moje słowa go poruszyły. Myślę, że mógł się czuć zaskoczony.

- Rozumiem. - Pokręcił głową. - Miałś okropnie ciężkie życie. To strasznie skomplikowana historia. - Zastanawiał się przez chwilę. - Ale Megan musi mieć własną rodzinę. Jestem tego pewien.

- Tak. Jej mąż jest prawnikiem. Ważną osobistością. Mają dwoje dzieci - syna i córkę. Poza babcią Hudson, Megan i jej siostrą Victorią nikt nie zna prawdy. Do tej pory.

Znów tylko na mnie popatrzył.

- Nie chciałam wystraszyć pana żony - ciągnęłam. - Po prostu byłam ciekawa, jak pan wygląda. To nic. Proszę się nie martwić, więcej tego nie zrobię.

Pokręcił głową.

- Jesteś moją córką - powiedział, jakby ta prawda dopiero teraz do niego dotarła. - Mój Boże, to...

- ...okropne, wiem.

- Nie, nie. Nie to chciałem powiedzieć. - Pokręcił głową i uśmiechnął się do mnie. - Prawdę mówiąc, często wyobrażałem sobie tę chwilę. To znaczy... wiedziałem, że się urodziłaś, i nie potrafiłem o tobie nie myśleć.

- Wszyscy o mnie myśleli, ale jakoś nikt nic nie zrobił - odpowiedziałam oschle. - Poza mamą Arnold. Jak dotąd, była jedyną osobą w moim życiu, która naprawdę mnie kochała.

- Tak - rzekł z powagą. - Bardzo możliwe, że masz rację. A jak wyglądają twoje stosunki z Frances Hudson? O ile pamiętam Hudsonów...

- Jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach. Babcia umieściła mnie nawet w swoim testamencie.

- Zdziwiająca. No cóż, skoro potrafisz się dogadać

z Frances Hudson, to znaczy, że musisz być naprawdę niezwykłą osobą. Jak długo zamierzasz pozostać w Londynie?

- Przyjechałam tu do szkoły.

- Niech to licho... - Upił łyk herbaty, która musiała już być zupełnie zimna. - Muszę się z tobą jeszcze spotkać. Powinniśmy się lepiej poznać.

- Po co?

- Po co? No cóż, po prostu dlatego, że jesteś moją córką, a ja twoim ojcem. Posłuchaj... - Gwałtownie odstawił filiżankę. - Musisz to zrozumieć. Megan i ja byliśmy zbuntowanymi nastolatkami. Nie mieliśmy pojęcia, co znaczy prawdziwa odpowiedzialność. Byliśmy upojeni samymi sobą, młodością, ideałami. Chcieliśmy kroczyć na czele przemian, walczyć o nowy świat. Kiedy Megan zaszła w ciążę, było tak, jakby ktoś wylał nam na głowę kubeł zimnej wody. Nagle zetknęliśmy się z rzeczywistością. Prosiłem Megan o rękę, ale jej rodzice, zwłaszcza Everett, nie chcieli o tym nawet słyszeć. Potem zabrali ją ze szkoły, a później już tylko raz z nią rozmawiałem. Wtedy się dowiedziałem o twoim istnieniu.

- I więcej się o mnie nie zatroszczyłeś! - rzuciłam gniewnie, przechodząc w złości na „ty”.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

- Racja. Czułem się na swój sposób wdzięczny Everettowi Hudsonowi, że wziął cały kłopot na siebie. Nie miałem warunków, żeby wychowywać dziecko. Sam ledwo dawałem sobie radę. Wiesz, Rain, nam się zdawało, że jesteśmy dorośli, ale tak naprawdę to żadne z nas nie okazało się dość dojrzałe, żeby postąpić właściwie.

- Ledwo osiągnęliście wiek, gdy można było postąpić niewłaściwie.

Zamrugał powiekami, jakby go uderzyła.

- Rozumiem twój gniew.

- Naprawdę? Może dlatego, że Szekspir coś o tym pisał. Ale czy wiesz, co to znaczyło dla mnie - nie mieć nikogo, żadnej rodziny, prawdziwych korzeni, poczucia tożsamości?

Czasem czuję się tak, jakbym była niewidzialna. Jakbym była bezcielesnym duchem.

Popatrzył na mnie uważnie, ale nie wyglądał na urażonego. Raczej był może jakby... dumny.

- Bardzo wyraźnie umiesz określić swoje stanowisko, młoda damo. Jestem pewien, że zawsze miałaś dobre stopnie.

- Owszem. Ciężko na to pracowałam, bo widziałam, jak bardzo cieszy to moją przybraną matkę.

- To dobrze. Ale żebyś lepiej mnie zrozumiała, powiem ci, że sam również wychowałem się, jakbym był sierotą. Moi rodzice się rozwiedli, a mnie wychowywała babcia... Tyle że była chora i wkrótce umarła. Miałem wtedy niecałe trzy lata. Potem wędrowałem od jednego wuja do drugiego, a wreszcie wylądowałem u ciotki, która, jak na ironię, mieszkała w Richmond, niedaleko od miejsca, gdzie wychowała się Megan.

Często zastanawiałem się nad sobą, nad swoją tożsamością. W końcu doszedłem do wniosku, że to jest coś, co każdy musi stworzyć sobie sam. Nie jesteś mną, Megan, ani twoją przybraną matką, i nie powinnaś być. Powinnaś być sobą i sądząc z tego, co widzę, jesteś na najlepszej drodze, żeby to osiągnąć.

- Świetnie. Bardzo zręczna racjonalizacja. W ten sposób nikt za nic nie odpowiada, nikt nie jest niczemu winny, każdy może robić, co mu się spodoba.

Znów skrzywił się, jakbym mu dała w twarz.

Spojrzałam na zegarek.

- Muszę już iść. Nie chcę się spóźnić.

- Spóźnić? Dokąd spóźnić?

- Pomagam pokojówce podawać do stołu w domu moich wujostwa.

- I oni nie wiedzą, kim jesteś?

- Nie.

- Powiesz im kiedyś?

- To nie zależy ode mnie. O tym zadecyduje babcia Hudson. Ona jest zdania, że najlepiej na razie im tego nie mówić. Mogliby poczuć się zakłopotani i poprosić mnie, żebym opuściła ich dom.

- Rozumiem. Czy możemy się jeszcze zobaczyć? Może wpadłabyś do nas w niedzielę na herbatę?

- Chcesz powiedzieć swojej rodzinie, kim jestem?

- No, może nie tak od razu. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

- Oczywiście. Rozumiem. - Wstałam od stolika. - Lepiej niż sobie możesz wyobrazić. Dziękuję za herbatę.

Odwrociłam się i odeszłam, zanim zdążył odpowiedzieć i zanim zobaczył w moich oczach łzy. Nie obejrzałam się za siebie. Zbiegłam do metra, przez krótką chwilę walczyłam z panicznym lękiem przed zabłędzeniem, a potem odzyskałam panowanie nad sobą i odnalazłam właściwy peron. Wkrótce nadjechał pociąg. Szybko wsiadłam i wcisnęłam się w sam kąt wagonu. Wagon wypełnił się ludźmi i drzwi się zamknęły.

Opuściłam powieki. Co otrzymałam od rodziców na drogę?

Gniew i strach. Bliźniacze siostry, prześladowające mnie przez całe życie.

Kiedy się od nich uwolnię? Gdy już, jak to ujął mój ojciec, będę sobą?

Czy to kiedykolwiek nastąpi? - zastanawiałam się.

NA GRZAŚKIM GRUNCIE

Zanim dojechałam do właściwej stacji metra, pogoda zdążyła się zmienić. Zaczęło padać i znów wracałam do domu skulona, kryjąc się przed deszczem. Do Endfield Place przyszłam zmęczona do suchej nitki. Kiedy się wreszcie nauczę, że w Anglii parasol trzeba nosić i przy pogodzie? - pomyślałam.

Naraz wszystko w tym kraju zaczęło mnie złościć. Czemu uparli się, żeby jeździć lewą stroną jezdni? Czemu używają tych swoich dziwacznych wyrażen i określeń? Dlaczego w metrze musi być zawsze taki tłok? Czemu wszyscy wokół mają ponure miny? Miałam chęć zatrzymać się na najbliższym rogu i zacząć krzyczeć.

Kiedy zostało mi już tylko jakieś dwieście metrów do Endfield Place, deszcz zmienił się w ulewę. Brnęłam przez kałuże z uczuciem, że Pan Bóg chyba uwziął się na mnie za jakieś grzechy. W końcu przestałam się nawet chować przed deszczem i szłam wolnym krokiem środkiem chodnika. Ludzie w płaszczach przeciwdeszczowych i pod parasolami przyglądali mi się, jakbym zwariowała. Nawet kierowcy zwalniali, żeby na mnie popatrzeć. Odpowiadałam na ich ciekawskie spojrzenia uśmiechem.

Wydaje się wam, że pada? - powiedziałam do siebie. Słońce się schowało. Jest piękny dzień. Wy tylko zbyt głęboko tkwicie w swoich angielskich uprzedzeniach, żeby to dostrzec.

Gdy stanęłam na progu domu, miałam kompletnie przemo-

czone włosy i ubranie. Po policzkach, szyi, plecach i piersiach spływały mi strumyczki wody. Na mój widok Leo cofnął się o krok i skrzywił, jakby zobaczył diabła.

- A niech to, panienko Rain - mruknął w końcu. - Lepiej jeśli zaraz się panienka wysuszy, bo dostanie zapalenia płuc.

- Nonsens, Leo. Nazwano mnie Rain, bo kocham deszcz. Uwielbiam włączyć się w strugach deszczu. Tak bardzo kocham deszcz, że można by pomyśleć, że w moich żyłach płynie angielska krew.

Leo popatrzył na mnie wielkimi oczami. Najwyraźniej sam nie był pewny, czy powinien się śmiać, czy nie, choć wyglądało na to, że miałby ochotę.

Idąc korytarzem, natknęłam się na Boggsa, który wyłonił się z bawialni. Przyjrzał mi się krytycznie spod zmarszczonych brwi.

- Stój! - zagrzmiął nieoczekiwanie.

Stanęłam na baczność.

- Czym mogę służyć? - spytałam słodko.

- Zostawiasz za sobą mokre ślady i robisz bałagan w domu. Zdejmij te buty, płynie z nich woda.

- Tak jest! - Zdjęłam buty, ale skarpetki były równie mokre. Wzruszyłam ramionami. - Przepraszam.

- Daj jej ręcznik, Leo - polecił zirytowany Boggs. - I niech się trochę wytrze, zanim wejdzie dalej.

Leo posłusznie pokuśtykał po ręcznik.

- Czemu nie wzięłaś ze sobą parasola?

- Nie pomyślałam, że może mi się przydać.

- Więc na przyszłość myśl więcej - burknął Boggs. - A teraz wytrzyj się i przebierz, żebyś była zaraz gotowa do pracy. - Każde jego słowo było niczym uderzenie bata. Kiedy skończył, po prostu odwrócił się i odszedł.

Leo przyniósł mi ręcznik. Wytarłam włosy i stopy, osuszyłam trochę mokre ubranie. Podziękowałam i poszłam do siebie. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania. Gdy przechodziłam korytarzem, z drzwi kuchni wyszła Mary Margaret. Na mój widok zatrzymała się na moment w miejscu. W pierwszej

chwili bałam się, że wyczyta z mego wzroku, że widziałam ją w domku z wujem Richardem, ale miała jak zwykle spuszczoną głowę i nawet mi nie spojrzała w oczy. Minęła mnie i szybkim krokiem poszła do jadalni, żeby poukładać na stole zastawę.

- Zaraz przyjdę - rzuciłam i ruszyłam korytarzem dalej.

Najszybciej, jak mogłam, zrzuciłam z siebie mokre ubranie, wytarłam się jeszcze raz i wróciłam do kuchni. Kiedy stanęłam w progu, pani Chester spojrzała na zegarek, by dać mi do zrozumienia, że spóźniłam się o dobrych dziesięć minut, a potem wskazała gestem głowy miskę z ziemniakami.

- Obierz je, ugotuj i zrób z nich puree.

- Przepraszam, że się spóźniłam.

- Mnie nie musisz za nic przepraszać - mruknęła. - Dawałiśmy tu sobie radę przed twoim przyjazdem, jestem pewna, że damy sobie radę, kiedy wyjedziesz.

Wiedziałam, że w ustach pani Chester było to po prostu stwierdzenie faktu, ale dla mnie brzmiało tak, jakby kolejna osoba chciała mi uświadomić, jak znikomą rolę odgrywam w jej życiu. Kto by w ogóle zauważył, gdybym zniknęła nagle ze świata? Może Roy, choć i on pewnie nie cierpiałby zbyt długo. Babcia Hudson, owszem, ale na pewno także by się pozbierała i żyłaby dalej, jak dotąd. Może Randall żałowałaby mnie przez jakiś czas, na pewno jednak nie zmartwiliby się moi rodzice. Wkrótce chyba nie pamiętaliby nawet, jak wyglądałam.

- Jeśli będziesz pracowała w takim tempie, to państwo Endfield będą po deserze, kiedy dostaną ziemniaki - rzuciła pani Chester.

Uświadomiłam sobie, że pograżyłam się w marzeniach na jawie. Zrobiłam, co do mnie należało, a potem jak zwykle pomogłam podać kolację. Tyle że ledwo weszłam do jadalni, ciotka Leonora ciepło mnie powitała i podjęła rozmowę na temat wczorajszego przedstawienia.

- Mamy w domu przyszłą gwiazdę, nową Vivien Leigh - oświadczyła.

Wuj Richard chrząknął.

- Istnieje cały szereg znacznie współczesniejszych gwiazd, z którymi może się mierzyć Rain. Ach, ty i to twoje *Przeminęło z wiatrem* - westchnął. - Sam już nie wiem, ile razy musiałem to oglądać - powiedział, gdy stawiałam na stole koszyk z pieczywem.

Wuj tak się we mnie wpatrywał, tak mnie wciąż obserwował, gdy kręciłam się po jadalni, że w końcu poczułam się dziwnie. Tym bardziej że zdawał się nie dostrzegać Mary Margaret, która krzątała się cicho jak myszka, ze spuszczonej jak zwykle oczami, starając się, żeby nikt jej nie zauważał.

- Musisz informować nas na bieżąco o swoich postępach w szkole, kochanie. I koniecznie daj znać, jeśli będziesz występowała przed publicznością. Jak myślisz, kiedy możemy się spodziewać, że znów cię ujrzymy na scenie?

- Nie wiem, pani Endfield. Chcę się zgłosić do udziału w *Poskromieniu złośnicy*, ale nie sądzę, żebym miała szanse na jakąś większą rolę, bo to poważne przedstawienie. Na przesłuchania zgłaszają się również absolwenci naszej szkoły, a wielu z nich występowało już w profesjonalnym teatrze. To najambitniejsze jak dotąd przedsięwzięcie w dziejach szkoły, obliczone na zebranie funduszy.

- Nonsens. Jestem pewna, że dostaniesz główną rolę - upierała się ciotka. - Nieprawdaż, Richardzie? - spytała, jakby opinia wuja rozstrzygała o wszystkim, co dotyczy teatru.

Kiedy obejrzałam się na niego, stwierdziłam, że wciąż się we mnie wpatruje, jakby próbował sobie wyobrazić mnie w różnych rolach. Skinął głową.

- Absolutnie - powiedział. - Absolutnie.

Zerknęłam na Mary Margaret, która zatrzymała się, wyraźnie mi się przyglądając i przysłuchując naszej rozmowie. Wuj Richard również wyczuł wzrok pokojówki i rzucił jej gniewne spojrzenie. Mary Margaret błyskawicznie zniknęła w kuchni. Wuj odprowadził ją wzrokiem. To było dla mnie" niepojęte - pokojówka bała się wuja, choć przecież znała jego najbardziej osobiste tajemnice. Dlaczego nie zażądała lepszego traktowania?

- Dziękuję - powiedziałam i wróciłam do kuchni.

Spojrzałam na Mary Margaret, która wzięła się do zmywania rondli i garnków. Czy powinnam podejść do niej i powiedzieć, że wiem, co się dzieje w domku, czy ją tym tylko wpędzę w panikę? Kiedy zerknęła na mnie, wydała mi się taka krucha, taka mała i wystraszona, że postanowiłam nie wtykać nosa w jej sprawy.

Miałam zresztą na głowie własne problemy. I to całkiem sporo.

Większa część nocy upłynęła mi na ich rozważaniu. Dręczyła mnie niepewność, czy powinnam iść w niedzielę na herbatę do ojca, czy nie. Czy nie będzie dla mnie nieznośną torturą siedzieć tam i udawać kogoś, kim nie jestem? A może ojciec w końcu dostrzeże moje cierpienie i zdecyduje się zaakceptować mnie w pełni jako córkę? Leżąc w ciemnościach, snułam marzenia, wkładając w usta ojca słowa, które tak bardzo pragnęłam usłyszeć.

„Dawno temu, kiedy byłem młodym, niespokojnym idealistą, miałem romans z dziewczyną z bogatej rodziny. Zaszła w ciążę - być może zrobiła to na złość rodzinie. Ojciec wywiózł ją na drugi koniec kraju i w tajemnicy przed wszystkimi urodziła córkę, którą oddano przybranym rodzicom. Wtedy nie zrobiłem tego, co powinienem był zrobić. Po latach moja córka stanęła przede mną. Teraz sama jest piękną dziewczyną, a ja mówię otwarcie: to moja córka. Co wy na to?”.

„Oczywiście powinieneś tak postąpić, Larry - odpowiadała w moich rojeniach jego żona. - Uważam, że powinna od tej chwili być członkiem naszej rodziny. W dotychczasowym życiu spotkało ją stanowczo zbyt wiele złego”.

Potem oboje przytulali mnie i nalegali, żebym się do nich natychmiast wprowadziła.

Zasypiałam, ukołysana tymi marzeniami, ale rano rzeczywistość brutalnie upomniała się o swoje prawa. Boggs jak zwykle zabębnił pięścią w drzwi, a ja zwlokłam się z łóżka, przemyłam oczy, ubrałam się i zesłam na dół, żeby podać śniadanie.

Sama czułam, że poruszam się jak zombi. Pani Chester i Mary Margaret przyglądały mi się z nieskrywaną ciekawością.

Pokojówka przez chwilę mięła w dłoniach serwetki, a potem wypadła z kuchni. Poczuałam, że biedna dziewczyna błądzi w jeszcze bardziej powikłanych i przerażających labiryntach losu niż ja. Postanowiłam porozmawiać z nią na ten temat przy pierwszej okazji. Wyglądało na to, że taka rozmowa jest jej znacznie potrzebniejsza niż mnie.

Sama niewiele zjadłam na śniadanie. Czułam się tak, jakbym dźwigała na barkach ciężkie brzemię. Powietrze było chłodne po wczorajszym deszczu, a po niebie pędziły ciemne chmury. Tym razem nie zapomniałam parasola.

Kiedy weszłam do szkoły, Randall już na mnie czekał.

- Dzwoniłem do ciebie wczoraj wieczorem, ale słuchawkę podniósł jakiś wstrętny cerber, który powiedział, że nie należysz do osób, które prosi się do telefonu. Nie wiem, jak wobec tego można się z tobą skontaktować - wyjaśnił. - Ale powiedz mi, co się stało? Czemu przerwałaś moją lekcję śpiewu? Gdzie się potem podziewałaś?

- Nie chcę o tym rozmawiać, Randall. Wszystko, co mam do powiedzenia, to tyle, że nie miałaś prawa opowiadać o moich sprawach Leslie i Catherine. Dla nich była to jedynie dobra zabawa, a ja poczułam się bardzo rozczarowana.

- Pomyślałem tylko, że może przydałaby ci się kobieca rada - wyjaśnił Randall. - Wydawało mi się, że jeżeli w ogóle ktoś mógłby zrozumieć twoje problemy, to właśnie te dwie dziewczyny.

- Powinieneś był najpierw porozmawiać ze mną.

Skinął głową.

- Przepraszam. Zadbam, żeby z nikim o tym nie rozmawiały.

- Co się stało, to się nie odstanie. Muszę już iść na zajęcia.'

- Poczekaj. Nie wybralibyśmy się razem na lunch? Moglibyśmy pogadać i podjąć jakieś decyzje.

- Od tej pory cokolwiek zrobię, Randall, będzie wynikiem

mojej samodzielnej, jednoosobowej decyzji. To moje życie, a nie dramatyczna historyjka, w której tylko gramy swoje role.

- Ale...

- Potrzebuję trochę czasu dla siebie - przerwałam mu. - Muszę przemyśleć pewne sprawy, rozumiesz?

- Tak. Przepraszam - powtórzył.

Zastanowiłam się nad jego przeprosinami.

- Wiesz co? Jestem chyba rekordzistką świata w zbieraniu przeprosin od ludzi, którzy powinni mnie kochać i troszczyć się o moje dobro. Mama powinna była nazwać mnie Przepraszam.

Odwróciłam się i wbiegłam schodami na piętro do klasy wymowy dramatycznej. Leslie i Catherine jeszcze przed lekcją próbowały podjąć rozmowę na temat mojej rodziny, więc powiedziałam im jasno, żeby zajęły się swoimi sprawami. Nie wyglądały na urażone. Zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle cokolwiek mogłoby je obrazić.

Podczas przerwy poszłam na lunch do małej knajpki niedaleko szkoły. Wracając na zajęcia, zobaczyłam mężczyznę mniej więcej w wieku mego ojca, który przechodził przez jezdnię, niosąc w ramionach cztero- czy pięcioletnią dziewczynkę. Obok szła kobieta z aparatem fotograficznym na szyi. Wyglądali na turystów. W pewnej chwili zatrzymali się i zaczęli oglądać plan miasta. Kiedy tak stali, dziewczynka objęła ojca ramionami za szyję i przytuliła policzek do jego policzka. Wyglądała na spokojną i zadowoloną.

Człowiek, którego przez całe dotychczasowe życie uważałam za ojca, nigdy nie wziął mnie na rękę. Oczywiście mama to robiła. Roy także trzymał mnie za rękę, kiedy chodziliśmy po ulicach, ale to było co innego. Wystarczyło spojrzeć na błogie zadowolenie, malujące się na twarzy dziecka, żeby zrozumieć, że nikt nie mógłby zastąpić mu ojca. Wiedziałam, że w najtajniejszej głębi serca mała wierzy, że jej tata może odpędzić demony, odstraszać złe sny, wyrwać ją z każdego niebezpieczeństwa, wynieść z ognia i wody, ocalić przed bólem. Świadomość jego siły będzie ją chroniła jak zbroja i zaoszczędzi jej lęku przed ciemnością.

Najwspanialsza zaś chwila w jej życiu przyjdzie dużo później, gdy jako młoda kobieta będzie szukała mężczyzny, który kochałby ją tak mocno, jak tata. Nawet gdy już spotka takiego mężczyznę, odwróci się i spojrzy na ojca, by utwierdzić się w swojej decyzji. Wtedy zrozumie, że zawsze pozostanie dla niego małą dziewczynką. Tysiące dni, miliony tyknień zegara, łańcuch urodzin - nic nie może tego zmienić. Nawet gdyby mogła go zmusić, żeby przyznał głośno, że ona nie jest już dzieckiem, zgodziłby się z uśmiechem, który wyraźnie mówi: „Dla mnie zawsze pozostaniesz dzieckiem”.

Ja też chcę mieć tatusia, choćby tylko na godzinę, pomyślałam i wtedy właśnie postanowiłam, że pójdę w niedzielę do ojca. Zanim wróciłam do domu, weszłam do budki telefonicznej i zadzwoniłam do niego. Odebrała jego żona i powiedziała, że jeszcze nie wrócił.

- Może mu coś przekazać?

- Owszem. Proszę mu powiedzieć, że dzwoniła Rain Arnold. Przyjdę w niedzielę.

- Rain Arnold?

- Tak, proszę pani.

- Dobrze - odpowiedziała z cichym śmiechem. - Do zobaczenia w niedzielę.

Serce mi waliło. Czy nie popełniłam właśnie jakiegoś okropnego błędu? Ojciec najwyraźniej nie wspomniał jej o mnie ani słowem. Czy naprawdę się spodziewał, że więcej nie dam znaku życia? Czy był mną rozczarowany?

Gdy tylko wróciłam do domu, usiadłam przy stoliku w mojej klitce i zaczęłam pisać list do babci Hudson.

Droga Babciu...

Uśmiechnęłam się na myśl, jaką zrobi minę, kiedy przeczyta nagłówek.

Mam Ci coś ważnego do powiedzenia i potrzebuję Twojej rady. Dzięki skąpych wiadomościom, jakich udzieliła mi matka,

i pomocy przyjaciela ze szkoły odnalazłam ojca. Tak jak chciał, został wykładowcą literatury angielskiej, specjalistą od Szekspira. Ma żonę i dwoje dzieci. Śledziłam go przez jakiś czas. Nie mogłam się przed tym powstrzymać. Chciałam mu się przyjrzeć, dowiedzieć się o nim czegoś. W końcu poszłam na jego wykład, poznał mnie i wszystko się wydało.

Poszliśmy na herbatę i powiedziałałam mu, kim naprawdę jestem. Oczywiście był zaszokowany i na razie, podobnie jak moja matka, chce utrzymać wszystko w sekrecie. Niemniej zaprosił mnie do domu, a ja postanowiłam pójść.

Czy robię wielki błąd? Czy powinnam się zgodzić, by wyznał prawdę swojej żonie? Czy raczej po prostu odejść i starać się o nim zapomnieć? Jak sądzisz, co powiedziałyby na to wszystko moja matka? Nie chcę jej martwić, ale nie ma tu nikogo, komu mogłabym zaufać i kogo mogłabym się poradzić.

Proszę, zastanów się nad tym i udziel mi jakiejś rady.

Tęsknię za Tobą i nie mogę się doczekać, kiedy przyjedziesz, jak to obiecałaś. Mam nadzieję, że nie jesteś uparta i robisz, co Ci radzą lekarze. Słuchaj ich, to szybciej się spotkamy w Anglii.

Najserdeczniejsze życzenia dla Jake 'a.

PS. Oczywiście Twoja siostra nic o tym wszystkim nie wie, ale obawiam się, że Victoria w końcu zdradzi jej coś więcej.

Kocham -

Rain

Włożyłam list do koperty, zaadresowałam, a potem wsunęłam do antologii dramatu, żeby wysłać następnego dnia po drodze do szkoły.

Kiedy weszłam do kuchni, żeby pomóc przy kolacji, pani Chester powiedziała mi, że Mary Margaret ma dziś wolne.

- Biedaczka, rozboleła ją brzuch i musiała pójść do domu. Ta dziewczyna jest taka wątpła - westchnęła kucharka. - No, ale przez to mamy kupę roboty. Państwo Endfield zaprosili na kolację znajomych. Przygotowałam duszonego łososia. Nakryj stół dla czterech osób - poleciała na koniec.

Pod nieobecność Mary Margaret cała uwaga Boggsa skupiała się na nas. Jego surowe spojrzenie wprawiało mnie w okropne zdenerwowanie. Upiorny służący nadzorował dosłownie każdy mój ruch, kiedy układałam sztućce, miałam wrażenie, że zaraz wyjmie linijkę i zacznie mierzyć odległości pomiędzy nimi.

- Kiedy będziesz podawała jedzenie, nie pchaj paluchów do talerza. To niedopuszczalne, żeby wsadzać palce do sosu.

- Skoro to takie ważne, czemu sam pan nie poda łososia? - odcięłam się.

Pani Chester była tak zaskoczona moimi słowami i tonem, że aż wstrzymała oddech, jakby się bała, że Boggs eksploduje niczym łaska dynamitu.

- Rób swoje i nie gadaj - rzucił, czerwony ze złości.

- Właśnie próbuję. I będzie mi dużo łatwiej, jeśli zostawisz mnie w spokoju.

Boggs sapnął, przygryzł wargę i wyszedł z kuchni.

- Och, moja droga, coś ty narobiła! Boggs na pewno ci tego nie zapomni.

- Ja też mu to będę pamiętać - odparłam wojowniczo, ale prawdę mówiąc, bałam się Boggsa. W moich koszmarach włamywał się nocą do pokoju i dusił mnie poduszką.

Kiedy weszłam do jadalni, ciotka Leonora przedstawiła mnie gościom, państwu Dorset. Pan Dorset był bankierem. Miał dobrze po sześćdziesiątce, przerzedzone siwe włosy i rumiane policzki, które w miarę, jak popijał wino do kolacji, nabierały karmazynowej barwy. Jego żona była małą kobietą o drobnej, ptasiej twarzy, z krótko ostrzyżonymi, marnie ufarbowanymi włosami, które zapewne miały być kasztanowe, ale okazały się rdzawe ze śladami siwizny.

- To nasza *au pair* z Ameryki. Któregoś dnia zostanie słynną aktorką - przedstawiła mnie ciotka Leonora. - Na imię ma Rain.

- Rain? - powtórzyła pani Dorset. - Skąd wzięłaś to imię? - zwróciła się do mnie z szerokim uśmiechem.

- Mama mnie tak nazwała, kiedy się urodziłam - odpowiedziałam.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Pani Dorset siedziała z półotwartymi ustami, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

- Doprawdy - mruknął pan Dorset, kiwając głową.

Przy stole zapanowała cisza, w której słychać było każde szcęknięcie sztućców. Wuj Richard nieustannie się we mnie wpatrywał. Było to tak krępujące, że nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do kuchni.

Gdy w końcu opuściłam jadalnię, omal nie wpadłam na Boggsa. Stał tuż za drzwiami kuchni, zwałisty jak szafa, świdrując mnie złośliwymi oczkami.

- Twoje ordynarne zachowanie doprowadzi w końcu do tego, że wylecisz na ulicę - warknął.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Pani Chester zerknęła na mnie, a potem szybko spojrzała w bok, jakby się bała, że na nią również ściągnę nieszczęście. Dokończyłam pracę w milczeniu. W jadalni nikt się już do mnie nie odzywał. Unikałam wzroku wuja Richarda i nie spoglądałam w jego kierunku. Kiedy wszyscy zjedli i przeszli do salonu, zaczęłam sprzątać ze stołu. Pod nieobecność Mary Margaret musiałam pozmywać naczynia, garnki i rondle i odstawić je na miejsce.

- Wygląda na to, że pani łośoś wszystkim smakował - zwróciłam się do pani Chester, wnosząc do czysta sprzątnięte przez gości talerze.

Pani Chester skinęła głową.

- Czy Mary Margaret będzie jutro?

- Mam nadzieję, że tak - odpowiedziała kucharka, spoglądając niespokojnie na drzwi.

- Z pani umiejętnościami może pani przecież znaleźć pracę wszędzie, gdzie pani zechce - powiedziałam. - Taką mistrzynię rondla wszyscy chętnie zatrudnią.

Pani Chester pokręciła głową i odwróciła się do mnie.

- Bez listów polecających musiałabym szukać pracy w jakiejś dziurze, gdzie bym zarabiała połowę tego, co tutaj. Znam swoje miejsce i się go trzymam. Ty też powinnaś się nad tym dobrze zastanowić.

- Być może. Kłopot w tym, pani Chester, że ja nie wiem, gdzie jest moje miejsce.

Kucharka popatrzyła na mnie z ciekawością, niemal ze współczuciem, a potem zajęła się swoją pracą, nie odzywając się już ani słowem więcej.

Właśnie kończyłam układać w szufladzie srebra, gdy do kuchni wszedł Boggs.

- Pan Endfield chce z tobą rozmawiać. W swoim gabinecie. Natychmiast.

- No to idę na dywanik - pożegnałam panią Chester, ale chyba mnie nie zrozumiała. - Czuję, że w końcu wyląduję na bruku.

Wytarłam ręce w ścierkę i ominęłam Boggsa. Niech będzie, co ma być, pomyślałam. Dość już mam tej ciągłej szarpaniny.

Wuj Richard siedział w fotelu za biurkiem, odwrócony do okna wychodzącego na ogród, z cygarem w ręku. Dym z cygara unosił się ku górze, gdzie zagarniał go wiatrak i rozprowadzał równomiernie po całym pomieszczeniu.

- Chciał pan ze mną rozmawiać?

Odwrócił się szybko i rozprostował ramiona.

- Zamknij drzwi, proszę.

Zamknęłam więc, a wuj Richard wskazał mi stojące przed biurkiem obite skórą krzesło. Podeszłam do biurka i usiadłam. Wuj strzepnął popiół, odłożył cygaro i splótł dłonie na brzuchu.

- Kiedy Leonora powiedziała mi, że chce cię wziąć do domu, w pierwszej chwili nie byłem tym zachwycony. U nas tu wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku. To dla mnie wielka ulga wiedzieć, że nie muszę się kłopotać codziennymi sprawami. Dość mam zajęcia w pracy, a Leonora nie jest już taka silna jak wtedy, gdy przyjechała do Anglii. Dlatego cieszę się, że mamy Boggsa.

- Jutro wyjadę.

Wuj Richard urwał, zamrugnął powiekami, a potem pokiwał głową.

- Cóż, właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Wyśkakujesz tak, ni stąd, ni z owad z tym, co masz do powie-

dzenia. Na nic nie zważasz. A dlaczego to nagle chcesz wyjeżdżać?

- Myślałam...

- Może i słusznie. Po tym, jak zachowałam się dziś wobec moich gości, powinienem zażądać, żebyś opuściła nasz dom. Masz okropne maniery.

- Okropne?

- Na scenie zachowujesz się w sposób godny i zrównoważony. Dlaczego nie potrafisz zachowywać się podobnie w życiu?

- Jestem, jaka jestem - odpowiedziałam, czując, jak pod powiekami wzbierają mi łzy. Sama nie wiedziałam, co właściwie mam na myśli, ale podobało mi się brzmienie tych słów. W końcu ile razy dziennie można pozwolić sobą pomiatać? - Jestem, jaka jestem.

- Bzdura - skwitował moje słowa wuj Richard. - Na razie jesteś nikim.

Teraz ja uniosłam brwi w zdumieniu. Czyżby wiedział?... Czy Victoria wszystko wyjawiała w kolejnym liście?

- Dopiero jesteś w trakcie stawania się kimś, podobnie jak większość dziewcząt w twoim wieku, ale na razie jeszcze jesteś nikim. Niemniej wciąż masz szansę kształtowania swojej osobowości. Nie dziwi mnie to, jak się odnosisz do ludzi, zwłaszcza do ludzi starszych. Wszystkich was, Amerykanów, cechuje ta pewność siebie, wręcz arogancja.

- Arogancja? Nas? Wydaje mi się, że jest wręcz przeciwnie. To wam się wydaje, że wynaleźliście koło, i myślicie o nas jak o mieszkańcach kolonii. Stany Zjednoczone są największym państwem na świecie.

Wuj Richard patrzył na mnie przez chwilę, a potem się roześmiał.

- No dobrze już, dobrze. Dajmy spokój dyskusjom na temat tego, kto stworzył lepsze społeczeństwo i kto wniósł większy wkład w dzieło cywilizacji. Faktem jest, że nie wezwałem cię tu po to, żeby wypędzać z domu, lecz po to, by zaproponować ci pomoc - rzekł daleko łagodniejszym tonem.

- Pomoc? Jaką pomoc?
- Z braku lepszego określenia powiedziałbym, że brak ci pewnej subtelności w obcowaniu z ludźmi. Podobnie jak moja żona, uważam, że możesz stać się kimś, ale musisz najpierw wygładzić kanty. Rozumiem, że miałaś niełatwe życie i że, biorąc pod uwagę warunki, w jakich się wychowałaś, wiele udało ci się osiągnąć. Mimo to możesz osiągnąć więcej, w czym mogę ci być pomocny.
- Nie rozumiem, o czym pan mówi. - Pokręciłam głową. - Jak może mi pan pomóc?
- Ucząc cię dobrych manier. Ale musisz ze mną współpracować i, z powodów, których na razie lepiej nie formułować *explicite*, chciałbym, aby pozostało to tylko między nami - tobą i mną.
- Chce mnie pan uczyć dobrych manier?
- Powiedziałbym raczej, zasad zachowania się w kulturalnym towarzystwie, etykiety.
- Wiem, jak się zachowywać.
- Nie w świecie, do którego aspirujesz. Dobre wrażenie to połowa sukcesu. Co ty na to?
- Hm - mruknęłam, wciąż nie rozumiejąc, do czego zmierza.
- Ależ nie! Odpowiada się: „Dziękuję bardzo. Doceniam pańską uprzejmość”. - Wuj opadł na oparcie fotela. - Zapewne zauważyłaś domek dla gości, stojący w ogrodzie za domem. Dziś nikt tam nie mieszka, ale Boggs dba, żeby wszystko pozostawało w dobrym stanie.
- Tak - powiedziałam z bijącym sercem, zaskoczona. Czy Boggs nie powiedział mu, że przyłapał mnie przed oknami domku?
- Urządzimy tam sobie klasę. Polecę wprowadzenie pewnych zmian, a potem poinformuję cię o terminie rozpoczęcia lekcji.
- Wytrzeszczyłam na niego oczy. Klasa? O czym on mówi?
- Mam wrażenie, że wciąż nie doceniasz mojej propozycji.
- Obawiam się, że po prostu jej nie rozumiem. Co właściwie mielibyśmy robić?

- Zaaranżuję pewne sytuacje i objaśnię ci, jak powinnaś się w nich zachować i czego się spodziewać. Jako uczennica szkoły dramatycznej nie będziesz miała żadnych trudności z odegraniem ról, które dla ciebie przewidziałem. Nie bój się, to nie będzie takie trudne, a przyniesie ci z pewnością wiele pożytku.

Zrobiło mi się zimno z przerażenia.

- Czemu chce pan coś dla mnie zrobić? Przecież sam pan przyznał, że wcale nie był zadowolony, kiedy usłyszał o moim przyjeździe.

Wuj Richard spuścił wzrok. Kiedy po dłuższej chwili podniósł oczy, patrzył na mnie dużo cieplej.

- Nie lubię o niej mówić. To sprawia zbyt wiele bólu Leonorze. Mieliliśmy córkę, która zmarła jako mała dziewczynka. Oczywiście często o niej myślę i żałuję, że nie mogłem dać jej tego wszystkiego, co pragnąłem jej ofiarować. Była to między innymi moja znajomość świata i obyczajów... Gdyby żyła, pewnie byłaby utalentowaną młodą damą, taką jak ty. Potrafię sobie wyobrazić, jak mogłaby wyglądać w twoim wieku. Tak wiele chciałbym jej powiedzieć, tak wiele chciałbym jej pokazać. Jej przedwczesne odejście było dla nas bolesnym, nieoczekiwanym ciosem. Czułem się oszukany przez los... Co chciałem dać jej, mogę dać tobie. Bez przechwałek, sądzę, że większość dziewcząt na twoim miejscu poczułaby się zaszczycona i doceniłaby moją propozycję. - Wuj Richard odetchnął głęboko i popatrzył na mnie. - Krótko mówiąc, chciałbym być dla ciebie bardziej ojcem niż pracodawcą. I co ty na to? - spytał.

- Dziękuję - odpowiedziałam, poruszona tymi słowami; wciąż jednak mając w pamięci jego spotkanie z Mary Margaret, czułam się dość niepewnie. Czy wuj po mnie oczekuje, że jak ona włożę sukienkę dziesięciolatki i będę ssała lizaka?

- W porządku - oświadczył wuj, sięgając po cygaro. - Kiedy dokonam niezbędnych przeróbek w domku gościnnym, dam ci znać. A do tej pory, proszę, staraj się powściągać swój wybująy temperament.

Skinął głową i odwrócił się z fotelem do okna, jakby chciał powiedzieć: „Możesz już iść”.

Powoli wstałam z krzesła. Wuj nie odwrócił się. Wyszłam z gabinetu i wróciłam do siebie z mocno bijącym sercem.

W ciągu następnego tygodnia wuj Richard nie wspominał więcej o domku w ogrodzie. Zastanawiałam się, czy to ja sobie to wszystko wymyśliłam, czy on zmienił plany. Mary Margaret wróciła nazajutrz do pracy, ale była blada i wyglądała na chorą. Kiedy spytałam, jak się czuje, odpowiedziała krótko: „Dobrze”. Próbując dowiedzieć się czegoś więcej, osiągnęłam tylko tyle, że zbladła jeszcze bardziej i zaczęła się zachowywać okropnie nerwowo. Wyglądało na to, że gdybym dłużej ją wypytywała, wybuchnęłaby szlochem.

Sprawy między mną i Randallelem miały się tak, że wodził za mną wielkimi oczami, a ilekroć zbierał się, by przemówić, robił minę, jakby miał się rozpłakać. Złość, którą do niego czułam, brała się po części z niepokoju i zakłopotania, jakie budził we mnie mój ojciec. Gdyby nie upór Randalla, nie stanęłabym wobec tego kryzysu emocjonalnego i psychicznego, myślałam. Winiłam go za swoją sytuację, a jednak byłam mu na swój sposób wdzięczna. Randall trzymał się blisko, ale zachowywał dystans, pozostawiając decyzję w moich rękach. Patrzył tylko na mnie, jakby czekał na słowa wybaczenia.

Wreszcie w sobotę rano postanowiłam, że się z nim pogodzę i powiem, że ojciec zaprosił mnie na herbatę. Kiedy posprzątałyśmy po śniadaniu, zdecydowałam się pojechać do Randalla z propozycją spędzenia wspólnie popołudnia. Ściśle rzecz biorąc, chciałam się z nim wybrać do Kensington Gardens i pogadać. Moglibyśmy zjeść kanapki, napić się czegoś, posiedzieć na ławce w parku. Był taki piękny dzień. Po lazurowym niebie wędrowały pojedyncze chmurki. Wiał ciepły wiatr. W Anglii, kiedy już jest dobra pogoda, bywa naprawdę pięknie.

Bez pośpiechu wędrowałam spokojnymi ulicami, bo wiedziałam, że Randall sypia w weekendy do późna, żeby odbić

sobie konieczność wczesnego wstawania przez resztę tygodnia. Twierdził, że odsypiając zaległości w sobotę i niedzielę, mści się na belfrach.

W internacie było cicho. Idąc pustym korytarzem, wyobrażałam sobie, jak Randall się zdziwi na mój widok. Miałam już wielką ochotę przytulić się do niego, schować twarz w zgięciu jego łokcia i opowiedzieć o tym, co czuję, o wydarzeniach ubiegłego tygodnia i oczywiście o moich obawach. Człowiekowi trudno jest rozmawiać wyłącznie z samym sobą. Po jakimś czasie ma się dość własnego głosu. A na dodatek zna się odpowiedź na każde pytanie, jeszcze zanim się je zada.

Samotność jest ptakiem zmagającym się desperacko z północnym wiatrem i poszukującym swego stada, nawołującym je rozpaczliwie. Jak zimny i szary może być dzień nawet przy najlepszej pogodzie!

Dość tej samotności, pomyślałam. Złość zanadto ciążyła nad moim życiem, oddalając mnie od człowieka, którego pomocy najbardziej w tej chwili potrzebowałam.

Zatrzymałam się przed drzwiami Randalla. Wokół panowała głucha cisza. Przez chwilę bałam się, że Randall już wyszedł. To ten lęk sprawił, że nie zapukałam. Gdybym postąpiła inaczej, być może trwałabym w błogiej niewiedzy.

Nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły. Ucieszyłam się, że Randall zostawił je otwarte. Weszłam do środka z nadzieją, że zastanę go zwiniełego pod kołdrą, śpiącego jeszcze w łóżku. Postanowiłam go obudzić pocałunkiem wybaczenia, żeby odpowiedział mi uśmiechem szczęścia.

Stałam jak wryta. Leslie natychmiast otworzyła oczy. Randall leżał obok niej, pogrążony we śnie.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknęła.

Randall uniósł ciężkie powieki i jęknął.

- Mhm?

- Dzień dobry, *cherie*. - Leslie usiadła w łóżku, nie zwracając uwagi na to, że kołdra opadła, odsłaniając jej nagie piersi.

Randall przetarł oczy i uniósł głowę. Na mój widok otworzył usta, a potem je zamknął, nie wydając żadnego dźwięku.

Stałam jak skamieniała. Chciałam odwrócić się i wybiec, ale przez długą chwilę nie mogłam się ruszyć.

- Rain - odezwał się zaszpanym głosem Randall.

- Nie powinnaś się na niego złościć, *cherie* - wtrąciła Leslie. - Był taki smutny przez ciebie. Chciałam go tylko pocieszyć.

Wydeła usta jak mała dziewczynka.

- Rozumiem. - Popatrzyłam na Randalla ze złością. - I co? Pocieszyła cię?

- Przez cały tydzień nie chciałaś ze mną rozmawiać, Rain, i...

- Wygląda na to, że przeczucia mnie nie myliły. Niczym się nie przejmuj, Leslie. Pocieszaj go dalej. Jeśli o mnie chodzi, możesz go sobie pocieszać do końca świata. - Odwróciłam się na pięcie i wyszłam, zatrząskując za sobą drzwi. Ich huk niczym odgłos wystrzału wstrząsnął murami internatu. Popędziłam schodami w dół, nim Randall czy Leslie zdążyli wybiec za mną z pokoju. W kilka sekund później wypadłam z internatu, przebiegłam kilka ulic i znalazłam się w parku. Po drodze dwa razy omal nie znalazłam się pod kołami samochodu. Tak długo już mieszkałam w Anglii, a jednak wciąż zdarzało mi się zapominać, że obowiązuje tu ruch lewostronny.

Nie płakałam przez Randalla, płakałam nad sobą, nad swoim życiem, nad swoją głupią łatwowiernością. Ile razy jeszcze zbiorę cięgi, zanim nauczę się, że nie można ufać ludziom? Jak długo starczy mi sił, żeby żyć nadzieją? Nadzieja. Istotnie, okazywała się tak cenna, że już się nie dziwiłam, iż jeden z największych klejnotów na świecie nazwano właśnie Nadzieją. Od tej pory nikomu nie zaufam. Przed nikim już nie otworzę serca.

Po policzkach spływały mi gorzkie łzy. Otarłam je wierzchem dłoni, a potem opadłam na ławkę w parku, objęłam się skrzyżowanymi ramionami i zapatrzyłam ponuro przed siebie.

Kogo tu mam? - zadałam sobie pytanie. Ciotkę i wuja, którzy nawet nie wiedzą, że jestem ich krewną, i którzy mogliby poumierać na zawał, gdyby się o tym dowiedzieli. Kilka

osób spośród służby, którą tyranizuje szalony Frankenstein? Paru sympatycznych nauczycieli w szkole? No oczywiście, miałam jeszcze ojca, który właśnie dowiedział się, że jestem jego córką i bynajmniej się z tego nie ucieszył.

Wracaj do domu, Rain, powiedziałam sobie. Wsiądź do pierwszego samolotu, na jaki zdążysz, i wracaj do Stanów. Jeśli masz być służącą, bądź służącą u babci Hudson. Nagle wybuchnęłam gwałtownym płaczem. Płakałam z tęsknoty za babcią, za Jake'em, za mamą.

- Czy nie potrzeba ci pomocy, kochanie? - Uniosłam głowę. Nade mną pochylała się starsza pani w dziwnym kapeluszu z szerokim rondem. W ręku trzymała laskę z perłową rączką.

- Co? Och, nie, dziękuję. - Otarłam policzki. - Dziękuję pani.

- Jak można być smutnym w taki piękny dzień? - spytała starsza pani z uśmiechem. - I to na dodatek w twoim wieku. Cokolwiek się stało, kochanie, wszystko minie. Wiesz, czym jest czas? Wielką gumką na końcu ołówka. Czas zetrze twój smutek i łzy. Zobaczysz.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Dziękuję pani.

- No widzisz, kiedy się uśmiechasz, twoja buzia się rozjaśnia. Masz takie ładne rysy. Ja idę, jak co dzień, na spacer. Mam dziewięćdziesiąt lat, obiecałam dzieciom, że nie będę więcej spacerować sama po parku. Chcą mnie umieścić w domu starców. Zabawne, co? Przez całe życie staramy się uszczęśliwić swoje dzieci, nawet u schyłku życia. - Ale... - pokiwała głową- trudno stać się samolubem, nawet teraz, kiedy już naprawdę powinnam pomyśleć o sobie. - Tak, tak, dziecko. Cokolwiek cię niepokoi, wszystko minie. Któregoś dnia nie będziesz już nawet pamiętała, dlaczego płakałaś. - Wyprostowała się. - Utrata pamięci może być błogosławieństwem.

Patrzyłam za nią, gdy odchodziła alejką. Kiedy mój oddech się wyrównał, wstałam z ławki i ruszyłam przed siebie, jak

samotny ptak, gnany rozpaczliwym pragnieniem odnalezienia swego stada.

W niedzielę obudziłam się z bijącym sercem. Czy starczy mi odwagi, żeby odwiedzić ojca i spotkać się z jego rodziną? Teraz, kiedy już nadszedł ten fatalny dzień, żałowałam swojego telefonu. Ledwo się poznaliśmy. Dlaczego w ogóle się spodziewałam, że to spotkanie cokolwiek mi da lub pozwoli zrozumieć?

W każdej chwili oczekiwałam telefonu od babci Hudson. Jeśli, jak się tego spodziewałam, dostała mój list w piątek lub sobotę, powinna zadzwonić w niedzielę rano. Nawet uwzględnivszy pięciogodzinną różnicę czasu, miałam nadzieję porozmawiać z nią przed wyjściem z domu.

Przeglądałam zawartość szafy, starając się wybrać coś naprawdę eleganckiego. Sprawdziłam, jaka jest prognoza pogody. Nie zapowiadano deszczu, więc wybrałam błękitną bawełnianą sukienkę i nieco ciemniejszy rozpinany sweter. Potem spędziłam dłuższy czas, zastanawiając się, czy umalować usta, czy tylko powieki. Nie wiedziałam także, co zrobić z włosami. Wreszcie związałam je wstążką, tak by opadały na kark. W końcu pociągnęłam usta szminką, ale nie umalowałam powiek.

W Endfield Place panowała cisza. Moi wujostwo pojechali na wieś, Mary Margaret i pani Chester miały wolne. Boggs odwoził wuja i ciotkę, więc po raz pierwszy byłam sama w domu i mogłam swobodnie się w nim poruszać.

Na początek robiłam sobie śniadanie. Zjadłam w kuchni, bo czułam, że gdybym zostawiła po sobie choć okruszynkę, Boggs z pewnością by mi tego nie darował.

Czytałam jakiś czas, przerywając od czasu do czasu, żeby zastanowić się nad tym, co powiem babci Hudson. Byłam pewna, że nie zostawi mego listu bez odpowiedzi.

Rozmyślałam też nad życiem obojga wujostwa. Przypomniałam sobie, jak poszłam na górę do pokoju ciotki. To było

wtedy, gdy opowiedziała mi o Heather. Potem, wychodząc od niej, zobaczyłam wystającą spod koca na bujanym fotelu rączkę dużej lalki. To była jedyna - nie licząc domku w ogrodzie - pamiątka po dziecku, które kiedyś żyło w tym domu.

Ciekawość nie dawała mi spokoju. W końcu nie mogłam jej się dłużej opierać. Powoli weszłam schodami na piętro. W korytarzu panował półmrok. Uchyliłam drzwi sypialni ciotki. Głupio się czułam, ale nie potrafiłam się pohamować, żeby jeszcze raz przyjrzeć się lalce. Siedziała na fotelu, w dzieciennym ubranku, wpatrując się we mnie wielkimi błyszczącymi oczami. Tak bardzo przypominała prawdziwe dziecko, że w pierwszej chwili przerażenie ścisnęło mnie za gardło.

Rozejrzałam się po sypialni. Wszystko na swoim miejscu, łóżko ciotki nienagannie zasłane. Zastanawiałam się przez chwilę. A jeśli lalka należała do Heather? Może ciotka nie potrafiła się z nią rozstać, a może przechowywała ją jako pamiątkę po córce. Ale po co matce pamiątki?

Twojej matce dobrze by zrobiło, gdyby coś jej o tobie przypominało.

Wyszłam z sypialni ciotki. W głębi korytarza dostrzegłam jeszcze dalsze drzwi. Pierwsze okazały się zamknięte. Podeszłam do kolejnych i nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły i ujrzałam przed sobą sypialnię urządzonej skromniej niż sypialnia ciotki. W pierwszej chwili myślałam, że to pokój gościnny, ale, o dziwo, wyglądał na zamieszkały. W szafie odkryłam męskie ubrania, ubrania wuja Richarda. No tak, wuj i ciotka śpią w oddzielnych pokojach.

Również w łazience znalazłam ślady świeżego użytkowania. Na półeczce nad umywalką leżała odkręcona tubka pasty do zębów. Obok pędzel do golenia i brzytwa.

Czy zawsze sypiali w oddzielnych pokojach? Na dwóch końcach korytarza? Czy tak jest przyjęte w Anglii? Nie wiedziałam.

Gdzieś na dole stuknęły drzwi. Przerażona wstrzymałam oddech i zamarłam w bezruchu. Niemożliwe, żeby to był Boggs! To musi być Leo. Wyszłam na palcach z sypialni wuja

Richarda i zeszałam schodami na dół. W pewnej chwili przez hol przeszedł ze spuszczoną głową, powłócząc nogą, Leo. Na szczęście zachowywałam się cicho, więc mnie nie zauważył. Kiedy zniknął w drzwiach, szybko zbiegłam na dół.

Babcia Hudson nie zadzwoniła, ale nie mogłam dłużej czekać. W chwilę później maszerowałam ulicą, uciekając z jednego domu pełnego obcych ludzi do drugiego, w którym również nikogo nie znałam.

NADZIEJA OJCA

- Tak się cieszę, że przyszłaś - powitał mnie ojciec, otwierając drzwi. - Proszę.

Cofnął się o krok i weszłam do holu. Za ojcem stało moje przyrodnie rodzeństwo, czekając grzecznie, aż zostaniemy sobie przedstawieni.

- To Alexandra • - powiedział mój ojciec. - Alexandro, to Rain Arnold.

Alexandra wyciągnęła do mnie rękę.

- Miło mi cię poznać.

- A to William - ciągnął ojciec.

- Miło mi cię poznać. - Chłopiec przywitał się ze mną tak samo jak siostra.

Pojawiła się żona mego ojca. Wytarła ręce w koronkowy fartuszek i uśmiechnęła się do mnie.

- Ty musisz być Rain - odezwała się miękko. - Miała piękne oczy, inteligentne i żywe.

- Tak. Rain, moja żona Leanna.

- Jak się masz - powiedziała Leanna. - Alexandro, pokaż Rain, jak wygląda salon. Jest taka piękna pogoda - zwróciła się do mnie - pomyślałam, że moglibyśmy wypić herbatę w ogrodzie.

- To prawda, na dworze jest bardzo przyjemnie. Odkąd mieszkam w Londynie, nauczyłam się to doceniać - oznajmiłam i oboje - mój ojciec i jego żona - roześmiali się zgodnie.

- Mnie też największą trudność sprawiło przyzwyczajenie się do tutejszego klimatu - przyznał ojciec. - To było trudniejsze niż przestawienie się na ruch lewostronny, zresztą, szczerze mówiąc, wcale nie jeżdżę tak wiele. Mamy tu całkiem niezłą komunikacją miejską, o czym zresztą pewnie mogłaś się już przekonać. To do zobaczenia na trawie. - Spojrzał na Alexandrę, która czekała, gotowa oprowadzić mnie po domu.

Salon był przytulny i bezpretensjonalny, umeblowany prostymi wiejskimi meblami. Wszędzie stały wazony pełne kwiatów. W ścianę z kominkiem zostały wbudowane półki, na których ustawiono szeregi książek w skórzanych oprawach. Pozostałe ściany miały koralową barwę, na ścianie na lewo od wejścia wyeksponowano porcelanowe chińskie talerze. Meble miały kwieciste obicia, pośrodku pomieszczenia stał wielki okrągły stół. Dwa orientalne dywany ożywiały salon jak dwie barwne plamy na płótnie. W wykuszowym oknie wisały staroświeckie koronkowe firanki. Natychmiast pomyślałam, że to z tych okien Leanna wypatrzyła mnie po drugiej stronie ulicy, gdy obserwowałam ich dom.

Uśmiechnęłam się do Williama, który wpatrywał się we mnie ze skupioną uwagą.

- Siadaj, proszę. - Alexandra wskazała gestem otomanę.

Usiadłam. Ona zasiadła w fotelu naprzeciwko. William stał i wpatrywał się we mnie.

- Siadaj, William - zwróciła bratu uwagę Alexandra. - To niegrzecznie tak stać i gapić się.

William szybko zerknął w bok i usiadł. Był w eleganckich czarnych spodniach i białej koszuli. Włosy miał starannie przyczesane, z przedziałkiem po prawej stronie. Wyglądał na bystrego chłopaka, z którego wyrośnie przystojny mężczyzna.

Alexandra odziedziczyła drobne rysy, włosy i oczy po matce. Miała na sobie biało-różową sukienkę, włosy były zaplecione w warkoczyki.

- Dawno mieszkasz w Anglii? - spytała.

- Od kilku miesięcy.

- Mam nadzieję, że niedługo zobaczę Amerykę. Najbardziej chciałabym pojechać do Nowego Jorku.

- Wcale nie pojedziesz niedługo do Ameryki - zaprzeczył stanowczo William.

- Ale mogę mieć nadzieję, no nie? - odcięła się siostra. - Tata powiedział, że niedługo tam pojedziemy.

- Tata powiedział, że za kilka lat.

- To długo czy niedługo? Tata ma krewnych w Nowym Jorku. Kiedyś była u nas z wizytą jedna kuzynka. Dużo starsza.

- I grubsza - dodał William.

- William!- warknęła Alexandra na brata. Potem pokiwała głową, jakby była o ładnych kilka lat starsza i mądrzejsza od brata. - William niekiedy mówi, zanim pomyśli. Może nawet na ogół. - Jeszcze raz zgromiła brata wzrokiem. Potem odwróciła się z powrotem do mnie. Zachowywała się elegancko i wdzięcznie zarazem.

- Ile masz lat? - spytałam.

- Dwanaście, a William osiem... choć często zachowuje się, jakby miał dwa latka - rzuciła uwagę pod adresem brata, który zacisnął usta, ale nie odciął się ani słowem. - Tata mówi, że uczysz się aktorstwa.

- Chodzę do szkoły teatralnej. Nie wiem, czy kiedykolwiek naprawdę zostanę aktorką.

- Tata mówi, że jeśli nie pragnie się czegoś całym sercem, to nigdy się tego nie osiągnie - odpowiedziała Alexandra.

- Ma rację.

- Ja będę myśliwym i będę mieszkał w Afryce - oznajmił William. - Z krewnymi.

- Nie mamy krewnych w Afryce. Wciąż mu to powtarzam, ale ponieważ jakiś kolega powiedział mu, że nasza rodzina pochodzi z Afryki, uparł się, że odnajdzie krewnych. Owszem, pochodzimy z Afryki, ale wyjechaliśmy stamtąd bardzo, bardzo dawno temu.

- Co o tym sądzisz? - spytał mnie William.

- No cóż, prawdopodobnie wszyscy mamy jakichś krewnych w Afryce - odpowiedziałam, a William wyraźnie się

odprężył. - Ale twoja siostra ma rację o tyle, że ich odnalezienie byłoby bardzo trudną sprawą.

Alexandra zadowolona kiwnęła głową.

- Kogo chcecie odnaleźć? - spytał mój ojciec, wchodząc do salonu.

- Krewnych w Afryce - wyjaśniła Alexandra.

- Ach tak. - Ojciec uśmiechnął się i pokręcił głową. - Nasz William znów o tym mówi?

- Tak. Obawiam się, że to się staje śmieszne - westchnęła Alexandra.

Może to była kwestia nienagannej dykcji, ale wydawało się, że ma więcej niż dwanaście lat.

- Pomysł, żeby odnaleźć krewnych, nie jest śmieszny - powiedział ojciec, zerkając na mnie. - Istota problemu tkwi, jak się obawiam, w tym, że niełatwo byłoby się z nimi dogadać. Zbyt wiele nas dzieli - tłumaczył cierpliwie.

- Ale są dobrymi myśliwymi - upierał się William.

- Tak. - Ojciec skinął głową. - Na pewno są znakomitymi myśliwymi. A teraz... - usiadł na otomanie obok mnie - ty opowiedz coś o swojej szkole. Czy prowadzi ją Conor MacWaine?

- Tak. Pan MacWaine jest znajomym mojej babci, która... - Urwałam, gdyż w drzwiach stanęła Leanna.

- Mów dalej, proszę. Nie chciałam ci przerywać.

- Mówiłam właśnie, że pan MacWaine jest znajomym mojej babci i kiedy obejrzał mnie w szkolnym przedstawieniu, namówił ją, żeby wysłała mnie do jego szkoły do Anglii.

- Co to była za sztuka? - spytał mój ojciec.

- *Nasze miasto*.

- Grałaś Emily Webb?

- Tak.

- Niełatwa rola. W jakich przedstawieniach występowałaś wcześniej?

- W żadnym.

- W żadnym? No cóż, tym bardziej należy ci się uznanie.

Nic dziwnego, że pan MacWaine chciał cię pozyskać dla swojej szkoły. Poznał się na twoim talencie.

- Rodzice muszą być z ciebie bardzo dumni - zauważyła Leanna.

- Mam tylko matkę - odpowiedziałam. - Ale z nią nie mieszkam. Mieszkam z babcią.

- Och! - speszyła się Leanna i spojrzała na mego ojca.

- Czy możemy siadać do herbaty, kochanie? - spytał szybko mój ojciec.

- Tak. Tak, proszę. Chodźmy wszyscy do ogrodu. Dzieci... William i Alexandra posłusznie wstali z miejsc.

- Bardzo miły dom - powiedziałam do ojca.

- To zasługa Leanny. Ja sam spędzam większość czasu z głową w książkach i papierach. Przekonasz się, że Leanna jest także znakomitą ogrodniczką - oznajmił, prowadząc mnie przez kuchnię do drzwi na ogród.

Otoczony wysokim płotem ogródek wypełniały rabatki. Pośrodku była mała fontanna, którą okalały nieregularne ceramiczne tarasy.

- Najlepiej będzie, jeśli Leanna sama opowie ci o wszystkim - rzekł mój ojciec.

Na stoliku stały tace z kanapkami. Było tam wszystko, czego dusza zapagnie - łosoś z ogórkiem, krewetki z twarogiem, rostbef z sałatką z rzeżuchy wodnej i chrzanu. Oprócz tego ciasta, ciasteczka i czekoladki.

- Ślicznie to wszystko wygląda - pochwaliłam.

Wszyscy usiedliśmy i Leanna nalała nam po filiżance herbaty.

- Częstuj się, Rain. Bierz, na co masz ochotę.

Zrobiłam, jak powiedziała. Nie szczędziłam też gospodyni komplementów.

- Mój mąż powiedział mi, że przyszedł na jego wykład, żeby lepiej poznać istotę dramatów Szekspira. To ci się bardzo chwali - powiedziała Leanna.

Spojrzałam na ojca, który jadł w milczeniu. William i Alexandra przyglądali mi się, słuchając uważnie każdego słowa, jakby byli wszystkiego ciekawi.

- W szkole uczą nas, że przed rozpoczęciem nauki należy bliżej poznać postać, którą ma się grać. Uważają, że grze scenicznej sprzyja element improwizacji opartej na wewnętrznym odczuciu aktora. To pozwala osiągnąć pełnię wyrazu.

- Oczywiście - zgodził się mój ojciec. - Jest to szczególnie prawdziwe w odniesieniu do aktorów występujących w rolach szekspirowskich ze względu na subtelność niuansów i ładunek poetycki tekstu.

- Czemu wybrałaś akurat Szekspira?

Dziwnie się czułam, rozmawiając o takich sprawach z mężczyzną, który był moim ojcem. Pytałam go o najróżniejsze rzeczy, obserwowałam jego mimikę, wyraz oczu, sposób trzymania kanapki, picia herbaty, śmiech. Po trochu szukałam w nim samej siebie, podobieństw, które pozwoliłyby mi sięgnąć w przeszłość, poza granice własnej pamięci. Jakie gesty nas łączą? Czy patrząc na nas z boku, można by się domyślić, że jestem jego córką? Czy Leanna będzie potrzebowała wiele czasu, żeby dostrzec te podobieństwa?

Gdybym go nie poznała dzięki Randallowi, gdybym nie wiedziała, jak wygląda, czy spotkawszy go na ulicy, minęłabym go obojętnie, czy przystanąłabym, żeby przyjrzeć mu się uważniej? Czy między ojcem i córką istnieje jakaś więź, której nic nie zdoła naruszyć?

- Zawsze pociągała mnie epoka elżbietańska, a szerzej, dzieje Anglii. W ogóle kiedy się nad tym teraz zastanawiam, wydaje mi się, że szukałem w literaturze ucieczki od rzeczywistości. Ponieważ kochałem język i poezję, wybór narzucał się sam - Szekspir i ja - wyjaśnił ojciec z uśmiechem.

- Moja mama pisze wiersze - oznajmiła Alexandra.

- Ach tak?

- Tylko dla zabawy - powiedziała skromnie Leanna.

- Trudno to tak nazwać, moja droga - zaprotestował ojciec. - Twoje wiersze publikowały prestiżowe czasopisma literackie, najdalej w ubiegłym miesiącu.

- Naprawdę przesadzasz, Larry.

- Nie przesadzam. Jestem z ciebie dumny. - Nachylił się i pocałował ją w policzek.

William i Alexandra uśmiechali się, zadowoleni z tego przejawu czułości między rodzicami. Byli dobrze wychowani, ale nie bali się okazywać ciekawości, radości czy potrzeby uczucia. Przytulny, elegancko urządzonej dom, wspinały ogród, ciepło miłości przepełniającej ich życie - wszystko to było naprawdę cudowne; a jednak sprawiało, że czułam się przy nich bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu.

Kiedyś coś podobnego łączyło mnie z mamą, Royem i Beni, ale to było już tak dawno temu, tak strasznie dawno, że miałam wrażenie, jakby działo się we śnie albo w jakimś poprzednim wcieleniu.

Co mogłabym robić w tym świecie? Życie mego ojca wydawało mi się doskonałe i nieskazitelne jak kryształ. Nie było w nim miejsca dla kogoś równie pokręconego i zagnębionego jak ja. Mogłam tu wnieść wyłącznie zamieszanie i ból. Gdy moja przyrodnia siostra dowie się, że musi się dzielić bezcenną miłością ojca ze mną, kryształowy obraz rzeczywistości prysnie.

- Chętnie posłuchałabym kogoś z twoich wierszy - zwróciłem się do Leanny.

- Przeczytaj ten o klaunie, mamó - zachęciła matkę Alexandra.

- Przeczytaj o klaunie - przyłączył się William.

- Może potem. - Leanna oblała się rumieńcem.

- Jaki przedmiot najbardziej lubisz, Alexandro? - spytałam, żeby zmienić temat.

- Muzykę. Gram na klarncie - pochwaliła się.

- Brzmi jak syrena przeciwnie - droczył się z siostrą William.

- Nieprawda.

- Dzieci! - zwróciła im łagodnie uwagę Leanna.

Alexandra i William natychmiast ucichli, ograniczając się do wymiany min. Boże drogi, pomyślałam, jak niepodobne

jest to wszystko do mojego własnego dzieciństwa w Waszyngtonie.

Leanna zadawała mi dalsze pytania o szkołę i teatr. Miałam wrażenie, że unika pytań o moje życie w Ameryce. Ze spojrzeń, jakie rzucała ojcu, gdy się do mnie zwracał, i z tego, jak patrzyła na mnie, kiedy odpowiadałam, wyczuwałam, że coraz intensywniej zastanawia się nad istotą łączącego nas związku. Ile wiedziała? W jaki sposób mój ojciec wyjaśnił jej, dlaczego wystawałam przed domem?

Może to były pobożne życzenia, a może czysta paranoja, ale zdawało mi się, że z każdą chwilą w oczach Leanny rośnie ciekawość.

Po herbacie ojciec pokazał mi swoją kolekcję rzadkich druków. Alexandra pomogła matce posprzątać, a William asystował nam.

- Naprawdę bardzo się cieszę, że zdecydowałaś się przyjść - powiedział w pewnej chwili ojciec.

- Sama do końca nie wiem, czemu to zrobiłam.

Roześmiał się.

- Myślę, że to całkiem zrozumiałe. Sądzę, że na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Jestem... staram się być stoikiem. Teraz rozumiesz, czemu pociągały mnie tragedie Szekspira? - dodał ze śmiechem.

- Życie jest teatrem.

Staliśmy przed półką z książkami, ale żadne z nas tak naprawdę na nią nie patrzyło. William, którego nasza rozmowa w końcu znudziła, poszedł na poszukiwanie siostry.

- Więc Leanna nic o mnie nie wie?

- Jeszcze nie.

- Jak jej wyjaśniłeś to, że kręciłam się wokół waszego domu?

- Powiedziałem, że jesteś bardzo nieśmiała i krążyłaś wokół domu, zbierając się na odwagę, żeby w końcu wejść.

Spojrzałam na niego z ukosa.

- Coś mi się nie wydaje, żeby w to uwierzyła.

- Chyba nie. Oczywiście zamierzam jej o wszystkim po-

wiedzieć, ale chciałem, żeby wasze pierwsze spotkanie wyglądało właśnie tak.

- Nie musisz Leannie o niczym mówić. Zapewniam cię, że nie zamierzam nikomu sprawiać kłopotu. Zresztą po zakończeniu roku szkolnego i tak wrócę do Stanów.

- Ale dopóki to nie nastąpi, będziesz nas odwiedzać - powiedział, jakby to było coś oczywistego.

- Nie wiem.

- Oczywiście, że będziesz.

Do biblioteki weszli Alexandra i William.

- Londyn - rzekł głośno mój ojciec - pełen jest antykwaratów, w których można kupić bezcenne pierwodruki. Dla mnie to pasjonujące zajęcie myszkować wśród książek, szukając pierwszego wydania takiego na przykład... Dickensa. - Ojciec wyciągnął rękę i zdjął z półki niewielką książkę w ciemnej oprawie. - Jest warta około dwóch tysięcy funtów. Kupiłem ją za dwanaście.

- Mama powiedziała, że będzie w ogrodzie.

- No tak, powinniśmy wrócić na dwór. Leanna chce ci pokazać ogródek. Jest z niego bardzo dumna.

- Pomagałem mamie sadzić irlandzkie dzwonki - pochwalił się William.

Ojciec roześmiał się i potargał ciemne kędziory syna.

- Pan O'Grodnick - zażartował. William roześmiał się i popatrzył na ojca pełnym miłości wzrokiem.

Och, jak strasznie zazdrościłam mojemu przyrodniemu rodzeństwu!

Leanna oprowadziła mnie po ogrodzie, podając nazwy kwiatów. Mówiła o nich, jakby i one były jej dziećmi, jakby należały do jakiejś wielkiej rodziny, pełnej wzajemnej miłości i troski.

- To wszystko jest takie piękne - powiedziałam.

- Gdybyśmy tylko mieli więcej cierpliwości, mogliśmy wnieść bardzo wiele piękna do tego świata. - Obejrzała się na mego ojca, siedzącego przy stole z Alexandrem na kolanach. - Zrobiłaś na moim mężu wielkie wrażenie. Larry jest bardzo

powściągliwy w kontaktach z uczniami, nieczęsto zaprasza ich do domu, a jednak, jeśli dobrze rozumiem, znacie się dopiero od niedawna.

- Mhm. - Stojąc w tym pięknym ogrodzie, pośród mnóstwa niezwykłych kwiatów, nie mogłam zdobyć się na kłamstwo. - Ale jest mi tym milej, że pan Ward mnie zaprosił.

- Nie masz zbyt licznej rodziny, co?

- Nie. Mam brata. Jest w wojsku, w Niemczech. Być może przyjedzie tu do mnie.

- Czy twój brat mieszkał z tobą i z babcią?

- Nie. Tylko ja z nią mieszkam. - Uśmiechnęłam się do Leanny. - To niezbyt wesoła historia. Wolałabym odłożyć ją na inną okazję. Tak cudownie się dzisiaj czuję.

- Och, oczywiście. Rozumiem cię i miło mi, że dobrze się bawisz. Jesteś śliczną dziewczyną, Rain. I bardzo lubię twoje imię. Deszcz ma ogromne znaczenie dla ogrodnika. Odświeża, oczyszcza i pobudza rośliny do wzrostu. Jestem pewna, że twoje imię pasuje do ciebie.

- Dziękuję.

Roześmiała się i na krótką chwilę objęła mnie serdecznie ramieniem.

Kiedy wróciłyśmy do stołu, przypomniałam Leannie, że chciałam posłuchać któregoś z jej wierszy. Sięgnęła po jakieś pismo i ojciec się ucieszył, bo to był jego ulubiony wiersz *Klaun*. Zgromadziliśmy się wszyscy wokół, a Leanna zaczęła czytać miękkim, melodyjnym głosem:

Myśli, że cały świat jest cyrkiem,

A Pan Bóg jego dyrektorem.

Wybrany, by wywoływać śmiech,

Klaun udaje, że się potyka i pada.

Wpada na latarnie i pojemniki na śmieci.

Staje na rękach,

Na rękach przechodzi jezdnię.

Pozwala chorym dzieciom i ich matkom zapomnieć o strachu.

Odpędma swym tańcem depresję i smutek

I sprawia, że niebo z szarego staje się błękitne.
Tak spędza dzień,
A ludzie rzucają mu czasem monety.
Kiedy zapada noc, chowa się w swych pudłach,
Bezdomny dowcipniś urodzony pod osłoną namiotu,
Zadowolony, z brzuchem pełnym śmiechu.
Śpi spokojnie, śniąc o swym jutrzejszym występie,
Słyszy głosy widzów, którzy głośno wołają:
Klaun! Dajcie klauna!
Dopóki go będą chcieli, nigdy nie będzie sam.

- Popatrz - odezwał się William, wskazując na mnie palcem. - Ona płacze.

- To nie jest uprzejme, synu - skarcił go mój ojciec.

- Piękny wiersz.

- Dziękuję - powiedziała Leanna.

Popatrzyłam na zegarek i powiedziałam, że muszę już iść. Jeszcze raz podziękowałam za herbatę. Potem pożegnałam się z Williamem i Alexandrą.

- Przydziesz jeszcze? - spytał William.

- Oczywiście - odpowiedział za mnie szybko mój ojciec.

- Następnym razem pokażę ci zwierzaki.

- Zwierzaki?

- William ma kolekcję zwierzątek. Niektóre z nich sam składał - wyjaśniła Alexandra. - Jest w tym nawet niezły - pochwaliła brata w przypływie siostrzanej dumy.

- Z przyjemnością obejrzę zwierzątka - zapewniłam Williama.

Wyprostował się i skinął głową z godnością, jak mały dżentelmen.

Ojciec wyszedł ze mną przed dom.

- Leanna jest kobietą bardzo przenikliwą. Zanim dzień dobiegnie końca, zada mi najważniejsze pytania. Jestem tego pewien. Mam nadzieję, że znajdziesz dla nas miejsce w swoim życiu.

Roześmiałam się.

- Czy znajdę dla was miejsce? Jestem jak czynszówka, w której nikt nie chce wynająć mieszkania.

Roześmiał się.

- Zadzwoń w ciągu tygodnia, proszę. Urządzymy coś razem w przyszły weekend. Wszyscy razem - podkreślił.

- Postaram się.

Czułam się jak ktoś, kto tak długo marzył w lodowatym deszczu, że teraz boi się ognia na kominku. Bałam się, że jeśli zanadto się zbliżę, spłonę.

Kiedy wróciłam do Endfield Place, wszyscy już byli w domu. Gdy tylko przekroczyłam próg, natychmiast podszedł do mnie Leo. Był bardziej ożywiony niż zwykle. Na ogół snuł się, tocząc wokół sennym spojrzeniem; wystarczyło, że otworzył drzwi, a już wyglądał, jakby musiał odpocząć.

- O, panienska Rain - ucieszył się na mój widok. - Pani Endfield dopytuje się o panienkę, odkąd tylko wrócili z panem Endfieldem do domu. Chciała panienkę zobaczyć, gdy tylko panienska wróci.

- Co się stało?

Leo zachowywał się, jakby nie słyszał mojego pytania. Zamknął za mną drzwi.

- Powiedziała, gdy tylko panienska wróci.

Popatrzyłam w głąb korytarza. Było pusty i cichy. Potem spojrzałam na schody. Kiedy dotarłam do sypialni ciotki Leonory, zastukałam i czekałam chwilę na zaproszenie. Kiedy nikt się nie odezwał, zapukałam jeszcze raz, tym razem mocniej.

- Wejdz, proszę - dobiegł mnie bolesny jęk ciotki.

Leżała w łóżku z kompresem na czole. Jej blada twarz tonęła w poduszkach, wydawało się, że zaraz zniknie bez śladu. Kołdrę miała podciągniętą pod samą brodę.

- Och - zadziwiłam się. - Czy źle się pani czuje?

- Zdaniem lekarza, wiejskiego lekarza, to jakaś piekielna

alergia - odpowiedziała zbolonym głosem. - Ni stąd, ni zowąd zaczęłam kichać. Kichałam i kichałam, aż wreszcie ugięły się pode mną nogi i musieli mnie zanieść do domu. Przyjechał lekarz i naszpikował mnie lekarstwami, od których zaczęło mi się kręcić w głowie, ale przynajmniej w końcu przestałam kichać.

- Bardzo pani współczuję. Czy zdarzyło się już pani kiedyś coś podobnego?

- Nie, ale to nie dlatego chciałam cię widzieć, moja droga. Telefonowała moja siostra i bardzo, bardzo nalegała, żebyś zadzwoniła do niej, niezależnie od tego, kiedy wrócisz. Prawdę mówiąc, dziwię się jej. W takich okolicznościach... - westchnęła ciotka.

- W jakich okolicznościach?

- Frances znalazła się z powrotem w szpitalu.

- Och, nie! Co się stało?

- Nie mogłam jej zrozumieć - powiedziała ciotka takim głosem, jakby cały świat był winny jej złemu samopoczuciu. - Tak fatalnie sama się czułam... Pamiętam tylko, że wspominała coś o zatorze arterii. No a poza tym bardzo nalegała, żebyś zadzwoniła, kiedy tylko wrócisz. - Ciotka popatrzyła na mnie przytomniej szym spojrzeniem. - Zadzwoń do niej od razu. - Wskazała telefon na stojącym obok łóżka sekretarzyku.

Wiedziałam, że chodzi jej o to, żeby słyszeć naszą rozmowę, ale nie miałam pojęcia, jak mogłabym tego uniknąć, nie obrażając ciotki.

- Zapisałam ci numer. Frances ma oczywiście własny pokój.

- Dziękuję. - Podeszłam do sekretarzyka.

- Pan Endfield był taki niezadowolony, że w powrotnej drodze nie odezwał się do mnie ani słowem. Wszystko to razem bardzo mnie przygnębiło, a tu jeszcze na dodatek biedna Frances wylądowała z powrotem w szpitalu. Boże wielki - westchnęła ciotka. - Taki grad ciosów. Za co to wszystko na mnie spada?

Zamknęła oczy.

Wykręciłam zapisany na kartce numer telefonu i czekałam. Babcia Hudson odebrała bardzo szybko, jakby na mnie czekała.

- Halo? - Wiedziałam, że dzieli nas wielka odległość, ale wydawało się, że ostatnio miała już dużo mocniejszy głos niż teraz.

- To ja, Rain. Co się stało, pani Hudson?

- Ten idiota, mój lekarz, i jego stado specjalistów mają jakieś bardzo dziwne pomysły na to, jak polepszyć moje zdrowie. Niektóre ich pomysły zakrawają na science-fiction. No trudno, chcą, niech im będzie. Grożą, że jeśli ich nie posłucham, padnę trupem... Trzymam w ręku twój list - podjęła po chwili. - Jak daleko zaszedł ten melodramat?

- Widziałam się z nimi.

- Byłaś u niego w domu?

- Tak.

- I co?

- Wszyscy są bardzo mili.

- I co?

- Jego rodzina jeszcze nic nie wie. Chciał powiedzieć wszystko swojej żonie, ale poprosiłam go, żeby tego nie robił.

- Bardzo mądrze. Chcesz mojej rady. Radzę ci, pozostaw sprawy własnemu biegowi. Co się stało, to się nie odstanie. Nikt nie lubi, żeby mu przypominać jego błędy.

- Nie wydaje mi się, żeby on tak na to patrzył.

- Niemniej, jeśli będzie musiał wyjaśnić twoje pojawienie się swojej żonie, to zapewne ujmie sprawy właśnie w ten sposób. Kiedyś, gdy był młody i lekkomyślny... i tak dalej.

Przypomniałam sobie pierwszą rozmowę z ojcem i słowa, w jakich przedstawił mi wówczas siebie samego i moją matkę. Mówił, że byli zbuntowani i brakło im poczucia odpowiedzialności. Babcia Hudson miała rację. To była naprawdę mądra osoba.

- Niezależnie od tego, jak mili są teraz, w końcu i tak wszyscy będziecie mieli tej sytuacji dosyć, Rain. Nie dawaj

z siebie za dużo. Skup się na własnym życiu, na celach, jakie chcesz osiągnąć.

- Dobrze - odparłam ze ściśniętym gardłem. Tak bardzo chciałam powiedzieć: „Dobrze, babciu”, ale nie mogłam tego zrobić ze względu na obecność ciotki Leonory.

- Czy jest tam moja siostra? - spytała babcia Hudson, jakby widziała z drugiego brzegu Atlantyku, jak strasznie jestem smutna i że moje oczy zaszklily się łzami.

- Tak.

- Zachowywała się tak, jakby cudem wywinęła się kostusze spod kosy - rzuciła babcia, a ja zaśmiałam się cicho. - W życiu nie słyszałam takich jęków i biadolenia, a przecież nieraz byłam w szpitalu.

- Pani Endfield leży w łóżku z objawami alergii.

- Ależ skąd. Uprzedź Frances, że to się okaże dopiero po badaniach klinicznych - zaprotestowała natychmiast ciotka, jakby chciała mi przypomnieć, że słucha każdego słowa naszej rozmowy.

- Pani Endfield podkreśla, że to może być coś poważniejszego.

- Jasne. Zawsze zabiegała o uwagę otoczenia. Nie rozumiem Leonory, nigdy nie pojmę, jak mogła wyjść za swojego męża i spędzić życie w kraju, w którym ludzi ocenia się wedle tego, jak sztywna jest ich górna warga.

Roześmiałam się po raz kolejny.

- Co ona mówi, Rain?

- Mówi, że ma nadzieję na pani szybki powrót do zdrowia.

- Powiedz mojej siostrze, że chcę z nią porozmawiać, jak skończycie - rzekła zirytowanym tonem ciotka Leonora.

- Muszę już kończyć, pani Hudson. Proszę dać nam znać, gdy będzie się pani czuła lepiej. Pani siostra także chce z panią porozmawiać. Dziękuję za telefon.

- Nie wiem, skąd wezmę siły, żeby jej słuchać, ale daj mi ją, bo inaczej po prostu zatruje ci życie.

Oddałam ciotce słuchawkę i skorzystałam z faktu, że była pochłonięta rozmową, by wymknąć się z pokoju. Zamknęłam

za sobą drzwi, odetchnęłam głęboko i ruszyłam schodami w dół. Opuszczając po pierwszej wizycie dom mego ojca, poczułam nadzieję, że mogłabym stać się częścią jego życia, życia jego rodziny. Marzyłam nawet, że w końcu z nimi wszystkimi zamieszkać, zostanę w Anglii, a z czasem być może uzyskam nawet obywatelstwo brytyjskie, jak mój ojciec. Uwierzyłam, że babcia Hudson wyzdrowieje i będzie przyjeżdżać, żeby obejrzeć premiery sztuk, w których będę grała, a już w końcu wrócę za ocean jako opromieniona sławą gwiazda teatralna i filmowa. Jakie to wszystko naiwne, pomyślałam.

Czy istnieją ludzie szczególnie podatni na wpływ marzeń i rojeń? - zadałam sobie pytanie. Czy są one jak zarazki i wirusy? Czy po prostu niektórzy z nas mają słabszy system odpornościowy, gdy chodzi o iluzje i marzenia? Bez wątpienia ludzie zadowoleni z siebie, swojej tożsamości i swego życia nie poświęcają tyle czasu na wyobrażanie sobie innego życia, innego świata, niż ten, w którym żyją. Nie próbują uciekać od samych siebie.

Czy już zawsze tak ze mną będzie? Może w końcu kompletnie oszaleję i przestanę odróżniać urojenia od rzeczywistości? Na razie czułam, że babcia Hudson dała mi dobrą radę. Porzuć fantazje i skup się na swoich celach, powiedziała. Miała rację. Nie pójdę więcej do mego ojca. Te odwiedziny w jego domu są właśnie ucieczką w krainę marzeń. Nie mogę sobie pozwolić na marzenia, muszę stawić czoło twardej rzeczywistości.

U stóp schodów czekał na mnie Boggs. Miał jak zwykle ponurą minę, ręce splecione za plecami.

- Pan Endfield chce cię natychmiast widzieć - oznajmił.

- Wszyscy chcą mnie dziś natychmiast widzieć - mruknęłam i ruszyłam korytarzem w stronę gabinetu wuja Richarda.

- Nie tędy - zatrzymał mnie Boggs i otworzył frontowe drzwi.

- Dokąd idziemy?

- Nie gadaj tyle, tylko chodź - zakomenderował i poczekał, aż wyjdę przed dom.

Kiedy znaleźliśmy się na dworze, poprowadził mnie ciemną alejką do domku w ogrodzie. Miałam uczucie, że moje serce zmieniło się w bryłę lodu, a przenikliwie zimno zaczyna ogarniać całe ciało. Za dnia domek w ogrodzie wyglądał niewinnie i zwyczajnie, ale teraz, gdy w zasłoniętych oknach migotało niepewne światło, ciemna bryła w mroku ogrodu sprawiała nieprzyjemne, złowieszcze wrażenie. Pomyślałam, że przenoszę się z rzeczywistości do niepojętego świata cudzych marzeń i fantazji.

Boggs zatrzymał się przed drzwiami domku i zapukał. Czekając na odpowiedź, zmierzył mnie nieprzyjemnym, jawnie wrogim spojrzeniem, ale nie pozwoliłam mu się zastraszyć.

Wuj Richard otworzył drzwi i uśmiechnął się do mnie.

- Och, dziękuję, Boggs. Proszę, wejdz, Rain. - Wuj cofnął się o krok.

Miał na sobie lśniące czarne spodnie, zaprasowane w kant, czarne skórzane buty, ciemnowisniową marynarkę i fajkę z główką z białej morskiej pianki. Albo już ją wypalił, albo jeszcze nie zaczął palić.

Boggs odmaszerował, a ja weszłam do domku. Właściwie to dopiero teraz pierwszy raz mogłam się wszystkiemu spokojnie przyjrzeć. W saloniku na dywanach w pastelowych barwach stały sofy i otomany, kilka stolików i lampy.

- Zbudowałem ten dom dla mojej córki. To miał być jej domek dla lalek - powiedział smutno. Potem się uśmiechnął. - Jak sama się przekonasz, od tego czasu zmieniłem tu co nieco.

Wuj Richard poprowadził mnie dalej, z saloniku w głąb domku wyłożonym kamienną posadzką korytarzem. Jedne drzwi prowadziły do malutkiej kuchni ze stołem w części jadalnej, drugie do sypialni z wielkim łóżkiem z kutego żelaza i szafą z lustrami w drzwiach. Natychmiast się zorientowałam, że w sypialni zaszły zmiany. Na ścianach wciąż wisały różowe tapety z postaciami z kreskówek, ale zniknęło łososiowe biurczko i krzesółko małej dziewczynki. Na miejscu tych mebli

pojawiło się normalnych rozmiarów biurko i krzesło. Na ścianach zawisły stare plakaty teatralne i filmowe, a miejsce lalek na półkach zajęły czasopisma młodzieżowe. Niektóre z nich musiały być stare, inne wyglądały na nowsze.

Na toaletce pojawiło się mnóstwo szczotek i grzebieni, flakoników perfum i słoiczków z kremami, szminek i pojemniczków z pudrem i tuszem do rzęs. Zauważyłam, że zmieniły się również poszewki na kołdrę i poduszkę. Krótko mówiąc, wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż przed kilkoma dniami, tak jakby mała dziewczynka, która tu mieszkała, z dnia na dzień dorosła.

Kiedy się odwróciłam do wuja Richarda, serce mi zamarło. Wpatrywał się we mnie błędnym wzrokiem, na jego ustach igrał dziwny uśmiešek.

- Miło tu, nieprawdaż? Wyobrażałem sobie, że tak właśnie będzie wyglądał jej pokój, gdy ona będzie w twoim wieku - rzekł łagodnym, rozmarzonym głosem. - No cóż... - Rozejrzał się wokół i przygładził włosy. - Chyba możemy zaczynać.

- Zaczynać?

- Pomyślałem, że skorzystamy z nieoczekiwanej zmiany planów, zwłaszcza że wszystko jest już gotowe. Nie spodziewałem się, że pani Endfield poczuje się źle, ale skoro już się to zdarzyło, czemu nie skorzystać z okazji. - Wuj Richard przeszedł przez sypialnię i otworzył szafę. - Dobrałem te sukienki tak, by nadawały się na wszelkie okazje, od prywatnych do oficjalnych.

Podeszłam do szafy. Na pierwszej z brzegu sukience zobaczyłam wyblakłą metkę ze sklepu, więc zorientowałam się, że nie jest to bardzo świeży nabytek. Na dodatek sukienka była na mnie za mała.

- Chce pan powiedzieć, że kupił pan te wszystkie sukienki dla mnie?

- Oczywiście.

- Ale będą na mnie za ciasne. Czemu kupił pan ubrania, nie znając moich rozmiarów?

- Nie przejmuj się znanym swoim wyglądem, kochanie.

Nie zobaczy cię tu nikt oprócz mnie. Potraktuj je po prostu jako kostiumy sceniczne.

- Kostiumy?

- Będziemy tu inscenizować swego rodzaju przedstawienia.

Spojrzałam w dół na buty. Nie wyglądało na to, żeby którakolwiek para na mnie pasowała.

- Kostium czy nie, ja się w to wszystko po prostu nie zmieszczę.

- Nie zwracaj uwagi na buty. Na razie możesz chodzić boso.

Przyjrzałam się butom uważniej. Wyglądały na bardzo stare.

- Gdzie pan to kupił? W sklepie ze starzyzną?

- Już ci powiedziałem, że to nieważne - odezwał się wuj Richard zaskakująco ostrym tonem. Kiedy spojrzałam na niego zdziwiona, złagodniał nieco, a nawet się do mnie uśmiechnął. - Nieważne, jak wyglądamy, ważne, co robimy. Musi ci wystarczyć to, co masz. Przynajmniej na razie. Starałem się zadbać, żeby znalazło się tu wszystko, co może ci być potrzebne.

Wuj wskazał gestem komódkę. Popatrzyłam na niego, a potem powoli wysunęłam szufladę. Wewnątrz pełno było bielizny, ale od razu widziałam, że staniki i majtki będą na mnie za ciasne.

- To wszystko dla mnie?

- Tak, kupiłem to od razu, żeby ci niczego nie brakowało - odpowiedział szybko. - Chciałem, żebyś się tu czuła jak w domu, jakby to był także twój mały domek dla lalek, twój pokój.

- Spory jak na domek służący do zabawy.

- Wielki jak moja miłość - roześmiał się wuj. - Tak opowiadałem Heather, ilekroć ona sama lub ktoś inny twierdził, że robię jej ekstrawaganckie prezenty. No cóż... - rozejrzał się po sypialni z błogim uśmiechem - ...i tak to wygląda. Czy nie jest tu słodko?

Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Potem pokręciłam głową, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić.

- Wciąż nie rozumiem, czego pan po mnie oczekuje, panie Endfield.

- Zaczniemy od czegoś łatwego. Na początek nakreślę ci w paru słowach scenariusz. Miejsce akcji... - Wuj zawiesił głós.

- Tak?

- Twoje mieszkanie. Musisz sobie wyobrazić, że mieszkaś już sama. Każde dziecko musi któregoś dnia opuścić rodzinne gniazdo. - Twarz wuja Richarda spochmurniała, jakby musiał przede mną odsłonić nieprzyjemną prawdę. - Nawet Biblia tak powiada. Ale to nie znaczy, że możemy pozwolić, żeby nasze dzieci zbłądziły w życiu wskutek braku nauki, nieprawdaż?

- Mhm - mruknęłam ostrożnie.

- Nie możemy, nie możemy... - powtarzał wuj, jakby stracił wątek, po czym znów podniósł głowę. Oczy mu błyszczały. - Dobrze, dziś wieczorem masz spotkanie z producentem, który się tobą zainteresował. Oczywiście jesteś podniecona. Pierwszy raz w twoim życiu spotyka cię coś podobnego. Jestem pewien, że nieraz wyobrażałaś sobie takie sceny, prawda?

- Szczerze mówiąc, nie. Dopiero zaczęłam się uczyć w szkole pana MacWaine'a. Wcześniej nie myślałam o karierze scenicznej, a i teraz wydaje mi się to jeszcze odległą przyszłością.

- Nie, nie, nie! - Wuj Richard zirytował się, jakbym chciała wszystko popsuć. - Kiedy trafisz na scenę, staniesz wobec całego szeregu wyzwań. Będziesz narażona na najrozmaitsze pokusy. Wszędzie wokół czyhają drapieżcy, gotowi rzucić się na niewinną ofiarę, taką jak ty. Już nie jesteś w moim domu. Nie mogę cię dłużej chronić pod swoimi skrzydłami.

- Nie jestem w pańskim domu?

- Otóż to - ucieszył się wuj. - Choćby jutro może przyjść do twojej szkoły ktoś, kto powie: „Rain Arnold, widziałem cię na scenie i uważam, że doskonale się nadajesz do głównej roli w mojej nowej produkcji. Chciałbym porozmawiać z tobą o tym, zanim zaczniemy oficjalne przesłuchania aktorów...”. No co? Pochlebia ci to? Bądź ze mną szczerą, moja droga. Nie pochlebiłoby ci to?

- Owszem - przyznałam.

- Właśnie! - Wuj Richard cofnął się o kilka kroków, spoglądając wyczekującym wzrokiem na szafę. - Którą suknię byś wybrała?

- Żadną z tych. Wszystkie są za małe.

Wuj skrzywił się i pokręcił głową.

- Jeśli nie nauczysz się wierzyć w rzeczywistość sceniczną, nigdy nie zrobisz kariery aktorskiej. Powiedziałem ci, żebyś nie zwracała uwagi na rozmiar. Wybierz suknię - zażądał stanowczo.

Oczy mu pociemniały, twarz stężała w wyrazie napięcia. Ogarnął mnie lęk. Serce mi waliło, żołądek się ścisnął. Wuj wyglądał jak bomba, która może eksplodować bez ostrzeżenia, gdy tylko powiem lub zrobię coś niewłaściwego.

- Dobrze. - Wyjęłam z szafy bladoniebieską sukienkę. - Może ta?

Wuj Richard skinął głową.

- Bardzo trafny wybór - pochwalił mnie. - Elegancka, ale nie zanadto oficjalna. Masz gust, moja droga. Wiedziałem. Teraz ja wyjdę, a ty włóż suknię. Potem usłyszysz dzwonek do drzwi. Otworzysz, wpuścisz mnie do domu i zaczniemy. Dam ci trochę czasu, żebyś mogła się uczesać... umalować. Wyobrażam sobie, że pewnie chciałybyś się trochę przygotować. - Rozejrzał się po sypialni, westchnął i wyszedł.

Przez długą chwilę stałam bez ruchu, wpatrując się w przyciasną sukienkę, którą trzymałam w ręku. Nawet w najbliższych fantazjach nie zdołałabym sobie wyobrazić, że mój wuj mógłby wpaść na coś takiego. Skąd w głowie tego szanowanego, zamożnego adwokata rodziły się takie dziwaczne pomysły? Z jednej strony, byłam ciekawa, co będzie dalej, z drugiej, odczuwałam silną pokusę, żeby po prostu uciec, nie oglądając się za siebie.

- Pamiętaj, że chcesz wyrzeć dobre wrażenie - przypomniał mi z drugiego pokoju wuj Richard. - Ale staraj się nie manifestować tego otwarcie. Moja matka mówiła zawsze, że

niedopowiedzenie, które zmusza słuchacza do myślenia, jest najlepszym sposobem, żeby coś wyrazić. Jak ci idzie?

- Chwileczkę... - Przyłożyłam do siebie sukienkę i przejrzałam się w lustrze. Czy naprawdę mam to włożyć? Chyba nie było innego wyjścia.

Zdjęłam bluzkę i spódnicę i wcisnęłam sukienkę. Tak jak podejrzewałam, była okropnie obcisła w biodrach i biuście. Suwak z boku zapiął się tylko do połowy. Pomyślałam, że muszę idiotycznie wyglądać. Miałam nadzieję, że wuj również to zauważy, roześmieje się i przełoży dalszą naukę form towarzyskich na inną okazję.

- Tak jak przewidywałam! - zawołałam. - Za ciasne.

- Nic nie mów. To dopiero początek. Oboje musimy się wczuć w swoje role. Zaraz zadzwonię do drzwi.

Wuj Richard wyszedł z domku i zamknął za sobą drzwi. Zaraz potem zadzwonił.

I co teraz? - zastanawiałam się, idąc do wejścia, żeby go wpuścić. Czułam się jak w drugiej klasie, kiedy bawiłyśmy się z koleżankami w składanie wizyt. Otworzyłam drzwi. Wuj Richard rozpromienił się na mój widok, jakby miał przed sobą królową Anglii.

- Och, moja droga, wspaniale wyglądasz! Tak jak się spodziewałem. - Mrugnął do mnie, odchrząknął i dodał: - Właśnie tak wyobrażam sobie Constance w pierwszym akcie mojej nowej sztuki. Bardzo bym chciał, żebyś w niej wystąpiła. Czy mogę wejść?

- Co? Ależ tak, oczywiście. - Czy wuj naprawdę nie widział, że w ciasno opiętej sukience poruszam się sztywno jak manekin?

- Jakie miłe mieszkanko - pochwalił, rozglądając się wokół. - Tak sobie to właśnie wyobrażałem.

Spostrzegłam, że trzyma w ręku jakieś papiery.

- Mam ze sobą maszynopis. Chciałbym cię prosić, żebyś przeczytała kawałek dialogu Constance.

Wuj osłonił usta dłonią i rzucił scenicznym szeptem:

- Teraz zaproponuj mi coś do picia.

- Ma pan ochotę się czegoś napić?

- Chętnie wypiję kieliszek białego wina, jeśli zechcesz mi owarzyszyć. - Znów nakrył usta dłonią. - Idź do kuchni. Wino stoi na stole. Chyba potrafisz odkorkować butelkę?

- Potrafię.

Nie wiedziałam, jak potraktować słowa wuja, lecz kiedy zajrzałam do kuchni, okazało się, że na stole istotnie stoi butelka wina i dwa kieliszki, a obok leży korkociąg.

- Co za piękny widok! Miałaś dużo szczęścia, że udało ci się znaleźć takie mieszkanko.

- Dziękuję. - Zachichotałam. Nie mogłam się opanować. Czułam, że lada chwila dostanę ataku histerycznego śmiechu. Otworzyłam butelkę i napełniłam kieliszki. Skosztowałam wina i uśmiechnęłam się do siebie. Było całkiem niezłe. Postawiłam kieliszki na tacy i zaniiosłam do pokoju.

- Powinnaś była przynieść serwetki - zwrócił mi szeptem uwagę wuj Richard.

- Och, przepraszam.

- Znajdziesz je w szafce po lewej. Tam gdzie zawsze.

- Dobrze. - Posłusznie wróciłam do kuchni i przyniosłam serwetki.

Wuj z kieliszkiem wina przeniósł się na niewielką otomanę. Wręczyłam mu serwetkę. Podziękował i poprosił, żebym usiadła obok niego. Zrobiłam, co chciał, ale on pokręcił głową z niezadowoloną miną.

- Pamiętaj, że jesteś sama z mężczyzną, którego naprawdę nie znasz - szepnął, nachylając się ku mnie. - Nie zgadzaj się tak łatwo na wszelkie jego propozycje i sugestie.

- Dobrze. - Patrzyłam na wuja niemal równie wielkimi oczami, jak on na mnie.

Wuj się odsunął.

- Teraz zaczynamy. Staraj się być jak najbardziej naturalna i odprężona, Rain. Czytaj, jakby mnie przy tobie w ogóle nie było, rozumiesz?

- Tak.

Wręczył mi maszynopis. Spojrzałam na pierwszą stronę. Miałam wystąpić w scenie miłosnej.

- Czy coś jest nie w porządku? - spytał wuj, widząc moje wahanie.

- Słucham? Nie.

- To dobrze. Wobec tego zaczynamy. Jest wczesne popołudnie. Siedzimy na scenie, w bawialni bohaterki. Ja wystąpię w roli Horace'a.

Pociągnął łyk wina, odstawił kieliszek na stół i usiadł twarzą do mnie. Natychmiast zrozumiałam, że wuj nauczył się swojej roli na pamięć. Przebiegłam wzrokiem kilka akapitów. Ktokolwiek spłodził tę sztukę, nie był wielkim pisarzem. Raczej przeciwnie.

- Co to za utwór?

- *Niestracone zachody miłości*. Jej autor robi prawdziwą furorę. Mamy szczęście, że udało się nam zdobyć prawa do jej wystawienia. Zapewniam cię, że każdy, kto zagra w niej jakąś rolę, szybko zostanie zauważony.

Wuj Richard znów osłonił usta dłonią, jakby chciał ukryć swe słowa przed widownią, i nachylił się ku mnie.

- Sama musisz zdecydować, co z jego słów weźmiesz na serio, a co potraktujesz jako zwodnicze obiecanki. Żeby się w tym rozeznąć, trzeba doświadczenia. - Wyprostował się. - To co, zaczynamy? Zaczekaj... tu jest zbyt silne światło. Na scenie ma to wyglądać zupełnie inaczej.

Wstał i zasunął szczelnie kotary. Potem usiadł z powrotem obok mnie i skinął głową.

- Zaczynaj, jak tylko będziesz gotowa.

- Co?

- Czytać. Zaczynaj. - Wuj ponaglił mnie niecierpliwym gestem dłoni.

- Och, dobrze. - Skupiłam uwagę na pierwszym akapicie. - „Wolałabym, żebyś tu nie przychodził dziś wieczorem, Horace. Wiesz, co do ciebie czuję”.

- „Wiem, co wydaje ci się, że czujesz”. - Wuj Richard przysunął się bliżej. Zanim się zorientowałam, co robi, ujął mnie palcami pod brodę i popatrzył głęboko w oczy. Dziwnie się czułam, kiedy tak siedział tuż przy mnie.

- „Nasz wiek jest sprawą czystego przypadku - ciągnął, nie przestając się we mnie wpatrywać wielkimi oczami. - Nie możemy pozwolić, żeby czas stanął między nami jak ściana”.

Cofnęłam się trochę.

- „Ależ Horace, twoja córka jest moją najlepszą przyjaciółką. Gdyby się dowiedziała, pękłoby jej serce”.

- „Nie o jej serce mi teraz chodzi...”. - Wuj znów przysunął się do mnie. - Świetnie sobie radzisz, Rain - dodał ciszej - ale spróbuj patrzeć mi w oczy, kiedy do mnie mówisz, i okaż, że co innego mówisz, a co innego czujesz. No spróbuj.

- „Nie mogę tego zrobić, Horace” - przeczytałam i szybko spojrzałam mu w oczy.

- „Twoje oczy mówią co innego, Constance. I twoje usta...”. - Wuj chwycił mnie nagle za ramiona tak gwałtownie, że kartki wypadły mi z dłoni. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, przycisnął wargi do moich ust, a jego ręka powędrowała do niedopiętego suwaka, by rozsunąć go jeszcze bardziej. Wystarczył niewielki ruch i suknia odchyliła się, odsłaniając moją bieliznę.

Byłam tak wstrząśnięta i przerażona, że nie mogłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

- Jesteś piękna, Rain. Tego się właśnie spodziewałem. Zrobię z ciebie gwiazdę. Twoje imię będzie znał cały Londyn. Uwierz mi... - szepnął i pocałował mnie w szyję.

- Co pan wyprawia? - Wyrwałam mu się i poprawiłam sukienkę.

Wuj natychmiast się zmienił. Przestał patrzeć na mnie pożądliwie, a jego spojrzenie na powrót przybrało surowy, ojcowski wyraz.

- Dobrze. Miałem nadzieję, że tak się właśnie zachowasz. Ale... ale to nie znaczy, że wiesz już, jak uniknąć niebezpieczeństwa. Wszystko mogłoby się zacząć zupełnie inaczej. Teraz wyjdę, a ty doprowadź się do porządku. Zaraz zadzwonię do drzwi.

Wuj Richard wstał z sofy.

- Nie! - wybuchnęłam, kiedy otworzył drzwi. - Nie chcę tego więcej robić! Proszę mnie zostawić w spokoju!

Obejrzał się na mnie zdumiony. Ominęłam go szerokim łukiem i wybiegłam z domku.

- Heather! - usłyszałam za sobą rozpaczliwy krzyk. Zwolniłam i obejrzałam się za siebie. Wuj stał w drzwiach domku, patrząc na mnie z dziwną miną. Na trawniku na lewo ode mnie stał nieruchomo niczym posąg Boggs. Na jego widok poczułam jeszcze silniejsze przerażenie.

Pobiegłam do frontowych drzwi, wpadłam do domu jak bomba i popędziłam prosto do swego pokoiku. Ściągnęłam idiotyczną sukienkę i rzuciłam ją na podłogę. Potem usiadłam na łóżku i zaczęłam oddychać głęboko.

Czy to choroba psychiczna, czy rozpaczliwy żal popycha wuja do takich postępów? - zastanawiałam się. Nie miałam wiele czasu, żeby o tym pomyśleć. Drzwi do mego pokoju otworzyły się z takim hukiem, że omal nie wyleciały z zawiasów. Nieporadnie osłoniłam się rękami.

- Nie próbuj opowiadać nikomu żadnych świństw o panu Endfieldzie - warknął groźnie Boggs, po czym wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

- Och, mamó! - jęknęłam. - Gdybyś tylko wiedziała, co mnie tu czeka. Myślałaś, że to będzie dla mnie zbawienie, a ja nie wiem teraz, czy nie lepsze było nasze codzienne piekło, bo przynajmniej rozumiałam, co się tam dzieje.

KORZYSTAJ Z CHWILI

Po tym, co wydarzyło się w domku, byłam tak wyczerpana emocjonalnie, że gdy tylko położyłam głowę na poduszce, natychmiast zmorzył mnie sen. Jednak nie trwało to długo. Obudziłam się spocona jak mysz. Usiłowałam zasnąć, ale przez długi czas tkwiłam pogrążona w płytkiej drzemce. Było mi gorąco, niewygodnie, co chwila przewracałam się z boku na bok. Kiedy wstałam rano, bolało mnie całe ciało, jakbym przepłynęła ładnych kilka mil.

O świcie obudziłam się z koszmarne go snu. Byłam dzieckiem, leżałam w wózku ogromnym jak wagon kolejowy. Nade mną pochylał się wuj Richard, wielki niczym góra. Miał olbrzymie ręce i małą główkę z własną twarzą na końcu każdego palca. Możliwe, że krzyczałam przez sen, ale jeśli nawet Boggs mnie słyszał, nie przyszedł, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje. Ja w każdym razie słyszałam we śnie swój krzyk. Uciekałam przez las, w którym jedno drzewo po drugim przemieniało się w ponurego mężczyznę o twarzy Boggsa, wyciągającego ramiona grube jak konary, by mnie schwytać.

Z trudem wstałam z łóżka i powlokłam się do łazienki. Przypatrzyłam się swemu odbiciu w lustrze. Oczy miałam szkliste i zaczerwienione, powieki opadały jak sztandary w bezwietrzny dzień. Nie miałam siły, żeby o siebie zadbać; przyczesalam tylko włosy i pozwoliłam, żeby nogi zaniósły

mnie korytarzem do kuchni, jakby górna połowa mego ciała wciąż pozostawała uśpiona.

- Wygląda na to, że tylko ja jedna spędziłam noc jak należy - skomentowała mój wygląd pani Chester, gdy przed nią stanęłam. - Coś ty wczoraj wyprawiała? Upiłaś się?

- Nie upiłam się - zaprzeczyłam. - Nie nadużywam alkoholu.

- Aha, wystarczy jeden rzut oka, żeby się zorientować, że sobie wczoraj użyłaś - upierała się pani Chester.

Wprawdzie od słuchania kucharki zrobiło mi niedobrze, ale postanowiłam zająć się pracą i nie zwracać uwagi na jej gadanie. Po chwili do kuchni wróciła Mary Margaret, która nakrywała do stołu. Poruszała się dziwnie powoli, niezdarnie i ociężale. Była blada, miała ciężkie powieki i zamglone spojrzenie, jakby była chora. Zerknęła na mnie i zaraz odwróciła głowę. Zauważyłam, że pani Chester również przygląda się pokojówce spod oka.

- Ruszaj się zwawiej - rzuciła. - Za minutę państwo zejść na śniadanie.

Ku memu zdziwieniu, ciotka Leonora wstała i zeszła do jadalni. Powiedziała, że nie może sobie pozwolić na chorowanie, bo w południe koniecznie musi pojechać na imprezę dobroczynną. Nie ukrywała, że jest to z jej strony ogromna ofiara. Narzekała na ból nosa, gardła i szum w głowie.

- Mam nadzieję, że jakoś sobie poradzę - oświadczyła na koniec z westchnieniem. - Tak wielu ludzi liczy na moją pomoc.

Wuj Richard nic na to nie odpowiedział. Siedział schowany za płachtą gazety. Spojrzał na mnie tylko raz, ale to jedno spojrzenie wystarczyło, żebym się znów zaczęła trząść ze zdenerwowania. Miałam tak ściśnięte gardło, że z trudem zaczerpnęłam powietrza. Wuj Richard popatrzył na mnie dziwnym, niezbyt przytomnym wzrokiem. Potem odwrócił głowę i siedział sztywny, jakby mnie w ogóle nie zauważał.

Ciotka Leonora nie znosiła milczenia, więc chrupiąc grzanekę, raz po raz usiłowała wciągnąć męża do rozmowy. Miałam

wrażenie, że zasłonił się gazetą jak tarczą, by móc udawać, że nic nie słyszy. Dopiero gdy ciotka co najmniej dwukrotnie powtórzyła jakieś pytanie, opuszczał gazetę i rzucał w odpowiedzi coś, co brzmiało na ogół: „Skoro nie masz pojęcia, o czym mówisz, Leonoro, lepiej zrobiłabyś, siedząc cicho”.

- Tak tylko mówię - wyjaśniała ciotka, ale posłusznie milkła, dopóki nie przyszedł jej do głowy jakiś nowy pomysł.

Kiedy oboje już zjedli, pomogłam Mary Margaret posprzątać jadalnię. Podczas śniadania pokojówka była jeszcze cichsza niż zwykle. Kiedy ją spytałam, jak się czuje, wymamrotała coś niewyraźnie pod nosem, nie podnosząc na mnie oczu, jakby się bała, że wyczytam z nich prawdę. Wydała mi się bardziej wystraszona i krucha niż zwykle. Już zbierałam się na odwagę, by zwrócić pani Chester uwagę, że z Mary Margaret dzieje się coś złego, gdy pokojówka sama zademonstrowała to w dramatyczny sposób.

Właśnie podała pani Chester umytą miskę, gdy naraz jej oczy uniosły się do szybko do góry, jakby dostrzegła coś pod sufitem, a potem łagodnym spiralnym ruchem - jej kości nagle chyba stały się miękkie jak galareta - osunęła się cicho na posadzkę. Obie z panią Chester byłyśmy tak zdumione, że w pierwszej chwili po prostu stałyśmy i patrzyłyśmy na Mary Margaret osłupiałe.

- Mary Margaret! - krzyknęła w końcu kucharka. Potem zaczęła wzywać na pomoc Boggsa.

Służący wszedł natychmiast, jakby stał za drzwiami, słuchając każdego naszego słowa. Pomyślałam, że przeczcucie mnie nie myliło. Raz przynajmniej byłam mu za to wdzięczna. Twarz pokojówki wciąż była blada i nieruchoma jak wędznąca lilia.

Boggs spojrział na Mary Margaret, a potem podniósł głowę i rzucił mi takie spojrzenie, jakbym zrobiła dziewczynie jakąś krzywdę.

- Co się tu stało?

- Zemdlała i upadła - powiedziała pani Chester.

Boggs popatrzył na nią, potem rzucił mi jeszcze jedno niechętnie spojrzenie i uklęknął przy pokojówce.

- Lepiej wezwijmy lekarza - mruknęła pani Chester.

- Ja się nią zajmę. - Boggs wsunął ręce pod leżące ciało i bez widocznego wysiłku uniósł dziewczynę. - Dokończcie sprzątanie - rzucił i wyszedł, niosąc Mary Margaret na rękach.

- Co jej się stało?

Pani Chester pokręciła głową i zajęła się swoją robotą.

- Co miał na myśli Boggs, mówiąc, że się zajmie Mary Margaret? Co z nią zrobi? Przecież nie jest lekarzem.

- Powiedział, że się nią zajmie, to znaczy, że się zajmie - odpowiedziała ze stoickim spokojem kucharka.

- Założę się, że wyleje jej na głowę kubek wody i każe odkurzyć fortepian.

Pani Chester nie odpowiedziała. Dokończyłam swoją robotę najszybciej, jak mogłam. Kiedy wyszłam z kuchni, w domu panowała cisza. Poszłam korytarzem, zaglądając po drodze do kolejnych pomieszczeń, żeby się przekonać, czy nie zobaczę pokojówki odpoczywającej gdzieś na kanapie.

- Gdzie on ją zawlókł? - mruknęłam do siebie.

Wracając do swego pokoiku, nasłuchiwałam przez chwilę pod drzwiami Boggsa, lecz w jego pokoju panowała głucha cisza. Nie pozostawało mi nic innego, jak przebrać się i jechać do szkoły. Po tym, co przeszłam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, nie mogłam się skupić na nauce. Na lekcji wymowy wypadłam fatalnie, na zajęciach z tańca było jeszcze gorzej, czułam się, jakbym miała dwie lewe nogi. Tym bardziej wyróżniałam się na tle uczniów, którzy gorączkowo starali się zabłysnąć, by zwiększyć swoje szanse na znalezienie się w obsadzie *Poskromienia złośnicy*.

Po szkole rozeszła się pogłoska, że producentem przedstawienia będzie Tylor Harrison, jeden z najbardziej cenionych reżyserów w Londynie. Weszło już w zwyczaj, że co roku producentem jednej ze szkolnych inscenizacji jest któryś z uznanych reżyserów. W ten sposób szkoła zyskiwała rozgłos, a przedstawienia przyciągały uwagę ludzi z branży teatralnej.

Pod koniec zajęć pan MacWaine przyszedł do nas i potwierdził pogłoskę.

- Przesłuchania odbędą się w czasie weekendu. Zainteresowani proszeni są o zgłoszenie się do sekretariatu.

Zainteresowani byli oczywiście wszyscy. W szkole zawrzało jak w ulu. Podniecenie przeniosło się na lekcję wymowy dramatycznej u pani Winecoup, która poprosiła nas, byśmy improwizowali. Randall był ze mną w klasie. Choć nadal z nim nie rozmawiałam, przestałam patrzeć na niego ze złością. Najwyraźniej uznał to za oznakę, że mu wybaczyłam, bo na zakończenie wspólnie odgrywanej sceny wylądował naprzeciw mnie i szybko zmienił ją w scenę miłosną. Zanim zdążyłam zaprotestować, objął mnie i pocałował namiętnie. Wyrwałam mu się z ramion zdyszana i zarumieniona.

- Nie mogę bez ciebie żyć! - krzyknął Randall.

Zobaczyłam, że Catherine i Leslie się śmieją.

- No cóż - powiedziała pani Winecoup - to było trochę przerysowane. Sztuka wymaga powściągliwości. Myślałam, że lepiej zrozumiesz lekcję.

- Przepraszam - powiedział Randall i spojrzał na mnie. - Przepraszam.

- Trzymaj się lepiej śpiewu - doradziłam, co wywołało powszechny śmiech i rozładowało napięcie. Nawet pani Winecoup wyglądała na zadowoloną i wróciła do subtelności wymowy dramatycznej.

Po lekcjach Randall jeszcze raz usiłował nawiązać ze mną rozmowę.

- Przyjdiesz na przesłuchania, prawda?

- Jeszcze nie wiem. - Naprawdę nie wiedziałam. Nie czułam się jeszcze gotowa do udziału w tak poważnym przedsięwzięciu.

- Powinnaś, byłabyś świetna jako Katarzyna.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że jestem jędzą?

- Nie, nie - powiedział szybko. - Chciałem tylko powiedzieć, że byłabyś świetna, bo jesteś najlepszą aktorką w szkole.

Przepraszam cię za to, co się wtedy stało. Zrobiłem z siebie głupca.

- Zrobiłeś głupców z nas obojga - odpowiedziałam zimno.
- Nie da się cię odzyskać, co?
- Nie jestem nagrodą na konkursie.
- Nie o to mi chodziło.
- Wiem. - Sama miałam już trochę dość swojej złości na

Randalla. - Zrozum, w ciągu ostatnich dni wiele się wydarzyło. W tej chwili jestem bardzo zajęta.

- Widziałas się z ojcem, prawda? - Randall uśmiechnął się do mnie. - Wiem, że go widziałas. Poznaję to po twojej minie.

- Widziałam człowieka, który mnie spłodził. To wszystko. Nie widziałam jeszcze mego ojca. Muszę już iść.

Wstałam i ruszyłam do drzwi.

- Zaczekaj... - Randall mnie dogonił. - Czy nie moglibyśmy po prostu pogadać? Tak dobrze nam się zawsze rozmawiało. Naprawdę nie bardzo lubię Leslie, nie tak jak ciebie. To był tylko taki wyskok, przygoda. Nie mógłbym z nią rozmawiać o naprawdę poważnych sprawach. Tobie mówiłem o rzeczach, o jakich z nikim dotąd nie rozmawiałem - oświadczył z całą powagą.

Wydawał się tak szczery, że aż się roześmiałam.

- Może nawet nie jesteś takim złym aktorem, Randall.

- Nie jestem aktorem! To ja, Randall, a nie żadna postać ze sztuki!

- Być może - odpowiedziałam. - Najpierw muszę uporządkować własne sprawy.

- Będę na ciebie czekał na przesłuchaniach, Rain. Przyjdę specjalnie dla ciebie.

- Rób, co chcesz. Na razie.

Odwrociłam się i odeszłam.

- Nie bądź głupia! Idź na przesłuchanie! - wołał za mną Randall. - Jesteś najlepsza w szkole!

Uśmiechnęłam się do siebie.

Po powrocie do Endfield Place poszłam prosto do kuchni. Pani Chester szykowała na kolację perliczki.

- Co z Mary Margaret? - spytałam od progu.
- Mamy kupę roboty - odparła na to kucharka. - Musimy poradzić sobie we dwie.
- Ale co z Mary Margaret? Co jej się stało?
- Pani Chester nadal zajmowała się swoją robotą, jakby nie słyszała moich pytań. Stałam i czekałam, aż mi odpowie.
- Pani Chester? Proszę mi coś powiedzieć.
- Kucharka odwróciła się powoli.
- Co się stało? Czy Mary Margaret jest chora?
- Nie. Ale nieprędko tu wróci, jeśli w ogóle wróci.
- Dlaczego? Co się z nią stało? - Przypomniała mi się mama. - Chyba nie ma raka?
- Nie. Ale nie powiodło się biedaczce najlepiej.
- Czemu?
- Ech, przez chłopca - powiedziała pani Chester.
- Jak to?
- Ktokolwiek tam z nią to wyprawiał, nie używał Jasia.
- Jasia? - Zastanawiałam się przez chwilę. - Chce pani powiedzieć, że Mary Margaret jest w ciąży?
- Jak przyjdzie co do czego, to nie jesteś taka głupia, co?
- Jest w ciąży?
- To się zdarza. - Pani Chester wróciła do pracy. - Tak mnie zwiódła, no, no. Cały czas myślałam, że jest panną. Ilekroć tylko wspominałam o tych sprawach, wbijała wzrok w podłogę i cała się kuliła. A niech to. No i czy nie wyszłam na głupią?
- I tym tylko się pani martwi? Jak pani wypadła? A co z Mary Margaret?
- Jak sobie człowiek pościele, tak się wyśpi - oświadczyła sentencjonalnie kucharka.
- Nieprawda. Nie zawsze możemy w życiu wybierać, czasem po prostu lądujemy gdzieś na świecie i tyle.
- Tak czy siak, niczego to nie zmieni. Pan Endfield nie będzie tolerował w swoim domu osoby lekkich obyczajów.
- Przecież dobrze pani wie, że Mary Margaret nie jest osobą lekkich obyczajów.

Kucharka odwróciła się ode mnie bez słowa.

- Jeśli nie pani, to kto jej pomoże?

- Mam swoją robotę. A za zbędne gadanie nikt mi nie zapłaci.

Odwróciłam się i poszłam do swojego pokoiku, żeby się przebrać. Podczas kolacji nikt nawet nie wspomniał o Mary Margaret. Zdaje się zresztą, że ciotka Leonora i wuj Richard w ogóle nie zamienili ani słowa. Pokojówka stała się z dnia na dzień, jak to ujęła pani Chester, *persona non grata*. Co do mnie, nie potrafiłam równie łatwo zapomnieć o biednej Mary Margaret i kiedy posprzątałyśmy po kolacji, poszłam ją odwiedzić.

Adres dostałam od pani Chester, która powiedziała mi, że to gdzieś niedaleko Cromwell Hospital. Mary Margaret ze swoją, jak ją nazywała, mamuszką, mieszkały chyba w najstarszym domu przy całej ulicy. Drzwi wyglądały tak, jakby miały zaraz wypaść z zardzewiałych zawiasów, a schody były takie wąskie, że nie wyobrażam sobie, żeby można się było na nich minąć. Mary Margaret z matką mieszkały na trzecim piętrze. Wspinałam się po skrzypiących stopniach, starając się nie opierać na chwiejnej poręczy i nie zaglądać w głąb mrocznej sieni.

W końcu dotarłam do ich drzwi. Zastukałam. Z wnętrza dobiegł głos spikera, potem muzyka. Zastukałam jeszcze raz, tym razem mocniej i głośniej. Radio przycichło, a potem ktoś podszedł do drzwi, szurając kapciami. Zabrzęczał łańcuch i drzwi się uchyliły. Przez szczelinę szerokości kilku cali wyrzała niska kobieta z rozczochranymi na czubku głowy rzadkimi siwymi włosami. Miałam wrażenie, że patrzy prosto na moje piersi. Czoło kobiety pokrywały zmarszczki. Domyśliłam się, że to matka Mary Margaret.

- Kto to? - spytała. Zmarszczyła nos jak królik. Czy próbowała wywąchać mój zapach?

- Przyszłam do Mary Margaret. Nazywam się Rain Arnold. Pracuję z Mary Margaret w Endfield Place.

Kobieta nie odpowiedziała. Stała przede mną, wciąż marsz-

cząc nos, jakby chciała wyniuchać, czy nie robię jej kawału. Wreszcie odwróciła głowę i w szczelinie ukazało się ucho.

- Kim jesteś?

- Rain Arnold. Pracuję w Endfield Place z Mary Margaret - powiedziałam głośno i wyraźnie.

- Chwileczkę - rzuciła w odpowiedzi i zatrzęsnęła mi drzwi przed nosem. Znow słyszałam szuranie kapci i ciche mamrotanie. Ściany nie są tu bardzo grube, pomyślałam. Jeśli cię rozboli brzuch, sąsiedzi zaraz będą o tym wiedzieć. Z góry dobiegał śmiech, zza ściany na prawo muzyka rockowa.

Matka Mary Margaret znow uchyliła drzwi, tym razem nieco szerzej. Cofnęła się o krok i przyglądała mi się z lekko przekrzywioną głową. Spod grubego szlafroka wyłaniała się bladoniebieska bawełniana koszula nocna i rozdeptane skórzane kapcie. Na białych łydkach rysowała się siatka niebieskich żyłek. Kobieta była niska i tęga, miała wielkie, obwisłe piersi, a jej głowa zdawała się wyrastać wprost z tułowia, bez szyi. W przedpokoju panował półmrok, ale mimo to widziałam, że podobnie jak córka, ma wąskie usta i drobne rysy.

- Nie chce z panią rozmawiać.

- Muszę ją zobaczyć. Proszę... - powiedziałam, wchodząc do mieszkania.

Kiedy znalazłam się w środku, przede wszystkim uderzył mnie nieprzyjemny zaduch, jakby nikt od lat tutaj nie wietrzył. Po drugie, pełno tu było dziwacznych, starych, poniszczonych mebli - obita ciemnoczerwonym pluszem kanapa z postrzępionymi poduchami, głębokie skórzane fotele z popękkanymi obiciami i sterczącymi od spodu sprężynami, poprzecierane orientalne dywany, spod których wyzierały deski podłogi. Na drugiej kanapie leżały piernaty; najwyraźniej ktoś na niej sypiał.

Okna bawialni wychodziły na dom stojący po drugiej stronie wąskiej uliczki. Zdawało się, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, by go dotknąć. Na prawo były drzwi prowadzące do małej kuchni, w której stał stół i krzesła. Kuchnię pomalowano

na bladożółty kolor, ciemnozielone ściany bawialni zdawały się w półmroku jeszcze ciemniejsze.

- Gdzie jest Mary Margaret?

- W sypialni. Ale ona nie chce nikogo widzieć. Źle się czuje.

- Wpadłam tylko na chwilkę. Dziękuję pani.

Z bawialni weszłam do maleńkiego pokoiku. Większą jego część zajmowało ciężkie dębowe łóżko. Pod ścianami stały dwie komódki - każda inna - jedna większa, druga mniejsza. Przy łóżku stał nocny stolik, na którym stała mała lampka z zielonym abażurem. Mary Margaret leżała na wznak z głową na wielkiej poduszce. Kiedy weszłam, oderwała wzrok od sufitu i spojrzała na mnie.

- Co tu robisz?

- Chciałam cię zobaczyć i przekonać się, czy pani Chester powiedziała mi prawdę.

- Nikt cię nie przysłał?

- Nie.

- Więc lepiej idź stąd czym prędzej.

- Może ona się napije herbaty - usłyszałam gdzieś z tyłu.

Obejrzałam się. Matka Mary Margaret stała pośrodku bawialni z przekrzywioną głową. - Mogę zaraz zrobić.

- Nie! - zawołała w odpowiedzi Mary Margaret. - Ona już idzie, mamó.

- Czego się boisz, Mary Margaret? - Podeszłam bliżej do łóżka.

- Nie boję się. Lepiej idź.

- Zachowujesz się bardzo niegrzecznie, Mary Margaret - wtrąciła jej matka.

- Zostaw nas w spokoju, mamó.

- Więc to prawda, Mary Margaret?

- Co się stało? - spytała matka Mary Margaret. Stała teraz tuż za drzwiami, wciąż przekrzywiając głowę, jakby chciała nas lepiej słyszeć.

- Nic się nie stało, mamó. Wracaj do swego radia.

Stałam tam, nie wiedząc, co począć, gdy nagle Mary Mar-

garet usiadła i zaczęła cicho szlochać. Podeszłam do niej i usiadłam na brzeżku łożka.

- Nie płacz - powiedziałam. - Przyszłam tu, żeby ci pomóc.
- Czy ty płaczesz, Mary Margaret? - dobiegło nas z bawialni.
- Nie, mam. Nie. Proszę.

- Zaparzę herbatę dla ciebie i dla twojej przyjaciółki - powiedziała kobieta i odeszła, szurając kapciami.

- Czy twoja matka da sobie radę? Czy nie powinnam jej pomóc?

- Nie. Jest niewidoma, ale radzi sobie z gospodarstwem.

- Niewidoma?

- Niemal. Rozróżnia światło od ciemności, dostrzega ludzi jako niewyraźne, ciemne kształty, ale nie może dojrzeć żadnych szczegółów. - Mary Margaret otarła łzy z policzków. - Po co tu przyszłaś?

- Już ci powiedziałam. Niepokoiłam się o ciebie.

- A co ja cię obchodzę?

- Wszyscy powinniśmy się o siebie nawzajem troszczyć, nie sądzisz?

Popatrzyła na mnie podejrzliwie i nieufnie, jakby czuła, że za moimi słowami coś się kryje.

- Naprawdę jesteś w ciąży?

Skinęła głową.

- Wyjdiesz za niego?

- Za kogo?

- Za ojca swego dziecka. Czy ma zamiar postąpić uczciwie i zająć się tobą i dzieckiem?

Czy może dziecko skończy jak ja? Samotna, bezdomna, pozbawiona prawdziwej tożsamości... nikt. Miałam nadzieję, że kochanek Mary Margaret żywi większe poczucie odpowiedzialności w stosunku do dziecka.

Dziewczyna spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby nie rozumiała nie tylko tego, że mogę się spodziewać, iż ojciec dziecka zajmie się nimi, ale także jakby sama myśl o jego odpowiedzialności była dla niej czymś niepojętym. Może sądziła, że zaszła w ciążę za sprawą Ducha Świętego.

- Byłaś z mężczyzną, prawda? To się zdarzyło tylko raz, tak? Powiedz, czy wiesz, kto jest ojcem dziecka? - Zasypałam Mary Margaret pytaniami, pragnąc usłyszeć odpowiedzi, które uwolniłyby mnie od niepokoju o jej los.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- A co z dzieckiem? Czy masz zamiar je urodzić?

- Nie mam wyjścia.

- Jak to? Czemu?

- Mówiłam ci już, że nie chcę o tym rozmawiać. Proszę cię, idź już.

- Czemu nie masz wyjścia? Ze względu na twoje wyznanie?

- Nie.

- Wobec tego o co chodzi?

- On chce, żebym to dziecko urodziła.

- Kto?

- Proszę cię, daj mi spokój - poprosiła i znów zaczęła płakać. Odwróciła głowę, żeby ukryć łzy, a ja położyłam jej rękę na ramieniu.

- Może mogłabym ci jakoś pomóc?

Popatrzyła na mnie, ocierając piąstkami oczy.

- Jak mogłabyś mi pomóc? Sama jesteś biedną sierotą, bez wpływu na własny los. Przysłali cię tu, bo w Ameryce nikt cię nie chciał.

- Kto ci to powiedział?

- Wszystko jedno. Proszę cię, zostaw mnie w spokoju. Dość już mam kłopotów.

- To wszystko nie jest twoja wina, Mary Margaret. Nie mają prawa wyrzucać cię na ulicę. Sami wcale nie są tacy święci.

Mary Margaret spuściła oczy, a potem odwróciła się ode mnie.

- Wiem, co robiłaś w domku - powiedziałam łagodnie.

Tym razem Mary Margaret natychmiast odwróciła głowę.

- Co?

- Kiedyś wieczorem widziałam cię przez okno z panem Endfieldem.

Pokręciła głową, jakby chciała zaprotestować.

- Byłaś ubrana jak mała dziewczynka. Pan Endfield traktował cię, jakbyś była jego córką.

- Nie wolno ci nikomu o tym mówić.

- Nieprawda. Ale nie bój się, nikomu o tym nie powiem. Poza tym pan Endfield przebudował ostatnio domek, bo chciał, żebym teraz z kolei ja udawała jego córkę, tylko że dorosłą.

Mary Margaret popatrzyła na mnie wielkimi oczami.

- Naprawdę?

- Tak. I to wcale nie była dobra zabawa. Jak widzisz, pan Endfield nie może cię potępić ani zwalniać z pracy. Sam ma się czego wstydzić. Powinnas z nim porozmawiać otwarcie. - Mary Margaret cały czas kręciła głową. - A przede wszystkim nie musisz odchodzić już teraz. Niczego po tobie nie widać i nawet kiedy...

- Nie, nigdy tam nie wrócę. Proszę, daj spokój

- Czemu?

- No i już mam dla was herbatkę. - W drzwiach stanęła matka Mary Margaret z filiżankami na spodeczkach.

- Powiedziałam ci, że nie chcę herbaty.

Kobieta stała bez ruchu w drzwiach z wyciągniętymi przed siebie rękami. Szybko wstałam i wzięłam od niej naczynia.

- Dziękuję. - Podałam Mary Margaret filiżankę. - Napij się. Herbata dobrze ci zrobi.

Niemal się uśmiechnęła.

- Mówisz jak Angielka.

- To się udziela.

Skinęła głową i odetchnęła głęboko. Potem popatrzyła na matkę, która wciąż stała w drzwiach z zatroskaną miną.

- Idź, posłuchaj radia, mamo. Przestań się o mnie martwić. Daję ci słowo, że wszystko będzie dobrze.

- Zgoda, kochanie. - Matka uśmiechnęła się do córki. - Zawołaj mnie, gdybyś czegokolwiek potrzebowała.

- Czy matka o niczym nie wie?

- Myśli, że mam okres.

- Co zamierzasz zrobić, Mary Margaret?

Napiła się herbaty i pokręciła głową.

- Teraz już wszystko będzie dobrze. Nic nie muszę robić.

- Co będzie dobrze? Masz niewidomą matkę, straciłaś pracę, jesteś w ciąży, a ojciec dziecka, ktokolwiek to jest, nie wydaje się nim szczególnie zainteresowany.

- Ależ jest zainteresowany - zaprzeczyła Mary Margaret i wypila kolejny łyk herbaty. - On też chce, żeby dziecko się urodziło.

- Więc czemu się z tobą po prostu nie ożeni? - Opuściła wzrok. - Już jest żonaty, tak? - Skinęła głową. - Gdzie się z nim spotykałaś?

- U niego w domu.

- U niego? Żonaty mężczyzna zaprosił cię do domu, a ty się zgodziłaś?

- Musiałam.

- Musiałaś? Jak to? Czemu?

Mary Margaret popatrzyła na mnie. Jej oczy powiedziały mi wszystko. Teraz to ja zaczęłam kręcić głową. Nie chciałam spojrzeć prawdzie w oczy.

- Czemu musiałaś się zgodzić? Powiedz, proszę.

- To ja cię proszę, Rain, dajmy już temu spokój.

- To pan Endfield - wydobyłam z siebie z najwyższym trudem. - To on jest ojcem dziecka, tak?

- Proszę cię, idź już. - Mary Margaret odstawiła filiżankę na nocny stolik obok lampki. - Proszę cię, nie narób mi więcej kłopotów.

- W kłopoty to ty się już wpakowałaś, dziewczyno. Nie rozumiem. Przebierałaś się za małą dziewczynkę. Skoro udawałaś jego córkę, jak on mógł... jak to w ogóle możliwe, żeby...

- Przebierałam się nie tylko za małą dziewczynkę. - Po twarzy Mary Margaret spływały łzy. - Pan Endfield miał także inne stroje... Takie, jakie noszą tancerki w nocnych klubach - przyznała.

- To okropne. Czy ktoś o tym wiedział?

- Nikt.

- Boggs - sprostowałam ostro. - Przecież to on pilnował

domku podczas waszych schadzek. Boggs wie o wszystkim, tak? Wie, że jesteś w ciąży, prawda?

Skinęła głową.

- Obaj powinni trafić do Tower - mruknęłam. - Niech no ośmieli się na mnie jeszcze raz spojrzeć w ten swój wstrętny sposób...

- Nie możesz mu o niczym mówić - jęknęła przerażona Mary Margaret. - Proszę cię, Rain, proszę... Idź już. Za nic się nie zdradź z tym, że tu byłaś. Nic mu nie mów.

- A co on mi może zrobić? Zrozum, Mary Margaret, ani Boggs, ani nikt inny nic ci nie może zrobić. Masz prawo pójść na policję i oskarżyć ich obu o wykorzystywanie seksualne. - Omal nie powiedziałam jej, kim są dla mnie Endfieldowie, ale bałam się, że mogłabym ją jeszcze bardziej wystraszyć. - Uważam zresztą, że powinnaś to zrobić. Jeśli chcesz, pójde z tobą.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, proszę.

- Czemu nie? Boggs jest tyranem; potworem w garniturze i pod krawatem. Jest nie lepszy od pana Endfielda. To...

Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi. Ktoś wszedł do mieszkania. Mary Margaret jęknęła i położyła dłonie na piersi. Odwróciłam się do drzwi. Z bawialni dobiegły mnie ciężkie kroki. Zaraz potem stanął w drzwiach, patrząc na mnie wściekłym wzrokiem, Boggs we własnej osobie.

- Co tu robisz?

- Przyszłam z wizytą do Mary Margaret - odparłam wojowniczo. - Może raczej pan powie mi, co tu robi? - Wstałam, patrząc mu prosto w oczy. - Jeżeli pan nie wyjdzie, zaraz wezwiemy policję.

Uśmiechnął się zimno i pokręcił głową.

- Chcesz dzwonić po gliny? Ha! Dobrze sobie. Wiele ci z tego przyjdzie! To mój dom. - Boggs wskazał gestem otaczające nas ściany, po czym wymierzył palec w Mary Margaret. - A to moja córka.

Miałam wrażenie, że podłoga usuwa mi się spod stóp.

Ogarnęło mnie lodowate zimno. Tylko najwyższym wysiłkiem woli zdołałam się utrzymać na nogach. Jeśli kiedykolwiek w życiu byłam aktorką, to właśnie wówczas.

Lata przeżyte w slumsach Waszyngtonu nauczyły mnie, że kiedy człowiek się boi, lepiej jest zaskoczyć przeciwnika nagłym atakiem, niż okazać strach. Zaskoczenie bywa czasem najlepszą bronią. A czasem po prostu nie ma się innej.

- Mary Margaret jest pana córką, a pan pozwala ją tak wykorzystywać? Co z pana za ojciec?

- Lepszy od twojego.

Zabolało mnie to, ale nie dałam się zbić z tropu.

- Wolałabym w ogóle nie mieć ojca, niż mieć takiego jak pan, człowieka, który nie tylko pozwala, żeby ktoś krzywdził jego córkę, ale na dodatek osobiście pilnuje, żeby nikt w tym nie przeszkodził.

- Nie masz o niczym pojęcia - odpowiedział lekceważąco, ale ze spojrzenia, jakie rzucił Mary Margaret, wiedziałam, że teraz on odczuł boleśnie mój cios.

- A cóż w tym niepojętego? Pozwolił pan, żeby lubieżny staruch wykorzystywał pańską córkę do wcielania w życie swoich zboczonych fantazji. Co ją teraz czeka?

- Niech cię diabli, dziewczyno. Przestańże ją straszyć. Nic jej się nie stanie. Poza tym, co innego mogłaby robić? Nic nie umie, nie ma zawodu ani żadnych zdolności. Nawet w szkole nie zaszła daleko. Teraz przynajmniej już do końca życia będzie miała pieniądze. Pan Endfield zapewni jej porządne mieszkanie, a moja żona przeniesie się razem z nią. Wreszcie się wyrwą z tej pułapki na szczury.

Uśmiechnął się i wyprostował dumnie ramiona.

- Wiedziałem o wszystkim, to prawda. Wiedziałem, co się święci, i pomyślałem sobie: czemu nie mielibyśmy na tym skorzystać? Zadbalem o to, żeby moja córka miała do końca życia zapewnione bezpieczeństwo. Czy twój ojciec zrobił dla ciebie równie wiele?

Wymierzył we mnie gruby paluch.

- Nie oskarżaj o grzechy ludzi, jeśli nic o nich nie wiesz.

Nie masz o niczym pojęcia. A teraz wynoś się stąd i zostaw Mary Margaret w spokoju.

- Skąd pan wie, że nie poradziłaby sobie lepiej sama? Jak pan mógł skazać ją na takie życie?

- A ta wciąż swoje - westchnął. - Mary Margaret na nic nie narzeka. No proszę, jak chcesz, sama ją zapytaj.

Spojrzałam na Mary Margaret. Nieszczęsna dziewczyna objęła się ramionami i trzęsła jak liść osiki.

- Co ma powiedzieć, kiedy stoi pan nad nią jak jakiś potwór?

- Potwór? Ja jestem potworem? - Boggs opuścił ramiona. - My jesteśmy prości ludzie. Nie mamy żadnego majątku, nikt nam nic w życiu nie dał. Przez lata robiłem, co mogłem, dla dobra swojej rodziny. Woziłem Endfieldów po całym mieście i słuchałem ich rozmów o herbatkach i lunchach, na których się marnuje więcej jedzenia, niż my tu zjadamy przez tydzień. Ilekroć coś chcieli wyrzucić, prosiłem ich, by zechcieli to dać mnie, a kiedy pojawiła się okazja, zapewniłem córce porządną, stałą pracę. A jak myślisz... - Boggs zwrócił się nagle wprost do mnie - co się tu dzieje z takimi dziewczynami? Ich los jest taki sam jak za oceanem. Mary Margaret mogłaby się dać usidlić jakiemuś nicponiowi i skończyć jako nędzarka. Teraz zawsze będzie miała własny dom, będzie miała co włożyć na grzbiet, będzie miała co jeść. I ja jestem potworem? Dość tego, wynoś się z mojego domu i więcej tu nie przychodź.

Z opuszczoną głową wyszedł do bawialni, gdzie siedziała jego żona. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić.

- Mary Margaret - powiedziałam łagodnie.

Pokręciła głową. Miała puste spojrzenie kogoś, kto już się pogodził z nieuchronnym. Wskazała mi gestem drzwi.

- Proszę, idź już - szepnęła i opuściła głowę.

- Dobrze. Gdybyś mnie potrzebowała, wiesz, gdzie jestem.

Boggs siedział na kanapie zgarbiony, z opuszczoną głową, wciskając potężne dłonie pomiędzy kolana. Żona przysiadła obok, trzymając go kurczowo za ramię, jakby był kotwicą, która chroni ją przed osunięciem się w niepamięć.

Widziałam w życiu wiele żałosnych i nieszczęśliwych rodzin, widziałam ludzi, którzy jedynie przez krótką chwilę byli w stanie zastanawiać się nad swoim losem, bo gdyby myśleli o nim dłużej, mogliby oszaleć albo, co gorsza, zrobić krzywdę sobie lub komuś innemu.

Chciałabym móc nienawidzić Boggsa. Zawsze traktował mnie nieprzyjaźnie i okrutnie. Jeszcze bardziej chciałabym go znienawidzić za to, co zrobił Mary Margaret, ale gdzieś w sercu słyszałam głos mamy, która przypominała mi, żebym nie osądzała, lecz starała się zrozumieć.

„Czy podobnego gniewu i wrogości nie widziałas także u wielu czarnych w Projektach? Spójrz na Boggsa z takim samym dystansem, z jakim patrzyłaś na mężczyzn walczących ze sobą na ulicach. Nie osądzaj go, nie staraj się mu wybaczyć, staraj się go zrozumieć, a potem idź dalej, dziecko. Idź dalej własną drogą”.

Dobrze, mamó, szepnęłam w duchu. Dobrze.

Wysłałam z mieszkania i zamknęłam za sobą drzwi.

Nie pamiętam drogi powrotnej do Endfield Place, musiałam jednak jakoś wrócić na stację metra, wybrać właściwą linię i dotrzeć na miejsce. Po drodze zastanawiałam się nad własnym dzieciństwem. Mama tak wiele zrobiła, żeby uchronić nas przed świadomością nędzy, w jakiej przyszło nam żyć. Dopiero koło dziesiątego roku życia zaczęło do mnie docierać, że jesteśmy biedni. Czy Boggs kierował się tym samym impulsem, co moja mama, czy chciał uchronić dziecko przed nędzą? Jeżeli tak, to jakże dziwaczną postać przybrało jego dążenie, pomyślałam. A jednak im więcej wiedziałam o Boggsie, tym mniej mogłam go potępiać.

Czemu tak trudno jest mi osądzić, co dobre, a co złe? Czy nie lepiej przyjąć postawę *joie de vivre*, jak Leslie i Catherine? Czy nie przyjemniej przestać się zamartwiać i korzystać z chwili?

Idź na przesłuchanie, Rain, powiedziałam sobie. Korzystaj z chwili, nie trać życia na smutki.

Korzystaj z dnia.

W takiej mierze, w jakiej było to możliwe, otrząsnęłam się z przygnębienia, w które wprawiła mnie wizyta u Mary Margaret. Ruszyłam podjazdem prowadzącym do Endfield Place, przyrzekając sobie, że będę się bawić, nie martwić.

Nawet wbrew sobie.

W domu było cicho jak makiem zasiał. Sądziłam, że wszyscy śpią, ale w kuchni się świeciło, więc poszłam zobaczyć, kto tam jest. Okazało się, że to Leo zrobił sobie kanapki i zaparzył herbatę.

- Och, panienska Rain - ucieszył się na mój widok. - Cieszę się, że panienkę widzę. Były dwa telefony. - Leo sięgnął do kieszeni i wyjął karteczkę. - Pierwszy od pana Warda.

- Co powiedział?

- Że rozmawiał o wszystkim z Leanną. Prosił, żebyś zadzwoniła, jak tylko będziesz mogła.

Co mogła powiedzieć jego żona? Pewnie, żebym trzymała się od nich z daleka.

- Mówiłeś, że były dwa telefony.

- Tak. Dzwonił jeszcze ktoś imieniem Roy.

- Roy! Och, Roy to mój... mój przyjaciel. Co powiedział?

- Powiedział, że będzie jutro w Londynie i przyjdzie tu koło czwartej po południu. Tylko tyle.

- To wspaniale, cudownie, nie trzeba mi niczego więcej! - Roy wybrał naprawdę najlepszy moment.

Nie mogłam się doczekać, kiedy go zobaczę i o wszystkim opowiem.

Prawie o wszystkim.

Pewne rzeczy musiałam zachować dla siebie.

Późno wieczorem, kiedy już spałam, obudziły mnie ciężkie kroki w korytarzu. Wrócił Boggs. Ze względu na pracę nie

mógł nocować w domu, uświadomiłam sobie. Odwiedzał własną żonę, jak żołnierz na przepustce.

Co za dziwaczne życie, pomyślałam. Tyle ofiar, tyle wyrzeczeń. Na co liczył? Co spodziewał się w ten sposób osiągnąć?

Nie spędzali razem nocy, pomyślałam. Iluż ludzi śpi samotnie. Ile nocy spędziła samotnie mama, czekając na Kena, który pił gdzieś z kumplami.

Nim usnęłam, obiecałam sobie, że kiedy już wyjdę za mąż, nigdy nie usnę sama. Zawsze poczekam na mężczyznę, który mi powie, że też nie mógłby beze mnie zasnąć.

Tak musi wyglądać prawdziwa miłość.

A może to tylko kolejna fantazja?

Kolejna rola?

- Słońce, unieś kurtynę - wyszeptałam - przynieś ze sobą nowy dzień i odpowiedzi na wszystkie pytania.

NOWY DZIEŃ

Przez cały dzień byłam niespokojna, po części dlatego, że nie mogłam się doczekać odwiedzin Roya, po części dlatego, że obawiałam się zatargów z Boggsem, jakie mogłyby wyniknąć z powodu mojej wczorajszej wizyty u Mary Margaret. Jednak Boggs, podobnie jak wuj Richard, udawał, że mnie nie zauważa. Żadnym gestem ani spojrzeniem nie zdradził, że pamięta, by cokolwiek szczególnego się między nami wydarzyło. To dom ślimaków i żółwi, pomyślałam. Każdy, kto tu mieszka, chowa się do własnej skorupy; nie dostrzegaj faktów, unikaj prawdy, udawaj - tak brzmiała dewiza życiowa Endfieldów. Na myśl, że te słowa mogłyby się znaleźć w wymarzonej przez nich herbie, roześmiałam się sama do siebie. Właśnie tak, pomyślałam, taki napis powinien się znaleźć nad frontowymi drzwiami ich domu.

W szkole pomaszerowałam prosto do sekretariatu i zapisałam się na sobotnie przesłuchanie. Kiedy stamtąd wyszłam, zobaczyłam przed sobą Randalla.

- Zapisałaś się?

W odpowiedzi wyciągnęłam do niego rękę z plikiem maszynopisów.

- Jak to dobrze! - ucieszył się Randall. - Zastanawiałem się, czy nie wybralibyśmy się dzisiaj po południu na spacer nad rzekę? Przeszlibyśmy się, a przy okazji przećwiczyli twoje kwestie.

- Nie mogę. Mam dziś gościa.
- Ach tak? - Randall wyglądał na rozczarowanego.
- To Roy. - Twarz Randalla trochę się rozjaśniła.
- Twój brat?
- Tak.
- A co robisz jutro?
- To będę wiedziała jutro. Nie mam pojęcia, jak długo Roy będzie w Londynie, a chciałabym spędzić z nim jak najwięcej czasu - wyjaśniłam.

- Jasne, rozumiem. To na razie, Rain, muszę lecieć. Mam zajęcia z profesorem Wilheimem. Do zobaczenia.

Poszłam do klasy i próbowałam skupić się na temacie lekcji, ale nadaremnie. Co chwila zerkałam na zegarek. Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę Roya. Bardzo byłam ciekawa, jak wygląda i czy od naszego ostatniego spotkania jego stosunek do mnie się zmienił.

Zanim zajęcia dobiegły końca, zaczął padać deszcz. Znowu zapomniałam parasola. Stałam przed wyjściem ze szkoły niezdecydowana, przestępując z nogi na nogę. Było po trzeciej. Roy zjawi się w Endfield Place za niecałą godzinę, a ja będę wyglądała jak zmoknięta kura.

- Co się dzieje? - usłyszałam nagle głos Randalla.
- Znowu zapomniałam parasola. Nie mogę się przyzwyczaić do tego, że w Londynie pogoda zmienia się z godziny na godzinę.

Randall roześmiał się i wręczył mi parasol.

- Ale teraz ty zmokniesz.
- Nic mi nie będzie. Pożyczę ci go, jeśli obiecasz, że przy najbliższej okazji, kiedy będziesz miała trochę czasu, oddasz mi go osobiście. Tak - powiedział, zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć. - To szantaż.

Roześmiałam się i przyjąłam parasol.

- Dzięki, Randall.

W odpowiedzi uśmiechnął się do mnie szeroko. Dziś przyjeżdżał Roy, nie umiałam się na nikogo złościć. Niebo nad miastem było szare jak ołów, ale ja w najmniejszym przejaś-

nieniu widziałam obietnicę tęczy i powrotu słońca. Randall miał cudowny talent, jego los jednak wcale nie był łatwy. Ten chłopak rozczarował mnie, ale wiedziałam, że nie mam prawa go potępiać. Ludzie, którymi miotają morskie fale, nie powinni spoglądać z góry na innych rozbitków, podobnie jak oni sami walczących o ratunek. Jeśli ktokolwiek może zrozumieć samotność, to właśnie ja, pomyślałam.

Nachyliłam się do Randalla i pocałowałam go w policzek. To było tak, jakbym zapaliła w jego źrenicach maleńkie światełka. Cały aż pojaśniał.

- Miłego spotkania - powiedział, odwrócił się i odszedł.

Patrzyłam na niego, kiedy się oddalał. Wyobraziłam sobie, że kiedyś, po wielu latach, gdy będzie gwiazdorem, spotkamy się gdzieś, uśmiechniemy do siebie i na krótką chwilę przypomnimy sobie wszystko, co się nam przydarzyło. Bo na razie byliśmy raczej jak dwie komety, które na jedno mgnienie zboczyły ze swego kursu, po czym pomknęły dalej, każda ku własnym światom, słońcom i przeznaczeniom.

Wyszłam ze szkoły, otworzyłam parasol i pobiegłam opustoszałym chodnikiem. Serce mi waliło. Dotarłam do domu przed czwartą. Roya jeszcze nie było. Koło piątej miałam pomóc pani Chester przy szykowaniu kolacji. Akurat pokazał się Leo, więc przypomniałam mu, że spodziewam się odwiedzin brata, na wypadek, gdyby Boggs pytał go o mojego gościa. Nie chciałam, żeby trzymano Roya pod drzwiami.

Wreszcie koło wpół do piątej usłyszałam dzwonek do drzwi. Wstrzymałam oddech, nasłuchując stanowczo zbyt powolnych kroków kulawego służącego.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór. Przyszedłem do Rain Arnold. - Głos gościa zabrzmiał tak męsko i władczo, że w pierwszej chwili zwątpiłam, czy to Roy. Kiedy jednak wyjrzałam do holu, nie miałam już żadnych wątpliwości.

Roy wydał mi się wyższy, postawniejszy, wyprostowany jak struna. Uśmiech, który zaczynał się na jego ustach, promieniował na całą twarz, rozjaśniając radością oczy.

- Roy! - krzyknęłam i rzuciłam mu się w ramiona.

Leo cofnął się o krok, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić.

- Ale urosłaś - powiedział Roy, kiedy cofnęłam się o krok, żebyśmy mogli przyjrzeć się sobie nawzajem.

- Ty też. Nie wiem, czybym cię poznała na ulicy. Jesteś większy, starszy i...

Roy się roześmiał.

- Możemy się przejść?

- Nie stójcie tak w otwartych drzwiach. Wiesz, że nie wolno ci przyjmować gości w domu - usłyszałam za sobą głos Boggsa.

- To mój brat - odpowiedziałam stanowczo.

Boggs patrzył mi przez chwilę w oczy, a potem w jego spojrzeniu pojawiło się coś cieplejszego. Ku memu zaskoczeniu, skinął głową i powiedział:

- Wobec tego niech wejdzie do środka. Albo wyjdźcie na zewnątrz.

Chwyciłam Roya za rękę i pociągnęłam do środka.

- Będę musiała pomóc przy kolacji - wyjaśniłam, prowadząc go korytarzem.

- Czy to właściciel domu? - szepnął Roy.

- Nie, to tutejszy totumfacki.

- Kto?

- Wszystko ci potem wyjaśnię.

- Dokąd idziemy?

- Do mojego pokoju.

Kiedy szliśmy przez dom, Roy rozglądał się wokół.

- Ci ludzie są jeszcze bogatsi, niż mi się zdawało - mruknął.

- Mają pieniądze, Roy, ale nie są bogaci.

- Jak to?

Kiedy otworzyłam drzwi do mojej klitki, stanął w progu i pokręcił głową.

- Gdy usłyszałam, że jedziesz do bogatej rodziny w Anglii, myślałam, że będzie ci się dobrze powodziło, Rain. Nawet w naszym mieszkaniu w Projektach miałaś lepsze warunki.

- Wiem, ale to jest Anglia. Poza tym spędzam tu niewiele czasu. Zwykle albo pracuję, albo jestem w szkole.

Weszliśmy do pokoju.

- Musimy usiąść na łóżku.

- Nic nie szkodzi.

- Jak długo zostajesz w Anglii?

- Tylko dwa dni. Umówiłem się z chłopakami, którzy przywieźli mnie tu z transportem wojskowym. - Roy rozglądał się po moim pokoiku, jakby było na co patrzeć. - Myślałem, że żyjesz w luksusach, jak u tej twojej babki w Wirginii, a tymczasem... Nie traktują cię tu najlepiej. I to mimo że jesteś ich krewną.

- Oni o niczym nie wiedzą, Roy.

- Dlaczego?

- Babcia Hudson uznała, że należy utrzymać wszystko w tajemnicy. Ci ludzie mają obsesję na punkcie własnego prestiżu. No wiesz, honor rodziny i tak dalej.

- Niech to diabli. - Roy raz jeszcze obrzucił wzrokiem żałosne umeblowanie mojego pokoiku. - Traktują cię jak służącą.

Roześmiałam się.

- To nie jest takie straszne, jak się wydaje. Dużo czasu spędzam w szkole. Poza tym wiele zobaczyłam, zwiedzałam Londyn.

- Jasne.

Roy zerknął na mnie, a potem szybko spuścił wzrok. Miałam wrażenie, że mój widok sprawia mu ból.

- Co u ciebie słychać, Roy?

- U mnie? Wszystko w porządku. Wiesz, w wojsku człowiek znajduje nowy dom, jeśli chce - wyjaśnił z uśmiechem. - Uczę się elektroniki, więc kiedy skończę służbę, będę mógł sobie znaleźć jakąś porządną pracę. Mam kupę kumpli. Może to sprawa munduru, ale na ogół ludzie traktują się nawzajem jak równi... to znaczy, oficerowie pozostają oficerami, ale... no cóż, wiesz, o co mi chodzi - wymamrotał, rezygnując z dokładniejszego sprecyzowania swoich myśli.

- Rozumiem, Roy. Rozumiem - powiedziałam, dotykając jego ramienia.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, a potem się uśmiechnął.

- Tak długo marzyłem o tej chwili... Teraz po prostu nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. To prawie jakbyśmy się cofnęli w czasie... z powrotem do Waszyngtonu.

- Zbyt wiele się wydarzyło od tamtej pory, Roy. Nie sposób wrócić do tego, co było.

- Racja - przyznał i skinął głową. - Ken dostał wyrok - dorzucił po chwili. Opuścił wzrok. - Osiem lat.

- Niech to diabli. Przykra sprawa. Żal mi go.

- A mnie nie - powiedział szybko Roy. W jego oczach zapłonął ogień wściekłości, którą tak dobrze poznałam w dawnym życiu. - Tyle razy mógł to naprawić, mama tyle razy dawała mu szansę zaczęcia wszystkiego od nowa. Gdyby tak przez niego nie cierpiała, na pewno żyłaby dłużej.

- Nie wiem, Roy. Wielu bogatych i szczęśliwych ludzi również zapada na różne choroby i umiera.

- Zatrął jej całe życie. Nie, nie jest mi go żal. Myślę, że za dobrze mu się powodziło przez te wszystkie lata.

- To prawda.

- Mam jeszcze jedną złą nowinę. Zmarła ciocia Sylvia.

- Och, nie! Jak to się stało?

- Zawał serca. - Roy uniósł wzrok. - Niedługo z całej rodziny zostaniemy tylko ty i ja. To niewiele.

- Rodzina to rodzina, Roy.

- To niewiele znaczy - mruknął. Spojrzał na mnie bardziej natarczywie. - Ty i ja moglibyśmy temu zaradzić, Rain. Moglibyśmy zacząć na nowo i założyć prawdziwą rodzinę.

Skinęłam głową, ale opuściłam przy tym wzrok.

- Teraz, kiedy jesteś gwiazdą, to głupio brzmi, co?

- Och, nie jestem żadną gwiazdą, Roy. Daleko mi do tego. Wystąpiłam raz czy dwa na szkolnej scenie i dopiero się uczę. Jeszcze długa droga przede mną.

- Jeśli nawet nie jesteś jeszcze gwiazdą, to wkrótce nią zostaniesz. I wtedy nie będziesz chciała mnie znać.

- Przestań, Roy. To bzdura. Jesteś teraz wszystkim, co mam. W jego oczach na powrót pojawił się błysk nadziei.
- Naprawdę?
- No oczywiście, Roy. - Spojrzałam na zegarek. - Muszę teraz iść do kuchni, pomóc pani Chester w przygotowaniu kolacji.
- Rozumiem. Przepraszam.
- Nie chodzi mi o to, żeby cię wyganiać - wyjaśniłam skwapliwie - Chodź, poznam cię z panią Chester, posiedzisz z nami w kuchni. Na pewno dostaniesz coś smacznego do zjedzenia. Kiedy skończę, będę mogła się znów tobą zająć.
- Dzięki. No wiesz, przyjechałam tu po to, żeby się z tobą zobaczyć.
- Jasne. - Uśmiechnęłam się do niego.
- Po drodze zaczęłam mu opowiadać o swoim życiu w Anglii. Nim doszliśmy do kuchni, wiedział już, że odnalazłam ojca i że babcia Hudson poradziła mi, żebym nie przywiązywała się do niego za bardzo.
- Naprawdę? Nie chcesz z nim zamieszkać?
- Nie. Już jest za późno. Babcia Hudson ma rację. Chodź... - powiedziałam, otwierając drzwi - ...poznasz panią Chester.
- Kucharka spojrzała na nas znad miski sałaty.
- A to co? Najazd jankesów?
- To mój brat, Roy - przedstawiłam go. - Roy, to pani Chester.
- Dzień dobry pani - powiedział Roy.
- Pani Chester popatrzyła najpierw na Roya, potem na mnie. Czułam, że nas ze sobą porównuje.
- Roy przyjechał z Niemiec - wyjaśniłam. - Dostał przepustkę na czterdzieści osiem godzin.
- Ach tak.
- Pomyślałam, że mógłby posiedzieć z nami, kiedy będziemy przygotowywać kolację, i przy okazji coś zjeść.
- Siądź no sobie tam w kątku - zaprosiła pani Chester, wskazując Royowi stolik i krzesła stojące w rogu kuchni. - Dziś będzie wołowina w cieście.

Roy uniósł brwi, a potem popatrzył na mnie pytająco.

- To jest pyszne, Roy. Pani Chester znakomicie gotuje.

- Robię, co do mnie należy - rzuciła sentencjonalnie pani Chester. - Nie brak lepszych ode mnie. - Zerknęła na Roya. - A jak tam jedzenie w jankeskiej armii?

- Jakie to tam jedzenie, proszę pani - roześmiał się Roy.

Pani Chester patrzyła na niego przez chwilę, a potem mu zawtórowała.

- Rozumiem cię, chłopcze. Wiem, o czym mówisz. - Pokiwała znacząco głową.

Uśmiechnęłam się do Roya i zaczęłam nakrywać do stołu. Podczas kolacji Roy siedział w kuchni, ale kiedy zmieniałam talerze, powiedziałam państwu Endfield o jego odwiedzinach.

- Twój brat? W naszej kuchni?

- Tak, proszę pani.

- Trzeba było powiedzieć nam wcześniej. Zaprosilibyśmy go do stołu.

Mina wuja Richarda wyraźnie zdradzała, że pomysł ciotki wcale mu się nie spodobał. Wprowadziłam Roya do jadalni i przedstawiłam go państwu Endfield. Wuj Richard wciąż miał niezadowoloną minę, ale ciotka Leonora rozgadała się na temat amerykańskich żołnierzy w Londynie i potańcówki, jaką urządziła dla nich jedna z organizacji dobroczynnych.

- To było już dawno temu. Nie warto do tego wracać, Leonoro - mruknął wuj Richard.

- Gdzie się zatrzymałeś, Roy? - zainteresowała się ciotka Leonora, nie zwracając uwagi na męża.

- Mieszkam w hotelu.

- Gdybyś nas uprzedził o swoim przyjeździe, moglibyśmy tutaj przygotować pokój dla ciebie.

Wujowi Richardowi omal oczy nie wyszły z orbit, kiedy to usłyszał. Odchrząknął i odwrócił się do Roya tyłem. Dałam Royowi znak. Pożegnał się uprzejmie z ciotką Leonorą i wrócił do kuchni.

- Bardzo przystojny młody człowiek - odezwała się ciot-

ka. - To sprawa munduru, prawda? Wszystkim chłopcom do twarzy w mundurze.

- Nonsens, Leonoro. Gdyby mundur tak działał, to kobiety wdychałyby na widok policjantów.

- Och, policjant to co innego, mój drogi. To zupełnie... inna sprawa - upierała się ciotka.

Wuj Richard uniósł brwi i rzucił mi gniewne spojrzenie. Szybko odwróciłam wzrok i zaczęłam sprzątać ze stołu.

- Może powinniśmy dać jej jutro wolne, Richardzie - sugerowała ciotka Leonora, gdy już wychodziłam do kuchni.

- Teraz, kiedy nie ma Mary Margaret, brak nam służby... A poza tym Rain i tak idzie jutro do szkoły - wymamrotał wuj.

Czekałam w kuchni, dopóki nie skończyli, a potem szybko sprzątnęłam ze stołu.

- Idź, idź już do brata - powiedziała pani Chester, gdy wróciłam z naczyniami do kuchni.

- Ale...

- Nie kombinuj, tylko zmykaj, zanim się rozmyślę.

Podziękowałam jej i wróciliśmy z Royem do mojego pokoiku.

- Moglibyśmy się wybrać na spacer - zaproponowałam. - Poczekaj tylko chwilę, to się umyję i uczeszę.

Po wyjściu z domu ruszyliśmy w kierunku Kensington Gardens. Po drodze opowiedziałam Royowi o moim ojcu, szkole, inscenizacjach, przedstawieniach i prawdziwym teatrze, wreszcie o życiu u Endfieldów. Opuściłam incydent z wujem Richardem. Nie chciałam, żeby Roy się rozżłościł, czy, co gorsza, wpadł w gniew; wydawało mi się to bardzo prawdopodobne. O Mary Margaret nawet nie wspomniałam. Zamiast tego opowiadałam Royowi o różnych dziwnych i zabawnych rzeczach w Londynie. Paplałam o tym i owym, a on szedł obok mnie ze spuszczoną głową. Co jakiś czas unosił ją i patrzył na mnie z łagodnym uśmiechem.

W końcu usiedliśmy na ławce.

- Gadam i gadam, i nie pozwalam ci dojść do słowa. Wiem o tym, ale tak dobrze mieć kogoś, komu można opowiedzieć o wszystkim, kto mnie wysłucha, komu mogę zaufać.

- Cieszę się, że wciąż tak się ze mną czujesz, Rain.
- A czemu miałyby być inaczej?
- Bałem się, że cię wystraszę - przyznał Roy.

Przez długą chwilę milczeliśmy oboje. Siedzieliśmy, patrząc na przechodzących ludzi. Gdzieś z daleka dobiegł nas dźwięk fletu. Brzmiał tak melancholijnie, że moje myśli same powędrowały do mamy. Wiedziałam, że Roy też przywołał ją w pamięci. To było tak, jakbyśmy mogli czytać nawzajem w swoich myślach. Pewnie dlatego, że przez wiele lat żyliśmy jak brat i siostra, choć w naszych żyłach płynęła inna krew.

- Założę się, że zdziwiłaby się, gdyby nas mogła teraz oboje zobaczyć - powiedział Roy.

- Myślę, że byłaby także szczęśliwa, Roy. Mam nadzieję, że byłaby szczęśliwa.

- Taka osoba jak mama zasługuje na to, żeby szczęście spotkało ją za życia, a nie dopiero po śmierci.

- To prawda - przyznałam.

Roy odwrócił się do mnie i wziął za rękę.

- Powinniśmy być szczęśliwi, Rain. Możemy być szczęśliwi. Upłynęło już wiele czasu, przeżyliśmy go z dala od siebie. Może teraz potrafisz pomyśleć o mnie inaczej niż dotąd?

Pokręciłam głową.

- Ilekroć o tobie myślę, Roy, przypomina mi się nasze życie w Waszyngtonie. Pamiętam, jak prowadziłeś mnie za rękę. Zawsze byłeś dla mnie starszym bratem. Być może padliśmy ofiarą koszmarnego żartu losu, ale tak zostaliśmy wychowani. Nie potrafię wymazać tamtych wspomnień i uczuć i zastąpić ich zupełnie odmiennymi.

Roy popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Masz chłopaka?

- Nie - odpowiedziałam szybko.

- Ale spotykasz się z kimś?

- Spotykałam się z chłopakiem, ale okazał się inny, niż myślałam, i przestałam się z nim widywać. Nie chcę łatwo oddać swego serca. Nie chcę popełnić błędu. Gdyby ludzie

poświęcali tyle uwagi swoim sprawom osobistym, ile pieniądzom, na świecie byłoby dużo mniej nieszczęścia.

- Nie potrzebuję się długo zastanawiać, żeby wiedzieć, co do ciebie czuję, Rain. Jesteśmy dla siebie stworzeni i wierzę, że moglibyśmy razem przeżyć życie.

Uśmiechnęłam się do niego i skinęłam głową.

- Wiem, Roy. Bardzo to sobie cenię.

- Czy myślisz, że będziesz kiedykolwiek czuła wobec mnie to samo, co ja czuję w stosunku do ciebie?

- Nie wiem. Nie wiem, co będę czuła jutro, nie mówiąc już o tym, co pojutrze.

Roy wziął głęboki oddech i zacisnął wargi.

- Chyba już cię powinienem odprowadzić. Jest późno i robi się chłodno. - Jego oczy straciły blask. Był rozczarowany. Czemu nie mogłam spełnić jego marzeń?

Szliśmy powoli do Endfield Place, trzymając się za ręce. Po drodze prawie nie rozmawialiśmy.

- Może wpadłbyś po mnie jutro do szkoły?

- Jasne. Powiedz mi tylko, gdzie to jest i o której mam być.

- Lepiej ty mi powiedz, gdzie się zatrzymałeś, Roy. Gdzie jest ten twój hotel? - Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że nie znalazł sobie żadnego pokoju w hotelu. Jeśli chodzi o uczucia, twarz Roya była jak otwarta księga. Bez trudu można było z niej wyczytać, czy jest smutny, szczęśliwy czy zły. Równie łatwo - poznać, czy mówi prawdę, czy kłamie.

- Jeszcze sobie nie znalazłem hotelu - przyznał. - Przyjechałem prosto do ciebie. Nie chciałem tracić czasu - wyjaśnił. - Teraz coś znajdę.

- Już późno, Roy. Gdzie chcesz szukać?

- Mam tu jakieś adresy od kolegów. - Poklepał się po kieszeni kurtki.

Popatrzyłam na niego takim wzrokiem, że aż się roześmiał.

- Widziałeś, jak wygląda mój pokój. Jeżeli chcesz, możesz się przespać na podłodze.

- Naprawdę? Nie narobisz sobie z tego powodu kłopotów?

- Nie sędę. - Nie wyobrażałam sobie, żeby wuj Richard mógł jeszcze mieć do mnie o cokolwiek pretensje.

- Wspaniale. To będzie jak za dawnych dobrych czasów. Znów będziemy spać pod jednym dachem.

- Dobrze, ale bądźmy cicho. Wolałabym nie ściągać na siebie uwagi Boggsa. To typ gorszy od najgorszego kaprała.

- Wątpię.

- Bo go nie znasz.

W domu panowała jak zwykle głucha cisza. Zakradliśmy się korytarzem do mojego pokoiku. Pokazałam Royowi, gdzie jest łazienka, a kiedy poszedł się umyć, przygotowałam mu pościelenie z koca i położyłam poduszkę. Roześmiał się, kiedy to zobaczył.

- Zrobiłam, co mogłam.

- Spałem już w gorszych miejscach, Rain. Tu przynajmniej jest sucho, nie ma szcurów ani robactwa.

Poszłam do łazienki. Kiedy wróciłam, Roy leżał na swoim pościelaniu, z rękami splecionymi pod głową. Patrzył w sufit i uśmiechał się, jakby mu się dostało królewskie łóżko.

- Powinnaś cię jeszcze o czymś uprzedzić - powiedziałam, kładąc się do łóżka. - To jest pokój nawiedzony.

- Jak to nawiedzony?

Opowiedziałam mu o kochance pierwszego właściciela domu. Roy słuchał i patrzył na mnie wielkimi oczami. Kiedy zaczęłam opisywać dobiegające mnie czasami w nocy odgłosy, może rzeczywiste, a może obecne tylko w mojej wyobraźni, usiadł na pościelaniu.

- Niech to diabli, może to i gorsze od noclegu w jakiejś ziemiance. Tam przynajmniej nie nękają człowieka duchy.

Roześmiałam się. Jak dobrze było mieć go przy sobie, wiedzieć, że jest obok, gotów mnie bronić i czuwać nade mną. Przypomniałam sobie, że tyle razy towarzyszył mi jak cień, podczas gdy ja sądziłam, że jestem sama, zdana tylko na siebie. Czy kiedykolwiek w życiu spotkam drugiego człowieka, który będzie mi równie oddany?

- Nic się nie bój, Roy. Już ja cię przed nią ochronię.

- Jasne! - Roześmiał się, odwrócił głowę i spojrzał na mnie. - Czy przeszkadzałoby ci, gdybym poleżał przy tobie, patrząc, jak zasypiasz? Kiedyś... w domu często ci się przyglądałem, kiedy spałaś.

- Naprawdę? Kiedy?

- Och, przy różnych okazjach. Ty i Beni spałyście, a ja wślizgiwałem się do waszego pokoju, żeby na ciebie popatrzeć.

- Nie wierzę.

- Mówię prawdę.

- Kiedy to było?

- Wiele razy, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, który spędziliśmy razem. Martwiłem się o ciebie, bałem się, że Beni wciągnie cię w kłopoty. A poza tym... - Roy wahał się przez chwilę. - Lubiłem na ciebie patrzeć. Żadna dziewczyna nie spodobała mi się tak jak ty.

Poczułam, że gorąco pełźnie mi po karku i zalewa twarz.

- Na świecie jest mnóstwo pięknych dziewczyn.

- Nie dla mnie. - Roy pokręcił głową z tak głębokim przekonaniem, że aż ciężko mi się zrobiło na sercu.

- Roy.

- Czy nigdy nie ogarnia cię wściekłość? Czy nie masz czasem ochoty rozwalić wszystkiego, co cię otacza, jakby to były dekoracje w jakimś głupim filmie?

- Czasem mam, ale wiem, że nic by mi z tego nie przyszło.

- Może to wszystko jedno, czy wyniknie z tego cokolwiek dobrego, czy nie. Może to służy tylko temu, żeby... żeby poczuć się lepiej. Miałaś rację, mówiąc, że padliśmy ofiarą okrutnego żartu, kiedy wmawiano nam, że jesteśmy rodzeństwem. To była tortura. Przynajmniej dla mnie.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego twarzy. Roy uniósł głowę i popatrzył na mnie. W jego oczach lśniły łzy. Na twarzy malował się ból.

- Czy mogę cię... przytulić?

- Jasne, Roy.

Położył się obok mnie i wsunął mi rękę pod głowę. Przytuliłam się do niego. Przez długą chwilę leżeliśmy tak bez

ruchu. Słuchałam powolnego, równomiernego oddechu Roya, czułam bicie jego serca. Moje serce zaczęło bić żywiej.

Roy odsunął mi włosy z twarzy, a potem pocałował w policzek.

- Czy to nie śmieszne? Jesteśmy jak dwie ryby, które znalazły się w nieznanym sobie jeziorze. Oboje miotamy się to tu, to tam, staramy się pojąć, o co w tym wszystkim chodzi; co jakiś czas spotykamy się przypadkiem i wymieniamy wiadomościami, które mogą być pomocne w uporządkowaniu całego tego bałaganu, a później znów się rozstajemy i każde boryka się z własnymi kłopotami.

- Z tego, co wiem, Roy, tak wygląda sytuacja ogromnej większości ludzi.

- Zgoda, lecz ten opis wcale nie musi się do nas odnosić. - Roy znów pocałował mnie w policzek. - Pamiętasz ten dzień, kiedy cię pieściłem? Nie powstrzymywałaś mnie wtedy.

- Nie wracajmy teraz do tego, Roy.

- Muszę, Rain. Ja wciąż o tym myślę. Ilekroć czułem się samotny i nieszczęśliwy, sięgałem po to wspomnienie i ono trzymało mnie przy życiu. Po jakimś czasie tak się z nim zżyłem, że teraz widzę tylko ciebie, słyszę tylko ciebie, myślę tylko o tobie. Tak wygląda prawda, o której nie wie nikt prócz ciebie. Koledzy myślą, że jestem twardzielem. Gdyby wiedzieli, że przy tobie robię się miękki jak galareta... pękałoby ze śmiechu.

- Och, nie mów tak, Roy.

- Czemu nie pozwalasz mi powiedzieć tego, co czuję, Rain? Jesteś jedną z bardzo niewielu osób, wobec których zawsze byłem szczery. Tylko w jednym cię okłamywałem. Dopóki myśleliśmy, że jesteśmy rodzeństwem, ukrywałem przed tobą swoje uczucia. Gdybyś mnie spytała, powiedziałbym, że chodzę za tobą, żeby cię chronić, ale naprawdę nie mogłem odebrać od ciebie oczu. Po prostu lubię na ciebie patrzeć, Rain. Uwielbiam twój widok.

- Zadajesz sobie niepotrzebne tortury, Roy. Sprawiasz, że okrutny żart staje się dla ciebie jeszcze bardziej bolesny.

- Nie musi tak być.

Poczułam, że dłoń Roya przesuwana się po moim udzie, biodrze, boku i nieruchomieje na brzuchu. Serce biło mi coraz szybciej.

- Roy.

- Jeśli zrobilibyśmy to raz, Rain, tylko ten jeden raz, spojrzelibyśmy inaczej na to, kim jesteśmy, przestalibyśmy myśleć o tym, kim byliśmy, a zaczęlibyśmy myśleć o tym, kim jesteśmy teraz. Tylko w ten sposób możemy się o tym przekonać.

- Nie sądzę, żebym mogła to zrobić, Roy.

- Na pewno możesz, Rain. Tylko pamiętaj, że nie jesteśmy rodziną, nie jesteśmy krewnymi. Jesteśmy dwójkiem obcych ludzi. Mamy różnych rodziców i gdybyśmy się spotkali w innych okolicznościach, wszystko byłoby w porządku. Po prostu pomyśl o tym, Rain. - Dłoń Roya przesunęła się nieco niżej. Poruszyłam się niespokojnie, ale on nie pozwolił mi się wysunąć z objęć. Powoli obrócił moją twarz do siebie i pocałował w usta.

- Przepraszam, jak masz na imię... Rain? Wayne?

Uśmiechnęłam się.

- Skąd jesteś, dziewczyno? - ciągnął swoją fantazję.

Wygląda na to, że wszyscy prowadzimy jakieś udawane egzystencje, pomyślałam.

- Z Waszyngtonu - odpowiedziałam. Może nie powinnam była tego robić. Może powinnam się była po prostu roześmiać, powiedzieć, że jestem śpiąca, i na tym skończyć, ale ja zamknęłam oczy i pozwoliłam się wciągnąć w fikcję, jak ktoś, kto ucieka długim, ciemnym korytarzem, szuka schronienia to w jednych drzwiach, to w innych, aż wreszcie trafi na takie, które się przed nim uchylą.

- Z Waszyngtonu? Byłem kiedyś w Waszyngtonie. Miasto mnie nie zachwyliło, ale gdybym wiedział, że w nim mieszkasz, zostałbym dłużej.

Roy znów pocałował mnie w usta, a potem delikatnie przesunął dłoń, budząc dreszcz, który przebiegł całe moje ciało.

Ściągnął kołdrę i uniósł moją koszulę nocną. Jednocześnie

całował mnie w policzki, szyję, ramiona i piersi. Leciutko skubał moje sutki wargami i pieścił je czubkiem języka.

- Jestem Roy - szepnął. - Roy Arnold. Miło mi cię poznać, Rain.

Wciąż mnie całując, wsunął mi kolano między uda. Jego kolejny pocałunek był dłuższy, gorętszy, bardziej namiętny. Zarzuciłam mu ramiona na szyję i przywarłam do niego, jak rozbitek rzucany falami namiętności chwyta się zbawczej tratwy. Tonęłam w nieokiełznanej, dzikiej namiętności.

Podróżowaliśmy razem, a jednak oddzielnie. Czułam się, jakbym szybowała w powietrzu niczym latawiec, wolna od lęku, depresji, samotności. Kiedy skończyliśmy, spływałam miękko i powoli, jak latawiec opadający łagodnie w ciepłym powietrzu na miękki zielony trawnik.

Roy wydał pomruk zadowolenia i wyciągnął się obok, trzymając mnie za rękę. Nie ruszałam się. Nie mówiłam. Nie unosiłam powiek.

- Jesteś piękną dziewczyną, Rain Arnold - powiedział. - Cieszę się, że cię spotkałem. Nie pożegnam się z tobą łatwo, co to, to nie.

Nie odpowiedziałam.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoił się.

- Nie wiem.

- Jak dwoje ludzi, którzy widzą się pierwszy raz na oczy - powtarzał te słowa jak zaklęcie. - To wszystko. Dwoje obcych ludzi, którzy poznali się i pokochali. Takie historie zdarzają się na każdym kroku.

Udawać, pomyślałam.

Grać kogoś innego, niż jestem.

Zamykać oczy na prawdę.

Dość tych okrutnych żartów. Dostyc tych cierpień i smutków. Precz, wynoście się gdzie indziej. Znajdźcie sobie inną nieszczęsną ofiarę albo wracajcie do piekła, skądście wyszły, przemówiłam do ciemności kłębiącej się w moim umyśle.

Roy trzymał mnie za rękę, dopóki nie zaczął zasypiać. Jego dłoń drgnęła raz i drugi, a potem rozluźnił uścisk i jego palce

wysunęły się z mojej ręki. Czułam się, jakbym starała się go ocalić przed utonięciem i jakby w końcu nie starczyło mi sił, żeby go utrzymać na powierzchni.

Zaczęłam osuwać się w sen. W pewnej chwili znów poczułam uścisk dłoni, ale tym razem to była mama. Uśmiechała się do mnie. Powiedziała mi, żebym się niczym nie martwiła.

„Wszystko będzie dobrze” - usłyszałam. Zawsze tak mówiła: „Wszystko będzie dobrze. Na szczęście mamy siebie nawzajem, a uwierz mi, kochanie, że to więcej niż ma większość ludzi. Większość ludzi ma na pociechę tylko i wyłącznie siebie samych”.

Teraz dopiero zrozumiałam, jak mądre były słowa mamy.

Wystarczyło mi otworzyć oczy, żeby wiedzieć, że jest już dawno po śniadaniu. Niewiele brakowało, a wyskoczyłabym z łóżka i rozdeptała Roya. Uniosłam głowę i spojrzałam na niego. Leżał na brzuchu, opierając głowę na muskularnym ramieniu. Miał zamknięte oczy.

Wstałam najciszej, jak mogłam, poszłam do łazienki i szybko się ubrałam. W kuchni Pani Chester i Leo siedzieli przy małym stoliku, popijając herbatę.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że państwo Endfield są dziś zaproszeni na śniadanie do parafii.

Odetchnęłam z ulgą.

- Dziwne tylko, że Boggs cię nie zbudził.

Leo przytaknął pani Chester skinieniem głowy.

- Widać mam szczęście. W takim razie przygotuję się do szkoły.

- Nie chcesz filiżanki herbaty? - zawołała za mną pani Chester.

- Dziękuję, już jestem spóźniona! - krzyknęłam i pobiegłam z powrotem do swego pokoju.

Roy był w łazience. Szybko zebrałam potrzebne rzeczy. Kiedy wrócił, popatrzyliśmy na siebie.

- Zasnęłam - wyjaśniłam. - Muszę się śpieszyć.

- Jasne. Pojadę z tobą, zobaczę, gdzie to jest.

Włożył koszulę i kurtkę.

- Lepiej będzie, jeśli wyjdiesz tylnymi drzwiami - powiedziałam. - Spotkamy się przed domem.

Roy skinął głową, unikając mego wzroku. Żadne z nas nie miało ochoty rozmawiać o tym, co zrobiliśmy. Zaprowadziłam go do drzwi. Akurat je otworzyłam, gdy ze swego pokoju wyszedł Boggs. Wymieniliśmy spojrzenia, ale żadne z nas nic nie powiedziało. Boggs odwrócił się i odszedł.

- Wcale nie wygląda na takiego złego człowieka - zauważył Roy.

- Każdy tu ma własne problemy - odpowiedziałam. - Zaraz wyjdę.

Teraz było mi głupio, że wyprawiłam Roya tylnymi drzwiami, bo wyszło na to, że ukrywam jego obecność przed panią Chester i służącym, których akurat najmniej się obawiałam.

Wyszłam z domu, zabierając po drodze parasol Randalla, i dołączyłam do Roya, który czekał na mnie na ulicy.

- Nie wygląda na to, żeby miało padać - zauważył na widok parasola.

Niebo było tylko częściowo zachmurzone, wiał ciepły wiatr.

- Tutaj nigdy nic nie wiadomo. Poza tym i tak muszę go oddać właścicielowi.

Kiedy przyjechaliśmy do szkoły, powiedziałam Royowi, o której kończą zajęcia. Obiecał, że będzie na mnie czekał.

- Jak się czujesz?

- Cały czas mam wrażenie, że kręcę się na karuzeli. Dopiero kiedy się zatrzyma, będę wiedziała, jak się naprawdę czuję.

Roy skinął głową.

- Też długo się tak czułem.

Cmoknął mnie na pożegnanie w policzek. Odwróciłam się i wbiegłam po schodach. Miałam nadzieję, że w czasie zajęć przemyślę wszystko i ułożę sobie w głowie to, co chcę powiedzieć Royowi.

Ale los miał wobec mnie inne plany.

Los był jak ktoś, kto stoi za kulisami, przygląda się naszym

występom i uśmiecha się do nas, wiedząc, że wszystko to, co bierzemy za rzeczywistość, jest tylko złudzeniem. Wydaje nam się, że jesteśmy aktorami, ale naprawdę jesteśmy widzami obserwującymi fantomy własnych osób.

Kiedy w końcu, jak zawsze, zapalą się światła, okaże się, że na scenie nikogo nie ma.

Nad kolejnym snem zapadnie kurtyna.

OSTATNIE ŻYCZENIA

Moje myśli wędrowały niczym samotna kometa, która wypadła z orbity i teraz błąka się bez celu w przestrzeni. Słowa pani Winecoup w ogóle do mnie nie docierały, do tego stopnia, że potrzebowałam dobrych kilku sekund, by się połapać, że nauczycielka coś do mnie mówi.

- Rain! - powtórzyła zniecierpliwiona.

Zamrugałam oczami i rozejrzałam się wokół. Wszyscy na mnie patrzyli.

- Pan MacWaine chce z tobą rozmawiać - powiedziała pani Winecoup i dopiero wtedy wróciłam na dobre do rzeczywistości.

W drzwiach stał pan MacWaine. Na widok jego surowej, ponurej miny zamarło we mnie serce.

- Proszę, pozwól ze mną, Rain.

Powoli spakowałam książki, wstałam z miejsca i wyszłam z sali.

- Twoi pracodawcy, państwo Endfield, przysłali po ciebie samochód - zaczął. - Obawiam się, że mam nie najlepsze wieści. Pani Hudson odeszła od nas dziś rano. Państwo Endfield chcą, żebyś natychmiast wróciła do domu.

Poczułam się tak, jakbym się zmieniała w bryłę lodu. Nie mogłam się odezwać. Pan MacWaine spostrzegł, że źle wyglądam, i chwycił mnie pod rękę.

- Rain? Wszystko w porządku?

Skinęłam głową, ale musiałam się oprzeć o ścianę, żeby złapać oddech. Czułam się tak, jakbym dostała zniecierka cios w żołądek. Babcia Hudson nie żyje? Nie, nie, ja tak jej potrzebuję! To jedyna osoba, która była ze mnie naprawdę dumna, która chciała, żebym odnalazła samą siebie.

- Jak to się stało?

- Niestety, nie potrafię ci powiedzieć. Nie znam żadnych szczegółów. Powiadomiono mnie, że odeszła dziś rano, i poproszono, żebym odesłał cię do Endfield Place, gdy tylko przyjedzie samochód. Mam nadzieję, że dla ciebie to wszystko się dobrze skończy. - Pani MacWaine uśmiechnął się do mnie, ale zaraz znowu zrobił smutną minę. - Osobiście bardzo mnie martwi odejście pani Hudson - dodał. Mówił to tak, jakby babcia Hudson po prostu wsiadła do wcześniejszego pociągu na tamten świat. - Była wspaniałą kobietą, prawdziwą damą. Jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Pan MacWaine odprowadził mnie do drzwi. Przed szkołą stał rolls royce z Boggsem za kierownicą. Endfield Place było ostatnim miejscem, w jakim miałam się teraz ochotę znaleźć. Najchętniej odwróciłabym się i uciekła w przeciwnym kierunku. Poza tym wcale mi się nie podobała myśl o jeździe w towarzystwie Boggsa. W dodatku przypomniałam sobie, że jestem umówiona z Royem. Niepotrzebnie będzie na mnie czekał. Odwróciłam się, żeby poprosić pana MacWaine'a, by przekazał Royowi wiadomość ode mnie, ale on już szybko oddalał się korytarzem. Nie było sposobu, żeby się skontaktować z Royem. Zapewne włączył się po mieście. Później będę musiała poprosić kogoś w domu, żeby zadzwonił do pana MacWaine'a, pomyślałam i ruszyłam schodami w dół.

Na mój widok Boggs wysiadł, obszedł samochód wkoło i uchylił przede mną drzwiczki. W pierwszej chwili byłam zaskoczona. Dopiero potem przyszło mi do głowy, że to było dla niego bardzo charakterystyczne. Najważniejszy był porządek. Szofer to szofer, a pasażer to pasażer, nawet gdy tym ostatnim jest takie zero jak ja.

- Dziękuję - powiedziałam i wsiadłam do wozu.

Nie odpowiedział. Wrócił na swoje miejsce i ruszyliśmy. Po drodze głowiłam się nad tym, dlaczego Endfieldowie zabierają mnie ze szkoły w czasie zajęć. Czemu nie poczekali, aż wrócę do domu?

Odpowiedź poznałam w chwili, gdy tam weszłam. Leo skierował mnie do salonu. Ciotka Leonora leżała na otomanie, ze zwilżoną chusteczką na czole i oczach. Wuj Richard siedział w fotelu obok niej. W garniturze z kamizelką wyglądał równie sztywno i surowo jak zwykle. Na jego twarzy malowała się raczej złość niż smutek.

- Usiądź. - Wskazał mi miejsce na otomanie obok ciotki.

Kiedy podeszłam, zdjęła chusteczkę, odsłaniając czerwone jak u królika oczy, odcinające się ostro na tle bladej jak płótno twarzy. Popatrzyła na mnie, jakby pierwszy raz w życiu mnie widziała. W pewnym sensie chyba rzeczywiście tak było.

- Co się stało pani Hudson?

Wuj Richard wyprostował się w fotelu i rzucił mi gniewne spojrzenie.

- To ja będę prowadził przesłuchanie - zaznaczył.

- Przesłuchanie?

- Przed dwiema godzinami zadzwoniła do nas Victoria i przekazała wszystkie złe wiadomości - oświadczył, kładąc szczególny nacisk na słowa „wszystkie” i „złe”. - Okazuje się, że przebywasz tu pod... maską... - wuj Richard rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie - ...niemal jak szpieg... pod maską rzekomej sieroty. Tymczasem jesteś dziedziczką fortuny należącej do Frances... więcej nawet, jej... krewną.

Ciotka Leonora wydała głośny jęk i załkała histerycznie. Ramiona tak jej się trzęsły, że - pomyślałam - lada chwila złamie jej się jakaś kość. Wuj Richard popatrzył na żonę z niesmakiem.

- Dość tego, Leonoro. Słyszysz? Dość!

Ciotka przestała szlochać i tylko krztusiła się jeszcze przez chwilę, jak silnik, któremu zabrakło paliwa. Otarła twarz chusteczką i spojrzała na mnie.

- Elementy smutne, tragiczne i haniebne niemal w równej mierze składają się na całą historię. Sam nie wiem, od czego zacząć rozplątywanie tego kłębowiska.

- To nie był mój pomysł. Babcia Hudson uważała, że na razie tak będzie najlepiej.

- Babcia Hudson! Mój Boże, o mój Boże! - załkała znów ciotka Leonora.

- Będę ci wdzięczny, jeśli nie będziesz jej tak nazywała, dopóki pozostajesz z nami - zwrócił się do mnie wuj. - Ze ścian tego domu nic nie wydostanie się na zewnątrz, ale musisz mi powiedzieć, kto jeszcze wie o tym wszystkim, to znaczy kto o tym wie w Anglii. W Ameryce nie ma to takiego znaczenia, lecz tu dobra opinia liczy się bardziej niż wysokie konto w banku.

Patrzyłam na niego i zastanawiałam się, czego oczekiwałyby po mnie babcia Hudson: żebym wstała i wyszła czy żebym mu wyjaśniła całą sprawę? W końcu uznałam, że teraz już wszystko jedno. Było jasne, że Endfieldowie mnie nie chcą. Co do mnie, niczego nie pragnęłam bardziej, niż czym prędzej opuścić ich dom.

- Po pierwsze, wie mój ojciec. - Z przyjemnością przyglądałam się zbolałym minom wujostwa.

- Co takiego? Jaki ojciec? Twój biologiczny ojciec? - Wuj Richard skrzywił się niezadowolony. - Mówię o Anglii. - Powiedział to tonem pełnym wyższości, jakby obecność kogoś takiego w Anglii była zupełnie niemożliwa.

- Otóż właśnie. Mój ojciec mieszka w Londynie.

Wuj Richard i ciotka Leonora zaniemówili.

- Ten człowiek... twój ojciec jest tym mężczyzną, z którym nasza siostrzenica Megan... - Wuj wykonywał przez chwilę jakieś nieokreślone ruchy rękami, jakby mówienie o młodzieńczym romansie mojej matki było poniżej jego godności.

- Tak to działa - powiedziałam. - Tak się robi dzieci.

- Nie bądź bezwstydną - rzucił ostro wuj, ale szybko odwrócił wzrok.

Zaczęłam się zastanawiać, co go najbardziej niepokoi

w mojej osobie - czy to, że okazałam się krewną, czy to, że usiłował mnie wciągnąć w swoje chore fantazje? Miałam ochotę zapytać go o to wprost i powiedzieć przy okazji, co o nim myślę, ale wystarczyło mi jedno spojrzenie na ciotkę Leonorę, żeby poniechać tego zamiaru. Nie było najmniejszej wątpliwości, że doprowadziłabym ją do hysterii, a wcale nie chciałam tego zrobić.

- No i co? Czy ten mężczyzna zaproponował ci, że weźmie cię do siebie?

- Nie. Ma tu własną rodzinę.

- Rozumiem. - Wuj skrzywił się i skinął głową. - Prawdę mówiąc, spodziewałem się czegoś takiego.

- To nie jest tak, jak się panu wydaje - powiedziałam. - Mój ojciec jest szanowanym człowiekiem, wykładowcą literatury. Nie chciałabym być ciężarem dla jego rodziny.

- Oczywiście, lepiej być ciężarem dla naszej rodziny, prawda?

- Nie chcę stanowić ciężaru dla nikogo. To nie ja zadecydowałam o okolicznościach, w jakich przyszłam na świat. Nie miałam na nie żadnego wpływu. To nie moja wina, że zostałam sprzedana.

- Sprzedana? - Ciotka Leonora popatrzyła na męża. - Nie rozumiem, o czym ona mówi, Richardzie.

- Teraz to bez znaczenia. Darujmy sobie te szczegóły. Dość mamy w tej chwili problemów. Wszyscy troje polecimy do Wirginii na pogrzeb. Oczywiście, należąc do grona spadkobierców, będziesz potrzebna na miejscu. Jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Jadę, ponieważ chcę tam być. Bardzo kochałam babcię Hudson. - Odwróciłam się do ciotki Leonory, zanim zdążyła jęknąć. - I nie zamierzam nazywać jej inaczej. Pora spojrzeć prawdzie w oczy.

Ciotka wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.

- Nie wrócisz tu już - rzucił wuj. - Spakuj wszystko, co do ciebie należy.

- Z przyjemnością.

- Och, mój Boże, mój Boże - jęknęła ciotka Leonora. - Jak ta Megan mogła spłodzić dziecko z czarnym?

- Zawsze była szalona - orzekł wuj Richard. - Nieraz ostrzegałem twoją siostrę, że jest zanadto pobłażliwa wobec Megan, ale Amerykanie są stanowczo zbyt liberalni. Rezygnując z porządku, stosowności, świadomości własnego miejsca i dziedzictwa, przestajecie...

- ...udawać, że jesteście kimś, kim nie jesteście? - rzuciłam wojowniczo. - Zamiast kryć się w świecie własnych niezdrowych fantazji?

Wuj zaczerwienił się lekko, ale nie odwrócił głowy.

- Nie będziemy dłużej o tym dyskutować. Lecimy dziś o ósmej. Spakuj swoje rzeczy. To wszystko, co mam w tej chwili do powiedzenia.

- Czy nie będą państwo jedli kolacji? - spytałam ironicznie.

- Nie sądzę.

- Nie przełknęłabym ani kęsa - wymamrotała ciotka Leonora. - Moja siosira odeszła. Nie mam już rodziny.

- Masz dwie siostrzenice, a jedna z nich jest w dodatku matką dwojga dzieci - przypomniał jej wuj.

- Trojga - sprostowałam.

Ciotka popatrzyła na mnie. W końcu zaczynało do niej docierać, że to wszystko dzieje się naprawdę, i najwyraźniej nie miała pojęcia, jak powinna się zachować. No cóż, ktoś wreszcie czuł się tak samo, jak ja.

- Co za nieprawdopodobna katastrofa - mruknął wuj Richard i wstał z fotela. - Jak to się mówi w Ameryce? Można sobie wybierać przyjaciół, ale nie rodzinę.

- W pełni się z tym zgadzam - oświadczyłam i wyszłam.

Dopiero gdy znalazłam się w swoim pokoiku, mogłam wreszcie po raz pierwszy poddać się żalowi, w jakim pograżyła mnie śmierć babci Hudson. Trudno byłoby mi powiedzieć dlaczego, ale żegnając się z nią przed wyjazdem do Anglii, czułam, że widzimy się po raz ostatni. Myślę, że babcia też o tym wiedziała. Być może właśnie dlatego, kiedy na mnie

patrzyła, miała łzy w oczach. Nie płakała nad własnym losem, na to była zbyt dumna, płakała ze smutku, że już nigdy się nie zobaczymy.

Nie zadzwoniłam do pana MacWaine'a, ale na szczęście Roy sam go odszukał, gdy nie zastał mnie przed szkołą o umówionej porze. Dowiedziawszy się, co zaszło, natychmiast zjawił się w Endfield Place. Właśnie kończyłam się pakować, gdy za drzwiami rozległy się charakterystyczne, utykające kroki.

- Brat na ciebie czeka, Rain - oznajmił Leo, zaglądając do mnie przez uchylone drzwi.

- Dziękuję, Leo. Czemu go tu do mnie po prostu nie przysłałeś?

- Pan Endfield życzył sobie, żebyś sama do niego wyszła - przyznał zakłopotany służący. - Twój brat czeka przed domem.

- Pan Endfield nie pozwolił wpuścić go do środka?

Leo nie odpowiedział. Nie musiał. Pomaszerowałam korytarzem do holu, mijając po drodze gabinet wuja. Drzwi były otwarte. Wuj Richard siedział przy telefonie, kontynuując przygotowania do wyjazdu. Na mój widok rzucił gniewne spojrzenie i odwrócił się razem z fotelem do okna.

Nie zatrzymując się, poszłam dalej, prosto do drzwi wejściowych. Roy stał przed drzwiami z czapką w rękę. Podniósł na mnie spojrzenie.

- Przepraszam, Roy. Ci ludzie chlubią się swoim pochodzeniem i wychowaniem, a tymczasem są najokrutniejszymi, najpodlejszymi... - Spojrzałam na dom Endfieldów takim wzrokiem, że gdyby złość mogła burzyć, zmiotłabym go z powierzchni ziemi. - Teraz na dodatek wpadli w przerażenie, bo dowiedzieli się, że jestem z nimi spokrewniona. Babcia Hudson miała rację. O nic się tak nie boją, jak o swoją bezcenną reputację. Szkoda, że nie wiedzą, jak ja żałuję, że jestem ich krewną.

Skrzyżowałam ramiona na piersi i kopnęłam leżący na podjeździe kamyk.

- Co tu się dzieje? - spytał zdumiony moim wybuchem Roy.
- Dziś wieczorem wracam do Wirginii na pogrzeb babci Hudson. Nie miałam dotąd okazji, żeby ci o tym powiedzieć, ale babcia włączyła mnie do grona swoich spadkobierców. Nie mam pojęcia, co to znaczy, chociaż jedno jest pewne - moja matka nie będzie mogła dłużej udawać, że nie istnieję. Jej mąż będzie chciał wiedzieć, czemu dziedziczę, a siostra tylko marzy o tym, żeby znaleźć sojusznika, który pomógłby się mnie pozbyć.

- Więc rodzina twojej matki wciąż nie wie o twoim istnieniu?

- Jej dzieci mnie znają, ale nie mają pojęcia, kim jestem. Roy pokręcił głową. Miał zatroskaną minę.

- To będzie okropne, Rain. Pogrzeb, a po pogrzebie kłótnie i wydzieranie sobie pieniędzy. Myślisz, że potrafiśz to znieść?

- Nie mam wyboru, Roy. Gdybym nie pojechała, postąpiłabym wbrew woli jedynej osoby w tej rodzinie, która naprawdę mnie pokochała. Ustąpiłabym tym, którzy, jak moi wujostwo, chcieliby udawać, że nie istnieję. Mój wuj jest prawdziwym mistrzem w udawaniu - zakończyłam gniewnie.

Roy uniósł brwi.

- A może po prostu rzuć to wszystko w diabły i pojedź ze mną do Niemiec, Rain. Wielu chłopaków ma żony. To wcale nie jest takie straszne. Myślę, że na razie byłoby ci tam lepiej niż tutaj.

Opuściłam głowę i kopnęłam jeszcze jeden kamyk. Nie odpowiadałam.

- Nie podoba ci się ten pomysł, co-?

- Jeszcze za wcześnie, Roy. Wciąż jeszcze istnieją pytania, na które chciałabym znaleźć odpowiedź.

- Mhm. - Roy odwrócił głowę.

- Napiszę do ciebie, gdy tylko będę wiedziała, co i jak obiecałam.

- Wracasz tu?

- Tutaj na pewno nie. - Wskazałam na dom.

- Do Anglii?

- Być może. Nie potrafię o tym w tej chwili zdecydować. To jest tak, jakbym się unosiła na latającym dywanie, a teraz ktoś nagle usunął go spode mnie, więc opadam, ale jeszcze nie wiem, gdzie wyląduję.

- Naprawdę odważna z ciebie dziewczyna, Rain. Nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ktoś inny na twoim miejscu po prostu starałby się wytargować, ile się da, i poszedłby swoją drogą.

- To zawsze mogę zrobić.

Roy patrzył na mnie przez chwilę, a potem pokręcił głową.

- Wątpię.

- Będę za tobą tęskniła, Roy.

- Naprawdę? To dobrze. Tęsknij za mną mocno, aż do bólu.

Uśmiechnęłam się szerzej, a potem Roy mnie pocałował w policzek i włożył czapkę.

- W takim razie ruszam w drogę. To nawet dobrze, bo nigdy nie wiadomo, ile taka podróż potrwa.

- Co to znaczy? Myślałam, że masz wszystko zaplanowane.

- Spróbuję się zabrać z transportem wojskowym.

- A jeśli ci się nie uda?

- Pojadę autostopem.

Popatrzyłam mu w oczy. Uciekł przede mną wzrokiem.

- Ale przepustkę masz, prawda, Roy? Nie szuka cię wojsko?

- No jasne, że mam. O mnie się nie martw.

Pokręciłam głową.

- Pewnego dnia przestanę ściągać kłopoty na każdego, kto się ze mną spotka.

- Już teraz przestań się obwiniać o wszystko, Rain. Jestem dużym chłopcem i nie robię tego, czego nie chcę.

- Zawsze to wiedziałam, Royu Arnold. Proszę, obiecaj mi tylko jedno.

- Co takiego?

- Nie pójdiesz w ślady Kena. Cokolwiek się stanie, nie będziesz taki jak on.

- Nie musisz żądać ode mnie obietnicy, Rain. Wolałbym raczej umrzeć, niż stać się taki jak Ken.

Mimo tych słów nadziei oboje byliśmy smutni. Jakby otoczyła nas czarna chmura, której mimo wszelkich wysiłków nie mogliśmy przegnać.

Objęłam Roya i pocałowałam go w usta. Potem odwróciłam się na pięcie i szybko pobiegłam. Roy stał i patrzył na mnie, dopóki nie zamknęłam za sobą drzwi. W korytarzu spotkałam "wujka Richarda.

- Sądząc z tego gorącego pożegnania, musisz pozostawać w bardzo zażyłych stosunkach z bratem.

Uświadomiłam sobie, że wuj Richard obserwował nas przez okno gabinetu. Zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, minął mnie i ruszył schodami w górę.

- Za godzinę wyjeżdżamy - wycedził.

- Co do mnie, mogę wyjść choćby zaraz - zapewniłam.

W swoim pokoju usiadłam na łóżku. Czułam, że muszę ochłonać. Wszystko działo się tak szybko. Jakaś potężna siła ujęła wodze mego losu i skierowała go w inną stronę. Dokąd? Dlaczego?

Pomyślałam o ojcu. Otworzyłam notatnik i zaczęłam pisać.

Drogi...

Czy mam go nazwać tak, jak nazywam go w myślach? Tak, odpowiedziałam sobie. Dość już kłamstw, dość udawania, dość ukrywania się za maską.

Drogi Tato,

Przepraszam, że nie odezwałam się do Ciebie wcześniej. Spotkanie z Twoją rodziną i poznanie przyrodniego rodzeństwa było dla mnie wspaniałym przeżyciem. Masz cudowne dzieci. Jestem pewna, że będziesz z nich dumny. Cieszę się również, że poznałam Twoją żonę. Myślę, że Leanna jest świetną matką. Bardzo mi się spodobała. Jestem przekonana, że gdybyśmy miały więcej czasu, żeby się poznać, polubiłybyśmy się.

Nigdy nie chciałam sprawiać Ci swoją osobą kłopotu. Teraz zresztą i tak wszystko odwlecze się na jakiś czas, bo muszę natychmiast wracać do Ameryki. Dostałam bardzo

złą wiadomość. *Babcia Hudson umarła. Nigdy nie znałaś jej równie blisko jak ja, w dodatku brak mi teraz czasu, żeby Ci tłumaczyć, jak i dlaczego się to stało, ale zbliżyliśmy się do siebie bardzo w ciągu tych kilku miesięcy. Będzie mi jej brakowało. Babcia wierzyła we mnie i pomogła mi odzyskać wiarę we własne siły.*

Jak Ci już mówiłam, babcia Hudson uwzględniła mnie w swoim testamencie. Lecę dziś z ciotką i wujem do Stanów na pogrzeb. Nie wiem, co będzie się działo dalej, ale spodziewam się, że prędzej lub później wrócę do Anglii. Mam nadzieję, że w Waszym życiu znajdzie się trochę miejsca także dla mnie.

Dziękuję Ci za to, że mnie nie odrzuciłeś, że chciałeś mnie poznać, że miałeś odwagę uznać moje istnienie. Moja matka jeszcze się na to nie zdobyła, ale wierzę, że w końcu wyjaśni wszystko swojemu mężowi i dzieciom."Teraz, gdy zostanie odczytana ostatnia wola babci Hudson, i tak stanie się to jasne.

Przyznaję, że nie współczuję nikomu z tego powodu. Myślę, że babcia Hudson właśnie po to zapisała mi coś w spadku. Chciała ich wszystkich zmusić, żeby w końcu przestali chować głowę w piasek.

Przy najbliższej okazji napiszę Z Ameryki. Proszę, przekaz ode mnie serdeczne pozdrowienia Leannie i dzieciom. Bardzo żałuję, że nie mieliśmy czasu, żeby się bliżej poznać.

Kocham -

Rain

Złożyłam list, zaadresowałam kopertę i odnalazłam Leo. Przyjął ode mnie list i obiecał, że rano go wyśle. Pani Chester krzątała się w kuchni, choć najwyraźniej nikt nie zamierzał siadać do kolacji. Miałam wrażenie, że ludzie poruszają się w tym domu jak marionetki, które ktoś pociąga za niewidzialne sznurki. Kucharka nie miała pojęcia, dlaczego wyjeżdżam.

- Chciałam się z panią pożegnać, pani Chester. Chyba nie zawsze właściwie panią rozumiałam, ale jestem wdzięczna za wysiłki, jakie pani podejmowała, żeby mi pomóc.

Kucharka odstawiła miskę i wytarła ręce w ścierkę.

- To nie moja wina, że cię odsyłają. Nigdy nie powiedziałam na ciebie złego słowa, dziewczyno. Zawsze pracowałam jak należy.

- Mój wyjazd nie ma żadnego związku z tym domem ani czymkolwiek, co się tu wydarzyło. Wyjeżdżam z powodów rodzinnych.

- Nie lubię pleść trzy po trzy, ale coś ci poradzę. Uważaj na siebie, dziewczyno.

- Dziękuję, pani Chester. - Uścisnęłam ją mocno. - I proszę pamiętać o Mary Margaret. Potrzeba jej tego.

- Wszystkim nam tego potrzeba, kochanie. Wszystkim - odpowiedziała pani Chester i na powrót zajęła się pracą.

Wróciłam do swego pokoiku, zamknęłam walizki i włożyłam kurtkę. Zanim wyszłam, stanęłam w drzwiach i rozejrzałam się po ciasnej klitce. To niesłychane, pomyślałam, że człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić, nawet do takiej więziennej celi jak ta. Potem przypomniała mi się kochanka sir Godfrey'a Rogersa.

- Nigdy cię me widziałam ani z tobą nie rozmawiałam - powiedziałam - ale serdecznie ci współczuję, że musisz siedzieć w tym domu.

Dźwignęłam walizkę i właśnie sięgałam po drugą, gdy nagle w korytarzu zjawił się Boggs.

- Ja to wezmę - warknął. - Telefon do ciebie.

- Telefon?

Boggs bez słowa dźwignął wszystkie moje walizki i odszedł korytarzem. Poszłam za nim do holu i podniosłam słuchawkę stojącego na okrągłym stoliku telefonu.

- Halo?

- Rain? To ja, Randall. Właśnie dowiedziałem się od Leslie, że miałaś złe wiadomości i musiałaś wyjść ze szkoły. Wszędzie cię szukałem. Co się stało?

- Muszę wracać do Ameryki, Randall. Umarła moja babcia.

- Och, tak mi przykro. Kiedy wrócisz?

- Nie wiem.

- Będzie cię można znaleźć pod jakimś numerem telefonu?
- Nie wiem jeszcze. Kiedy coś się wyjaśni, napiszę do ciebie.

- Obiecujesz?

- Nie lubię składać obietnic, Randall. Zbyt wiele złożono mi w życiu obietnic bez pokrycia. Po prostu mówię, co zrobię, a potem to robię.

- Wierzę ci. Tak chciałbym cię jeszcze zobaczyć, zanim wyjedziesz.

- Już wyjeżdżam. Lecimy dziś wieczorem.

- A niech to, ale tempo. A co z... wiesz, kogo mam na myśli.

- Napisałam do niego list.

- Będę o tobie myślał - zapewnił Randall. - To nie obietnica, to fakt.

- Dzięki, Randall.

- Naprawdę jesteś najmiłą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem. Strasznie żałuję, że wszystko zepsułem.

- Przepraszam też już mam powyżej uszu. Nie musisz mnie przeproszać. W końcu ani nie byliśmy związani ze sobą żadnymi obietnicami, ani nie musimy sobie niczego wybaczać. - Było mi przykro, że brzmi to tak chłodno, ale czułam się doszczętnie wyczerpana emocjonalnie.

- Wiem. Żałuję, że sprawy się tak potoczyły. Dobrej drogi, Rain.

- Dziękuję.

- Cześć. Następnym razem, kiedy będę śpiewał, będę myślał o tobie.

- Cześć.

Odłożyłam słuchawkę. Nie miałam pojęcia, czy jeszcze kiedykolwiek spotkam się z Randałem, czy pozostaniemy dla siebie tylko wspomnieniem, z czasem coraz bardziej wyblakłym.

Usłyszałam wuja i ciotkę schodzących z góry. Po raz ostatni rozejrzałam się po obszernym holu. Nigdy nie czułam się tu jak w domu. Endfield Place rzeczywiście nadawało się na miejsce zamieszkania dla duchów i upiórów - wszystko jedno,

zmarłych czy żywych. Wysłałam przed dom. Boggs włożył już walizki do bagażnika i teraz czekał przy otwartych drzwiach. Wsiedliśmy do rolls royce'a. Nikt się nie odzywał. Boggs uruchomił silnik i wyruszyliśmy w drogę na lotnisko.

Podczas lotu nad Atlantykiem głównie spaliśmy. Na lotnisku w Richmond czekał na nas Jake. Jeden rzut oka wystarczył, żeby wiedzieć, że jest pogrążony w smutku. Krzaczaste brwi straszyły się pod pobrużdżonym głębokimi zmarszczkami czołem. Na mój widok oczy mu pojaśniały.

- Jak się masz, księżniczko? - rzucił, zanim przywitał się z Endfieldami, co wyraźnie nie podobało się wujowi Richardowi.

- Mógłbyś nam pomóc zebrać bagaże.

- Jasne - odpowiedział Jake i szybko ułożył walizy na wózku. - Proszę przyjąć wyrazy mego współczucia, pani Endfield.

- Dziękuję - odpowiedziała sennym, nieprzytomnym głosem ciotka Leonora. - Dziękuję, Jake. Czy moja siostra bardzo cierpiała?

- A skądże on miałby to wiedzieć, Leonoro? To nie jest lekarz Frances, to jej szofer - zaczął gderać wuj Richard.

- O ile wiem, pani Endfield... - odpowiedział Jake, nie zwracając na niego uwagi - ...wszystko potoczyło się tak szybko, że pani Hudson nie zdążyła cierpieć. To poszło tak, jak sobie tego życzyła - dodał, patrząc na mnie.

Jake popychał wózek z walizkami w kierunku parkingu. Szłam obok niego. Wuj i ciotka postępowali o krok za nami.

- Wyglądasz jak dama, księżniczko. Babcia byłaby z ciebie dumna - szepnął do mnie Jake.

Uśmiechnęłam się do niego i ucisnęłam za rękę. Popatrzył na mnie, zaskoczony, że moja dłoń drży.

- Jak tam moja siostrzenica? - spytała ciotka Leonora.

- O którą z siostrzenic pani chodzi, pani Endfield?

- Oczywiście o Victorię - powiedział ostro wuj Richard, jakby moja matka znalazła się poza nawiasem rodziny.

- Wszystko w porządku. Victoria czeka na państwa w domu. Megan przyjedzie po południu z rodziną.

- Trzeba było pogrzebu, żebyśmy się wszyscy spotkali - jęknęła ciotka Leonora.

Wuj Richard chrząknął z wyraźną dezaprobatą.

Jake obejrzał się na nich, a potem mrugnął do mnie.

Jak to dobrze, że mam na świecie przynajmniej jednego przyjaciela, pomyślałam.

- Jak się ma Rain? - spytałam.

- Wspaniale. Wiążę z nią coraz większe nadzieje. - Uśmiechnęłam się. - Poczekaj, aż ją zobaczysz - dodał Jake.

- O kim wy rozmawiacie? - spytała ciotka Leonora.

- O mojej klaczy, pani Endfield. Chcę ją wystawić na wyścigach.

- Nadałeś jej imię tej dziewczyny?

- Mhm. I klaczka jest z tego bardzo dumna, pani Endfield.

Gdyby nie fakt, że wracałam do domu na pogrzeb, roześmiałabym się na głos. Poczułam, że zanim znów potrafię się roześmiać, upłynie trochę czasu.

- Zawsze zapominam, że jest taki duży - powiedziała ciotka Leonora, gdy zbliżaliśmy się do domu.

Istotnie Endfield Place bez trudu zmieściłoby się wewnątrz domu babci Hudson, pomyślałam.

- To ostentacja - mruknął wuj Richard, spoglądając na smukłe kolumny, nakryte trójkątnym frontonem. - Zawsze byłem zdania, że dla Amerykanów większe znaczy lepsze.

- Ale muszę przyznać, że ten portyk zawsze mi się podobał, Richardzie - odparła ciotka Leonora.

Żadne z nich nie wspomniało o rozległym terenie, otaczającym dom babci Hudson. Z lasem i jeziorem.

- Nasz dom ma więcej klasy - upierał się wuj Richard.

- Ależ oczywiście, kochanie - zgodziła się ciotka Leonora.

To niesamowite, pomyślałam, że rywalizacja między rodzeństwem może sięgnąć aż za ocean i poza grób.

Wysiedliśmy z rolls royce'a i weszliśmy do domu. Victorię zastaliśmy w jadalni, nad stołem zasłanym dokumentami. W ręku trzymała kubek z kawą. Kiedy weszliśmy, uniosła głowę. Była blada, a jej oczom brakło wszelkiego wyrazu, ale jeśli o mnie chodzi, to ilekroć ją widziałam, właśnie tak wyglądała. Jeśli Victoria cierpi z powodu śmierci matki, to dobrze ukrywa swój smutek, pomyślałam.

- Victorio! - krzyknęła ciotka Leonora, wyciągając ramiona.

Victoria powoli podniosła się z krzesła. Wydała mi się jeszcze wyższa i szczuplejsza, niż przy ostatnim spotkaniu. Miała na sobie prostą sukienkę, była nieumalowana. Potargane włosy opadały jej na twarz.

- Dzień dobry, ciociu Leonoro. - Victoria nie wykonała najmniejszego ruchu w kierunku ciotki. - Wuju Richardzie.

- Dzień dobry, Victorio. Przykro nam z powodu tego wszystkiego. - Wuj Richard wskazał mnie nieznacznym gestem.

- Ależ tu bałagan. - Victoria opuściła wzrok, spoglądając na rozłożone na stole dokumenty. Wreszcie wyszła zza stołu, podała rękę ciotce Leonorze i szybko ją objęła. Potem cmoknęła w policzek wuja Richarda.

Do domu wszedł z hałasem Jake, niosąc walizki.

- Och, Jake... - Victoria wyszła do holu. - Zanieś rzeczy wujostwa do pokoju mojej matki, a jej walizki... - wskazała na mnie - do służbówki na dole.

- Czemu nie do pokoju Rain?

- Alison będzie chciała spać w swoim pokoju - odpowiedziała Victoria. Potem zwróciła się do mnie: - Jestem pewna, że nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Tak. W tej chwili jest mi to zupełnie obojętne.

- To świetnie. No dobrze, Jake. Dziękuję. - Victoria wróciła do jadalni. - Mam gorącą kawę, a jeśli chcecie... - zwróciła się do Endfieldów - ...mogę nastawić wodę na herbatę.

- A co z pokojówką Frances?

- Od jakiegoś czasu mama obywatła się bez pokojówki -

odpowiedziała Victoria, spoglądając na mnie. - Było tu kilka sióstr... pielęgniarek, ale, niestety, żadna nie wytrzymała długo.

- W takim razie kto się nami zajmie? - W głosie ciotki Leonory dało się wyczuć prawdziwe przerażenie.

- Zadzwoiłam do agencji wynajmu służby. Niedługo powinni tu przyjechać ludzie, którzy zajmą się wszystkim podczas pogrzebu i potem. Jestem pewna, że Rain także będzie pomocna. Zanim wyjechałaś do Londynu, żeby zostać aktorką, usłuchiwałaś mojej matce, prawda?

- Wszystko, co robiłam dla babci, robiłam z miłości. Jest mi obojętne, gdzie będę spała, ale nie jestem służącą, i lepiej, żeby nikt z tu obecnych na mnie nie liczył - oznajmiłam, po czym poszłam do służbówki. Byłam zmęczona podróżą i czułam instynktownie, że lepiej zrobię, jeśli się prześpię, oszczędzając siły i energię na to, co mnie jeszcze czeka.

Jake odniósł bagaże wuja i ciotki, a potem przyszedł do służbówki z moimi walizkami.

- Nie przyjęto cię w domu najlepiej, ale osobiście, o tyle, o ile w ogóle potrafię się teraz cieszyć, cieszę się, że cię widzę. Frances do ostatniej chwili myślała o tobie. Bardzo cię kochała. Nie myślała o sobie, martwiła się o ciebie.

- Było dobrze, Jake, ale... nie nazwałbyś tego szczęśliwym domem - powiedziałam, posługując się, podobnie jak to często czynił Jake, znaczącym niedopowiedzeniem. - Ale podobała mi się szkoła. Odniosłam sukcesy na scenie.

- Ja myślę. Kiedyś będziesz musiała mi o tym wszystkim opowiedzieć. O ile będę tu jeszcze pracował.

- Nie wiem, czy będę miała na to jakikolwiek wpływ, ale jeśli tak, opowiem się za tym, żebyś tu pozostał.

- Teraz, kiedy nie ma Frances, niewiele miałbym tu do roboty, księżniczko. - Jake spojrział na zegarek. - Zaraz przyjeżdża pociągiem Megan z dziećmi. Muszę ich odebrać. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz wszyscy się tu zgromadzili - dodał. - To Frances trzymała ich razem. Teraz nastąpi prawdziwe święto niepodległości - każdy sobie.

- Może i ja zdobędę jej trochę dla siebie - zauważyłam. Jake zaśmiał się w odpowiedzi.

- Wolałbym cię spotkać przy weselszej okazji, Rain, ale cieszę się, że w ogóle cię widzę. Jesteś wspaniałą dziewczyną.

- Dziękuję, Jake.

- Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, daj znać - powiedział i wyszedł.

Nie pozostało mi nic innego, jak czekać, kiedy przyjedzie moja matka z rodziną. Domyślałam się, że wszyscy będą zapewne pod wrażeniem najnowszego odkrycia.

Jak będą mnie teraz traktować?

Zdrzemnęłam się godzinę, może chwilę dłużej. Obudził mnie gwar i hałas, jaki czyniła wynajęta przez Victorię służba i dostawcy przywożący jedzenie zamówione na stypę. Jak inaczej to wszystko wygląda wśród bogatych, pomyślałam. U nas, w Projektach, kiedy ktoś umarł, zbieraliśmy się, przynosząc jedzenie, by pomóc pogrążonej w żalu rodzinie. Obecność żałobników pomagała krewnym zmarłych wyrwać się z najgłębszej rozpacz. Ludzie spotykali się z ludźmi, wspólny posiłek był tylko pretekstem. Tu z kolei stanowił czystą formalność, zadośćuczynienie wymogom tradycji.

Wstałam z łóżka i wyszłam z domu. Lato dobiegało końca, w powietrzu czuło się chłód jesieni. Zeszłam nad jezioro. Przypomniało mi się, jak stałam tu przed wyjazdem do Anglii. Usłyszałam z daleka ludzkie głosy i odwróciłam głowę. To Jake przywiózł moją matkę wraz z jej rodziną. Po raz pierwszy zobaczyłam Granta. Nawet z tej odległości mogłam ocenić - obok szedł Brody - że musi mieć co najmniej z sześć stóp i dwa lub trzy cale wzrostu. Był szczupły, miał ciemne włosy, na sobie zaś elegancki garnitur. Poszli wszyscy do domu, a Jake odstawił rolls royce'a do garażu. Wzięłam głęboki oddech.

Zaczyna się, pomyślałam i powoli ruszyłam ścieżką w kierunku domu. Kiedy weszłam do środka, usłyszałam gwar

rozmów. Nad wszystkimi górowały głosy przekrzykujących się nawzajem Victorii oraz wuja Richarda. Gdy uświadomili sobie, że stoję w drzwiach, wszyscy naraz odwrócili do mnie głowy i umilkli. Nigdy w moim życiu czas nie płynął równie powoli, jak wówczas, gdy tak stałam przed nimi, mierzona spojrzeniem siedmiorga par oczu.

Mąż mojej matki był przystojnym mężczyzną. Miał bujne, równo przystrzyżone włosy, żywe, inteligentne oczy, jak dwa klejnoty w przystojnej twarzy o regularnych rysach. Wydawał się zrelaksowany i spokojny pośród burzy szalejących wokół emocji. Kiedy napotkał moje spojrzenie, przyjrzał mi się z chłodną ciekawością, jakby chciał oszacować, z kim ma do czynienia. Po chwili jego usta wygięły się w niemal niedostrzegalnym uśmiechu.

- I co? - odezwała się w końcu Victoria do mojej matki, patrząc na nią z nieskrywaną niechęcią i niesmakiem. Potem przeniosła spojrzenie na Granta.

Moja matka również zerknęła na męża, a on odpowiedział lekkim skinieniem głowy, jakby potwierdzał jakąś wcześniej zawartą umowę.

Brody nie odrywał ode mnie oczu. Alison prychała, jakby coś drapało ją w gardle.

Moja matka wstała i podeszła do mnie z uśmiechem na ustach.

- Cześć, Rain. Chodź, przejdziemy się i porozmawiamy.

Obejrzałam się na Granta, który patrzył na mnie z wyraźną ciekawością. Czułam, że czeka na moją reakcję, jakby chciał z niej coś wynioskować. Odwróciłam się i ruszyłam do wyjścia.

Matka szła obok mnie ze splecionymi na piersi rękami i spuszczoną głową.

- Co za okropne zamieszanie - zaczęła. - Zawsze mi się wydawało, że moja matka będzie żyć wiecznie. Miała tyle pewności siebie, jakby nie wiedziała, czym jest śmierć. Pamiętam, jak panowała nad wszystkim po śmierci ojca. Zawsze była dla ludzi podporą i wzorem. Nie mogę się oprzeć wraże-

niu, że przewidziała czy wręcz zaplanowała to wszystko, ba... nawet umarła akurat w tej, a nie w innej chwili, bo tak lepiej się wszystko układało.

Zatrzymała się i westchnęła. Potem spojrzała na mnie.

- Jak ci tam było w Anglii? Tak mi przykro, że się do ciebie nie odezwałam wcześniej.

- Jakoś to przeżyłam. - Uśmiech zniknął z twarzy mojej matki. - Szkoła jest wspaniała, ale mieszkanie z ciotką i wujem...

- Wiem, wiem. Ja też nigdy się z nimi nie czułam dobrze. Ciotka Leonora jest jeszcze do zniesienia... jest po prostu głupia, ale przy wuju Richardzie człowiek czuje się... jakiś taki...

- Gorszy?

- Właśnie tak. - Moja matka skinęła głową.

Chciałam opowiedzieć jej o wszystkim, wyrzucić to z siebie jak niestrawiony posiłek, uświadomić jej, ile przez nią wycierpiałam, ile bólu sprawiło mi jej postępowanie i w ciągu ostatnich miesięcy, i w ciągu wszystkich lat mego życia, ale pomyślałam, że nie pora teraz na pretensje. Na razie czekał nas pogrzeb babci Hudson.

- Domyślałam się, że wszystko im powiedziałaś, czy tak?

Moja matka ruszyła dalej w kierunku jeziora, wciąż ze spuszczoną głową i splecionymi ramionami.

- Nie do końca.

- Jak to?

- Grant wie wszystko, ale dzieci nie - rzuciła szybko. - Oboje mieliśmy nadzieję, że uda się nam oszczędzić im tego. Liczę na to, że mnie zrozumiesz.

- Nie - odpowiedziałam gniewnie. - Przyszła pora, żeby skończyć z kłamstwami.

- To nie kłamstwa. Być może nie mówię całej prawdy, ale...

- Więc co im powiedziałaś?

- No... wiedzą to, co dotąd... Powiedziałam, że twój ojciec był moim bliskim przyjacielem w college'u, że robię to wszystko w imię starej przyjaźni.

- Ale kiedy poznają treść testamentu...

- Nie będzie ich przy tym. Po prostu poczekamy ze wszystkim, aż będą trochę starsi. No co, w porządku? - Wstrzymała oddech.

W co ona próbuje mnie wciągnąć? - pomyślałam. Jak umówiła się z mężem?

- Nic mnie nie obchodzi, co twoje dzieci będą wiedziały, a czego nie będą - odparłam.

- To dobrze. Naprawdę tak będzie lepiej. Grant także to doceni, kochanie.

- Co powiedział, kiedy usłyszał prawdę?

- Nie był uszczęśliwiony, ale wykazał zrozumienie. Nie ukrywał przede mną, że sam także używał sobie w młodości.

- Bardzo się cieszę, że wszyscy są pełni zrozumienia - zauważyłam z goryczą. - Widziałam mego ojca.

- Co takiego?

- Babcia nic ci nie mówiła?

Moja matka pokręciła głową.

- Pomógł mi go odnaleźć kolega ze szkoły. Poznałam nawet jego rodzinę.

- Odnalazłaś Lany'ego Warda?

- Wolę go nazywać moim ojcem.

Patrzyła na mnie osłupiała.

- To naprawdę nie było takie trudne. Trudniej mi było zebrać się na odwagę i powiedzieć mu, kim jestem, ale kiedy już to w końcu zrobiłam...

- To co?!

- Okazał się bardzo miłym człowiekiem, podobnie jak jego żona, którą też poznałam.

Moja matka pokręciła głową i uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Jak zareagował na twój widok? Co chciał zrobić?

- Chciał dowiedzieć się o mnie czegoś więcej. Jeszcze przed moim wyjazdem z Anglii powiedział o wszystkim swojej żonie. O ile wiem, nic nie mówiła o używaniu sobie w młodości.

Matka nie zwróciła uwagi na ironię w moim głosie.

- Jak wygląda?

- Fantastycznie. Cieszy się uznaniem jako wykładowca i jako badacz Szekspira. Ma dwoje wspaniałych dzieci - syna i córkę. Podobnie jak ty, tyle że syn jest młodszy, a córka starsza, i oboje są dobrze wychowani.

Moja matka kiwnęła głową, nie patrząc na mnie. Chyba naprawdę go kiedyś kochała, pomyślałam, ale ona szybko wróciła do rzeczywistości. Zamrugnęła oczami.

- Wspaniale sobie radzisz, Rain. I dlatego wierzę, że uda nam się to wszystko rozwiązać. Jak wiesz, Victoria jest wściekła, że matka włączyła cię do grona spadkobierców. Chciała, żeby Grant jakoś temu zaradził, ale mój mąż nie chce nadawać całej sprawie niepotrzebnego rozgłosu. Myślę, że ma rację. Po co stawiać rodzinę w złym świetle, prawda?

- Czy Grant wciąż ma nadzieję zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych? - rzuciłam zaczepnie.

- Nie ukrywam, że zamierza ubiegać się o stanowisko w administracji państwowej - przyznała moja matka.

Zatrzymałam się i spojrzałam na nią.

- No dobrze, mam, czego ode mnie chcesz? Wykrztuś to z siebie wreszcie i będziemy miały kłopot z głowy, dobrze?

- Cóż, moja matka... Moja matka postawiła nas wszystkich w bardzo trudnej sytuacji. Jak wynika z testamentu, odziedziczyłaś pięćdziesiąt jeden procent majątku trwałego - domu i posiadłości. Pozostałe czterdzieści dziewięć procent zapisała po połowie mnie i Victorii. Poza tym należy ci się połowa wartości inwestycji, czyli około dwóch milionów dolarów w dobrze ulokowanych papierach wartościowych.

Dosłownie zaparło mi dech. Rodzina mojej mamy od dwudziestu pokoleń nie dorobiła się niczego, a na mnie z dnia na dzień miały spaść taki deszcz pieniędzy?

- Rzeczywiście - ciągnęła moja matka - to zaskakujące. Victoria chce wystąpić do sądu o unieważnienie testamentu. Będzie twierdzić, że matka była niepoczytalna, gdy włączyła cię do grona spadkobierców. Grant mówi, że to poważny zarzut, który trudno byłoby odeprzeć. Co gorsza, proces nie

przysporzy nikomu sławy, a twoje życie zmieni w piekło... No więc, żeby nie ciągnąć spraw w nieskończoność, Grant zaproponował kompromis. Dostaniesz ćwierć miliona dolarów i staniesz się samodzielną, dorosłą osobą. Victoria będzie zadowolona. Może zresztą nie w pełni, ale jakoś ją ułagodzę. Co ty na to?

Ledwo ją widziałam przez łzy. Czy nie miała wobec mnie ani odrobiny macierzyńskich uczuć? Czy śmierć babci Hudson traktowała wyłącznie jako okazję, żeby wreszcie pozbyć się mnie na zawsze?

Powinłam się zgodzić. Powinłam wziąć, co mi dają, i wracać do Anglii, do szkoły. Byłabym bliżej mego ojca, który przynajmniej nie starał się uwolnić ode mnie, jakbym była parszywym psem.

- Rain?

Odwróciłam głowę i popatrzyłam na jezioro. Co doradziłyby mi babcia Hudson? Czego by się po mnie spodziewała?

Przypomniała mi się nasza ostatnia rozmowa przed wyjazdem. Babcia powiedziała wtedy: „Bałam się już, że w tej rodzinie nie znajdzie się nikt, kto by miał dość charakteru, żeby zachować się jak należy. Nie przyniesz mi rozczarowania, Rain”.

Nagle zrozumiałam, że odpowiedź na moje pytania jest oczywista. Babcia Hudson wprowadziła w testamencie takie zmiany, jakie uważała za słuszne. Zamiast się zastanawiać, co by mi doradziła, powinłam po prostu pójść za jej wolą. Cokolwiek zawierałby testament, nie mogę rozczarować babci.

Odwróciłam się do matki.

- Babcia Hudson wiedziała, co robi, kiedy spisywała swoją ostatnią wolę - powiedziałam. - Przed wyjazdem obiecałam jej, że uczynię, co mi poleci, i myślę, że teraz powinłam dotrzymać słowa. Nie zgadzam się na żadne zmiany w testamencie i kompromisy.

Moja matka wyglądała na kompletnie zaskoczoną. Najwyraźniej była pewna, że bez trudu przekona mnie do tego, czego oczekiwał po niej mąż.

- Ależ, Rain, pomyśl tylko, do jakiej sytuacji doprowadzisz. Victoria nie da za wygraną i...

- Być może twój mąż zdoła ją przekonać, że dla dobra rodziny lepiej będzie nie robić niepotrzebnego hałasu wokół całej sprawy.

Moja matka patrzyła na mnie osłupiała. Uśmiechnęłam się do niej. Pokręciła głową.

- Jesteś taka sama jak ona - rzuciła w końcu gniewnie.

- Nigdy w życiu nie powiedziałaś mi większego kompletu.

Skinęła głową i zawróciła do domu.

Wzięłam głęboki oddech.

Bałam się.

Cała się trzęsłam. Nie miałam pojęcia, co się dalej stanie ani jak się będę bronić, ale mieszkałam w domu babci Hudson i wciąż rozbrzmiewało we mnie echo jej słów.

To nie będzie łatwe, pomyślałam, zawracając do rezydencji.

„I co z tego? - usłyszałam głos babci. - A kiedy w życiu było ci łatwo, Rain?”

Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Nie przyniosę ci rozczarowania, babciu.

EPILOG

Podczas pogrzebu nikt nie zawracał sobie mną głowy. Tylko Brody wypytywał, jak było w Anglii, i opowiadał o własnych osiągnięciach sportowych. Alison mnie unikała, co akurat mi odpowiadało. Zresztą wyglądała, jakby do wszystkich wokół miała pretensje, że musi uczestniczyć w pogrzebie babci.

Tak naprawdę zajął się mną Jake. To on zadbał o to, żebym wszędzie była, kiedy trzeba. Na pogrzeb pojechałam rolls royce'em, razem z ciotką Leonorą i wujem Richardem. Reszta rodziny - wynajętą limuzyną. Wuj Richard nie miał pojęcia, co dokładnie zawiera testament, i marzył jedynie o tym, żeby wrócić do Anglii. Ciotka Leonora udawała głęboko zasmuconą, ale gdy tylko zagadnął ją ktoś z dawnych znajomych, natychmiast się ożywiła i korzystała z okazji, żeby chwalić się swoim życiem w Anglii. Stypa bardzo szybko straciła charakter uroczystości żałobnej, stając się po prostu towarzyskim party, więc wróciłam do swego pokoju.

W przeddzień odczytania ostatniej woli odwiedził mnie Grant. Przyszedł, by podjąć ostatnią próbę znalezienia rozsądnego, jak to określił, rozwiązania.

Dla każdego innego mężczyzny byłby to spory kłopot, pomyślałam, negocjować z nieślubną córką swojej żony, ale on zachowywał się jak wytrawny polityk - chłodno i powściągliwie.

- Pomyślałem, że gdybyśmy się dogadali, oszczędziłoby to nam wszystkim wielu przykrości na przyszłość.

- Za późno - oświadczyłam bezlitośnie. - Co do mnie, nie doznałam tu niczego prócz przykrości.

- Właśnie o to mi chodzi - podjął Grant, nie kwestionując mojej opinii. - Po co to ciągnąć? Udało mi się przekonać Victorię, że powinna być bardziej szczodra, jeśli chce kompromisu. Co powiesz na pół miliona dolarów?

- To obrzydliwe. Dlaczego wam się wydaje, że pieniądze wszystko rozwiązują? Już raz zapłaciliście, żeby się mnie pozbyć. Teraz chcecie odkupić ode mnie prawo przynależności do tej rodziny? Nie jestem plamą, którą można wywabić przy zastosowaniu odpowiednio kosztownych środków.

Grant popatrzył na mnie z nieskrywanym uznaniem.

- Po prostu chciałem wszystko ułożyć.

- Co ułożyć?

- Wszystko.

- Babcia Hudson już to zrobiła - przypomniałam mu.

Skinął głową i widząc, że nic więcej nie uzyska, wyszedł z pokoju.

Po południu zadzwonił do mnie Roger Sanger, adwokat mojej babci. Powiedział, że to on odczyta jej ostatnią wolę. Wspomniałam mu o zastrzeżeniach Victorii, ale nie potraktował ich poważnie.

- Rozmawiałem z Victorią. Znam panią Hudson od dawna i byłem przy niej, gdy wprowadzała zmiany do swego testamentu. Jestem gotów zaświadczyć przed sądem, że pani Hudson była całkowicie świadoma tego, co robi. Tłumaczyłem Victorii, co to znaczy, i wierzę, że w końcu mnie zrozumiała.

- Mam nadzieję - powiedziałam. Victoria nie należała do ludzi, których zachowanie można by przewidzieć. Mnie osobiście, zwłaszcza od czasu listu, który wysłała do wuja Richarda w sekrecie przed babcią Hudson, wydawała się prawdziwą zmiją.

Jak zapowiedziała moja matka, Brody i Alison przed odcytaniem ostatniej woli babci Hudson pojechali do domu.

Nasze spotkanie z adwokatem trwało krótko i miało ściśle oficjalny przebieg - poza tym, że Victoria krzywiła się boleśnie, ilekroć Roger Sanger wymieniał moje imię.

Kiedy skończył czytać, ciotka Leonora i wuj Richard byli kompletnie osłupiali. Nie rozumieli wielu szczegółów. Zapewne nikt ich o niczym nie uprzedził, bo wszyscy liczyli, że Grant się ze mną dogada.

Ciotka Leonora patrzyła na mnie wielkimi oczami. Przed wyjazdem na lotnisko pożegnała się ze mną.

- Niewiele brakuje, żebyś była bogatsza od nas.
- Zawsze byłam - odpowiedziałam, ale mnie nie zroszowała.

Wuj Richard nawet się ze mną nie pożegnał.

Potem przysłała się ze mną pożegnać moja matka.

- Naprawdę nie wiem, co z tego wyniknie, Rain. Co teraz zrobisz?

- Na razie zamieszkać tutaj. Potem pewnie wrócę do Anglii, żeby się dalej uczyć.

- Chcesz mieszkać sama w takim wielkim domu?

- Ty też tu kiedyś mieszkałaś, prawda?

- Tak. - Skinęła głową. - Chociaż teraz wydaje mi się, że to było w zupełnie innym życiu. Zadzwoń - do ciebie - obiecała. Próbowwała mnie pocałować, ale stałam sztywna jak kij.

Potem oboje z Grantem wsiedli do samochodu i odjechali. Na niebie zbierały się chmury. Wiał wiatr, ale niezbyt chłodny. Powietrze było rześkie. Miałam nadzieję, że ten wiatr przewieje wszystkie moje smutki i nieszczęścia.

Postanowiłam, że nazajutrz wybiorę się na cmentarz, żeby pożegnać się spokojnie z babcią Hudson.

Trzasnęły drzwi. Zza domu wyłoniła się Victoria, niosąc pod pachą plik dokumentów. Widząc mnie, stanęła.

- To moje - oświadczyła. - To dokumenty mojej firmy.

- Zamierzałaś powiedzieć „naszej firmy”?

Rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

- Czego ty właściwie chcesz?

Popatrzyłam na nią spokojnie.

- Mojego imienia - odpowiedziałam z uśmiechem. - Niczego mniej i niczego więcej.

- Zobaczymy - rzuciła Victoria.

Odwróciła się i odeszła.

Znad jeziora przyleciały dwa znajome kruki. Minęły dom i poszybowały w kierunku oceanu.

Leciały, jakby wiedziały, że przyszłość zawsze niesie im obietnicę, pomyślałam.

Wierzyłam i modliłam się o to, aby okazało się, że mam rację, licząc, że przyszłość przyniesie w końcu coś dobrego i mnie.